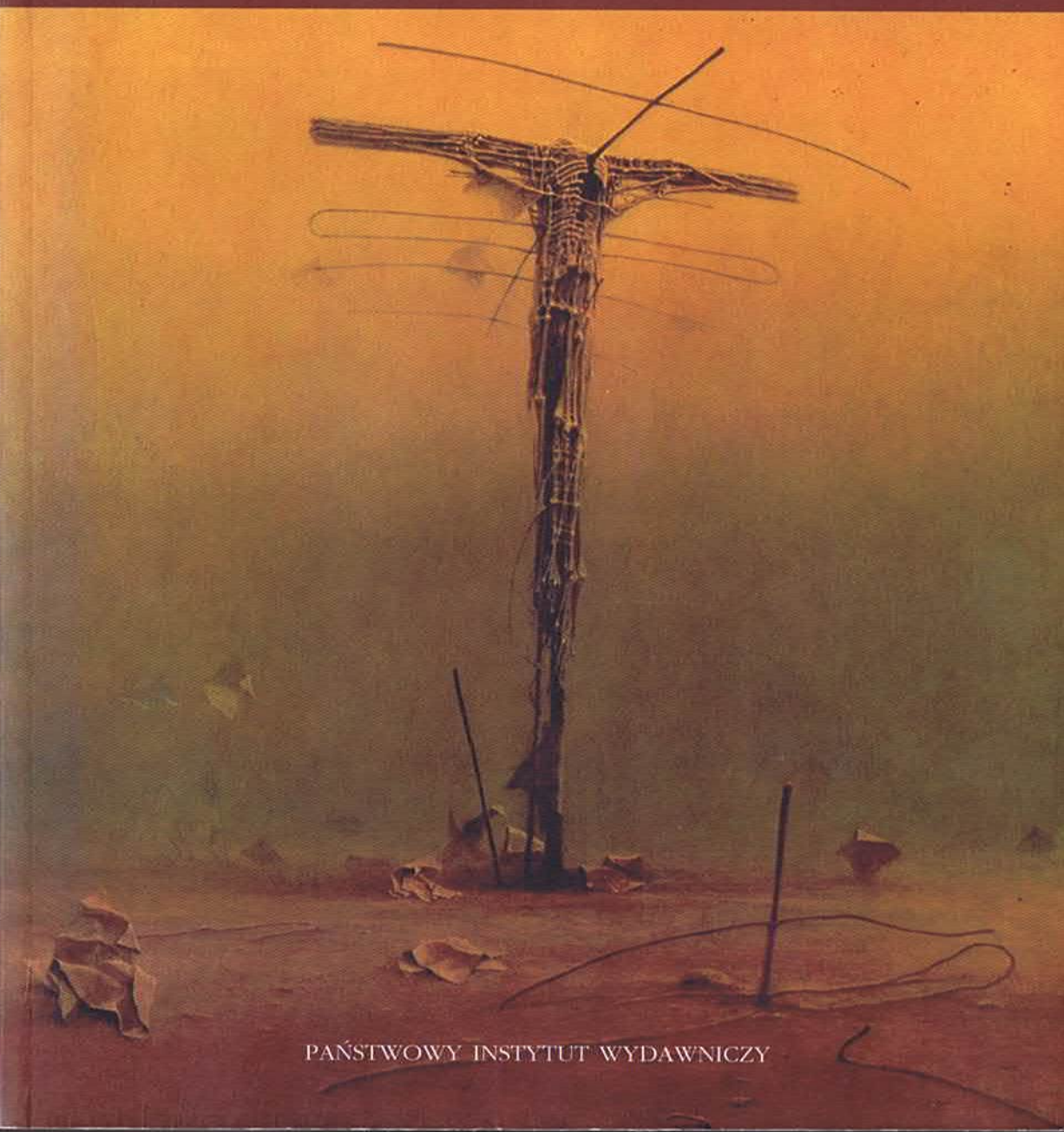


LILIANA ŚNIEG-CZAPLEWSKA

BEX@

Korespondencja mailowa ze Zdzisławem Beksińskim



PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

LILIANA ŚNIEG-CZAPLEWSKA

BEX@

Korespondencja mailowa ze Zdzisławem Beksińskim

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

Okladkę i strony tytułowe projektował
WIKTOR JĘDRZEJEC

Księgarnia internetowa
www.piw.pl

PRINTED IN POLAND

Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2005 r.

ul. Foksal 17, 00-372 Warszawa

e-mail: piw@piw.pl

www.piw.pl

Wydanie pierwsze

Skład i łamanie: Agencja Poligraficzno-Wydawnicza „ANTER”,

ul. Tamka 4, 00-349 Warszawa

Druk: Zakład Poligraficzno-Wydawniczy POZKAL, Inowrocław

ISBN 83-06-02961-5

ŚWIAT WEDŁUG MONTY BEXONA

Co rano uruchamiałam komputer z radością, wiedząc, że czeka mnie tam list od Bexy. To było tak, jakby dostawać dzień w dzień bukiet kwiatów. Kto by tego nie lubił? (To oczywiście kompletnie nietrafiona metafora, bo Bexa nikomu, nawet ukochanej żonie, w życiu kwiatów nie przysłał; specjalnie Go o to spytałam. Nie znośił ich zapachu, procesu gnicia i więdnienia, w ogóle Natury z jej procesami niepodlegającymi dyskusji ani negocjacji. Jednak ten przykład dobrze ilustruje różnice między adresatem a adresatką, nadawcą a nadawczynią, bo ja kwiaty lubię, nawet te z kolcami lub ostrym zapachem.)

Chodzi po prostu o to, że Bexa – człowiek piekielnie inteligentny, bywał też piekielnie złośliwy. Wykpiwał komunały, pustostanie, potknięcia w logice, ale najbardziej chyba...: odporność na ironię. Sam był ironistą nad ironistami. Wtedy jego poranny list stawiał na nogi, podnosił ciśnienie, jak potrójna kawa. Jeden z listów zatytułowałam „Świat według Monty Bexona”, porażona Jego niecodzienną wyobraźnią.

Myslałam z optymizmem o przyszłości, o tym, że za kilka – kilkanaście lat co rano też będzie na mnie czekała e-mailowa niespodzianka od Bexy, pewna jak procenty w solidnym banku. Miał przecież tylko siedemdziesiąt sześć lat i, zdawało się, wszystko, co najgorsze, za sobą. Dbał o zdrowie, systematycznie zażywał lekarstwa, o czym przypominały Mu rozliczne elektroniczne urządzenia w mieszkaniu. Miał pomysły i chęć do pracy, był nieprawdopodobnie otwarty na sztukę i pełen malarskiej inwencji. Miał lata twórczego życia przed so-

ba. „Istnienie sprawia mi największą możliwą frajdę” – gdy to napisał, nie miałam cienia wątpliwości, że pisze prawdę.

*

Poznaliśmy się, gdy zrobiłam z Nim wywiad dla dwutygodnika „Viva!”, ale „pozwolił” zaprzyjaźnić się ze sobą dopiero, gdy wywiad ukazał się drukiem.

Nie miał już wtedy bliskich, z którymi przez lata mieszkał w tym samym nieustawnym mieszkaniu z pokręconymi korytarzami. Z żoną, matką i teściową (w tym dwie ostatnie niesprawne, a mama praktycznie niepodnosząca się z łóżka. On dreptał wokół niej jak wokół niemowlęcia). Na końcu zachorowała żona Zofia Beksińska, na tętniaka aorty. Nie chciała poddać się operacji, ponieważ groziła paraliżem, a On nie naciskał, gdyż szanował suwerenność każdego człowieka, a zwłaszcza tego, z którym „przeżył w szczęściu pięćdziesiąt lat”. Ubywało mieszkańców trzech pokoi z kuchnią przy ul. Sonaty 6, jednego po drugim. Syn Tomasz od dawna mieszkał osobno, ale w pobliżu. Niestety i on odszedł, w Wigilię 1999 roku po raz trzeci podjął trzecią próbę samobójczą, tym razem skutecznie.

*

Gdy zgłosiłam się na wywiad do artysty, byłam porażona jego biografią. A potem... pełna podziwu dla tylu niegroźnych sprzeczności, współegzystujących w jednym ciele i umyśle. Jak to możliwe? Naprawdę można stracić wszystkich bliskich, łącznie z jedynym synem, i być tak łagodnym, ciepłym, pogodzonym z życiem człowiekiem? Malować najsmutniejsze, do żywego poruszające obrazy świata i być tak pogodnego usposobienia? Mieć opinię samotnika, eremity, a szczerze przejmować się losem ludzi, których się lubi, pomagać pociotkom, zubożałej koleżance żony, a nawet obcym? Był jak feniks z popiołów, co strząsnął z piór gorycz, smutek i zobojętnienie tak charakterystyczne dla starości, której los nie oszczędził niczego, co najgorsze. Stał się dla mnie żywym dowodem na to, że nie trzeba się tak potwornie bać samotności, jakkolwiek straszna by ona była.

Po ukazaniu się wywiadu prasowego zaproponowałam Beksińskiemu wspólną książkę, wywiad-rzekę. Odmówił (vide listy). Odmowy nie przyjąłam do wiadomości, licząc na „zmianę opcji”. On nie był zbyt uparty, ja byłam cierpliwa. Nie zawiodłam się. W mia-

rę upływu czasu idea książki oddalała się wraz z horyzontem, wypierana przez codzienną radość korespondowania z dobrym i mądrym człowiekiem. Ja pisałam do Bexy co wieczór, co noc, podsumowując przygody dziennikarki prasy kobiecej, której On nie cierpiał (wstydził się nawet ją kupować), On odpisywał rano albo trochę później. Bywały dni, rzadkie, ale bywały, gdy pisał dwa e-maile, musiał mieć jednak po temu wyraźny powód. Korespondencja rwała się tylko wtedy, gdy psuły się nam komputery, zawodziły serwery, płała figle elektronika albo ja wyjeżdżałam w delegacje, bo Bexa od lat się nie ruszał poza opłotki osiedla Służew nad Dolinką. Gdy wracałam z wyjazdu z VIP-ami pierwszych stron gazet, o których On nie miał pojęcia (albo miał mgliste, albo udawał – niewłaściwe skreślić) – kpinom z Jego strony nie było końca.

Wśród 616 listów (poniższy wybór jest tylko drobną ich częścią) były filozoficzne i socjologiczne wykłady, refleksje o ważnych artystach XX wieku, o Biblii i Kohelecie, a wszystko podlane sosem kpiny i ironii, w tym z siebie („nie jestem Luter i nie stawiam tezy”). I ze mnie: „Widzę, że ukończyła pani kurs szybkiego czytania”. Nie miał złudzeń, co do wielu bliźnich: „nie można od żaby wymagać, by łapała myszy, ani od kota, by pływał krytą żabką”. Na ogół dziwił się wszystkiemu, co robiłam: „w tym tygodniu zaliczyła pani tyle imprez towarzyskich, co ja w ciągu ostatniego piętnastolecia”.

Inne przykrości nie wchodziły w grę. Bexa powalał tolerancją i nigdy, przenigdy nie podnosił głosu. Nawet wirtualnie.

Jeśli ktoś myśli, że był naprawdę szczery, to się myli: „jestem człowiekiem skrytym, i tylko czasami stwarzam pozory otwartości”.

*

Bexa – Zdzisław Beksiński, wiedział, że tak go przezwalałam, że tak o Nim mówię. Nie miał nic przeciwko temu.

Ostatni list otrzymałam od Niego dnia 21 lutego 2005 roku, o 10.38. W dniu Jego śmierci. Śmierci tak porażająco bezsensownej, że aż niewiarygodnej. Dla kilkuset złotych. Gdy w ten lutowy wtorek usłyszałam o niej w radiu, przez kilka godzin trwałam w przekonaniu, że to się nie mogło zdarzyć, że to nieprawda, że tak mi się tylko zdaje („zdawaniu się” i odczuwaniu czasu poświęciliśmy kilka listów). Gdy po paru godzinach zdobyłam się na odwagę, aby zadzwonić do Jego domu, byli tam już dalecy krewni i ekipa dochodzeniowo-śledcza, zabezpieczająca ślady. Od drugiej żony szwagra

dowiedziałam się, że w mieszkaniu brakuje najnowszego aparatu fotograficznego, albo i dwóch, a ja miałam przecież ich zdjęcia w mojej poczcie e-mailowej, wśród dziesiątków innych zdjęć przysłanych przez Bexę. Bo radząc, co mam kupić, przysyłał mi różne dziwne zdjęcia: klawiatury komputerowej, sejf, pamięci, kaloryferów, gdy akurat mi jakiś pękł itd.... Dostarczyłam je na komendę policji następnego dnia.

Prowadzący śledztwo już wiedzieli, że sprawcy należy szukać blisko. W mieszkaniu panował porządek, obrazy i komputery, drogie elektroniczne gadżety były na swoim miejscu. Nie naruszono sejfu, w którym – jak się potem okazało – znajdowało się około trzystu tysięcy złotych, bo Bexa nie do końca ufał bankom.

Sam otworzył drzwi, zdjął łańcuch. Musiał widzieć na monitorach zawieszonych nad drzwiami twarz mordercy, choć drzwi otwierał jeszcze znajomemu. Godziny śledztwa mijały, a w świat zaczęły płynąć szeroką falą spekulacje, podejrzenia, sugestie i bzdura za bzdurą, od których znajomym zamordowanego robiło się niedobrze. Że motywem zbrodni nie był rabunek (choć od początku wiadano o aparatach). „Wszystkie motywy bierzemy pod uwagę, łącznie z samobójstwem”, puścił pierwszego medialnego pawia wysoki oficer stołecznej policji, choć wiedział, że ofiara miała liczne rany klute i cięte, że walczyła o życie, a mieszkanie było pełne krwi. Samobójca, który zadał sobie siedemnaście ciosów nożem, w tym w serce, płuca, aortę? Wysoki oficer wiedział, że sprawców musiało być dwóch, bo gdy nieśli ofiarę na balkon, to nawet Mu kapcie nie spadły.

Po co więc było bredzić o samobójstwie? Aby być o dwadzieścia sekund dłużej na wizji w wieczornych wiadomościach? Gdzie się podziała policja, która milczy z klasą „dla dobra śledztwa”. Albo przynajmniej, jak mówi, to wie, co mówi. A może na taki szum medialny ludzie mający swój udział w śledztwie pozwolili sobie dlatego, że Beksiński nie miał rodziny? I już wiadomo, że nikt nie przyjdzie z awanturą. A jak można, to wolno. Popłynęły w świat wyssane z brudnego palca informacje o schizofrenii i chorobach psychicznych, gnębiących malarza i jego rodzinę. „Zbigniew Beksiński mógł zlecić zabójstwo samego siebie”, wprost sugerował pewien nieudolny malarz, który całe zawodowe życie zazdrościł Beksińskiemu wszystkiego. Od uwielbienia fanów po kasę, bo Bexa ile żądał za obraz, tyle dostawał.

Wśród nieścisłości w publikacjach były zarówno ważne (wciąż uprawia twórczość komputerową, choć Bexa ją dawno zarzucił), jak i głupstwa (pije tylko colę i piwo, podczas gdy On od lat nie tykał alkoholu w żadnej postaci, a piwo trzymał w lodówkach dla gości, bo lubił im dogadzać).

Od epatowania tandetną sensacją nie odcięły się poważne tygodniki, za życia artysty poświęcające trochę miejsca Jego twórczości i dorobkowi. O „sadystyczno-masochistycznych skłonnościach malarza” napisała rzetelna dotąd reporterka tygodnika. Zdezorientowani czytelnicy już mieli prawo widzieć, oczyma wyobraźni, pannenki z pejczami w czarnych skórach przemykające się wieczorem do mieszkania przy Sonaty 6. Tego, że Beksiński swe ujawnione wcześniej publicznie przez siebie skłonności sadomaso miał jedynie w pojemnej głowie, w plikach swej nieogarnionej wyobraźni, z zerowym przełożeniem na działanie – już w tekście nie było. A to przecież tak, jakby mówić o skłonnościach „perwersyjnego zbrodniarza” Hitchcocka. O ile w przypadku reżysera perwersyjna zbrodnia owszem, działa się, jak najbardziej – ale tylko na ekranie, o tyle u Bexy – wyłącznie w obrazach i grafikach. Bo w prawdziwym życiu jeden i drugi byli najlepszymi pod słońcem i wiernymi mężami, że takich dziś ze świecą szukać, spokojnymi głowami rodzin ceniącymi zacisze domowe i spolegliwymi ojcami swoich jedynych dzieci.

Ale najbardziej „wzruszające” były fachowe środowiskowe oceny kolegów-malarzy, którzy natychmiast przypomnieli, że Bexa nie był absolwentem ASP, a „jedynie architektury”, że był – patrzcie, ludzie, patrzcie, zwykłym amatorem – tak jakby dyplom ASP dawał gwarancję czegokolwiek.

Zawiść i niechęć unieruchamiała oceniającym i wspominającym szczęki. Przeciskały się przez nie jedynie komplementy w stylu „rzemieślnikiem był dobrym”, a i to tylko dlatego, że słowo „umiejętności” nie przeszłoby zawistnikom przez gardło. O kunszcie, mistrzowskich umiejętnościach, jakimi włada niewielu (poza wyjątkami, jak Janusz Miliszkievicz – krytyk sztuki), mowy nie było.

*

Odpowiedź na pytanie, kto zamordował tak niewyobrażalnie dobrego człowieka w tak okrutny sposób, że miał przez kilka minut świadomość, iż umiera, znalazła się już pod koniec trzeciej doby od popełnienia zbrodni.

Rodzinę K. z Wołomina Beksińscy poznali przed dziesięcioma laty przez dalekich krewnych. Krzysztof K. był „złotą rączką”, podejmował się każdej pracy związanej z remontem, do tego oprawiał obrazy, co w latach dziewięćdziesiątych sprawiało malarzom pewne trudności. K. uchodzili za głęboko wierzącą rodzinę. Ich najstarszy syn Robert K. każdej niedzieli służył do mszy jako ministrant.

Jeszcze jesienią 2003 roku państwo K. jeździli starym polonezem caro (vide list), którego Bexa żartobliwie nazywał „lamborghini”. Wkrótce potem K. pożyczili od Beksińskiego pieniądze na nowego renault megane (pożyczili nie wiadomo ile, bo każde źródło mówi co innego, a państwo K. podają najniższą z kwot, czyli trzydzieści osiem tysięcy złotych). Pan Krzysztof K. miał dług odpracować, remontując, jego żona – sprząając, a dzieci – najstarszy syn albo jedna z dwóch młodszych córek – pomagały w tym matce.

*

21 lutego 2005 roku ich syn, Robert K., uczeń drugiej klasy Liceum Ekonomicznego w Wołominie przyjechał pod dom Beksińskiego tymże właśnie samochodem renault megane. Było kilkanaście minut po 21.00. Pierwszą przeszkodę – domofon przy wejściu na klatkę schodową – pokonał łatwo, mówiąc Beksińskiemu jedno słowo: nazwisko K., ale bez imienia. Młodszy, szesnastoletni kuzyn pozostał pod klatką na czatach, widzieli go tam zresztą sąsiedzi.

Morderca Robert K., który nie omieszkiał wziąć z domu noża, wjechał na trzecie piętro. Miał powiedzieć Beksińskiemu, widzącemu go na monitorze, że ojciec już idzie, jest tuż za nim. Dopiero gdy malarz wpuścił go do środka, przyznał się do prawdziwego powodu wizyty: „Przyszedłem pożyczyć trochę pieniędzy. Jakies dwieście, trzysta złotych”. „Z czego oddasz, przecież nie zarabiasz?”, spytał Beksiński. „Nie pożyczę ci żadnych pieniędzy”. „Tylko niech pan nie mówi ojcu”. „Nie będziesz mi mówił, co mam robić”, powiedział Beksiński i wycisnął numer komórki jego ojca, telefon trzymał w ręku. Ten nie odebrał, bo był w łazience, nie słyszał telefonu.

Prowadzącej śledztwo prokurator Renacie Zielińskiej, w trzeciej dobie od popełnienia zbrodni, Robert K. nawet nie umiał powiedzieć, na co chciał przeznaczyć „pożyczone” pieniądze. Wymienił jakieś zwykłe potrzeby przeciętnego nastolatka: dyskoteka, kole-dzy, piwo. Tę wersję wydarzeń znamy z zeznań Roberta K. i innej już nie poznamy, o ile on sam nie zmieni zeznań. Jego ojciec w mieszkaniu ofiary zamontował sejf. Trudno uwierzyć, aby syn –

złodziej i zabójca, nie wiedział o jego istnieniu. I nie marzył o jego poruszającej wyobraźnię zawartości.

Gdy po kilku minutach Krzysztof K., ojciec mordercy, oddzwonił do Beksińskiego, ten najprawdopodobniej konał, a jego syn – morderca szukał łupów, po które przyszedł. Musiał spanikować, gdy w całym mieszkaniu rozdzwoniły się zamontowane w każdym pokoju telefony stacjonarne, komórka, automatyczna sekretarka i usłyszał głos ojca: „Panie Zdzisławie, co się z panem dzieje?”. W chwilę potem Robert K. odebrał telefon na swoją komórkę od ojca: „Wracaj, muszę mieć samochód, żeby pojechać do pana Zdzisława, coś mu się stało”. Niestety, na jakąkolwiek pomoc było za późno. Wiadomo tylko, że Beksiński się bronił, że próbował obrócić ostrze noża w kierunku napastnika. Ten, choć niewysoki, niestety miał więcej siły niż siedemdziesięciosześcioletek. Nie na darmo ćwiczył w domu. Jak powiedział mi jeden z policjantów biorących udział w dowiedzeniu rodziny K. na przesłuchanie w komendzie w drugiej dobie trwania śledztwa, w kilku pokojach domu w Wołominie zauważył urządzenia do ćwiczeń typu „atlas”. Książek nie zauważył.

*

Śmierć znajomą miała twarz. Beksiński znał Roberta K., gdy jego przyszły zabójca był dziewięcioletnim dzieckiem. Jeździli do Wołomina z obrazami do oprawy, zawsze z prezentami, słodyczami dla dzieci, o czym pamiętała Zofia Beksińska. W dziesięć lat później monitory nad drzwiami, dobre drzwi, dobre zamki, łańcuch okazały się zbędne. Bexa wpuścił do domu pierwotnego rodziny K., dla której był kurą znoszącą złote jaja.

„Ach, gdybym miał takiego drugiego klienta, nie martwiłbym się o przyszłość”, wyznał Krzysztof K. szczerze, wspominając malarza w chwili, gdy jeszcze nie wiedział, że źle wychował syna. Nic dziwnego. Przez ostatnie blisko dwa lata rodzina K. ciągnęła od Bexy aż miło, biorąc o wiele wyższe stawki za swoje usługi, za pomoc w remontowaniu mieszkania, za sprzątanie, z czego ten ostatni zresztą świetnie zdawał sobie sprawę (vide listy). Przez syna – mordercę rodzice stracili cennego pracodawcę, ale każdy medal ma dwie strony – przynajmniej nie muszą odpracować reszty długu. Chyba żeby upomniało się Muzeum Historyczne w Sanoku, które „ja, Zdzisław Beksiński, syn Stanisława i Stanisławy z domu Dworska, będąc w pełni władz umysłowych, czynię jedynym spadkobiercą”.

Nasza codzienna wymiana listów była pewnie o wiele ważniejsza dla mnie niż dla Bexy. On przecież przyzwyczał się do tego, że wielu ludzi wiele od niego chce. Jego czasu, jego pieniędzy, towarzystwa, jego wolności, talentu (vide e-maile). Strasznie mi żal tych kilkunastu lat, które Mu zabrano. Namalowałby jeszcze wiele wizjonerskich obrazów. Pomógłby wielu ludziom, wsparł potrzebujących: „bo mnie żal tych, którym się nie udało”.

Był artystą z krwi i kości, nie stał w miejscu. Rozwijał się, ewoluował. Zmieniały się motywy, zmieniała się kolorystyka obrazów. Kolory używane w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, które przed laty prof. Jacek Woźniakowski określił jako „chemiczne”, ocieplały się, zaczęły połyskiwać, emanować ciepłem (na pewno Bexa by się z tą tezą zgodził, nie na darmo mówił przecież, że z powodu nadmiaru kobiecych hormonów jest w dużej mierze rodzaju żeńskiego).

Mimo znajomych i kilku przyjaciół, często z młodości, w gruncie rzeczy był potwornie samotnym człowiekiem. Po stracie najbliższych skazany był na przypadkowe, okazjonalne znajomości i ludzi, których usług potrzebował: masażystę, fizykoterapeutkę, fotografa, dziennikarzy piszących o sztuce. Niektórzy z nich z czasem stawali się Jego przyjaciółmi, bo jak kogoś polubił, to polubił. Prawy i prawdomówny, szczery i szczodry, prostolinijny, choć skomplikowany. Zero-jedynkowy, a więc najprostszy z prostych, a jednocześnie ekscentryk i oryginał. Napisałam, że był eremitą, odludkiem, samotnikiem, a to g... prawda. Kiedy był, to był. Niby był, ale nie był. Bo lubił kontakt z ludźmi, dającymi się lubić; gadał z nimi godzinami „na żywo” i przez telefon, dociekał kwestii, które go „zwilżały” (autorski zwrot!). Nie tolerował tylko prostaków i prościuchów, snobów i fałszywców, naciągaczy i wydrwigroszy. niesamowite jednak, że im też pomagał, jeśli tylko czuł, że mają życiowy problem i że jak nie on, to nikt: „bo mnie żal tych, którym się nie udało”.

Niestety, w sprawach artystycznych popełnił wszystkie możliwe błędy: trzymał się z dala od poklasków tłumu, wernisaży, wystaw, promocji, lansowania, całego blachtru tego świata... Nie pchał się na afisz, nie zabiegał. Dlatego w czasach PRL, autopromocji i autolansowania, znali i cenili go tylko ci, jedynie ci, wyłącznie ci, których naprawdę interesowała Sztuka. Ilu jest takich dzisiaj?

Za taką postawę się płaci. Wysoką cenę.

To nieprawda, że nie ma ludzi niezastąpionych. Są nimi wielcy artyści. I bez względu na to, co mówią niektórzy krytycy, albo „koledzy-malarze”, Bexa wielkim artystą był. Howgh. (Skończyłam tak, jak On kończył niektóre swoje maile, gdy uprawiał, jak mówił ironicznie, „Kazanie na Górze”. Boże, jak mi Go brakuje. I Jego błyskotliwej ironii.)

Liliana Śnieg-Czaplewska

Wszystko, co powyżej napisałam, to tylko próba odpowiedzi na pytanie, dlaczego ujawniam część naszej prywatnej korespondencji. Bardziej Jego niż mojej.

Bo Bexa był tego wart.

Bo takich ludzi już dziś nie ma. Albo jest naprawdę niewielu, bo jak On, trzymają się na uboczu, trudnym do odkrycia.

Bo warto go poznać takim, jakim był.

Bo, przy okazji jego śmierci („okazja” – Chryste, co to za słowo?), wypowiedziano tyle podłych nieprawdziwości, które koniecznie trzeba zweryfikować.

Dlatego.

Bo jestem mu to winna, a z Jego listów bije prawda, jakim był człowiekiem. Tylko tyle i aż tyle.

From: <lilianasc@poczta.onet.pl>
To: <bex@acn.waw.pl>
Sent: Thursday, May 15, 2003 2:32 AM
Subject: Nareszcie!

Nawet nie umiem się cieszyć, że „nasz” wywiad się w końcu ukazał. Jestem szczęśliwa, że dane mi było Pana poznać, zagościć na sekundę w Pana życiu, bo uważam Pana za jednego z najlepszych ludzi, jakich kiedykolwiek poznałam (choć może w życiu praktycznym nazbyt tolerancyjnego, co szokuje tym bardziej, zważywszy na to, gdzie żyjemy). Życzę Panu mnóstwo zdrowia i zero kłopotów z prostatą.

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: Nareszcie!
Date: 05/15/2003

Droga Pani Liliano

Mój adres: Zdzisław Beksiński ul. Sonaty 6/314 02-744 Warszawa. Dzięki za wiadomość, że wywiad się w końcu ukazał.

Dzięki też za życzenia gastronomiczne, ale pomidorów nie jem, gdyż zdrowa żywność wyraźnie mi szkodzi. Jehowa – jak widać – przebiegunował końcówki mojego homeostatu tak, że nawet pościel antyalergiczna, którą lekkomyślnie nabyłem w ubiegłym roku, wywołała u mnie natychmiastową alergię z wysypką na całym ciele, mimo iż nigdy poprzednio nie miałem z tym problemu. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <lilianasc@poczta.onet.pl>
To: <bex@acn.waw.pl>
Sent: Wednesday, May 28, 2003 1:10 AM
Subject: PPP - Trzy P, czyli przedruk, czyli pretekst, czyli powód
„Nasz” wywiad przedrukowali w tygodniku „Angora”. Nabyłam i stwierdziłam, że dali inne zdjęcia. A teraz do rzeczy, czyli do „powodu”. Czy chciałby Pan, czy by się zgodził, czy mógłby... czy nie wyklucza Pan pomysłu, aby z kilku kolejnych

rozmów zrobić książkę o Panu? Pana świat, Pana sposób rozumowania, Pana doświadczenie życiowe fascynuje mnie, zachwyca, niepokoi, a nawet trochę przeraża, tak jak człowieka bez zmysłu orientacji przeraża las, a wszystko, co Pana dotyczy, jest tak totalnie inne, pod każdym względem inne od mojego. Czy nie byłby to dobry pomysł? Jak go Pan ocenia?

Liliana SC

PS Tej nocy trzymam ZA SIEBIE kciuki. Jak znam Pana życiowe uporządkowanie, z rana przeczyta Pan ten mail. Na odpowiedź mogę poczekać znacznie, znacznie dłużej. Obgryzając paznokcie, bo chodzi o jedno z wielkich pragnień mego życia.

From: <bex@acn.waw.pl>

To: <lilianasc@poczta.onet.pl>

Subject: Re: PPP - Trzy P, czyli przedruk, czyli pretekst, czyli powód

Date: 05/28/2003

Pani Liliano

Mój Boże: Jedna bardzo czcigodna dama, której otworzyłem wczoraj drzwi do windy, powiedziała mi w trakcie jazdy, że „w ANGORZE jest piękny artykuł o panu”, co zwałem na karb jej wieku, bo nie wiedziałem w ogóle, że takie pismo istnieje, a jeśli, to zapewne dotyczy robótek włóczkowych. Spytałem więc dziś w kiosku. Faktycznie: jest tam przedruk i zdjęcie z targów książki. Fotografie w VIVIE! jakoś nikomu się nie podobały, ale ci młodzieńcy, którzy je robili, byli całkowicie nieprześlakliwi na racjonalną argumentację. Gdy na pierwszym zdjęciu kazali mi trzymać hamburgera, jak do zdjęcia od pierwszej komunii (ostatecznie weszła do druku inna wersja), a na drugim ubrać okulary ochronne, zostawione u mnie przez pana, który przy użyciu elektronarzędzi odcinał u mnie zawiasy od stalowej futryny – nieśmiało usiłowałem uzmysłowić im, że oprócz jedzenia hamburgerów i przebierania się w cudze okulary ochronne – maluję od czasu do czasu w wolnych chwilach obrazy lub pracuję przy komputerze, ale ich kreatywność była nie do opanowania, a ja miałem tak koszmarnie lumbago, że marzyłem tylko, by już sobie poszli, więc zgadzałem się na wszystko. Prawdziwi artyści. Dobrze choć, że nie wymagali bym zawisł na nogach na własnym parapecie na wysokości 3. piętra, jak to przed wielu laty zrobił do zdjęcia Ives Klein. Poruszyła Pani temat, którego od paru lat unikam, jak diabeł święconej wody. Nie cierpię sprzedawać własnej prywatności – szczególnie że właściwie nie mam niczego do sprzedania. Moje życie postrzegam jako dosyć lub bardziej niż dosyć nudne, jeśli idzie o zewnętrzną, a więc możliwą do sprzedania jego stronę. Jak u klasycznego reprezentanta swego znaku zodiaku, funkcjonowałem raczej w świecie własnej wyobraźni. W końcu nie byłem ani dyplomatą, który obracał się wśród interesujących zdarzeń, ani podróżnikiem, który ma sporo do wspomnienia, choćby wspólny obiad z Mao Tse-tungiem i wspólną kochankę z Che Guevarą. Nawet żonę miałem tylko jedną. Całe moje życie to stanie przed sztalugami lub siedzenie przed stołem i praca, przy której słuchałem sobie muzyki. Mój

krewniak – było to jeszcze przed 30 laty – wyjechał na urlop w Bieszczady i wyśiadły mu baterijki w radyjku. Jak to wtedy było – w całej Polsce zabrakło baterijek. Przez dwa tygodnie nie będę wiedzieć, co się dzieje – wyznał mi z autentyczną rozpaczą. Usiłowałem go uspokoić, że od 15 lat nie wiem, co się dzieje i jakoś daję sobie z tym radę. Ostatnio – też on – nie chciał mi uwierzyć, że nie wiem, co to były traktaty w Maastricht i Schoengen, chociaż co drugi dzień słyszę te nazwy – mimo iż to on ode mnie pożycza przed pierwszym forszem, a nie ja od niego, więc, jak widać, daję sobie radę bez tej wiedzy. Mam średniowieczne podejście do świata, mimo posiadania telefonu komórkowego, karty Visa Classic i dostępu do internetu. Jak to tam było: człowiek, wygrzewając się w słońcu na progu swego domu, słyszy, jak psy szczekają w sąsiedniej wsi i NIC go to nie obchodzi. Co tam sięgać tak daleko: nie wiedziałem nawet, że wychodzi pismo AN-GORA. Co więcej: przed kilkoma laty, do końca 1999, nie miałem pojęcia, że istnieje pismo VIVA!. Gdy po śmierci syna ktoś do mnie zadzwonił w sprawie wywiadu, przekonany byłem, że to jeden z magazynów muzycznych, z którymi współpracowałem. Sugerowała to nazwa identyczna ze znanym programem z muzyką pop. Gdybym tak nie sądził, to odmówiłbym rozmowy. No, ale to na marginesie. Przed rokiem czy dwoma taki wywiad-rzekę chciała ze mną przeprowadzić jedna młoda dama, ale po dwóch rozmowach i fragmencie próbnego tekstu, wykręciłem się jakoś od tego. Pisała bardzo dobrze i nie o to szło, lecz o to, że w jej oczach i tekście zacząłem niebezpiecznie przypominać doktora Hannibala Lectera. Potem miała być książka, w której rozmawiać ze mną miał dyrektor Muzeum z Sanoka, gdzie jest moja stała galeria. To rozsądny facet i rozumie to, o co pyta, ale przestraszony poprzednim doświadczeniem, wykręciłem się pod jakimś pretekstem. Potem wydawca moich albumów wymyślił sobie, że dla jego wydawnictwa, rozmawiać ze mną ma pan Leszek Mazan. Nie znam człowieka, ale dałem odpór. Niezależnie od tego odmówiłem dwom innym wydawnictwom już na samym wstępie, nie widząc nawet, kto miałby rozmawiać. Wykręcałbym się nawet Polańskiemu i Wojtyłcie. Ja się do tego nie nadaję, a na dodatek nie chcę. Błagam o wyrozumiałość i nieobgryzanie paznokci. Nie jestem tego wart.

Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: to ci odmowa
Date: 07/26/2003

Ja też się jakoś dennie czuję, wszystko mnie boli, pojawiły się objawy quasi-kataru i cholernie się pocę, i chyba jest to wpływ pogody. Wczoraj, gdy pan Rosikoń fotografował moje obrazy, parokrotnie byłem na granicy zemdlenia, co raczej rzadko mi się obecnie zdarza, ale uczucie znam z dzieciństwa, gdy mdlałem wielokrotnie. Gdy robi się ciemno przed oczami, należy szybko spuścić głowę w dół i to pomaga. Rosikoń robił fotografie głównie trzech obrazów, które mają po oprawieniu zawisnąć w kawalerce, do której na razie mam zamiar sam się przenieść

i skąd rano, po śniadaniu, biorąc teczkę, kapelusz i parasol, lecieć będę 2 metry w bok „do pracy”. Zawiesznie tam między innymi ten niedoszły Arcybiskup, gdyż tą kawalerkę chcę udekorować czymś łagodniejszym kolorystycznie i tematycznie i dwa obrazy w tym celu ukrywałem od pół roku w schowku, a trzecim jest owa postać, ja zaś z ulgą wróciłem do tematyki bliższej sercu i namalowałem czernią i brązami zrujnowany wagon kolejowy, który kosztował mnie – mimo małego rozmiaru – kupę pracy. Teraz zacząłem obraz, na którym prawie nic nie będzie, gdyż 95% zajmie pusta przestrzeń. Fotografię „damy-biskupa” załączam.

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: Boska Biskupica
Date: 07/27/2003

Dziwnie Pani odbiera obrazy, ale przywykłem już do tego, że bywam czasami producentem rozszerzeń do testu Taylora. Dla mnie ten typ pozy – zainspirowany ruchem Nike z Samotraki – jest czymś, co nazywam „wieszakiem”. Wielokrotnie używałem i używam tego samego wieszaka, a tylko każdorazowo wieszam na nim nieco inną formę. Takich rozmaitych wieszaków mam zaledwie kilkanaście i cała zabawa w malowanie to wieszanie na nich innego problemu malarzskiego, który z racji tego, że zaczynałem jako abstrakcjonista i chyba nim w sposób ukryty zostałem, ma zawsze charakter formalno-abstrakcyjny. Krzyż, katedra, morze, obłoki, to tylko kilka innych wieszaków. U odbiorców – jeśli im wierzyć – wytwarzają się nieprzewidziane przez malarza emocje. Miałem w trakcie studiów taką znajomą, z którą chodziłem na koncerty w filharmonii – w trakcie muzyki zwykła szeptem komunikować o swoich doznaniach: owieczki na hali, chłopstwo w karczmie, góry we mgle, wschód słońca i tak dalej. Nie mam, poza dziecięcym bębnieniem w klawisze, żadnego doświadczenia w zakresie muzyki, a tylko spore osłuchanie, lecz czuję, że jeśli teraz jest BIMBAM, to za chwilę musi być BUMBIM, tylko nieco głośniejsze, co stanowi przygotowanie do RACHCIACHCIACH. Nie ma tam miejsca ani na owieczki, ani na wschód słońca. Tak samo widzę malarstwo. Jeżeli tu jest osiowo, to tam muszę to złamać, a akcent czerwony po lewej zrównoważyć akcentem zielonym po prawej u dołu. To, co potem na ten temat wysłuchuję i wyczytuję (najczęściej opinię: „same kości”), to już całkiem inny film, ale nie powiem: bywa czasami interesujący. Rosikonowi obraz chyba się podobał, ale ja nie nadaję się na towarzysza do modlitwy, więc ostatnio gadamy non stop i to czasami godzinami o cyfrowym sprzęcie fotograficznym. No, ale to też rodzaj modlitwy. W końcu niektóre bóstwa są niedostępne lub trudno dostępne, bo trzeba by zaryzykować w ciemno kota w worku za 40 000 dolarów, a dopiero po pół roku okazałoby się, że inne boskie koty były lepsze. Pięknie pozdrawiam i biorę się do pracy. Najsolidniej przez cały dzień pracuje mi się w niedzielę, bo nic i nikt mi nie przerywa i nie muszę przebierać się dla gości w coś mniej brudnego i postrzępionego (niepostrzępionego w ogóle nie mam).
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: Raju rety!
Date: 07/29/2003

Ależ to nie teoria, lecz najprawdziwsza prawda: Nie mam o niczym pojęcia. To wyłącznie debilizm salonowy (to termin psychiatryczny!), który bierze Pani za dobrą monetę. Tak było przed stu laty z Przybyszewskim: nieustannie cytował, ale podobno nikt nigdy nie widział go czytającego cokolwiek. Nawet nie wiem, kto to jest Hausner. Oczywiście znam austriackiego malarza o tym nazwisku, który umarł przed paru laty i był reprezentantem neomanieryzmu, do którego i ja bywałem czasami zaliczany, pamiętam także takie nazwisko z Sanoka i może nawet ze szkoły, ale z niczym już mi się nie kojarzy, co oczywiście nie świadczy o niczym poza moją niewiedzą, a już w żadnym wypadku z owym Hausnerem, na temat którego zbiera Pani informacje. Oczywiście w tej chwili już wiem, że to jakiś sympatycznie wyglądający pyzaty polityk i poseł, bo po przeczytaniu maila od Pani zajrzałem do internetu. NA TYM WYCZERPUJE SIĘ MOJA WIEDZA – PRZYSIĘGAM! Naprawdę nie czytam gazet i naprawdę nie oglądam wiadomości telewizyjnych, radiowych zaś używam wyłącznie w charakterze budzika o godzinie 7, nie wysilając się, by przyswoić cokolwiek z tego, co dobiega do moich uszu. Nie twierdzę, że jestem głupi, ale jestem kompletnie niedoinformowany na skutek braku zainteresowania tym, co się dzieje w świecie ludzi ubranych w garnitury. Zainteresowanie polityką od strony kibicowania uchodzi za standardowe zajęcie całej populacji, ale, jak widać, mam psychikę pustelnika. Ostatni raz oglądałem dziennik telewizyjny, EuroNews i CNN oraz czytałem „Gazetę Wyborczą” jeszcze za życia mej żony i robiłem to dla towarzystwa. Ona siadała przed telewizorem i czytała „Gazetę”, więc i ja to robiłem. Howgh, jak powiadają Apacze! Beksiński

From: <lilianasc@poczta.onet.pl>
To: <bex@acn.waw.pl>
Sent: Thursday, July 31, 2003 2:08 AM
Subject: okropny, dziwny dzień

Jakie uczucia towarzyszą Panu po skończeniu obrazu? Euforia, satysfakcja, a może smutek?

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: okropny, dziwny dzień
Date: 07/31/2003

Co czuję? Pani domniemania w tej kwestii być może sprawdziłyby się w wypadku kogoś w rodzaju van Gogha, który malował obraz przez godzinę czy dwie. Ja piluję rzecz czasami przez 3 tygodnie (czasami szybciej, ale nie szybciej niż przez tydzień – z reguły zależy to od ilości wydarzeń, jakie mi w tym przeszkadzają). Odczuwam, oczywiście, czasami uczucie zadowolenia, że coś mi się udało, ale

najczęściej zadowolenie to wynika z faktu, że mam to w końcu z głowy i mogę zabrać się za coś innego. Obrazów sprzedawać nie lubię i gdybym urodził się człowiekiem majątnym na tyle, by nie być zmuszonym do zarabiania na skromne życie, to na pewno nie sprzedawałbym ich w ogóle. Jestem facetem, który maluje dla siebie, i każdy obraz maluję dla siebie. Reakcja obrazu nie ma nic wspólnego z seksem, a jeśli, to raczej z upierdliwym i męczącym płodzeniem potomstwa, które jednak jest moim potomstwem i najchętniej zostawiłbym je sobie.

Na komórkę, znalazła mnie jakaś dziewczyna z TV4 i mękoiliła, bym wypowiedział się w sprawie Doroty Nieznalskiej. Już raz, przed 3 miesiącami, wypowiadałem się w POLSACIE w stylu, że chyba sędzia nie okaże się idiotą, ale sędzia okazał się idiotą, więc tym razem TV4 coś chciało. Wykręcałem się jak mogłem, bo coś jeszcze oryginalnego można w tej sprawie z siebie wydusić, ale przyszli o godzinie 14, miało to pójść w dzienniku o 21, ale nie poszło i dobrze. Potem facet z radia. W końcu prawie w ogóle nie miałem szans na malowanie. Dziś za chwilę przyjedzie pan Krzysztof „złota rączka” i przez cały dzień będziemy walczyć w kawalerce: on fizycznie, a ja psychicznie. Jutro w południe jacyś entuzjaści ze Szczecina. Dlatego malowanie obrazu trwa tak długo. Bola mnie dziś cholernie krzyże i nie dają już rady siedzieć przy komputerze, a muszę jeszcze poprawić co najmniej 300 aliteracji, które na skutek mojej dysleksji wprowadziłem w ten tekst. Pięknie pozdrawiam

Beksiński

PS: Moje ostatnie zdanie bez poprawek wygląda jak niżej (kopiuję): Bla.onmie dzis,, chonlenie krzyzze ini e Daje.... jux.. rdyia sieddi ec przy kmpouterye, a musze jesyczeece porpawicco najm,nieje 3)) aliteracx hloioe na s,kitek mokjej dyslekesji nwprowadzi9lem w ten teksdty. Wesolo, co? Pisanie to dla mnie, niestety, tortura.

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: Jutro Kraków
Date: 08/01/2003

A dlatego upierdliwe, że wcale nie kocham stać przy sztalugach na obolałych nogach, czy nawet siedzieć z bolącym kręgosłupem. Poczucie spełnienia jest takie same jak przy budowie willi z parkiem, basenem i kortem tenisowym w warunkach polskiego partactwa i nieterminowości. Chcę mieć obraz, podobnie jak ktoś chce mieć tę willę, i na końcu go mam: nie taki, jaki sobie wymarzyłem, lecz nieco „w bok”, wymęczony i czasami wręcz znienawidzony, przy czym pamiętając jak wyglądał zamysł, widzę na skutek przemęczenia (krzywa Kraepplina!) tylko niedoróbki, a nie osiągnięcia. Zmaltretowany jestem psychicznie do granic możliwości całą tą robotą i oczekiwaniem na efekt, sumą rozczarowań i kompromisów, które musiałem zawrzeć z własną nieumiejętnością i możliwościami materii: w basenie żaby i liście, na korcie słońce w oczy, dach w willi od razu przecieka, podłogi trzeba było zrobić dębowe, a nie bukowe, drzwi się zdeformowały

i nie chcą się domykać i tak dalej. Tak to wygląda. W opinii Pani powinienem unosić się na obłoku w uczuciu twórczej euforii. Kobięca egzaltacja!!! Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: Słownik dla Bidulki
Date: 08/03/2003

Jak ma boleć, to będzie boleć. Tylko prochy czasami pomagają. Wczoraj sforso-
wałem kręgosłup ostatecznie, bo od rana bolał jak cholera, a ja jeszcze przez pół
dnia jeździłem z panem Krzysztofem „złotą rączką”, jego lamborghiniem (stary,
przerdzewiały na wylot i rozsypujący się już polonez caro, który jest tak twardy
i hałaśliwy, iż jazda w nim przypomina jazdę w sportowym wozie na torze Mon-
za) po magazynach, poczynając od IKEA w Jankach aż po Office Depot na To-
warowej w celu zakupienia dyrdymałów potrzebnych do wyposażenia kawalerki
(na razie sam się tam przeniosę). Zwieźliśmy górę towaru, poczynając od toste-
ra po ścierki do podłogi, ale ja po tym wszystkim o godzinie 17 padłem: wypilem
litra PepsiMax, wlałem do wanny, zjadłem uproszczony obiad, popijając go pi-
wem (czego od lat nie robię – alkohol mi szkodzi), wałęsałem na tapczan i spa-
łem przez dwie godziny.

Co do Pendereckiego, to nie jestem znawcą jego twórczości. Też najbardziej lubię
jego wczesne utwory, takie jak polimorfia, a nie przepadam za licznymi kompozy-
cjami o tematyce religijno-mitologicznej, ale ten problem dotyczy nie tylko Pende-
reckiego, bo podobnie jest np. z Arvo Pärtem. Najsilniej ugrzęźli w tej pomnikowej
religijności twórcy byłego bloku komunistycznego. Natomiast posługiwanie się wła-
snymi chwytami, powtarzanie się, korzystanie z tych samych struktur etc., to już
kwestia kondicjo chómana i dotyczy wszystkich, i to niezależnie od dyscypliny, po-
czynając od Bacha, a kończąc na niżej podpisanym. Bez tego nie rozpoznalibyśmy
po paru taktach Wagnera czy Mahlera. To podstawowy dylemat: można być albo
sobą, albo też ciągle się zmieniać. Nie można być wiecznie-zmiennym bez utraty
osobowości. Trzeba w którymś momencie wybrać: albo kameleon, albo ja. Oczy-
wiście, można też owym „niezmiennym sobą” wszystkich śmiertelnie zanudzić.
Kondicjo chómana (da się tu zrobić więcej błędów? – byłbym oryginalny).

I jeszcze owa panienka. Ja też mogę tej panience przekazać słownik wyrazów ob-
cych, bo mam ten sam egzemplarz w internecie, ale to nie ja do niej dzwonię, lecz
ona do mnie. Cóż poradzę na to, że staram się być uczynny? Tak mnie wychowa-
no. I tak dobrze, że nie dzwoni i nie prosi o to, bym jej kupił w mieście i zawiózł
na Bródno jogurt owocowy i bakłażany, bo ma dużo roboty i nie ma czasu na za-
kupy. Pewnie bym to (przeklinając w duchu) zrobił. Czy mam wszystkich wystrze-
lać? Już 37. ofiara terrorysty na wieży kościoła przy placu Zbawiciela. Nikt nie jest
bezpieczny. Rząd zebrał się w trybie nadzwyczajnym. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: kądycio chómana
Date: 08/04/2003

Znajoma pani, która jako młody krytyk muzyczny organizowała jakiś program telewizyjny przed pół rokiem (chyba w Krakowie), powiedziała mi, że jakaś dama, która miała podać nazwisko dowolnego kompozytora polskiego, powiedziała po zastanowieniu: Penderewski. Ładnie.

Co do walizek – to jest to chyba domena kobiet. Dawnymi, bardzo dawnymi czasami jeździłem czasami po Polsce i mieszałem nawet (jako kontrowersyjny fotograf) wieczory autorskie. Gdy walizkę zapakowała moja żona, a ja musiałem ją w hotelu rozpakować i potem powtórnie spakować, to w dwóch walizkach nie mogłem pomieścić tego, co ona pomieściła w jednej. Drugą z reguły musiałem pożyczać. Ćwiczenie z zakresu nasuwającego porównanie z matematycznym paradoksem Banacha. Z Penderewskiego po rozpakowaniu robi się Penderecki i Paderewski i za cholerę nie mieszczą się w jednej walizce. Tak więc ja osobiście popieram podział ról w małżeństwie. Nie każdy umie wszystko. Gratuluję „kądycio chómana”, ale można to jeszcze napisać po francusku lub po angielsku, tak jak robią czołowi twórcy blogów, które czasami wyglądają jak pisane na Enigmie.
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: wernisaż
Date: 08/05/2003

Ja po prostu nie rozumiem z tej afery NIC. Oczywiście, nie jestem na świecie ani w jednej setnej tak znany jak Penderecki, ale zrobiłbym wszystko, co w mej mocy, by nie obchodzono mego 70-lecia i by Naród nie nosił mnie na rękach, gdyby oczywiście coś takiego mi groziło. Różnice psychiki. Wyobrażam sobie mój potworny stres, gdybym był pisarzem i gdybym dostał Nobla. Chyba bym od razu padł. Nie przewiduję wernisażu. Nie cierpię wernisaży. Moje wystawy w Polsce robi Muzeum w Sanoku w oparciu o moje stałe pełnomocnictwo. Ja – na szczęście – nie mam tu nic do gadania. Obecnie chyba jest w Kołobrzegu, a potem będzie w Poznaniu, gdzie chcą mi zorganizować videokonferencję i w tym celu zainstalować mi w mieszkaniu jakiś sprzęt, na co – przy moim braku asertywności – lekkomyślnie wyraziłem zgodę.
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: Wyczółkowski
Date: 08/07/2003

Dziękuję za komplement, ale to głaskanie kota pod włos. Nigdy nie chciałem być uroczy. Chciałem (wtedy gdy jeszcze mogłem chcieć) być kimś takim jak Schwa-

rozenegger: facetem o stalowym spojrzeniu i takim samym uderzeniu pięścią. Niestety, nigdy, nawet we śnie, nie spełniły się moje marzenia o sobie. Gdy niedawno się zastanowiłem nad marzeniami swego dzieciństwa, to wyszło na to, że imponowali mi faceci w stylu filmowej wersji SS-mana. Filmowej w sensie filmu fabularnego, bo gdy obejrzałem „Tryumf woli” Leni Riefenstahl, a szczególnie fragment porannej toalety skoszarowanych w namiotach oddziałów SS, to zamiast rosyjskich i dobrze umięśnionych blondynów o urodzie nordyckiej, do jakich przyzwyczaiło nas kino, ujrzałem bandę niskich chuderlawych i nieco krzywych przedstawicieli klasy robotniczej w podkoszulkach. Tak więc kino kłamie i marzenia kłamią, a rzeczywistość zapewne jest tylko naszym skłamanym wyobrażeniem.

Wszyscy wsiedli teraz na biednych Pendereckich – niech Pani napisze o nich coś miłego: to też zapewne uroczy ludzie.

Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: Szwejk w Sanoku
Date: 08/09/2003

Wiem, że jest w Sanoku pomnik Szwejka. O ile jest on najładniejszy w Polsce, to naprawdę inspirujące musiałyby być obejrzenie brzydszych od niego. U mnie w mieszkaniu (a może pokazywałem to?) wisi w przedpokoju stare i odrapane lustro. Jest to na 100% lustro z sanockiego burdelu, z którego Szwejk wraz z jednorocznym ochotnikiem Markiem wyciągali oberleutnanta Duba. Na podstawie kilku elementów (naprzeciw gimnazjum, drewniane schody etc.) ustaliłem, że dom ten należał do mego dziadka, a potem ojca, a na końcu przez pewien czas do mnie i na piętrze przed wojną było tzw. Kasyno oficerskie. Tam więc musiał być (w latach 1. wojny) ten burdel i stamtąd pochodzi lustro. Za czasów Gierka udzielałem nawet wywiadu do radia i na zapytanie, czym zajmowała się moja rodzina, odpowiedziałem, że mieliśmy duży burdel w Sanoku, co jednak realizatorzy wycięli. Czy Pani wie, że najpiękniej i zupełnie nieświadomie, został opisany Sanok i moje dzieciństwo w filmie „Amarcord” Felliniego. Prawie każdy szczegół się zgadza. Każda z postaci ma swój sanocki odpowiednik. Porusza mnie ten film zawsze do łez. Ale to nawiasem.

Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: upał w dłużuuugi weekend
Date: 08/12/2003

Naprawdę lubię upał. Szczególnie w śródmieściu i na gorącym chodniku lub w ciemnym samochodzie (okna obowiązkowo muszą być otwarte, by był wiatr). Oczywiście lubię upał w pewnych granicach. Gdy temperatura przekracza granicę około 36 stopni w cieniu (tak było w roku 1994), zaczynam odczuwać pewien

dyskomfort. U mnie przy sztalugach (zachód) jest inspekt i temperatura dochodzi w lecie do 40 stopni. Obniżam ją do około 26–27 stopni, która to temperatura jest moją temperaturą ulubioną. Nawet w zimie mam, dzięki nowym oknom, taką temperaturę i pracuję w szortach i koszuli bez rękawów, a jak jest o dwa stopnie chłodniej i zaczynam telepać się z zimna (25 stopni: rany boskie, SYBERIA!!!), to dogrzewam dwoma kaloryferami olejowymi. To do pracy. Do spania lubię zimno i nawet w styczniu kaloryfer w sypialni jest wyłączony, a okno na oścież otwarte. Bywało, że miałem szron pod nosem.

Zainteresowała mnie opinia Dmochowskiego na temat moich układów z mamą. Nie znam tej opinii, więc byłbym ciekawy, co wymyślił. Generalnie za mamą nie przepadałem i teraz mam z tego powodu wyrzuty. W „dłuuuugi” weekend nie będę robić niczego innego niż normalnie. Od stu już lat żyję sobie niezależnie od rytmu, jakim porusza się Kraj. Jeśli chcę o czymś takim wiedzieć, to po to, by kupić chleb na zapas i nie wybrać się z głupia frant do zamkniętego sklepu w mieście po pędzle lub pamięci cyfrowe.

Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>

To: <lilianasc@poczta.onet.pl>

Subject: Re: mniej wysiłkowe metody

Date: 08/13/2003

Dmochowskiemu mówiłem wielokrotnie, że nie lubiłem matki i wcale nie szło o ten okres, w którym była chora, lecz po prostu swym zachowaniem i poglądami działała mi przez lata na nerwy i na pewno byłem czasami dla niej niezbyt miły. Byłem na pewno przykry. Oczywiście nie zawsze, ale zdarzało się. Na dodatek ta moja niechęć do obejmowania, całowania etc. Podnoszenie głosu nie jest moim zwyczajem. Nie o to szło. Trudno to jednoznacznie ująć w sformułowania. Matka była tworem telewizji i gazet z ery komunizmu. W Polsce Gierka działało się według niej coraz lepiej: kraj rósł w siłę, a ludziom żyło się dostatniej – już choćby tylko to stanowiło nieustanne podłoże konfliktów i moich złośliwości. I tak dalej. Nie miałem od stu lat kaca, bo gdy tylko mogłem to uczynić, przestałem używać alkoholu i nie piję nawet piwa. Musiałem alkohol „służbowo” pić, pracując w wykonawstwie budowlanym. W piciu nie pociąga mnie ani jeden etap: smak niedobry, uczucie upojenia okropne – traci się pewność ruchową, stan bólu głowy na drugi dzień koszmarny. Po jaką więc cholere miałbym pić? Nawet najmniejsza ilość alkoholu (małe piwo) wywołuje u mnie ból głowy, obecnie już nie tak silny i nieustępliwy jak w młodości, ale jednak nadal przykry. Obecnie głowa boli mnie właściwie codziennie (chyba w efekcie środków na obniżanie ciśnienia, które zaordynowane w Aninie, od ponad 10 lat uczyniły ze mnie półczłowieka) ale boli słabo tak, że ładuję się Panadolem, aby głowę mieć z głowy i móc zabrać się do pracy. W ogóle odżywiania nigdy nie potrafiłem uznać za czynność towarzyską, lecz wyłącznie fizjologiczną. Ileż wybiegów i kłamstw muszę zastosować, gdy ktoś usiłuje spotkać się ze mną w kawiarni lub restauracji lub (hor-

ror!) zaprosić na kolację lub obiad. Lubię gadać, ale nie kojarzy mi się to z jedzeniem i jedzenie przeszkadza w gadaniu, a gadanie w jedzeniu. Picie w Polsce jest prawie z reguły czynnością towarzyską, więc na skutek unikania biesiadowania w towarzystwie, udaje mi się skutecznie unikać także alkoholu. Tylko mój szwagier uważa mnie za ukrywającego się alkoholika, bo raz będąc u niego na imieninach na daczach przed 20 laty, okazałem się jedynym gościem, którego dowiozła samochodem żona – inni prowadzili sami z wyjątkiem jego syna, którego żona też umiała prowadzić. Tak więc tylko i wyłącznie w tym celu, by szwagrowi nie sprawić przykrości, wypilem z jego synem do spółki, ale głównie ja, olbrzymią butlę paskudztwa o nazwie Smirnoff i potem przywieziony przez moją żonę do domu omal w nocy nie umarłem – nie miałem pojęcia, gdzie leży granica i że nie jestem już dwudziestoparolatkiem, pracującym w budownictwie, który musiał codziennie pić czystą lub spirytus z zakrętek do kaloryferów, zatykając od dołu otwór palcem. Od tej pory szwagier sądzi, że wtedy odsłoniłem niechcący swoje prawdziwe oblicze. Ja jednak nie piję i to od lat już nic, a piwo w lodówce mam dla znajomych, którzy czasami o nie proszą.

Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: cud nad Wisłą
Date: 08/15/2003

Kontakt z zwierzętami NIE LUBIĘ. Nic nie mam przeciw zwierzętom, ale najbardziej odpowiadają mi na fotografii. Podobnie nie lubię dzieci. Tyle że dzieci nie lubię nawet na fotografii. Bierze się to chyba z mojej niechęci do kontaktu fizycznego. Zarówno z dziećmi, jak i ze zwierzętami pozostaje wyłącznie możliwość kontaktu fizycznego i wykluczony jest kontakt intelektualny, i ja mam chyba na tym obszarze jakiś ubytek w mózgu. To, że na fotografii wolę zwierzęta od dzieci, wynika już chyba z ogólnej ohydy naszej somy. Już to jesteśmy chyba najpaskudniejszą małą ze wszystkich, jakie zmajstrował Jehowa. Łyse, porośnięte to tu, to tam kępkami rzadkiej sierści cielska. Małe dzieci są szczególnie odrażające. Fuj.

À propos muzyki: Rozmawiałem wczoraj przez ponad godzinę telefonicznie z dawną koleżanką Tomka, która jest krytykiem muzycznym (jej mąż jest adiunktem Akademii Muzycznej w Krakowie). Zapytałem, co sądzi o aferze Penderecy kontra Kraków i uzyskałem całkiem inną opinię niż ta, jaką powziąłem w oparciu choćby o artykuł w „Przekroju”. Podobno dzięki Pendereckim Kraków miał kontakt z solistami i orkiestrami najwybitniejszymi na świecie, które przyjeżdżały na skutek układów towarzyskich. Ona nie jest entuzjastką obecnej twórczości Pendereckiego, ale jej opinia była zdecydowanie przeciw miastu, które po prostu straci prestiżowo. Piszę to w dużym skrócie ze względu na moją dysleksję i bolące krzyże. Za przykład standardu myślenia o tych sprawach w Krakowie przytoczyła rozmowę z taksówkarzem „dlaczego taki Penderecki ma zarabiać lepiej

niż ja". Podobno ten sposób myślenia (wyrażany oczywiście oględniej) dominuje i na wyższych szczeblach lub, jak kto woli, poziomach.

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: polskie filmy
Date: 08/16/2003

Ja w ogóle słabo znam kino. Kiedyś było inaczej, ale potem, gdy zrezygnowałem z nadziei, że zostanę reżyserem, przestałem się nim interesować. Konratiuka chyba poznałem raz u Wańka, ale nie jestem tego pewien. Pamiętam doskonale jeden film, który kojarzy mi się z jego nazwiskiem, ale nie wiem, czy właściwie. Film ten oglądałem kilka razy, bo mnie urzekł, ale za cholerę nie pamiętam tytułu. Jacys dwaj menele chcą przelecieć się LOT-em i realizują swój pomysł. To jak Kondratiuk (wg Pani opisu) mieszka jest dla mnie PRZERAŻAJĄCE, podobnie jak zapewne byłoby dla niego moje mieszkanie. Gdy ostatnio Dmochowski zobaczył moją kawalerkę in aufbau, prychnął, że wygląda na mieszkanie technika budowlanego, a nie mieszkanie artysty. No cóż: w Sanoku miałem pracownię bardziej w stylu „artysty”, chociaż także nie kolekcjonowałem antyków, ale przynajmniej była zagracona. Mam, jak widać, upodobania technika budowlanego. W końcu z wykształcenia jestem czymś podobnym. Najlepiej określił to jeden z reżyserów telewizyjnych: „architektura łodzi podwodnej”. Może dodałbym, że jeszcze lepszym określeniem byłoby architektura kabiny kosmicznej. Np. problem nierozwiązywalny: nawilżanie powietrza w zimie, gdy z powodu kaloryferów wilgotność spada do 11% i dostaję swędzącej wysypki od zbyt suchego powietrza. Eksperymenty z elektronicznym precyzyjnym higrometrem i ultradźwiękowym nawilżaczem, udowodniły, że w celu uzyskania wilgotności 40%, muszę wpompować w moje mieszkanie 14 litrów wody na dobę. Gdy to uczyniłem, to po trzech dniach moja żona dostała zapalenia spojówek, a w całym mieszkaniu osiadł „szron” (dokładnie tak to wyglądało) złożony z minerałów, które wytrąciły się z ponad 40 litrów kranowy zmiękczonej specjalnym proszkiem zmiękcżającym. Potrzebne więc było 14 litrów wody destylowanej na dobę, której nie było jak i skąd w tych ilościach ściągać, co spowodowało, że zrezygnowaliśmy z nawilżania. Gdy założyłem klimatyzację, przekonałem się, że pobiera ona z atmosfery i wypluwa na zewnątrz około 20 litrów wody destylowanej na dobę. Natychmiast przyszedł mi do głowy pomysł z kabiny kosmicznej. Kupuję mieszkanie pod mną, ustawiam tam gigantyczne zbiorniki na wodę z klimatyzacji, którą w zimie pobiera urządzenie do nawilżania. Tak jak ferma lisio-kurza. Lisy karmimy kurami, kury karmimy lisami, a futerka i jajka zabieramy sami. Moja idea: zrobić wszystko tak, by napędzało się samo, a ja leżałbym do góry brzuchem. Jak wiadomo, idea perpetuum mobile i grafomania zawsze szły w parze, a ja uważam się za grafomana (piktomana) i jestem z tego dumny. Niestety, przez całe życie wygląda to na wyjście zająca z żółwiem.

Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: remont życia
Date: 09/17/2003

Prowadzi Pani światowe życie: afrykańskie podłogi, śniadanie z Wałęsą, wyjazd z Kwaśniewskimi. No cóż: ja czuję się tak, jak czułem. Świat, w którym żyję, nie pędzi do przodu, lecz stoi w miejscu jak woda w zamglonym bagnie. Zresztą bynajmniej nie narzekam. Tak sobie wybrałem i taki jestem. Dziś nad ranem przyszło mi do głowy, iż błędem w moim życiorysie było to, że się urodziłem. Do każdej rzeczy mam stosunek ambiwalentny, ale i podbudowany lękiem. Świat to cukierki, w których załęgły się robaki. Pociąga, ale i napęlnia odrazą. Proszę tego jednak nie traktować dosłownie! To bardzo kulawa metafora i nie ma w niej za grosz moralizowania.

Ale tak na co dzień, to bolą krzyże, boli głowa. Dziś rano bolały jeszcze plecy, więc napchałem się Panadolu, coś tam maluję, zasiedliłem już sam sobą kawalerkę i teraz jestem na etapie załatwiania ze spółdzielnią zezwolenia na budowę korytarzyka łączącego oba mieszkania. Stosowni ludzie ze spółdzielni, straży pożarnej i architektury przyjęli już korzyść majątkową i teraz pchają moją sprawę do przodu. Znajoma pani powiedziała, że powinienem po kolei wykupić cały ten ogromny blok, a mnie zaraz przyszło do głowy, by połączyć go labiryntem korytarzy. W końcu gdzieś umieram i leżę jak faraon w piramidzie, a nikt nie umie odnaleźć moich zwłok, gubiąc się w nieskończonym labiryncie...

Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: Mużyn z bliska
Date: 09/19/2003

Co do mieszkania obok, to generalnie nie cierpię na nadmiar przestrzeni życiowej, a żona zawsze narzekała, że mieszkamy w fabryce i już za jej życia robiliśmy starania o odkupienie jakiegoś mieszkania na styk z naszym, przebicia drzwi etc., ale nikt nie chciał nam odsprzedać. Przed rokiem udało się zamienić dwupokojowe mieszkanie syna po remoncie na zrujnowaną kawalerkę obok, dopłacając jeszcze 25 000 zł (ja z reguły robię takie świetne interesy). Początkowo myślałem o pomieszczeniu tam w niesprecyzowanej przyszłości kogoś, kto zajmie się mną, gdy do reszty zgrzybieję, ale nagle z lewej i prawej zaczęły sypać się oferty nie do odrzucenia. A to czyjś syn idzie na prawo i szuka stancji, a to dalsza rodzina przeprowadziłaby się tam na jakiś czas w poszukiwaniu zaczerpienia w Stolicy, a to panienska, która wpadła na pomysł, by się mną na starość opiekować (to nią trzeba by się było opiekować, ułatwiając jej co miesiąc dociągnięcie do pierwszego i chroniąc przed prozą życia – spróchniała lipa, ale jednak osłania od deszczu), po mojej odpowiedzi odmownej, zaserwowała mi koleżankę ze studiów, która jest rzekomo „bardzo ładna” i szuka mieszkania, i obejmie

nade mną opiekę – spieprzaj, babo, gdzie raki zimują. Kto tylko przyjeżdża na dwa dni do Warszawy, jak w dym do mnie, bo ja mam gdzie nocować ludzi; ostatnio nocowałem u siebie (spałem już w kawalerce) małżeństwo rówieśników ze Szwecji (kuzynka wyszła za Szweda), zaraz po nich kuzyna. Jednym słowem, prowadzę hotel. Zajmując samemu oddzielne mieszkanie, nie przeżywam stresów związanych ze wspólną łazienką i WC oraz tym, że ktoś śpi w drugim pokoju, a dla mnie od ZAWSZE była to sytuacja maksymalnie stresująca. Początkowo planowałem, by to właśnie gości umieszczać w kawalerce, ale właściwie mam tam większy tapczan, więcej miejsca, o wiele większą wannę etc., więc dlaczego mam sam się tam nie przenieść. Gdy nadejdzie era opiekunki – bo na razie daję sobie jakoś radę sam, a nawet czasami potrafię w trakcie obiadu nie oblać się jedzeniem, trafiaam (pewnie Pani nie uwierzył!) widelcem do ust, a nie w oko i pamiętam jeszcze, by spuścić spodnie, korzystając z WC, a także (o dziwo!) pamiętam jeszcze, jak się nazywam i gdzie mieszkam – to wtedy mam już miejsce, by ulokować osobę do stałej opieki. Póki co, cieszę się, że mam swój azyl w sytuacji, gdy kogoś muszę przenocować. Pięknie się kłaniam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: malowanie
Date: 09/20/2003

Tak to jest, gdy ktoś chce mieć eleganckie mieszkanie. Przypomniałem sobie (gdy mnie coś wkurzy, to jestem pamiętliwy, że hej!) scenę sprzed trzech lat, gdy przyszła Pani do mnie na wywiad dla VIVY! i popatrzywszy na truskaweczkowe obicia mebli, powiedziała: „jakoś Pana widziałam raczej w szarościach”, a tymczasem obicia do krzeseł wybierał dla mnie pan Irek, kierowca Grześka Gajewskiego, gdy ten jeszcze był dyrektorem POLONII, a to dlatego on wybierał, bo jego żona była kierowniczką jakiegoś pawilonu meblowego na Woli, a moje życzenie sformułowane w słowach brzmiało: „panie Irku, aby tylko nie było w kwiaty lub żyrafy – niechby było raczej amorficzne”. Pan Irek zrozumiał słowo „amorficzne” tak, jak rozumiał, a ja zaakceptowałem truskaweczki, bo już było po fakcie. No, ale ja nie obracam się w Świecie, więc nie muszę mieć ścian z „minionej epoki”, ale nawet Dmochowski pochwalił, pisząc z uznaniem, że moja kawalerka jest „prawie elegancka”, chociaż nie wygląda na mieszkanie artysty, lecz technika budowlanego ze średnim wykształceniem. Boże – wyłażą ze mnie kompleksy, no, ale pochodzę z prowincji, i to galicyjskiej.
Dość żółci na dziś! Oczekuję aktualnie na kolejną falę gości.
Beksiński

From: <bex@an.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: onieśmielające stroje
Date: 09/21/c2003

Chodziło mi w zasadzie o to, że nie przykładam wagi do niczego poza swoiście rozumianą funkcjonalnością, ale to chyba półprawda, bo drugą połowę stanowi niechęć do szukania po sklepach i pospolite lenistwo w tym konkretnie zakresie. Gotów jestem połowę albo nawet prawie cały swój czas, co ja mówię: cały swój czas i jeszcze więcej poświęcić na zdobycie komputera lub aparatu fotograficznego akurat takiego, o jakim marzę, ale to, w co się ubieram i to, co mam w mieszkaniu, jest wypadkową obu wymienionych na wstępie cechy mego charakteru. Gdybym miał mieć mieszkanie takie, o jakim marzę (nieprawda: nie marzę o czymś takim jak mieszkanie), to byłoby to coś w rodzaju willi Billy'ego Gateśa, z tym, że bardziej przypominałoby wnętrze kabiny kosmicznej lub łodzi podwodnej z jakiegoś Startreku. Migające wszędzie diody. Syntetyczne głosy. Posuwałbym skomputeryzowanie i wyposażenie w gadające roboty i automaty do granic możliwości. Czuję w sobie w tym zakresie potrzeby małego chłopca. Cołę miałbym w kranach, dostarczaną rurami wprost z wytwórni. Podobnie hamburgery. Cyk i mam hamburgera! Dobry Boże: jak fajnie! Nie jestem w stanie pojąć potrzeby gromadzenia antyków, mam jakąś skazę psychiczną na tym obszarze doznań. Niestety tego mieć nie mogę, a zresztą może, gdyby mnie nawet było stać, to byłoby mi szkoda czasu na organizowanie tego wszystkiego i pozostałbym przy funkcjonalnym stereotypie. Pana Irka zatrudniłem w wyborze obić wyłącznie z lenistwa. Podobnie zatrudniam panią od sprzątania i panią od gimnastyki, by mi kupiły np. szorty lub prześcieradła – nawet nie wiem, gdzie się to kupuje. Podobny był mój syn. Nawet miał jakąś dziewczynę w Krakowie, która została pomazańcem od kupowania mu odzieży, bo on chyba nie miał o tym pojęcia. Z tym, że on był bardziej skrajny ode mnie, bo ja jednak nie włożyłbym na siebie czasem jakiejś szpanerskiej koszuli, gdyż mam skłonności mimetyczne, a on nie miał w ogóle osobistej opinii w tym zakresie: wkładał na siebie to, co mu kupiła ta dziewczyna: jechał na zakupy odzieżowe do Krakowa.

Goście. Z gośćmi jest tak: Przez cały dzień nikt nie dzwoni. Cisza i myślę, że już umarłem lub unoszę się w balii w centrum olbrzymiego jak ocean jeziora. Nie widać brzegów, szare niebo i szara woda, łącząca się na horyzoncie z niebem. Wchodzę do WC. Ledwie zacznę z niego korzystać, dzwoni dzwonek do drzwi na dole i równocześnie dzwonek do drzwi na górze, dzwonią naraz oba telefony: komórka i stacjonarny, słysząc z komputera, że spłynął jakiś mail, a do okna zaczyna dobijać się facet, który skacząc na spadochronie, zawisł na 3. piętrze. Wybiegam jak oszalały, podciągając spodnie, ale telefony i dzwonki już ucichły, w poczcie spłynął spam: bigger harder better o tym, jak mam powiększyć swoje wdzięki, a facet na spadochronie obsunął się na wysokość 2. piętra i dobija się już do sąsiadów. Następuje ponownie cisza. Coś jak w filmie „Żółta łódź podwodna”: gonitwa za plecami, która znika w momencie, gdy obrócić się do niej przo-

dem. Podobnie goście: nie atakują mej samotności nieustannie, lecz falami, na podobieństwo ekonomicznych cykli Kondratiewa. Trudno włączać non stop sekretarkę, bo odbijają się od niej czasami bez słowa ci, z którymi powinienem lub chciałbym porozmawiać. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: with love
Date: 09/22/2003

Jestem wręcz ogłuszony i powalony na kolana ilością Nazwisk. Jak to dobrze, że nie muszę uczestniczyć w tego typu spotkaniach!!! (trzy wykrzykniki to o wiele za mało na to, by oddać moje odczucia). Czułbym się jak na balu wampirów. Sze-regu Nazwisk nawet nie kojarzę. Nie zazdroszczę, i to nie tylko lisowi, ale i Pani. No cóż: obracamy się w nieco innych kręgach. Ja zresztą nie mam w sobie natury dziennikarza: ani tego, który jedzie do Bagdadu i spocony, niedomyty śpi w namiocie (choć dziś mi się to śniło, że śpię w izraelskim namiocie wojskowym w trakcie jakiegoś konfliktu), ani tego od kroniki towarzyskiej. Pozdrowienia
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: po kres świata
Date: 09/23/2003

Wcale mnie Pani nie poirytowała, lecz maksymalnie wypłoszyła opisaną sytuację. Wołałbym znaleźć się w Afganistanie pod ostrzałem niż na takim, i nie tylko takim, przyjęciu. Wyobrażam sobie ilość kłamliwych wykrętów (jak mawiał Witkacy), których musiałbym użyć, gdybym został na coś takiego zaproszony. Nie wiem, z czego to wynika, może z braku wytworzenia stosownych stereotypów zachowania, czyli odruchów warunkowych (pół życia w Sanoku i drugie pół z dwiema chorymi staruszkami, którymi musieliśmy się non stop opiekować – w obu tych wypadkach nie było szans na życie towarzyskie), ale w tej chwili doszło już do tego, że nie można mi zrobić większej krzywdy, niż zapraszając mnie na kolację – przepraszam, można, zapraszając mnie na obiad. Nie trawię nawet zaproszeń tego typu, bym wpadł po południu. NIE-NA-WI-DZĘ być zapraszonym, a już zaproszenie na jakiś kulig, pogoń za lisem czy inne takie, jest dla mnie gorsze od konieczności poddania się operacji bez znieczulenia. Podziwiam Pani odporność, ale to chyba nie odporność, lecz jest Pani do czegoś takiego przyzwyczajona. Ja – gdy musiałem przed dwoma miesiącami odwiedzić bliskiego kumpla, który przeniósł się z Krakowa i któremu pożyczałem forszę na kupno mieszkania w Warszawie, byłem przez trzy dni przedtem dosłownie ciężko chory, nie mogłem pracować i tylko myślałem o tym, kiedy nareszcie będę to mieć za sobą. A przecież miał być tam tylko on i jego żona, oboje doskonale od lat

znam. To kwestia odruchów psa Pawłowa, ale nie chce mi się tego pod koniec życia na siłę zmieniać. Pewnie to nawet niewykonalne. Mąż kuzynki hodował psy obronne, czyli rotweilery (nie przekręciłem? Bo nie znam się na psach). Złota medalistka, która rodziła te psy, na widok królika wpadła raz w panikę, a potem przez długi okres nie mogła opanować drżenia i odruchów hysterii. Po prostu królik nie występował w jej świadomości, jako istota niegroźna. My nie różnimy się niczym od rotweilerów i to wszystko. Na marginesie: Oczywiście, że ludzie nie są inni dlatego, że są bogaci lub w jakiś sposób społecznie wyróżnieni, i nie musi mnie Pani o tym przekonywać. W końcu sam jadę na tym wózku i bywam czasami traktowany towarzysko, jakbym był kimś innym niż sąsiad z drugiego piętra. Jednym słowem: taki jestem, jeśli idzie o przyjęte stereotypy życia towarzyskiego, i pod koniec żywota ani myślę się na siłę zmieniać. Wolę się wykręcać, tak jak ostatnio od osobistego odebrania jakiegoś honorowego dyplomu z macierzystej uczelni lub od wernisaży, jakiekolwiek by one były i gdziekolwiek by się odbywały – najbliższy jutro w Poznaniu. Pozdrowienia
Beksiński (nawet w moim nazwisku zrobiłem 3 błędy!!!)

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: chrześcijanka
Date: 09/25/2003

Najstraszliwszą rzeczą wydaje mi się zakaz korzystania z WC. Nie wspominam już o mojej prostacie, ale w sprawach wydalania jestem jako ten wróbel. Podobno to cecha osobników rozrzutnych i skłonnych do dobroczynności, podczas gdy chroniczna obstrukcja ma świadczyć o wyrachowaniu i skąpstwie. Jeszcze Freud pochylił się z troską nad tym problemem i źródła jego powstania lokował w fazie oralnej. Ja jednak dziedziczę to chyba po obojgu rodzicach – po ojcu nerwicę wegetatywną (przestarzała terminologia), a po mamie regularną sraczkę. Pozdrowienia
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: malowanie
Date: 09/27/2003

Pani biskup wisi już od dwóch miesięcy w kawalerce, z której od początku września korzystam jako z własnej sypialni. Załączam zdjęcie sprzed 10 minut. Powiesiłem tam w sumie 4 obrazy (jeden na przeciwległej ścianie) i tak już zostanie. Za kilka dni przystępujemy do budowy korytarzyka, który oba mieszkania połączy w całość. W tym okresie zakleję drzwi do kawalerki i z powrotem na ca miesiąc, przeniosę się na dawne pielesze, by nie zakurzać dwóch mieszkań. Zaczynamy od postawienia drzwi stalowych na korytarzu, które będą przymocowane do podłogi i sufitu, a dopiero potem obmurowane ścianą. Zanim powstanie ściana, będą

mógł opowiadać, że na starość poszedłem w ślady Mirosława Bałki. Sztuka wyobraźni. Od każdego będę wymagał, by idąc do mnie, przeszedł przez drzwi na środku holu. Aby uzyskać zezwolenie na budowę tych drzwi, musiałem zdobyć atest, że są przeciwpożarowe, bo inaczej nie zezwolono by na ich postawienie. W całym bloku drzwi są z trocin, ale moje muszą mieć atest. Dom wariatów.
Beksiński

From: <lilianasc@poczta.onet.pl>
To: <bex@acn.waw.pl>
Sent: Wednesday, October 08, 2003 10:55 PM
Subject: niech żyje remont

Miły Panie Zdzisławie, na litość Boga, dlaczego budowa korytarzyka ma trwać aż sześć tygodni??? Przecież w ciągu tego czasu na Wyspach Kanaryjskich buduje się apartamentowce w stanie surowym!

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: niech żyje remont
Date: 10/09/2003

A cóż ja miałem takiego ważnego napisać w temacie przerwy? Pani to tak jak mój szwagier. On każdy temat skręci w kierunku spraw męsko-damskich, a akurat te sprawy mamy (my ludzie) ustawione dosłownie na poziomie pszczoły: wsadzać, trzeć, wlewać, i to niezależnie od tego, jak poetycko chcielibyśmy te potrzeby przedstawiać na użytek własny i literatury. Wszyscy temu podlegają, tak jak i podlegają zmęczeniu, uczuciu głodu, senności i lęku przed niebytem, ale w końcu chyba nie warto jeszcze o tym na dodatek w kółko gadać, pisać i kręcić filmów. Mnie w każdym razie to maksymalnie wkurza, podobnie jak i zwierzenia koleśków, gdy byłem jeszcze młody. Czułem się wtedy zawsze, jakby mi ktoś podawał spoconą rękę lub jakby mu z ust śmierdziało. Popęd jest mechanizmem nie do przeskoczenia, ale mówiąc już całkowicie i to śmiertelnie poważnie (a zresztą od początku jestem poważny), to mnie popęd kojarzy się wyłącznie z obustronną młodością, czyli zarówno po stronie nadawcy, jak i po stronie odbiorcy, i nie razi mnie to, gdy ulega się temu zamroczeniu po maturze czy na studiach, ale potem budzi to we mnie sprzeciw i niechęć. Coś w rodzaju dysonansu estetycznego. Cóż z tego, że nadal mam ochotę na jakąś małą, jeśli mają własną i budzącą mą odrazę cielesność i cielesność osób młodych, do których mógłbym odczuwać popęd, przedstawić by można modelowo jak kanapkę ze spleśniałej szynki na bułce prosto z pieca. Natomiast seks dwojga osób dorosłych od zawsze budził moją odrazę. Mój szwagier tego nie odczuwa, i Bóg z nim. To pszczoła. Do takich należy Królestwo Niebieskie. Ja, niestety, odczuwam to tak, jak opisałem i wprawdzie żałuję, że młodość minęła, ale na to – podobnie jak na śmierć – nie wymyślono jak do tej pory innego remedium poza marzeniami Fausta i wiarą w Boga. Aha – Pani napisała, że kobietom sperma za-

pewnia błyszczące oczy. Zapewnia im przede wszystkim brzuch i bachora za 9 miesięcy, utratę figury, na której im tak zależy, rozstępy, problemy z cyckami i tak dalej. Czy do tego miałem się ustosunkować? W mojej młodości przed stu laty nie było jeszcze innych skutecznych środków antykoncepcyjnych poza prezerwatywami.

Co do terminu wykonania robót, to taki termin podał pan Krzysztof, a ja nie opo- nowałem. W konkretnych warunkach klimatyczno-materiałowych, można to przy- spieszyć do 4 tygodni, ale liczę się z przestojami, chorobami etc. Stan surowy jest oczywiście łatwy do szybkiego zrealizowania i już dziś go osiągniemy, a osiągnęlibyśmy nawet wczoraj, ale zabrakło wieczorem zaprawy. Wysłałem zdjęcie z wczorajszego wieczoru. Stan surowy jest już nieomal gotowy. Proble- my zaczynają się przy robotach wykończeniowych. Nie tylko na Wyspach Kana- ryjskich, ale w Rzeszowie zaraz po śmierci Stalina potrafiłem postawić trzypię- trowy „apartamentowiec” (nazywało się to wtedy „szybkościowiec”) w ciągu dwóch tygodni w stanie surowym, a na dodatek bić – pod okiem redaktorów i me- gafonów, jak też w rytm stosownych pieśni masowych – rekord w kładzeniu ce- gły. Co innego jednak budowa na pokaz: z transporterami, pomocnikami murar- skimi, dostawą zaprawy w wywrotkach etc., a co innego budowa gospodarcza z mieszaniem przez jednego murarza zaprawy we wiadrze na miejscu i za sto- sunkowo skromną forszę, bo całość powinna zamknąć się raptem w 40 000 zł i to wraz z posadzką, boazerią, monitoringiem na dwa monitory etc. Pięknie pozdra- wiam

Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: stan surowy
Date: 10/09/2003

Godzina 13:50. Kończymy stan surowy. Prawie jak na Wyspach Kanaryjskich
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: niech żyje czosnek
Date: 10/12/2003

Aha! Dowiedziałem się w międzyczasie, kto to jest Jakubowska, bo myślałem, że idzie o dawną profesorkę z Wyższej Szkoły Filmowej w Łodzi. Jeśli ta Jakubow- ska nie chce, by ją sfotografowano w papilotach, niech zasuwa rolety. Ja tak ro- bię od momentu, gdy jakiś entuzjasta wyznał mi na peronie metra, że obserwu- je mnie przy pracy przez lunetę. Nie czekając na moment, gdy dokupi sobie do lunety karabin, zasłaniam teraz wszystkie okna, dzięki czemu mogę wolny czas poświęcać na dłubanie w nosie i nikt mnie nie sfotografuje. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

Date: 10/14/2003

Ano właśnie: Te różne nice nomenklatury, o ile idzie o najogólniej rozumianą tematykę związaną z seksem. Redaktor pewnego pisma w moim wywiadzie sprzed dwóch lat, w którym napisałem, że wysoko licząc za swoje obrazy, uważam się za drogą kurwę, przerobił mi to na drogą dziwkę. Faj! Dziwką nie jestem. Dziwka była w mej młodości od wyrzucania gnoju na wsi, tak więc słowo „kurwa”, szczególnie użyte w pierwszej osobie, wydawało mi się milion razy bardziej eleganckie. Prawie się na niego obraziłem. Pani z Krakowa, która przed dwoma laty dzwoniła do mnie godzinami, fuknęła raz na mnie z oburzeniem, gdy wspomniałem o tym, jak Monika Lewinsky robiła laskę czy też ciągnęła druta prezydentowi, pouczając mnie, że ludzie kulturalni używają określenia „miłość francuska”. Jak to dobrze, że nie muszę być człowiekiem kulturalnym, bo przez usta podobne paskudztwo, jak miłość francuska, by mi nie przeszło. Już nawet pisząc to, czuję obrzydzenie do samego siebie. Teraz Pani z tym kochaniem na podłodze. Mogę napisać kulturalnie, że nie rznąłem się na podłodze, że nie grzmociłem panienki, że nie dmuchałem lali, nie rozmnażałem się, ale użycie określenia „kochać się” jest dla mnie równie odrażające jak określenie „ciupciac”. Proszę wybaczyć, ale podobnie jak każdy z nas, mam w tym zakresie własne upodobania i własne opory. Najogólniej posługuję się nomenklaturą ściśle naukową: pedał, świr, fajna dupa, dołożyłbym nawet Ruska, Pepika i Szwaba, bo są to w moim odczuciu wyrazy mej rubasznej życzliwości dla wszystkich wymienionych, niemniej jednak bywają opacznie rozumiane, więc się wstrzymuję. Żabojada jednak nie umiem sobie odmówić. Sorry. A więc podtrzymuję: nie pieprzyłem się nigdy na podłodze. Howgh, jak powiadają Apacze.

Co do Papieża, to zachowuję dla niego stosunek pełen życzliwej obojętności. Oczywiście, przykro mi, że jest chory i przykro jest na to patrzeć, ale wprawdzie jestem katolikiem, ale z Kościołem katolickim nie jestem emocjonalnie związany, podobnie jak nie jestem związany z sektą Moona czy Hari Kriszna. Nie należę też do antyklerykałów. Życzliwa obojętność. Ponieważ nie byłeś ni zimny, ni gorący, wypłułem cię z ust moich. W oparciu o ten tekst z Apokalipsy, mam podstawy, by sądzić, że Jehowa ma taki sam stosunek do mnie. Co do kleru, to zarówno artyści, jak i kapłani wywodzą się z tego samego pnia czarowników plemiennych. To my sprowadzaliśmy deszcz i zapewnialiśmy obfitość zbiorów oraz powodzenie w łowach. Trudno więc bym boczył się na braci odłączonych.

Gratuluję tyłu tekstów w VIVIE!, ale jakoś wstydzę się kupować damskie magazyny (to samo co z cukierkami i z wchodzeniem do kościoła). Czuję się tak, jakbym kupował bieliznę damską, a sprzedawca patrzył na mnie jak na fetyzystę. Zresztą nie czytuję już niczego. Chyląc ku ziemi poradzone czoło... i t d. Pieprzyć wszystko. Pięknie się kłania

Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: ple, ple, ple
Date: 10/23/2003

Nie mam ścian z afrykańskiego drewna doussie ani ścian retro w kolorze ziemi prowansalskiej, ale za to mam ściany pomalowane na kolor PepsiMax, bo przedwczoraj wieczorem z niepełnego kartonu pepsi, jaki niosłem z magazynku do kuchni, wyslizgnęła się jedna butelka wielkości BigŁyk, spadła na podłogę i eksplodowała, skacząc jak wielkanocna, wyładowana płonącym prochem „żabka” i obsikując wszystko pianą. Trochę to przypominało opowieść mego kumpla sprzed lat o tym, jak po pijaku wypadła jednemu z krasnoarmiejców pepesza i zaczęła, skacząc po podłodze, samodzielnie opróżniać magazynek 72 naboji. Wszystko, łącznie ze mną, zostało oblane brązową pianą. Obrazy, ściany, lustro, szafa. Jak to dobrze, że piję pepsi bezcukrową!!! No nic: przyjdzie walec i wyrówna, czyli wyzdrowieje pan Krzysztof i odmaluje. Na pewno pan Krzysztof nie jest nie do zastąpienia (jeśli Dwurnik za drogi, to można zastępczo kupić Beksieńskiego), tylko jak znaleźć zastępstwo? Na 10 000 rzemieślników, reklamujących się w prasie jako „szybko, fachowo i tanio”, 9999 jest idiotami podobnymi do tych, jacy w lecie zdemolowali przy okazji remontu balkonów wszystko wokół i to na sumę wielokrotnie przewyższającą to, czego dokonali. Jeśli się w końcu trafi w drodze przypadku na kogoś takiego jak pan Krzysztof, to się go już człowiek trzyma i poniekąd od niego uzależnia. Poza tym wirusowe zapalenie płuc, to wirusowe zapalenie płuc. Nie można traktować drugiego człowieka jak maszyny do wykonywania poleceń, nawet jeśli mu się sporo płaci. Howgh. Napisałem, co myślę.

Beksieński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: horror
Date: 10/25/2003

Mój syn wyznawał ideę, że ta forsa, którą trzyma w kieszeni, to jego forsa, a wszystko inne to abstrakcja. Ta idea niewiele różni się od moich poglądów. Gdy coś zarobię, to i tak zaraz wydaję na coś, co wcale nie jest mi potrzebne. Zarówno stan posiadania, jak i ubóstwa, przerabiałem na własnej skórze wielokrotnie. Zapewne przez całe życie usiłuję sprostac pewnej idei z mego wczesnego dzieciństwa, gdy myślałem, że całe zasoby finansowe mego ojca znajdują się w jego niezgłębionej – jak mi się wydawało – portmonetce. Co miesiąc dostawałem jakąś tam groszową sumę, którą wydawałem na naboje do straszaka i wiatrówki (byłem dziecięciem o potrzebach militarystycznych, poza tym trzeźwo oceniałem, że lody i tak zafunduje mi jakaś ciocia), oraz raz w roku całe 5 zł za dobre świadectwo. Gdy raz zapytałem ojca, ile pieniędzy posiada w pulariesie, odpowiedział, że nie wie. Stało się to moim cichym marzeniem: nie wiedzieć, ile się

ma forsy. Świadomość tego, że ojciec nabyć może sobie – o ile zapragnie – tak nieprawdopodobną ilość naboju do straszaka, że cała rodzina ogłuchnie od kano-nady, była wręcz upajająca. Nie zostawszy Billem Gatesem, staram się wszela-ko zachowywać z pozoru luzacki stosunek do strony finansowej: forsa jest w kie-szeni. „Nie wiem”, ile jej posiadam, ale gdy zaczyna jej brakować, to dopiero wte-dy zaczynam się martwić i usiłuję jakoś skołować kasę, po czym znowu nastę-puje Eldorado. Swoją drogą, jakoś tam podświadomie czuwam nad stanem wła-snego posiadania i kupienie nowych spodni czy skarpetek uważam za lekko-myślność, natomiast gdy tylko w jakimś sklepie ukazałby się zegarek na rękę, będący zarazem telefonem, radiem, urządzeniem radiolokacyjnym i komputerem do ściągania i odtwarzania plików MP3, aparatem fotograficznym, oraz posiada-jący trzy cyferblaty, tak że zorientowanie się, która jest godzina, wymagałoby sporej sprawności manualno-intelektualnej i orlego wzroku, a zaprogramowanie całości tak, by funkcjonowała, zajmowałoby cały dzień, natychmiast bym go na-był, a po dwóch dniach wspaniałej zabawy wrzucił do szuflady i zapomniał, bo zwykły zegarek jest wygodniejszy. O Jezu – zaraz przychodzi pani Kupcowa do sprzątania. Będzie miała dziś sporo problemów ze zmyciem PepsiMax z szafek futryn i drzwi. Pięknie pozdrawiam

Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>

To: <lilianasc@poczta.onet.pl>

Subject: Re: nieprawidłowa prawidłowość

Date: 10/26/2003

Boże: znowu ta opowieść o coli, dzięki której puszczają śruby. Gdy we wrześniu gościłem szwedzkie małżeństwo takich jak ja starców, to ich okrzyki zgrozy na moją strategię żywieniową i wszystko, co tylko miałem w lodówce, pamiętam do dziś. Musiałem po nich wszystko raz jeszcze myć, bo detergent jest niezdrowy, peps to zgroza, gdyż jest tam kwas fosforowy, a kwas fosforowy rozpuszcza rdzę. Boh ty moj! Kwas fosforowy rozpuszcza rzeczywiście rdzę i jest do tego ce-lu powszechnie używany w przemyśle, ale agresywniejszy od niego kwas solny też rozpuszcza rdzę. Używałem – jako facet, który lutował przed laty rzeźby z blachy – jednego i drugiego kwasu. Znam bajki o tym, że zardzewiała łyżecz-ka włożona do coli na drugi dzień była jak nowa. Kto i po co wkłada zardzewia-łą łyżeczkę do coli, i gdzie u licha spotkać można w przyrodzie zardzewiałą ły-żeczkę. Ja takiej nie widziałem. Stalowych łyżeczek po prostu nie ma. Wiem na-tomiast, i to nie jest bajka, że ilość kwasu solnego, który w tej chwili ma pani w swoim żołądku, pozwoliłaby na odrdzewienie dwóch metrów żelaznego ogro-dzenia w parku, i jakoś Pani z tym żyje i nawet maluje sobie ściany. No dobra: rzeczywiście jadłem za życia mej żony sosy lepsze niż Uncle Ben's i wołowinę lepszą niż „Wołowina we własnym sosie” (PN-A-82022-1998, panu Krzysztofowi polecam zawsze skontrolować normę), ale i jedno, i drugie jest najlepsze z tego, co mogę mieć szybko i pod ręką tak, aby przygotowywanie jedzenia wraz ze zje-

dzeniem nie zajmowało mi więcej niż kilka minut czasu. Poza tym *de gustibus non est disputandum*. Zapewne nie uwierzy Pani lub powie, że robię sobie jaja, ale osobiście znam ludzi, którzy uwielbiają nawet takie paskudztwo jak kuchnia śródziemnomorska, te wszystkie ohydne *frutti di mare* (czy jak się to pisze), kraby, langusty, krewetki, ostrygi, w końcu nawet ryby. Zwykle, gdy na jakimś filmie widzę to na straganie lub na stole, zamykam oczy i czekam, słuchając dźwięku, czy już przestali to pokazywać – do tego stopnia budzi to moją odrazę. Pamięta pani tego komisarza policji z filmu Hitchcocka, który jadł sandwicze w pracy, bo jego żona chodziła na kursy gotowania w stylu kuchni francuskiej i robiła supdepółasa? Ja jestem takim facetem jak on. Wzdrygam się na samą nazwę kuchni francuskiej. To jedna z przyczyn, że nie lubię turystyki. Na dodatek te opowieści, że wołowina to nowotwory i choroba szalonych krów, a ryby to samo zdrowie... Akurat właśnie ryby można za oknem wieszać zamiast termometru, bo tyle w nich jest rてci. Oczywiście nie dlatego ich nie jem – po prostu odczuwam do ryb odrazę, wprawdzie nie tak mocną jak do krabów i krewetek, ale jednak. Z kolei ze wszystkiego, co podaje się u nas, najbardziej nie lubię grzybów i krwawego steku. W nader rzadkich momentach, gdy jestem w restauracji, a do wyboru jest tylko wołowina, proszę kelnerki, by kucharz piekł ją dwa razy dłużej niż normalnie, a potem proces ten powtórzył, a potem jeszcze trochę, aż do momentu, gdy będzie się już wstydził tego, co upiekl, bo wtedy najprawdopodobniej dam radę zjeść to ze smakiem. W przeciwnym wypadku zostawię na talerzu. Ja w końcu też mam swoje upodobania, których nikomu nie narzucam, natomiast mnie wszyscy wokół nieustannie pouczają, że odżywiam się źle i mam zły gust. Oczywiście wiem, że mam gust prymitywny, ale nie pretenduję do znawstwa w tym zakresie. Przykrą i upokarzającą czynność jedzenia lubię odwalić jak najszybciej i z jak najmniejszym wysiłkiem. Sos Uncle Ben's (mówię o „Tajskim Chili” i „Seczuańskim Chili”, bo inne mi rzeczywiście mniej smakują) nie jest najlepszym sosem, jaki mógłbym sobie wymarzyć, ale jest całkiem fajny i mój stereotypowy obiad składa się z pokrajanej w kostkę wołowiny w sosie własnym z sosem tajskim lub seczuańskim. Stosunek: dwie puszki wołowiny na cztery małe lub trzy duże słoiki sosu. Do tej mieszaniny dodaję garść pieprzu i sporo gałki muszkatołowej. Wystarcza to na cztery obiady. Gotuję ryż Uncle Ben's w torebkach, i mój obiad to pół torebki ryżu i? zapasu mieszaniny opisanej wyżej, którą ochrzciłem mianem „Przysmak Beksińskiego”. Ryż też gotuję naraz 2 torebki i wystarcza na 4 razy. Znajoma lekarka powiedziała mi, że po dwóch dniach przechowywania w lodówce żywność staje się bezwartościowa, a ponieważ staram się korzystać z rad fachowców, to trzymam najpierw wszystko w lodówce przez trzy dni, aby już na pewno było bezwartościowe, i dopiero wtedy przystępuję do konsumpcji. Niestety, nie zmniejszyło to mej wagi. Dieta zawsze jest wyrzeczeniem – jakakolwiek by ona była. Poza tym odchudzanie się w moim wieku zaczyna się od szyi i oczu. Zwiótzała skóra, pomarszczona szyja i wygłodniały wzrok. Pamiętam sprzed lat jakiś odcinek Porucznika Columbo, w którym aktor Louis Jourdan grał rolę smakosza-mordercy zabijającego przy użyciu

ryby Fugu. W jego oczach widać było, ile wysiłku wkłada w odchudzanie się, i gdyby tę rolę grał Bikont, wszystko byłoby na swoim miejscu, a tak był to chyba ironiczny dowcip.

Aha, aha. Przepraszam za chaotyczny tekst, ale teraz dopiero zauważyłem w Pani mailu zapytanie, dlaczego robię zapasy. Wołowinę kupuję zazwyczaj z rocznym lub półtorarocznym terminem ważności i cały zapas trzymam w lodówkach, a mam ich obecnie aż trzy ogromne. To wynika stąd, że nie mam samochodu i nie cierpię robić zakupów. Kupuję wszystko co się da en masse i kontrolując terminy ważności, zjadam planowo. Do McDonalda mam pół kilometra i gdy leje deszcz, jest ślisko, lub (co najczęściej) nie chce mi się przerywać pracy, to tam nie idę. Z McDonalda korzystam, gdy akurat jest termin obiadu (dla mnie to godz. 12–12:30) a ja załatwiam coś w mieście czy gdzieś obok McDonalda. Do domu zamawiam czasami pizzę, byle bez ryb i pieczarek, oraz z rzadka KFC. Poza tym jadam też gotowe obiady odgrzane w mikrofali. Zraz w sosie własnym z kaszą firmy NASZA KUCHNIA, jest nawet fajny, tyle że dodane tam buraczki były już raz zjedzone – widać inaczej się nie da. W końcu prowadzę kuchnię starego kawalera – wszystko jednak jest na razie lepsze niż gospodyni domowa (vide: proces Bardell contra Pickwick), a gotować sam sobie na pewno nie będę, mimo iż umiem: szkoda na to czasu. Pięknie pozdrawiam Beksiański

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: jest Pan bezcenny
Date: 10/27/2003

Tylko dwa słowa, bo dziś po godzinie 11 idę do notariusza sprzedawać drugie mieszkanie po synu, a teraz rano panowie z Poczty przybywają (panowie agenci szybko przybywajcie... – balladę o Felku Zdankiewiczu Pani zapewne zna, bo ja Henry'ego Millera nie przeczytałem w życiu ani jednego zdania, ani nie widziałem „Pięknego umysłu”, co nie ma być oceną ani jednego, ani drugiego, lecz tylko moim przyznaniem się do lenistwa umysłowego), a więc wracając do przerwanego wątku: panowie z Poczty mają założyć mi na próbę Neostradę, jako iż wszyscy mnie informują, że za nieomal połowę tej ceny, jaką miesięcznie płacę za sieć internetową Aster City (250 zł), uzyskam szybkość dwa razy większą. Oby! Na razie będę mieć dwa łącza, przetestuje je, porównam, a po dwóch miesiącach zdecyduję, jak to jest w moim wypadku. Dieta Kwaśniewskiego budzi nie tyle moje obrzydzenie, ile poczucie niemożności sprostania jej. Nie używam i nie lubię w zasadzie ciężkich potraw, a głównie tłuszczu. Nie dałbym rady tak się odżywiać. Natomiast konserwanty i barwiki oraz substancje zapachowe wysoko sobie cenię i lubię, bo dodają, w moim odczuciu, smaku. W ogóle jeżeli na konserwie jest napis „konserwowana chemicznie”, to wzbudza to moje szczególne zaufanie. Chemia to chemia. Rzecz sprawdzona. Powtarzalna. Standard. Natomiast NIGDY nie kupię czegoś z napisem ZDROWA ŻYWNOŚĆ lub EKOLO-

GICZNA ŻYWNOŚĆ lub DOBRE, BO POLSKIE, bo wyczuwam w tym szantaż. Przed laty kupiłem papier toaletowy ekologiczny, bo innego akurat nie było. Dał się wzdłuż zamiast w poprzek. Nawet przez dwa metry i dłużej, dał się wzdłuż. Przed laty żona kupiła sobie trwałą ekologiczną, która, wg napisu na etykiecie, oszczędzała pola i lasy. Nie oszczędziła tylko jej włosów, które potem musiała przez całe miesiące regenerować. Dość narzekania
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: życie to jest teatr
Date: 10/28/2003

Nie mam w sobie za grosz duszy biznesmena, więc nie ma co zrywać się we mnie do lotu. Nie mam nawet pojęcia, jaki interes zrobiłem na tym mieszkaniu, bo nie sprawdzałem, jakie są ceny, a wszystko załatwiał szwagier, zaś we mnie dominowała jedna tylko myśl, by nareszcie mieć to z głowy. To mieszkanie budował Tomek, ale ja pożyczyłem mu szmal na jego kupno i remont. On oddawał mi sukcesywnie, ale nie oddał wszystkiego i nie skończył też remontu, po czym polecił mi w notatce komputerowej, którą przeczytałem po jego śmierci, bym mieszkanie przekazał jego znajomej w Krakowie. Wykonuję takie życzenia, ale było ono niewykonalne, bo wyobrażenia Tomka o transakcjach wszelkiego rodzaju brały się z Bonda. Pan X rozstaje się z panną Y. Ona zjeżdża, tykając łyż, prywatną windą z 80. piętra na parter, ale znajduje w torebce kluczyki od samochodu, a przed wieżowcem jako nagroda pocieszenia stoi 12-cylindrowy czerwony ferrari. Panienska siada więc za kierownicą i z gwizdem opon rusza w stronę Las Vegas na podryw kolejnego milionera. Wydział komunikacji, Urząd Skarbowy, Akt darowizny i cała administracyjna reszta, nie występowały w tych wyobrażeniach. Tak więc obliczyłem, ile ja włożyłem, ile Tomek mi oddał, dodałem do tego jeszcze przewidywaną sumę, jaka może wpłynąć za jego tantiemy z ZAIKS-u i przekazałem tą sumę tej osobie, zgodnie z Tomka życzeniem, tyle że nieco wyretuszowanym. Sam w posiadanie mieszkania, po opłaceniu rozmaitych podatków, wszedłem dopiero w półtora roku później. Tak więc to mieszkanie kupowałem i sprzedawałem wielokrotnie, i wygląda to w końcu jak transakcja z Cyganką: Ja ci powrócę, ale połóż srebrny pieniążek i przykryj damą dzwonkową, jesteś dobrym człowiekiem, z oczu ci dobrze patrzy, a teraz przykryj damę dzwonkową papierowym pieniążkiem, a odbierz srebrny pieniążek i tak dalej do momentu, w którym już nie wiadomo, jak wygląda saldo, z tym, że raz (co uważam za swój wielki sukces) udało mi się wyrolować Cygankę w tej zabawie w moje twoje, bo saldo wyszło na zero, a ja gwizdnąłem jej damę dzwonkową, którą potem woziliśmy w samochodzie na szczęście. Może więc mam w sobie duszę biznesmena?

Pan Krzysztof przyjechał dziś z elektrykiem przed godziną 8, by uprzedzić protest taksówkarzy i już kują jak dzięcioły, i co chwila wyłączają mi prąd, co powo-

duje, że list ten piszę na raty. Jednym słowem, wychodzimy na prostą. Osobiście nie trawię pism dla kobiet, i to nawet tych z górnej półki. Zupełnie nie potrafię w sobie wykrzesać zainteresowania „w temacie” z kim teraz dzieli sypialnię Hugh Grant, czy Jennifer Lopez kocha i rozumie swoją mamę i jakie kremy należy wcierać w siebie rano, a jakie wieczorem. Aha. Pani od kremów przysłała inny, bo napisałem, że nie znoszę woni kwiatów. Jest bezwonny i już nie mam ucieczki. Wtarłem go parokrotnie w nogę i zamiast mojej starej dobrej nogi pokrytej suchą, fajną skórą jak u starego dobrego słonia mam nogę żaby, a skóra jest jakaś taka miękka i obrzydliwa w dotyku. Pomieniał stryjek siekierkę na kijek. Chyba słoń jest zwierzęciem dostojniejszym od żaby? No, ale dobrze: jeśli pisma dla pań preferują żabę, to niech będzie żaba. Nie muszę dotykać własnych łydek. Oby tylko przestały mnie swędzieć, a o to mi głównie szło.

Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: mała dziurka do sąsiada
Date: 10/30/2003

W tym właśnie (między innymi) wyrażają się różnice postrzegania między kobietami i mężczyznami. Mógłbym cały wieczór spędzić w towarzystwie pani prezydentowej (cholera – nie mogę sobie jej przypomnieć – to jakaś taka brunetka w średnim wieku?) a nie mieć pojęcia, co miała na sobie. Jakaś kieckę i tyle. Natomiast wywód na temat probabilistycznej oceny aproksymatywnej wysokości zarobków prezydenta jest już w Polsce cechą obupściową, ale tu też nie nadążam. Jestem – jak dowodnie widać – bezpieczny. Może jestem cyborgiem? Nigdy nie przychodziły mi takie pytania do głowy: ani wtedy, gdy miałem aż za wiele jak na swoje i krajowe możliwości (era schyłkowego Gierka), ani wtedy, gdy nie miałem nawet na gazetę (era Gomułki). Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz. Amen.

Xionc Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: nie jest Pan cyborgiem
Date: 10/30/2003

Wie Pani: Ojczyzny nie da się okraść. Podstawowy błąd propagandy dawnej Solidarności z minionego okresu. Jak odbiorą Gierkowi złote klamki, to wszystkim będzie dobrze. To mniej niż kropla w oceanie. Problemy, dzięki którym jest jak jest, a będzie jeszcze gorzej, znajdują się o całe dziesiątki mil dalej. Przeciętny poseł ma na odkucie się zaledwie cztery lata i głównie ten problem, a nie reprezentowanie Narodu, spędza mu sen z powiek. I dobrze! Wie Pani, co by się stało, gdyby ta wesoła gromadka wzięła się naprawdę do rządzenia? Moroz po korze! Tylko uchodzić na Wyspy Kanaryjskie.

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: Najlepiej się okrada Ojczyznę
Date: 11/01/2003

Może jestem jednak cyborgiem, bo kompletnie nie pojmuję, do czego kobietom potrzebna jest nieustannie miłość. Doskonale rozumiem popęd, bo każdy go odczuwa, choć nie każdy i nie zawsze realizuje, ale miłość przeżywa się chyba w młodości i jest to zestaw emocji nieodłączny chyba od wieku naiwności. Faust nie pragnął miłości, lecz pragnął młodości i za młodość odpalił duszę diabłu. Za młodość umożliwiającą to połączenie popędu i niewinności, które określić można słowem „miłość”. To nie do odkręcenia, gdy się już młodym być przestało. Tak ja to widzę. W końcu każdy widzi po swojemu.

Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: RE: do czego
Date: 11/03/2003

Nigdy nie potrafiłem i nadal nie potrafię robić niczego w skrytości. Nie cierpię wręcz oglądania filmów, w których w czasie 2. wojny światowej agent brytyjskiego wywiadu musi udawać Niemca i służbowo zaprzyjaźnia się z antypatycznym Hansem z Gestapo – chodzą razem na ryby i tak dalej. Fakt, że zmuszony jest oszukiwać tego Hansa, jest dla mnie tak obciążający psychicznie, że wczuwam się w rolę i nie mogę tego oglądać. Dla mnie sytuacja, w której musiałbym tak właśnie udawać, byłaby nie do zniesienia. Nikomu nie narzucam mego sposobu widzenia ani też nikogo nigdy nie oceniałem, ani nie oceniam. Jego sprawa. Kiedy kończy się młodość. Boże: chyba wszyscy to wiemy. To właśnie problem niedoceniony przez Fausta: nie zdawał sobie sprawy, że „młodość” i „smakowanie” nigdy nie będą szły w parze. Można mieć albo jedno, albo drugie. „Smakowanie” jest objawem zarówno bezsilności, jak i narastającej rozpacz, że pociąg już odjechał. No dobra: to mój punkt widzenia i nie jestem bynajmniej człowiekiem, którego nie toczy bezsilny żal, że wszystko już minęło, a z pozoru wygląda na to, że przybieram ton nazbyt mentorski.

Beksiński

PS Nie wiem, co to znaczy czuć się starym. Wszystko, łącznie ze śmiercią, przeżywamy po raz pierwszy w życiu i jak smakowało, dowiadujemy się ex post – tak więc raczej mogę się tylko domyślać. Nie mówię tu o biologii, bo ta plus minus automatycznie wynika z wieku, ale ocena własnej psychiki to oglądanie własnego ucha bez pomocy lustra.

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: RE: Pan mnie onieśmiela
Date: 11/04/2003

Co do naszej dyskusji, to każdy człowiek patrzy na wszystko inaczej i widzi inaczej. Tak: znam z bardzo bliskiej perspektywy taki układ, jaki Pani opisała, w którym żo- nie zależy na stabilizacji i resztę ma w nosie, a całość skleja – niejako na siłę – tyl- ko dwójka dzieci. Mój układ taki nie był. Znam jeszcze dziwniejsze układy, np. taki, w którym obie, i to raczej zaawansowane wiekowo, strony, opisują mi w trak- cie wizyty, że jurny pan mąż zreperował drzwi w lodówce w zamian za dwukrotny seks z małżonką, która generalnie jest już temu niechętna. Obie strony chicho- cząc, opisują tą dwustronnie poniżającą sytuację jak fajny dowcip. Ludzie są roz- maici i rozmaicie reagują. W sumie moje reagowanie, mój świat jest moją własno- ścią i nikomu go nie narzucam, a nawet zazwyczaj bardzo niechętnie o tym mó- wię. Jakoż teraz tak zeszło. Generalnie nie lubię udawać, że pierze z rozprutej po- duszki jest tym samym co śnieg. Z przeciwnej strony, to nie mam zwyczaju uroczy- ście protestować przeciw temu, że śnieg pada i powinni tego zabronić. Wydaje mi się, że jestem wprawdzie maksymalistą, ale umiem się lepiej pogodzić z tym, co nieuniknione, od wielu moich znajomych, ale to może być tylko złudzenie. Pięknie pozdrawiam i czekam na hydraulika, który ma wymienić koszmarnie skorodowaną rurę na coś mniej efektownego, ale choć z pozoru solidniejszego.
Beksiński

From: <lilianasc@poczta.onet.pl>
To: <bex@acn.waw.pl>
Sent: Wednesday, November 05, 2003 3:30 AM
Subject: Pan pewnie śpi

No jasne, że jesteśmy różni. Pan teraz smacznie śpi, a ja będę spała o 7.00 rano. Jeśli oni chichotali, opowiadając Panu o reperacji drzwi do lodówki za seks – „go- dziwą zapłatę” – nie ma mowy o upokorzeniu. Miałoby ono miejsce, gdyby on się rechotał, a ona – wprost przeciwnie. A i wtedy upokorzenie byłoby jednostronne. Coś, co dzieje się za zgodą i akceptacją, a więc bez krzywdy jednej ze stron, jest zawsze OK. W końcu mnóstwo rzeczy robimy w życiu bez szczególnego entuzja- zmu. Ona mogła wcześniej gotować mu obiad, też bez szczególnego zapału.

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: RE: Pan pewnie śpi
Date: 11/05/2003

Napisałem, co napisałem, ale to, co piszę, określa MÓJ stosunek do jakiegoś za- chowania, tak jakby to się MNIE przytrafiło. Uznałem sytuację za obustronnie upo- karzającą, ale z MEGO punktu widzenia. ONI oczywiście nie czuli się upokorzeni: są istotami z innego filmu i innej planety niż ja, niechże sobie te sprawy regulują po swojemu. Bóg z nimi. Ja bynajmniej nie uważam się za wzorzec z Sévres.

Poza bardzo fragmentarycznym obejrzeniem przesłuchania Urbana i potem też w fragmentach Czarastego na TVN 24, w ogóle przestałem się przesłuchaniami zajmować, bo wydawało mi się to koszmarnie nudne. To, co się w tej sprawie dzieje ostatnio, dociera czasami do mnie poprzez rozmowy ze znajomymi i to wtedy, gdy są co najmniej 3 osoby i dwie rozmawiają na ten temat, a ja czasami, o coś w naiwnym zadziwieniu pytam. Zainteresował mnie ostatnimi czasy – ale od strony technicznej – jakiś dysk tej Jakubowskiej. Że ona go skasowała, ale nie skasowała i tak dalej. Moja myśl nie wiązała się z meritum sprawy, a dotyczyła raczej kasowania dysku oraz tego, że przecież dysk nie może być w żadnej prawie żadnym dowodem, bo nikt nie zostawia na tym, co tam napisał, odcisków palców, ani żadnych kodów identyfikacyjnych (każdy, zmieniając datownik, mógł tam dopisać ex post to, co chciał) oraz tego, że każde dziecko wie, że zdeletowanie pliku nie jest tym samym co skasowanie taśmy magnetofonowej i do pliku odcina się po prostu dostęp, ale on na dysku zostaje w całej okazałości do momentu, gdy zostanie nadpisany czymś innym, a to może nie nastąpić nawet po kilku latach. Są dziesiątki programów do wygrzebywania z dysku zdeletowanych plików. Jeśli chce się je całkowicie skasować, trwa to powoli i trzeba to robić specjalnym programem, a potem jeszcze usunąć wpisy z rejestru. Dobrze jest w ogóle wyczyścić cały dysk metodą nadpisania czyli zmnożeniu tam do oporu dowolnego tekstu, którego wielokrotnością jest rozmiar jednego klastra w systemie FAT 32 lub NTFS. Najlepiej jednak mieć wyjmowany lub zewnętrzny dysk, który w sytuacjach podbramkowych niszczy się w sposób mechaniczny (bardzo dobrze nadaje się do tego młotek) i wyrzuca do zsypu, zastępując go drugim takim samym. To jedyne chyba myśli, jakie przeleciały przez moją głowę w związku z przesłuchaniami i całą w ogóle Aferą Rywina.

Z nosem o odcień lepiej, ale jeszcze nie jest dobrze. Kaszę. Nie wychodzę jeszcze z domu: Pan Krzysztof działa powoli w korytarzyku w błogiej nieświadomości tego, jak szybko robi się to na Wyspach Kanaryjskich. Pięknie pozdrawiam Beksiński

From: [mailto:lilianasc@poczta.onet.pl]
Sent: Saturday, November 08, 2003 3:32 AM
Subject: Co mnie porąbało z tymi Wyspami Kanaryjskimi?

Przysięgam, dowiem się, czy gdzieś nie budują jeszcze szybciej.

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: RE:
Date: 11/08/2003

Zostałem pochwalony! Cieszę się więc, że moje uwagi na temat deletowania plików na coś się przydadzą! Ku chwale ojczyzny, towarzyszu generale! Bywam w swych wyobrażeniach perwersyjny, ale nader rzadko przekładało się to na obrazy, a nigdy nie przekładało się na praktykę, jako iż wszelka praktyka w zakre-

sie moich wyobrażeń byłaby raczej porażająco komiczna i wyparowałaby z niej cała perwersja. W końcu nie wiem też, co uważa Pani za perwersję, bo na polskich stronach porno spotkałem się raz z tekstem „Kasia jest perwersyjną dziewczynką...” i tak dalej, po czym z załączonych zdjęć okazało się, że Kasia lubi to robić od tyłu. Też mi perwersja.

Pan Krzysztof dobija do finału, jeśli idzie o korytarzyk i niedługo zabieramy się za remont wewnątrz mego mieszkania, a mianowicie wywalimy z łazienki wannę (mam ją teraz w kawalerce), a zastąpimy ją szczelną kabiną natryskową, czyli jedynym miejscem, w którym potrafię wziąć natrysk, nie zalewając przy okazji całego mieszkania, parkingu przed domem i peronu metra odległego o 300 metrów. Z doświadczenia nabytego przy mamie i teściowej wiem, że gdy już przestanę być sędziwym starcem, a zostanę zgrzybiałym starcem, nie będę umiał przekroczyć brzegu wanny i wtedy osoba zajmująca się mną, będzie mnie wypychać do kabiny natryskowej: Dziadku! Obróć się! Nie tam! Tam jest ściana. Skaranie boskie z tym głąbem! I tak dalej.

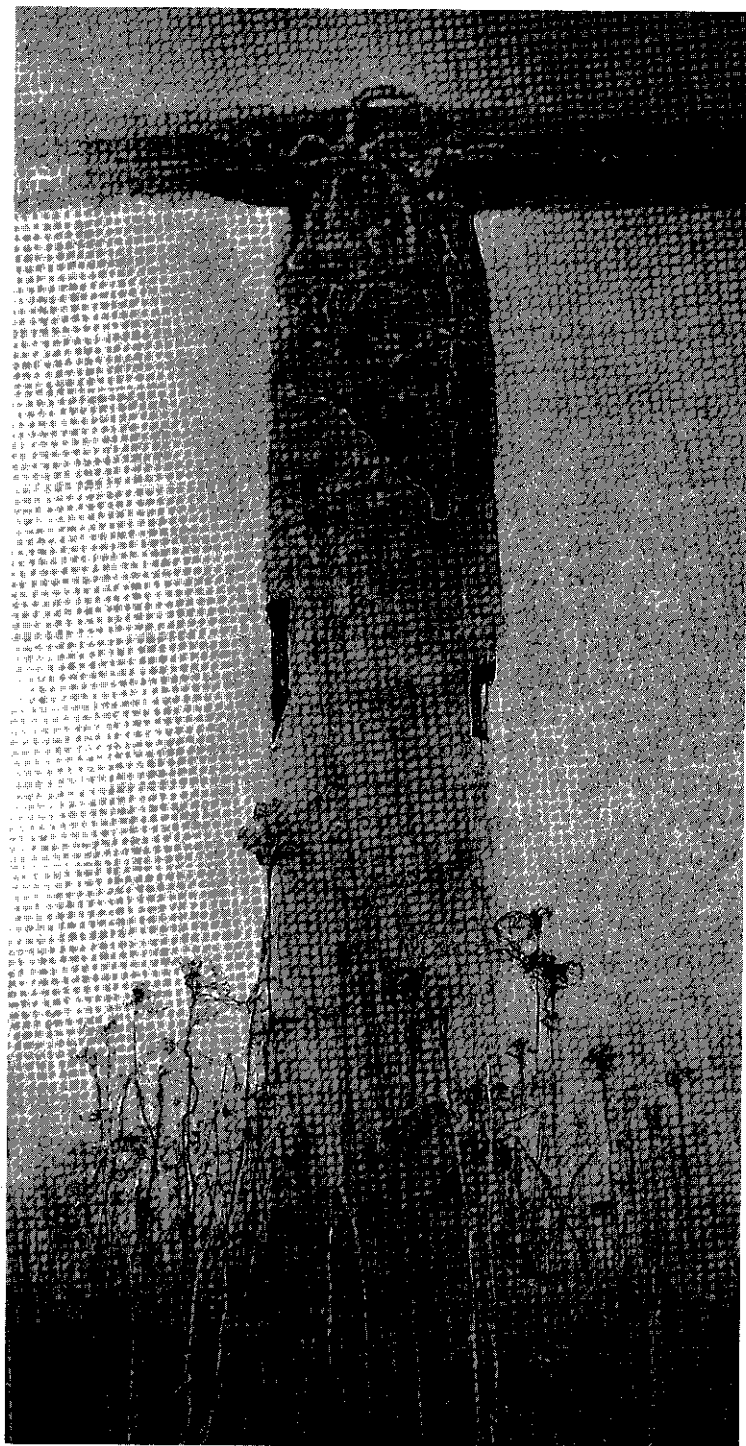
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: RE: a jednak brak
Date: 11/12/2003

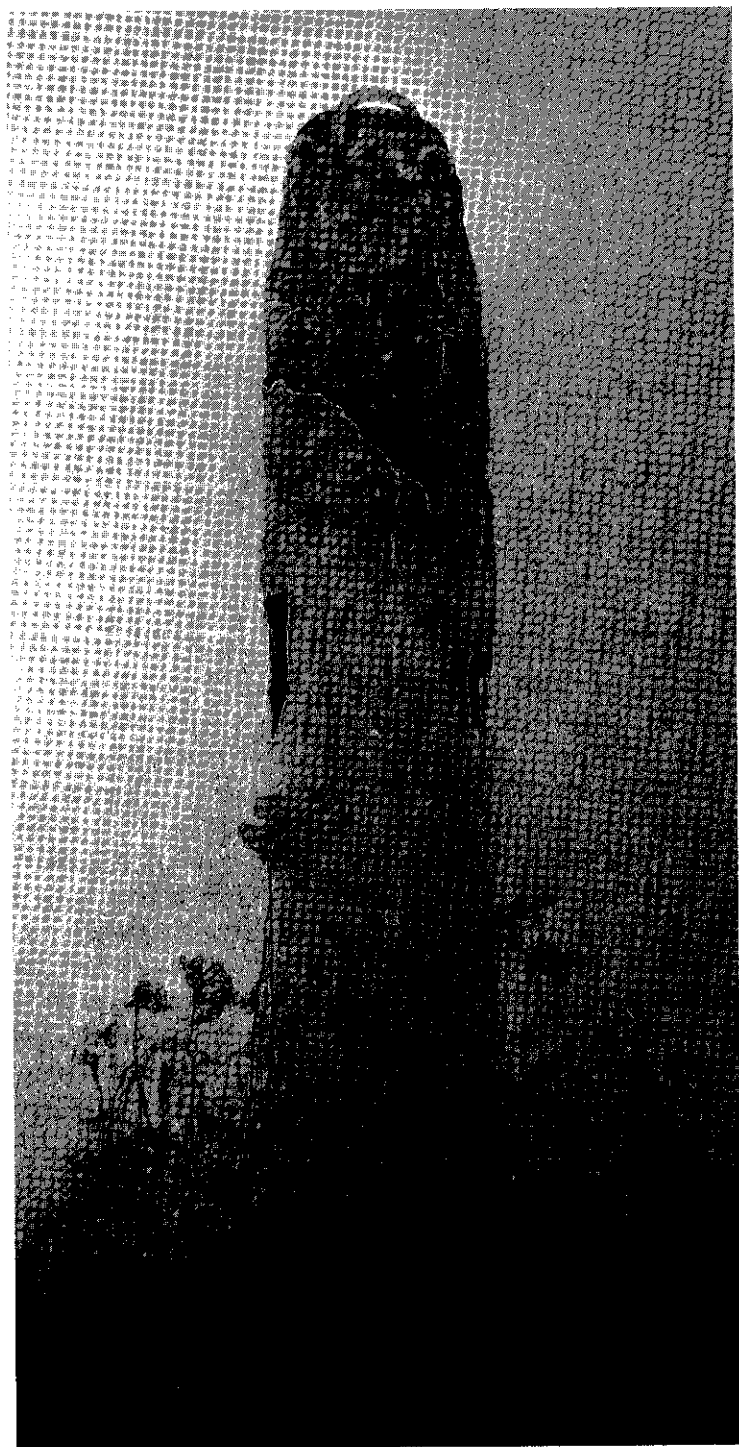
O co walczy Henricot. Mój Boże – nie mam pojęcia! Mogę mówić o sobie i mogę powiedzieć generalnie. Generalnie każdy walczy z własnym brakiem talentu i umiejętności, bo (pomijając reklamę i plakat) wcale nie jest tak, że trudność realizacji polega na wymyśleniu tego, co to dzieło będzie demonstrować. Tak nie było nawet w tym okresie, gdy powstawały dzieła renesansu czy dawniejsze, mimo iż mecenas stawiał sprecyzowane wymagania. Wymyślić temat i scenę (sic: pomijam tu reklamę i plakat!!!) każdy idiota potrafi. Problem polega na tym, jak to zrealizować i na ile w trakcie realizacji trzeba będzie odstąpić od pomysłu pierwotnego, bo nie potrafimy zrealizować tego, co chodziło nam po głowie, lub dlatego, że to co już częściowo namalowane, zaczyna żyć własnym życiem i podsuwa inne sposoby na rozwiązanie problemu. Rozwiązaniem problemu na pewno nie jest zrealizowanie przesłania, jakie oficjalnie niesie dzieło. Przesłanie to, o którym potem bredzi się w prasie, a które nazywa się czasami „treścią obrazu”, jest zaledwie mało ważnym pretekstem na użytek ludu bożego. Jest nieprawdziwa anegdota o tym, jak papież wzruszony sonetami Petrarki, postanowił zwolnić jego lub jego wybrankę (nie pamiętam) ze ślubów zakonnych, a wtedy Petrarka napisał do papieża, żeby się wstrzymał z decyzją, bo on ma jeszcze pomysły na kilka innych sonetów. „Tren dla ofiar Hiroszimy” Pendereckiego wcale nie był pisany z tą myślą, ale przed jakimś międzynarodowym konkursem podsunęto mu w ostatniej chwili taki tytuł – czy jakoś tak, bo szczegółów nie znam. Jednym słowem: utwór jest dla twórcy czymś milion razy ważniejszym niż jakaś tam idea, której rzekomo służy. Czyli „wyświecenie” Henricota zapewne uzyskało tytuł po

zakończeniu obrazu, kiedy trzeba go było jakoś na użytek „ceprów” (góralskie określenie) nazwać. Pani skojarzyło się z perwersją i zmysłowością, a jemu zapewne z numenem lub obrzędkiem. Ja nie daję w ogóle tytułów. O co walczył Henricot, nie wiem – może o formę, może o materię malarską. Ja walczę głównie o formę, i tu – moim zdaniem – udaje mi się zwyciężyć, oraz o materię malarską, i tu najczęściej przegrywam, gdyż daleko mi do Henricota, ale lepszy jestem o niebo od Picassa, który (jeśli idzie o materię) paćkał jak kura pazurem, co oczywiście (pomijając mnie) nie oznacza, że Henricot jest większym malarzem od Picassa.

Czy Wasza Wielmożność czai, o co biegnie, czy jeszcze nie? To wszystko nie jest aż takie proste, jak to widzą uczzone panie profesor. To tak jak z porównywaniem Rembrandta do Halsa: Rembrandt kładł farbę wręcz bosko, a obrazy Halsa sprawiają wrażenie, że spoiwem farby była dla niego margaryna Kama. Ja w te klocki jestem kiepsciutki i przez siebie już nie przeskoczę. Myślę, że lepszy jestem w budowie formy. Co to jest za zwierzę, ta forma. Trudno to w paru zdaniach wyjaśnić. Wisi u mnie obraz, który „znawcy” oceniają jako kompozycję falliczną. Każdy musi się wypowiedzieć, żeby go broń Boże nie uważano za idiotę, co to ani be, ani me, ani kukuryku, i z reguły tak się wypowiada, a tymczasem (vide zdjęcia) obraz ten był w założeniu krzyżem, ale w trakcie walki o formę, poziome ramię było zbyt przytłaczające dla delikatnej roślinności u dołu, po prostu zamykało sztywno przestrzeń u góry, więc je w końcu zamałowałem. Po ukończeniu obrazu i powieszeniu, zacząłem zbierać pochwały w stylu uczonych bredni o kompozycji fallicznej. OK. Niechże tak będzie. Jeśli komuś się wydaje, że w ten sposób zaczyna odbierać cokolwiek z obrazu, to jego prawo. Ja nigdy NIE WIEM tego, CO (w sensie rzekomej treści) namalowałem, bo to mnie prawie w ogóle nie interesuje. Pisałem poprzednio, że malując obrazy przez ostatnie 20 lat, najchętniej posługuję się myśleniem zbliżonym do wariacji muzycznych. Chciałbym to przy okazji jakoś dokładniej wyjaśnić. W celu wykonania wariacji trzeba mieć ich temat, i albo musi być to bardzo prosty temat podany na wstępie, który każdy od razu zapamięta, jak np. w „Enigma Variations” Elgara, albo temat powszechnie znany, jak swego czasu walc Diabellego w wariacjach Beethovena, czy też obecnie, trzecia część 2. symfonii Mahlera w wariacjach (symfonii) Berio. Podobnie jest w jazzie. Improwizacji z reguły dokonuje się w oparciu o powszechnie znane standardy. Jeśli temat wariacji będzie nieznany, to prawie nikt, poza wybranymi profesjonalistami, nie będzie w stanie podążyć za wariacjami i zgubi się już na początku. Tak więc tematem dla mnie jest z jednej strony idea obrazu i tego, co przedstawia, jaka wykształciła się przez stulecia, a także z drugiej strony, najbardziej powszechne oglądy rzeczy. Tak więc z jednej strony będzie to ukrzyżowanie, portret, akt lub krajobraz, a z drugiej strony twarz, postać, chmury, drzewo etc. Temat komponuję w sposób konwencjonalny, ale formę nadaję mu już własną, co pomagać ma odbiorcy w tym, by nie zagubić tematu i podążyć za formą (o ile potrafi). Co do oglądu rzeczy, to staram się nie zagubić w wariacjach kształtu, który wprawdzie odrealniam, ale nie do tego stopnia, by urwała się łączność z oglądem



Obraz w trakcie realizacji



Wysłanie w świat tego zdjęcia zaprzecza tezie, że Bex@ nie pozwalał podpatrywać obrazu w trakcie malowania nigdy i nikomu. Teraz przysłał nawet drugie zdjęcie „skończonego obrazu”

powszechnym. Czy cokolwiek w ten sposób Pani wyjaśniłem, czy tylko spowodowałem jeszcze większą ciemność?

Beksiński

From: [mailto:lilianasc@poczta.onet.pl]

Sent: Thursday, November 13, 2003 1:50 AM

Subject: Nasza Wielmożność czai, o co biegnie (albo tylko tak jej się zdaje).

Zaraz jadę do dr. Kwaśniewskiego w Ciechocinku. Wracam wieczorem albo w nocy.

From: <bex@acn.waw.pl>

To: <lilianasc@poczta.onet.pl>

Subject: Re: złągodniał Pan

Date: 11/17/2003

Ależ, Pani Liliano! Ja nie gardzę nikim i nigdy i zaręczam Pani, że zarówno z Adolfem Hitlerem, jak i z Ławrentijem Berią rozmawiałbym z zainteresowaniem i bez poczucia jakiegś moralnej wyższości. Oczywiście, mogą mnie czyjeś poglądy wkurzać i bywam czasami bardzo złośliwy w ich opisywaniu, ale każdy jest, jaki jest i jakby powiedzieli buddyści, nie można węża oceniać kategoriami sępa lub przeciwnie. Jedno lata, drugie się czołga. Taką Bóg mu dał naturę. Ja nie jestem sędzią! Tak więc nie złągodniałem, bo zawsze byłem chodzącą łagodnością, której dalej nie sposób już posunąć, tak jak nie można uzyskać temperatury niższej od absolutnego zera. Zwracam delikatnie uwagę na to, że chrześcijańskie apostołstwo nie wymaga od apostoła umiejętności 100% przestrzegania przykazań, lecz tylko wzmoczonego wysiłku w tym kierunku oraz świadomości, że zgrzeszywszy, złamał przykazanie, poza tym wyrzutów sumienia i żalu za grzechy oraz oczywiście aktu pokuty. Sam św. Augustyn powiedział, że 77-kroć na dzień upada. Swoją drogą, miał kondycję! Dziś zarabiałby pewnie w pornobiznesie. Mamy po prostu wpisane w genach oprogramowanie i zainstalowany pewien stereotyp zachowań i dążeń i niektórzy nie potrafią mu się oprzeć. Trochę inny stereotyp posiadają samce, a inny samice, ale w końcu dla religii liczy się właśnie to, co wyżej: świadomość grzechu, żal za grzechy i chęć poprawy oraz akt pokuty. Jeśli jakiś księżuło rżnie swoich kleryków, to wcale z tego powodu nie musi być gorszym księdzem, bo jest nie tylko księdzem, ale przede wszystkim człowiekiem, ale ponieważ lud boży wszystko postrzega w uproszczeniu, to dla świętego spokoju zwierzchnicy przenoszą go na inne stanowisko lub wywalają z pracy. Jest natomiast prawie pewne – i tu biję się we własne piersi – że wychowanie domowe wytworzyło u mnie bardzo silnie rozwiniętą niechęć do tego zakresu tematycznego, w jakim uwielbia zanurzać się prasa plotkarska. Pamiętam, jak moja mama, jeszcze w Sanoku w latach sześćdziesiątych, zgasła jednego z moich warszawskich kumpli, który zaczął jakąś gadkę na temat śp. Kaliny Jędrusik. Proszę pana – to jej prywatna sprawa! Było to u nas w domu w bardzo zasadniczy sposób przestrzegane: nie omawiać życia erotyczno-seksualnego

ani swojego, ani swoich bliźnich, a już w żadnym wypadku o tym nie plotkować. To są sprawy osobiste. W związku z tym czułem się dosłownie chory, gdy któryś z moich kolegów zaczynał się zwierzać i przez uprzejmość nie przerywałem (nie potrafię przerwać tokowania nawet antysemitom – jestem mało asertywny), ale marzyłem, by nareszcie przestał. To było jak naruszenie Tabu: „o tych sprawach się publicznie nie mówi”. Oczywiście daleki dziś jestem od podziwiania jakiegokolwiek Tabu, a w tym również Tabu, w jakim zostałem wychowany, tym niemniej zostało mi to do dziś, iż czuję się wręcz fatalnie, gdy ktoś zaczyna na ten temat pisać lub mówić. To w ramach wytłumaczenia się z moich reakcji.

Nie mogę wyjść z domu, bo w ramach dopasowywania drzwi wejściowych, dopasowaliśmy je w sobotę tak ciasno, że klucz od zewnątrz nie daje się obrócić, bo rygle się zacinają. Czekam na pana Krzysztofa i polecam duszę Bogu, by nie trzeba było wymieniać drzwi.

Aha. Co do wojny w Iraku, to nie mam na ten temat żadnego zdania. Nie umiem wyrobić sobie zdania, jeśli nie posiadam przesłanek, w oparciu o które wyciągnąć można wnioski, a ja posiadam tylko te informacje (i to wybiórczo – bo przecież nie tkwię przy telewizorze i nie czytam dzienników), które przynosi prasa i telewizja, a przynosi ona je podobnie jak i informacje o UFO. Są to więc tylko domniemania. Nasz wiek nie jest wiekiem informacji, lecz wiekiem historycznej dezinformacji i wielokierunkowej manipulacji.

Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: cd. biednego paluszka
Date: 11/19/2003

Problem w tym, że biologia nigdy się zapewne nie skończy, bo oprogramowanie jest zainstalowane w mózgu. Skończą się techniczne możliwości realizacji, bo hardware ulega degradacji, ale zostanie w mózgu software. To, z czym mamy do czynienia, to efekt lekkomyślnej obietnicy, jaką Jahwe udzielił Abrahamowi, nie skontrolowawszy, że oprogramowanie jest niedopracowane, gdyż zostało wykonane z myślą o Pierwszych Rodzicach. Potem Jahwe był wkurzony grzechem pierworodnym i bez zastanowienia chlapnął nakaz prokreacyjny, a resztę olał, nie pomyślawszy, że potem będą antybiotyki, wibratory, viagra, dziecko nadpoczęte, papież i prezerwatywy, jednym słowem program został po latach zawirusowany, a nie było już abgrejdów, bo ogłosił, że jest nieomylny, więc trudno mu się było przyznać do tego, że sam skoopał robotę. Potem na dodatek złożył tę obietnicę Abrahamowi, zapomniawszy, że do oprogramowania powinny być doinstalowane łaty (patch), a może się polenił w nadziei, że jakoś samo się uklepie. Nie uklepało się! Tak więc nasze dzisiejsze problemy załatwiać możemy tylko na obszarze wyobraźni tak jak stary Goethe, który chcąc przelecieć małą latę, na co albo ona nie miała ochoty, albo on już nie mógł, musiał napisać „Fausta”. Przykre, ale prawdziwe. Kończę wykład z Teologii Stosowanej i pięknie pozdrawiam

Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: brrrrrrr, ida święta
Date: 11/21/2003

Nie mam paluszków tylko paluchy, no – powiedzmy – palce. Nawiasem: nie cierpię zdrobnień. „Taksóweczka utkwiała w koreczku, proszę na razie nie wychodzić z domciu, aż zadryndam przez telefonik” (dosłownie!). Świąt nigdy nie znosiłem poza dzieciństwem, gdy liczyłem na prezenty, a jakież prezenty mogłyby dziś mieć dla mnie ten sam wymiar niedostępności jak prezenty pod choinką w dzieciństwie? Studio komputerowe za 5 milionów dolarów? Prywatny helikopter z załogą na każde życzenie? Nie mam takich potrzeb, a na te skromne, jakie posiadam, umiem sobie zarobić. Mogę tylko powiedzieć, że jeszcze bardziej nie lubiłem Świąt wtedy, gdy miałem je z kim spędzać, bo trzeba je było właśnie „spędzać”, na dodatek inaczej się odżywiać, jeść jakieś cholerne makowce, ubierać się w sposób niewygodny, chodzić na wizyty do rodziny, która z okazji świąt upodabniała się ubiorem do rodziny Adamsów i czekać, by ten świąteczny koszmar nareszcie się skończył. Dziś w każde święta przynajmniej wiem, że czas należy do mnie i od rana ubieram się w brudne sandały, wyplamione szorty i takież podkoszulek i zabieram się do malowania. Nie muszę zmieniać stylu jedzenia, ani nawet się golić. Nie oznacza to jednak, że Święta polubiłem, bo w Święta ilość potencjalnych możliwości jest jednak ograniczana przez tradycję: Sklepy są zamknięte. Po technika komputerowego nie można zadzwonić. Nawet dalsze roboty u mnie przełożyliśmy na styczeń, aż przewalały się Święta. Może też przyturlać się znienacka jakaś kuzynka, która, podobnie jak ja, jeszcze dożyła, i z dobrego serca przytargać w koszyku samotnemu starcowi jakieś świąteczne paskudztwa do jedzenia. Trudno udawać, że nie ma mnie w domu, bo zawiadomi pogotowie i straż pożarną z drabiną. To koszmarny okres, ale obecnie, po utracie całej rodziny, przechodzę go jakoś gładziej niż dawniej.

No cóż. Gdy padnie Miller, będzie Pani przeprowadzać do VIVY! wywiady z Lepperem i jego rodziną. Jeszcze on tylko został temu oczekującemu na Wielki Cud narodowi. Gdyby to był wiek XIX, to Lepper kupiłby sobie tytuł barona i przeprowadzałaby Pani wywiady z baronostwem von Lepper. Pozdrowienia
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: dr Sigmund prawie Freud
Date: 11/23/2003

Muszę się spotkać (czego wręcz nie cierpię) z czytelnikami w empiku w dniu 9 grudnia, czyli w najzimniejszym okresie roku, w którym w ogóle nie wychodziłbym z domu. Niech szlag trafi wszystkich wydawców, wydawnictwa, wydania, czytelników, czytelnie, czytelnictwo, czytanie, książki, księgi, księgozbiory, księgarnie, księgowych, księży, księżyc i całą resztę. Będę na dodatek musiał uda-

wać, że wydanie jest świetne, czyli kłamać, czyli robić to, czego najbardziej nie cierpię robić. Po co mi to? Po co było robić reedycję czegoś, czym rynek został już dostatecznie nasycony. Nawiasem: urodzin oraz imienin nie obchodzę.
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: przyjdę 9 grudnia. Mogę?
Date: 11/24/2003

Jest Pani wolnym człowiekiem, więc nie mogę przecież zabronić Pani przychodzenia do empiku w dniu 9 grudnia, chociaż ja od dwóch czy trzech dni ogromną ilość czasu poświęcam na rozważanie, w jaki to sposób się od tego wykręcić, by musiał to zaakceptować Szymanik. Rozważałem nawet koncepcję, by wpaść pod samochód. Boże, jak ja czegoś podobnego nie znoszę!!! Robię z siebie durnia tylko dlatego, że jestem mało asertywny i nie chcę zawieść oczekiwania wydawcy. Co do aukcji, to biorę udział w rozmaitych aukcjach tego typu albo grafikami, albo obrazami, z tym, że grafik już nawet nie liczę, a obrazy muszę liczyć, bo nie maluję ich aż tak wiele. Jeśli idzie o obrazy, to co roku uczestniczę w trzech aukcjach: „Brata Alberta” (Rzeszów – domy starców), „Wielkiego serca” (Kraków – dzieci opóźnione w rozwoju) i w Nowym Jorku na rozmaite cele, ostatnio na zakup markowego fortepianu dla szkoły baletowej, poprzednio na odbudowę domu Mickiewicza w Wilnie etc. – patronuje tym aukcjom Ochman. Obecnie rynek sztuki w Polsce tak podupadł, że i aukcje tego typu zaczną przynosić coraz niższe dochody, jeśli w ogóle jakieś przyniosą. Pozdrowienia
Beksiński

PS: Korytarzyk już gotowy. U góry po lewej jeden z dwóch monitorów.

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: Gdzie jest ten empik???
Date: 11/25/2003

Co do empiku, to chyba się stawię (o ile realnie nie zachoruję), ma to być gdzieś w empiku obok „palmy” (tak mi powiedział Szymanik). Jeden Bóg raczy wiedzieć, gdzie to jest, ale nie pytałem dokładnie, by mieć o jeden powód więcej do zdezerterowania. Pewnie mnie jednak dowiozą jak na szafot. Ma to być 9 grudnia o godzinie 13. Boże: jeszcze ten mój zanik słuchu! „Dla Basi Trzebieszczczyńskiej i rodziny Klambiptyczyńskich”. Przepraszam, proszę powtórzyć. I tak już wielokrotnie źle zadedykowałem. Gdy podpisywałem w empiku nad domami centrum, panienska uczesana na wypłosza, ze sterczącymi na wszystkie strony kolorowymi włosami, prowadząc mnie poprzez kioski z czasopismami na dole, zaczęła od razu trajkotać przez antenowy mikrofon, co roznosiło się po wszystkich megafonach, że za chwilę na pierwszym piętrze podpisywać albumy będzie „artysta światowej sławy (dosłownie!) pan Beksiński”, ja zrobiłem się czerwony i tłu-

maczyłem sobie tylko, że i tak nikt na dole nie wie, że ja to ja, potem jakoś to przeszło, bo na szczęście nie było za wiele ludzi, ale panienska od naganiania nie wypuściła mikrofonu i odbijało jej co kilka minut tym artystą światowej sławy, obijało się echem po całym budynku. No, ale wracając do naszych baranów, to może pod tą palmą nie będzie takiego koszmaru. Jedni to lubią, a inni nie. Ja należę do takich, którzy tego wręcz nie cierpią i marzą tylko o tym, by mieć to nareszcie poza sobą. No, ale nie mogę tego po sobie pokazać. O Boże: żeby to już był dziś 10 grudnia!!! Pozdrowienia
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: minie jak błysk
Date: 11/26/2003

No cóż: mam cichą nadzieję, że do spotkania nie dojdzie, bo wczoraj nawrzucałem w mailu Szymanikowi, że przygotowalnia w Wilanowie i drukarnia w Hongkongu, które nieustannie reklamuje, nie powinny brać się za drukowanie Albumów, lecz skoncentrować na opakowaniach do chrupków, bo nawet prowincjonalne oficyny w Polsce drukują sto razy lepiej. A propos podpisywania, to wielokrotnie już podpisując, zauważyłem prawidłowość: gdy ludzi jest niewiele, to wystarczy im goły podpis. Gdy pojawia się kilkoosobowa kolejka, to np. trzecia osoba pyta, czy nie mogłoby być „dla Beaty”. Trudno bym odmawiał, uśmiecham się i piszę, ale to ośmiela kolejną osobę, czyli „dla Wacka”, ale kolejna już posuwa się dalej po zaminowanym terytorium i prosi „dla Jolki Zypcyk-Voiglenhauer”, przepraszam, jak się to pisze: Siebzig oraz V czy W? I tak dalej, ale następuje boska przerwa. Znowu pojawia się ktoś, komu wystarczy podpis, po czym trzy czy czteroosobowa kolejka i znowu narasta stylistyczny barok wymagań. Czasem niektórzy mają kilka rzeczy do podpisu, bo i album, i jakiś inny mój album, i jakieś dwa zaproszenia na wystawę, i jeden artykuł z gazety. Być może pojawia się i tacy z Pani wywiadem z VIVY!. Tak więc nic tu nie zależy ode mnie! Tak więc w oczekiwaniu na ten koszmar, rzeczywiście (dokładnie tak jak Pani napisała) stracę dwa tygodnie kończącego się życia. Dlatego też nienawidzę, gdy jakieś atrakcje przerywają mi mój spokojny sen i trzeba choćby złożyć komuś wizytę lub odebrać nagrodę. Rany boskie!!! Cały tydzień oczekiwania mam z głowy. Pozdrowienia
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: minie jak błysk
Date: 11/26/2003

Problem ze znakami zodiaku jest taki, że w zasadzie pasują do wszystkiego, a na dodatek je zazwyczaj częściowo akceptujemy, bo nam ZAWSZE schlebia-

ją i brzmią mniej więcej tak: „Jesteś zamkniętym w sobie, niezwykle wrażliwym człowiekiem, niezrozumianym przez otoczenie i cierpiącym z tego powodu”, zamiast: „Jesteś koszmarnym nudziarzem, z którym nie wytrzymałaby twoja własna żona, gdyby nie była tak szpetna i głupia, iż jesteś dla niej jedyną szansą” i tak dalej można by się było bawić w dychotomię tego typu. Niech Pani sobie odpuści prostą wiarę w synchronizm (bo astrologia i horoskopy to dziennikarskie popłuczyny po starochińskim synchronizmie, podczas gdy nasza kultura oparta jest na przyczynowości). Zapewne jest jakiś diament w tym popiele, ale nie tak łatwo do niego się dziś dociera, jak to zwykli czynić redaktorzy tej rubryki w gazetach, którzy w końcu muszą z czegoś żyć. Brunet wieczorową porą...

Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: Wszędzie!
Date: 11/28/2003

Na Boga! Co to są „laundry”? Jestem prostym człowiekiem z prowincjonalnej Galicji i żadnych pojemników na jakieś laundry nie posiadam. Istnienie mnie wcale nie boli. Boli mnie: głowa, krzyże, czasami skaleczony palec, przez wiele lat bolały mnie drogi żółciowe i byłem na nie 3-krotnie operowany, ale nie boli mnie istnienie. Istnienie sprawia mi największą możliwą frajdę. Jeśli mógłbym to doznanie do czegoś porównać, to raczej do wiatru w żaglach. Nie wyobrażam sobie, że mógłbym fakt istnienia dobrowolnie skrócić – no, może w wyniku straszliwych nie do wytrzymania męczarni fizycznych, jakie podobno są czasami udziałem chorych na raka. Co ma wspólnego z bólem istnienia potrzeba jakiego takiego porządku wokół siebie? To kwestia adaptacji do określonych warunków. To akurat wpoila mi żona, bo należałem w młodości do facetów, którzy w ubłoconych traktorach potrafili wałnąć się na tapczan, a nadmiar rzeczy ze stołu spychali tak, że spadały po przeciwnej stronie na podłogę. Lubi Pani, gdy cukier i okruszki zgrzytają na podłodze z drewna doussie pod butami? To nie jest temat do rozważań o transcendencie, lecz zadanie dla odkurzacza. Od tego on jest. Dawniej tego nie zauważałem i byłem zadowolony – to fakt, ale teraz zauważam, bo zostałem przez żonę przeprogramowany i to wszystko. W imię czego mam się potwornie przeprogramowywać? Dobrze jest, jak jest. Co to ma wspólnego z bólem istnienia?

Oby nie doszło do 9 grudnia!!! Szymanik po moim ostrym mailu, że wstydzę się podpisywać taki bubel, a jego producenci powinni skoncentrować się na produkcji opakowań do chrupków, milczy jak zakłęty. Oby się obraził i wycofał!!! Pięknie pozdrawiam

Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: to mnie zwilża!
Date: 11/29/2003

To trzymamy kciuki za coś diametralnie innego. Codziennie rano, gdy patrzę na pocztę i zaczyna spływać jakiś mail, to mam nadzieję, że to nareszcie od Szymanika. Niestety, nabrał wody w usta. A więc zostaje mi już tylko jedna szansa: nieoczekiwanie zachorować na dwa dni przed 9 grudnia. Nie będę już więcej świecić oczami za Szymanika, gdy padnie z sali pytanie. Lepiej i dla Szymanika, by mnie tam nie było.

Co do barteru, to zawsze u ludzi mamy do czynienia z nieuświadomioną sytuacją handlową: ty mnie to, ja tobie tamto i liczy się zawartość „portfela” obu stron, ale mnie (podkreślam: mnie!!! – bo nie jestem Luter i nie stawiam TEZY) ten zakres handlu i na tym obszarze ludzkiej aktywności zdecydowanie nie odpowiada. Bez trudu znaleźć go mogę w każdej lepszej agencji towarzyskiej, a nawet na trasie pod lasem. Ja chciałbym (jeśli już koniecznie musimy korespondować na tematy z pism dla kobiet) budzić u partnerki taką samą emocję, jaką ja sam odczuwam, a tego nie da się skłamać, nawet w wypadku „biernej” fizjologii kobiety. No, chyba że jest ona gerontofilką, którą w dzieciństwie dmuchali tatuś, wujkowie i dziadzio, co doprowadziło u niej do tzw. skrzywienia stereotypów dynamicznych. Wbrew opowieściom, jest raczej niewielka liczba takich osób, natomiast ogromna liczba 18–20 letnich panienek z prowincji, które przyjechały do Warszawy po karierę w przekonaniu, że dobry Bóg w swym nieskończonym miłosierdziu wyposażył je na kilka lat w kartę kredytową pod spódnicą, której głuportą byłoby nie wykorzystać, zanim upłynie termin jej ważności. Zazwyczaj są to osoby nierozbudzone emocjonalnie i traktujące te sprawy instrumentalnie, jako stopnie do kariery. No cóż. Poznałem kilka takich osób i byłem im zawsze życzliwy – jako iż z reguły życzę ludziom dobrze, niemniej jednak akurat nie o tym marzył zgrzybiały dr Faust. Pozdrawiam
Beksiński

From: <lilianasc@poczta.onet.pl>
To: <bex@acn.waw.pl>
Sent: Sunday, November 30, 2003 1:33 AM
Subject: skrzywienie

Już dobrze, dobrze, od dziś trzymam kciuki za to samo co Pan.

Dziś widziałam w „Rzpie” reklamę wydawnictwa BoSz połączoną z jakimś konkursem. Kazali odpowiedzieć na dwa pytania, wtedy ktoś dostanie coś – czyli książkę wydawnictwa. Ten Pana sumiasty Szymanik – całkiem operatywny. Spadam do łóżka, bo nie odespałam zarwanej nocy. Żebym ja jeszcze spędziła ją na czymś sensownym. Ale nie! Pan oczywiście zaraz powie, że mnie się wszystko kojarzy z jednym. I będzie miał Pan rację.

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: skrzywienie
Date: 11/30/2003

Konkurs z nagrodami? Jeszcze chwila a wymyśli, że w ramach głównej nagrody malarz Beksiński odmaluje zwycięzcy mieszkanie. W minionym okresie książkę dostawaliby chyba przodownicy pracy i wyróżniający się uczniowie szkół zawodowych. Na pohybel! Szymanik jest sympatycznym facetem, ale wkurza mnie to, co mnie wkurza, a nie Szymanik jako taki. Być może zresztą, że moja niechęć do teorii spiskowych lub raczej potrzeba poczucia, że otaczają mnie ludzie mili i życzliwi, powoduje, że daję się nabierać na epidermę, a tak naprawdę to im chodzi wyłącznie o szmal. W końcu nie biorę nigdy najmniejszej nawet forsy za żaden album, wychodząc z założenia, że mam za co żyć, więc powinienem mieć choć tę satysfakcję, że pojawia się coś, co mnie jako tako reprezentuje. W przeciwnym wypadku wszystko to nie ma dla mnie najmniejszego nawet sensu. W końcu jednak może za bardzo się przejmuję? W dzień powszedni – czyli we wtorek o godzinie 13 – i tak prawie nikt nie przyjdzie, więc może mieć to w nosie?

Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: album BoSza
Date: 12/03/2003

Nie cierpię imprez i nie uwielbiam grudnia. Wręcz NIENAWIDZĘ grudnia chyba najbardziej z wszystkich miesięcy roku. Drugi w kolei jest listopad, a następnie cała zima. W kraju, który by mi jako tako odpowiadał, powinien panować przełom lipca i sierpnia. Oczywiście w najzimniejsze dni! W inne dni powinno być znacznie cieplej.

Sukinkot Szymanik milczy jak zaklęty i muszę coś wymyślić, by wyłgać się od tego podpisywania 9 grudnia. Może jednak naprawdę zachoruję? Od wczoraj od tego czołgania się pod stołami mocno okulałem. Może pójść tym tropem?

Beksiński

From: <lilianasc@poczta.onet.pl>
To: <bex@acn.waw.pl>
Sent: Thursday, December 04, 2003 2:25 AM
Subject: gęsina pachnąca Coco

Zapomniałam napisać Panu wczoraj, że oglądając duży album „Beksiński 2” BoSza, zdumiało mnie Pana młodzieńcze zdjęcie. Był Pan na nim radośnie uśmiechnięty, w rogowych okularach, tłusciutki. Kto by pomyślał.

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: gęšina pachnąca Coco
Date: 12/04/2003

To moje przepiękne zdjęcie z indeksu zatytułowałem, wysyłając je do wydawcy: to nie jest nieślubny syn Ławrentija Berii, tylko ja. Dieta Kwaśniewskiego wymaga STRASZLIWYCH wyrzeczeń. Ciągnie Pani złośliwie (w reakcji na wykład o problemach komputerowych) ten horror dalej. Przepraszam i już nie będę o komputerach, ale umiem pisać tylko o tym, co mnie w danej chwili pochłania. Dziś już może wezmę się w końcu do pracy, ale około godziny 15 mam odbiór (przez przedstawiciela spółdzielni) mego korytarzyka, a przedtem muszę jeszcze dokończyć porządki wokół. Jak to się dzieje, że przed 10 laty wystarczył mi dysk twardy 40 megabajtów i kilka dyskietek, a wczoraj wyrzuciłem do zsypu ponad 200 CD (każdy z zawartością do 700 megabajtów) z niepotrzebnym już śmieciem, zapisanym przez ostatnie dwa lata, między innymi materiał do albumu i zapewne też to moje zdjęcie z indeksu, które trzeba było elektronicznie retuszować, wywalając ślady po pieczętce uczelni i nity, którymi było przyszyte. Na przejrzenie oczekuje jeszcze jakie 300 do 500 innych. Wszystko dziś się elektronicznie zapisuje. Mimo wyrzucania miliardów informacji do zsypu i tak zaśmiejemy przyszłe pokolenia taką ilością dokumentacyjnego śmiecia, jakiej nigdy w przeszłości nie było. Zostawały tylko po babci pożółkłe listy przewiązane kordą i wyblakłe dagerotypy, a teraz biliony cioć w nowych sukienkach na tle Bosforu czy placu św. Marka. Spowoduje to chyba jakąś społeczną reakcję podobną do idei ikonoklastów, czyli precz z dokumentacją i historią.
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: też lubię ciepło
Date: 12/05/2003

Najpóźniej jutro muszę z wielką przykrością zawiadomić Szymanika, że mam lumbago, zaziębilem się, spadłem ze schodów i potłukłem, mam alzheimera oraz AIDS, wyrastają mi trzecie zęby, ale na czole lub na tyłku, i dlatego przykro mi, ale nie będę w stanie we wtorek podpisywać bubla. Może Pani mi coś podda, niepomna tego, iż nie wymyśliłem żadnego pytania dla Hausnera.
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: słowo prawdy
Date: 12/06/2003

Szymanikowi kilka słów prawdy napisałem, i to może nazbyt ostro i złośliwie, jeszcze w listopadzie przed dwoma tygodniami, nie uzyskując żadnej odpowiedzi. Teraz nawet zacząłem się łamać, że może ktoś jednak przyjdzie, komu za-

leży na podpisie, że może powinienem się jak zwykle podłożyć dla dobra ludu bożego, ale Jehowa postanowił mnie uszczęśliwić po swojemu i ponad wszelką miarę: Wróciło od rana lumbago i ledwie się ruszam!!! Alleluja! Hosanna! Chwała niech będzie imieniu Pana! Nie muszę łąć. Czystą prawdę zaraz napiszę. Gdybym nawet tam się dowlókl, to i tak bym nie mógł w tych warunkach siedzieć przez godzinę i zgięty przy stole podpisywać, bo aż skręcam się z bólu. Biorę się za mail do Szymanika i odpisywanie na inne maile. Jak temu podołam, bo już teraz jęczę z bólu?

Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: nie mam laski
Date: 12/09/2003

Odpieprzę jakoś to spotkanie tylko dla Szymanika, bo mnie prosił. „Trudno, jak się jest kretynek, to się ma”.

Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: być pierwszym!
Date: 12/10/2003

No cóż: coś się Pani pokiełbało z terminami, bo to spotkanie odbyłem (jakie szczęście, że to już za mną) w dniu 9. bm. i o takim terminie – Bóg mi świadkiem – zawsze do Pani pisałem. Nic Pani nie straciła, bo jak zwykle były to pytania typu: skąd bierze pan pomysły do obrazów i inne takie. To była jakaś taka kawia-renka czy barek w podziemiu i na szczęście nie było tam za wiele miejsca. Od biedy słyszałem pytania. W moim lewym uchu zauważy Pani aparat słuchowy. Cała reszta stereotypowo. Niestety, moje krzyże nadal bołą. Wysyłam kilka zdjęć, ale kolega, którego prosiłem o ich wykonanie zrozumiał to tak, że zależy mi na moich zdjęciach, tak więc ani razu nie sfotografował wnętrza. Sorry. Pięknie pozdrawiam, skręcając się na krześle z bólu.

Beksiński

From: <lilianasc@poczta.onet.pl>
To: <bex@acn.waw.pl>
Sent: Wednesday, December 10, 2003 12:57 PM
Subject: kompletna

Oczywiście, że napisał Pan prawdziwą datę, ja zresztą też, bo nawet pytałam w tytule „czy mogę przyjść 9. pod palmę?”. I proszę nie zaprzeczać i „przez grzeczność nie przeczyć”. Totalna kretynka.

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: kompletna
Date: 12/10/2003

Nie będę przysięgać, ale jakoś tak utkwilo w mej pamięci, że 10. bm. miał pojawić się w Warszawie pani „dochodzący” z Brukseli i poważnie liczyłem się z tym, iż pojawi się z radosną wieścią: udusiłem żonę, jest na Okęciu w przechowalni w czterech walizkach, a głowę mam ze sobą. Pomóż coś z tym zrobić. Bo na jakąś odmianę życia można liczyć w warszawskim empiku? Być może także ja omyliłem się w datach. O Boże: w tej sekundzie wróciłem z Media Markt, przedtem przez godzinę stałem w banku w koszarnej kolejce, tak jakby dziś nastąpiło lądowanie kosmicznych emerytów na naszej planecie. Za chwilę jakaś dziennikarka z Polskiego radia 2, w sprawie rozmowy, a nade mną kuja i wiercą. Kończę i pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: uwielbiam
Date: 12/11/2003

Straszne! Doprowadzi Pani do tego, że zacznę się lękać kobiet. Czy każda kobieta myśli tylko o tym, jak złapać faceta, nawet jeśli facetem jest dostojny dziadek? Rzeczywiście trochę mi było głupio, jak dostałem tę kurtkę, ale raczej sądziłem, że pewnie chodzi jej o jakieś „dzieło” w przyszłości czy coś takiego. Ta pani jest chyba osoba samotną, stomatologiem i chodziła w Sanoku do szkoły o rok niżej od mego syna, mieszka na Śląsku, nie jest w moim typie, ale lubię, gdy czasami zatelefonuje, bo lubię gadać. Boże święty, czy każdą kobietę muszę rozpatrywać od strony erotycznej? Wiele osób mnie chyba lubi, bo staram się być miłym człowiekiem, ale to chyba nie znaczy, że zaraz zaczynają na mnie liczyć w sensie erotycznym. Jeszcze chwila, a wpadnę w panikę, przestanę odpowiadać na listy i telefony, podobnie jak ten facet od Waldorffa, którego Pani opisała. Przecież znam wiele rozmaitych kobiet – czy każdej mam się zacząć bać??? Jakaś pani z Krakowa, która przed kilkoma laty telefonowała czasem trzy razy dziennie (ona rzeczywiście sfiksowała na moim punkcie, na szczęście od roku już się odkleiła), a potem przyjechała nagle i to fakt, iż zacząłem się obawiać, że chce się zakotwiczyć, bo była rzekomo przejazdem i miała ze sobą walizki, co spowodowało, że nagle, utraciłem wrodzoną ufność do ludzi i ich intencji, a nawet (gdy ona trajkotała) zacząłem rozważać, co w takich sytuacjach robił Landru. Czy kwas azotowy, czy siarkowy? Czy moja wanna wytrzyma, na pewno zmatowieje glazura. Cholera! A jeśli od kwasu puszcza rury poniżej? Jak ją poćwiartować? Mam kłopoty nawet z kurczakami z KFC. No nic, zadzwonię do Noszczyka: słuchaj, Wojtek, od czego zacząć ćwiartowanie... no nie... już za późno, nie wypada go budzić, a zresztą trzeba ją czymś najpierw zaprawić w łeb.

Czy lepszy będzie posążek od Stowarzyszenia Brata Alberta w nagrodę za wspieranie fundacji, czy posążek od Aukcji Wielkiego Serca za to samo. Oba zrobione przez profesora Chromego, ale autor nie przewidział rękojeści i mogą się skaleczyć, jeśli źle wezmę zamach. Chyba ten od Brata Alberta jednak lepszy do tego celu. Nie da się zająć od tyłu, bo siedzi na tapczanie i trajkocze. Trzeba będzie chyba przeprosić. Tak będzie uprzejmie. „Bardzo przepraszam, ale muszę panią walnąć”. I co potem? Mam dwie duże walizki, ale też mam chory kręgosłup. Już widzę, jak taskam walizkę, a upierdliwy pies z sąsiedztwa węszy za nią i ujada (gdy o tym myślę, dama cały czas trajkocze), sąsiadka otwiera okno i woła: „niech się pan sam nie trudzi, zaraz mąż zejdzie i panu pomoże”, a druga z drugiego okna dodaje: „a nie może to panu pomóc ta młoda kobieta, która przysłała do pana przed południem, nikt teraz nie ma szacunku dla starego człowieka” – no, a kobieta już w walizce. Połówka młodej kobiety. Druga czeka jeszcze w mieszkaniu zawinięta w folię do pakowania obrazów i już nie trajkocze (choć na razie nadal trajkocze). Już drugi pies i trzeci doszłusowały i ujadają przy walizce, a czwarty dobiega, co najmniej piętnaście innych zaś rozszczękało się z odległości, w coraz większej liczbie okien zapalają się światła (a ta pani cały czas trajkocze), moje myśli zaś biegną coraz dalej, w końcu bohater Poeogo замуrował trupa w ścianie. No, ale wtedy inne były ściany... Jednym słowem koszmar, a Pani teraz mnie ponownie w niego wpędza swoimi dywagacjami. Sąsiadka z piątego chyba piętra jest chyba emerytowaną lekarką i osobą w wieku czcigodnym. Prawie jej nie znam. Czyżby i ona??? Ucieknę do Buszu. Żadnej kobiecie więcej nie otworzę drzwi mego mieszkania! My Home is my Castle. Howgh
Beksiński

From: <lilianasc@poczta.onet.pl>
To: <bex@acn.waw.pl>
Sent: Thursday, December 11, 2003 11:24 PM
Subject: błagam

Baaaardzo mi zależy, aby nie zaczął się Pan bać kobiet. Błagam, tylko nie to! Może je Pan nawet mordować w dużych ilościach, w nieogarnionej wyobraźni, ale zero strachu! Są niegroźne. Im bardziej skomplikowane, tym mniej. Z reguły nienachalne, coś usiłują, coś dają do zrozumienia, bo często same nie wiedzą, czego tak naprawdę chcą. Marzą o przyjaźni, a chcą seksu. Albo na odwrót.

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: marzenia
Date: 12/13/2003

Gdyby poznała pani tę „sierotę”, która po śmierci Tomka przedstawiła się telefonicznie jako dziennikarka pisząca powieść pokoleniową, w której chce pisać coś o moim synu, i w tym rzekomo celu pojawiała się w Warszawie trzykrotnie, oraz

wykonała ze 100 telefonów, każdy po 2 godziny (tak, że wyłącznie w tym celu kupiłem sobie wtedy nagłowne słuchawki z mikrofonem, bo cierpiał mi ręką), stosując metodycznie technikę obsikiwania terytorium – na Boga: nie jestem idiotą, który tego nie zauważy – tu nasuwałoby się raczej określenie wiatrówka na nosorożca. Podobno „dobrze mi z oczu patrzyło”. Tak samo jak mnie patrzyło dobrze z oczu trzem jej pozostałym idolom, czyli aktorowi Sydneyowi Poitierowi, Fidelowi Castro i Grzegorzowi Piotrowskiemu – pani uważała się za neokomunistkę, ale de facto była (po ojcu) kamienicznikiem, co jej w którymś momencie wygarnąłem, bo już nawet ja nie wytrzymałem. Zaręczam jednak – bo nikt jakoś nie bierze tego pod uwagę, że faceci też mogą czuć się molestowani, a sierota (ma Pani rację: było mi jej żal) może być zarazem nosorożcem. „Życzliwa kobieta”. Rany boskie: raczej nieszczęśliwy i nieprzystosowany walec drogowy, który rozgniała wszystko na miazgę. Można komuś współczuć, ale zarazem się go bać! W tym okresie (po śmierci żony i syna) nie była ona jedyną damą, w której wzbudziłem zainteresowanie i które po artykule w VIVIE!, postanowiły – zgodnie z dyrektywami Wałęsy – brać sprawy we własne ręce, ale ją głównie zapamiętałem, bo była nieustępliwa. No nic, muszę kończyć, bo przyszła pani od sprzątnia.

Beksiński

From: <lilianasc@poczta.onet.pl>

To: <bex@acn.waw.pl>

Sent: Sunday, December 14, 2003 2:04 AM

Subject: dostojny i doświadczony

Jezu, ja naprawdę nie zdawałam sobie sprawy, że Pan jest tak głęboko, boleśnie i dotkliwie doświadczonym przez kobiety człowiekiem, właściwie udręczonym. Nie miałam świadomości, a powinnam, bo w końcu po to się kręcę tyle lat jako dziennikarka obyczajowa wokół dupy, że powinnam lepiej kumać i kojarzyć. Rozpoznawać sytuację i człowieka, obwąchiwać, nie, obsikiwać teren – jak To Pan ładnie nazwał, i wiedzieć, że taki sławny, interesujący, głęboki, przystojny, majątny, umiejący słuchać i gadać (jedno i drugie kobiety uwielbiają!!!), dostojny, znakomity rozmówca, delikatny, mało asertywny, i doświadczony, utalentowany starszy pan – może mieć krzyż pański z namolnymi babami. I że może jednak mam za dużo złudzeń na temat własnej płci. Tak bywa, gdy się innych mierzy własną miarą. Spaliłabym się ze wstydu, szczęła, spłonęła na popiół, gdybym... gdybym miała się komuś narzucić. Brrrrr...

Dawał Pan sygnały w korespondencjach, że miał już różne mniej i bardziej niemile przygody (pierwszy sygnał w wywiadzie, o zabijaniu admirałerek packą na mu-chy). Niemniej jednak myślałam, że to były takie właśnie niewinne próby, których wprawdzie nigdy nie można nazwać bezinteresownymi, ale jest to bezinteresowność usprawiedliwiona, cywilizowana, zrozumiała, kulturalna (nawet ja nie jestem bezinteresowna, bo obcowanie z Pana błyskotliwym intelektem jest jedną z fajniejszych rzeczy, jakie mi się przytrafiły w życiu). Z drugiej strony jest przecież po-

wiedzenie „na wojnie i w miłości wszystkie chwytty są dozwolone”. Może któraś z nich (ta od książki albo ta trąkocząca brawurowo, unicestwiona w Pana myślach na oczach osiedla) naprawdę była w Panu zakochana?

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: dostojny i doświadczony
Date: 12/14/2003

Ma Pani rację. Dwie damy z tego całego peletonu oświadczyły mi się: jedna przez telefon, a jedna młoda osobiście, i było to dla mnie najbardziej przykre przeżycie w ostatnich latach, bo nie umiem odmawiać, jest to dla mnie najtrudniejsza rzecz w życiu, ale w końcu trzeba było to zrobić – czułem przez wiele dni potem wewnętrzny niesmak, czułem się dosłownie chory, może kobiety są – na skutek stereotypów cywilizacyjnych – bardziej w tym wyćwiczone i łatwiej im to przychodzi, a może tak samo trudno jak mnie. Mój Boże: nie umiem dźwigać cudzych emocji, czuję się, jakby mnie coś obklejało, jakbym do czegoś był zobowiązany, a jako uznany w pewnych środowiskach malarz, nawet z panami mam podobny kłopot, bo tłumaczenie komuś, że jego wiersze są do dupy, a jego malarstwo tyle warte, ile jego wiersze, jest dla mnie równie trudne, jak dawanie odporu czymś uczuciom, nawet gdy podejrzewa się, iż są sztucznie wyolbrzymione. Najchętniej uciekłbym przed ludźmi i ich ekspansją, ale z kolei bardzo lubię gadać, jeśli to gadanie nie łączy się z jakimiś osobistymi emocjami interpersonalnymi. Nie mówię oczywiście o pleple (to była specjalność jednej z pań) typu, że musimy coś zrobić my, miłośnicy Paula McCartneya, by ocalić go od jakiejś awanturnicy na jednej nodze, z którą on chce się ożenić. Miałem razem z nią napisać list protestacyjny, bo moje nazwisko się liczy i tak dalej. Nie wiem, czy McCartney ożenił się w rezultacie z tą panią na jednej nodze i guzik mnie obchodziło, z kim chciał się żenić, bo to sprawa jego i tej pani na jednej nodze. „Jak oni będą seks uprawiać, gdy ona ma jedną nogę”. Tłumaczenie w stylu mojej mamy, że to ich sprawa, nie wchodziło w grę. Tłumaczenie, że noga w zasadzie nie jest konieczna potrzebna do uprawiania seksu, wydawało mi się zbyt trywialne. Ja nie żartuję. Dla tej (także należącej do zainteresowanych mną) pani był to przez ponad pół roku poważny problem, ale w końcu znikła z horyzontu. List protestacyjny! Dlaczego mam być narażony na taki bełkot – przy czym była to osoba z wyższym wykształceniem i wyrażająca się stylem wskazującym na spore czytanie. W porównaniu z tym telefon od jednego biskupa, bym namalował św. Józefa, był już relaksem, mimo iż też musiałem odmówić. Po prostu coraz bardziej lękam się ludzkiej zaborczości i w związku z tym coraz bardziej lękam się ludzi. Czyli reasumując: najbardziej ze wszystkiego w życiu nie cierpię odmawiać, a nieustannie muszę to robić. Czy bezludna wyspa lub klasztor nie byłyby w takiej sytuacji wybawieniem? Ha. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: poniedziałek
Date: 12/15/2003

Nikt nie jest doskonały. Każdy ma gdzieś słaby punkt. Ponad moje siły byłoby wykrztuszenie w tej czy innej formie formuły „spadaj”. Obojętnie, czy w stosunkach męsko-damskich, czy jakichkolwiek innych. To właśnie jest dla mnie niewykonalne. To pod pewnym względem podobne do lęku przed pajakami. Cóż mi może zrobić mały pajak, a wpadam w histerię, gdy go zobaczę. Z wilkiem czy nawet z tygrysem usiłowałbym (choćby bez szans) walczyć – mały pajak wywołuje u mnie irracjonalną grozę. W stosunkach interpersonalnych nie chodzi oczywiście o lęk: po prostu coś jest niewykonalne i już. Porównanie dałem dlatego, że i tu i tam idzie o brak racjonalizmu. Pamiętam, jak przed laty prześladował mnie telefonicznie „geniusz wcielony” (tak się przedstawiał przez telefon), który chciał poznawać „interesujących ludzi”, i jego wybór padł na mnie, ale ja nie chciałem geniusza poznawać, bo już przeczuwałem, czym to pachnie. W końcu raz, po kilkudziesięciu nękających telefonach, których nie sposób było przerwać (czytaj: ja tego nie potrafiłem!) i ukrywałem się non stop za automatyczną sekretarką, słuchawkę złapał Tomek i nawciskał facetowi, poczynając od „ty głupi chuju” i jeszcze gorzej, a ja siedziałem z głową wciśniętą w ramiona, kompletnie spanikowany, podobnie jak w sytuacji, gdy moja żona musiała czasem zrobić porządek z pajakiem. No, a jeśli ten facet jest chory? A jeśli się po tym załamie psychicznie? A jeśli stanie mu się krzywda? Poskutkowało. Od tej pory o facecie więcej nie słyszałem, ale to odchorowałem. Mnie ludzi po prostu żal. Nawet Saddama Husseina, którego wczoraj zobaczyłem dzięki znajomym, którzy w tej sprawie zadzwonili, wiedząc, że nie oglądam telewizji.

Panie rezygnowały ze mnie według mojej niestresującej (mnie) metody: zmęczenie materiału. Jedna poetka nawciskała mi wprawdzie przez telefon, bo zapomniałem (faktycznie), że miała być w Warszawie, i byłem akurat na giełdzie elektronicznej i dokonywałem jakiejś ważnej dla mnie transakcji, więc gdy zadzwoniła komórka, to ją machinalnie wyłączyłem. Pewnie zainwestowała we fryzjera etc. i odbiła się od drzwi. Inne odpadały sukcesywnie, tracąc nadzieję. Dziennikarka nie była żadną dziennikarką, w czym zorientowałem się po pierwszej wizycie i nieudolnym udawaniu, że interesuje ją Tomek, a tylko w tej sprawie rzekomo przyjechała. Tak wygląda moje kunktatorstwo i tchórzliwa ochrona własnej prywatności. Wielokrotnie zbyt wiele za to płacę. To nie podlega racjonalnemu osądowi. Tak po prostu jest, że jeden rodzi się brunetem, a drugi blondynem. Przefarbowanie włosów niczego nie zmienia, a stres wynikający z grania nieswojej roli może być gorszy od unikania konfliktu.

Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: Czy Pan jest pedantem?
Date: 12/22/2003

Paszport mam tylko jeden, który załatwiłem sobie, oczekując nań parę miesięcy przed stanem wojennym i pojechałem (znowu otworzyłem Photoshop) z nim na ulicę Chałubińskiego do Banku Handlowego, by na tydzień przed stanem wojennym wybrać dolary z mego rachunku, gdyż bez paszportu wypłacano tylko bony. To jedyny w moim życiu „wyjazd” z paszportem. Gdzieś leży, ale nawet nie wiem gdzie.

Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: nie mamy sierści
Date: 12/23/2003

Niestety, prezent pod choinkę się opóźni (aparat). Zapasu pyszności nie mam, bo Świąt jakoś nie wyróżniam. Moja opcja: Święta należy przeczekać – bywają gorsze rzeczy i też mijają. Nie mogę o sobie powiedzieć, że jestem ateistą. Jestem człowiekiem niereligijnym, a na dodatek nie przepadam za kultywowaniem tradycji. Najbardziej jednak ze wszystkiego nie przepadam za zbiorową konsumpcją. Będę to MUSIAŁ odbębnić w dniu 3 stycznia, bo szwagier ma 80-lecie. Tylko grypa mogłaby mnie wybawić. Szczepiłem się, ale podobno tegoroczna szczepionka słabo działa. Grypa jednak spowodowała, że na wszelki wypadek, zgodnie z podstawowymi zasadami logistyki, początek robót u mnie w mieszkaniu przesuwamy na połowę lutego, aby nie powstała sytuacja, że murarz, pan Krzysztof i inni będą mieli grypę, a rozbabrana robota oraz wciskający się wszędzie brud, oczekiwać będą zmiłowania pańskiego. Poczekamy, aż przewali się przez Warszawę epidemia, która podobno dotarła już do Polski. Mamy na te roboty półtora miesiąca czasu, ale powinniśmy je skończyć w miesiąc. Ja wiem, że na Wyspach Kanaryjskich nikomu bym tym nie zaimponował, ale jestem raczej ostrożny w prognozowaniu. Czekam w tej chwili na panią Kupcową do ostatniego w tym roku sprzątania i na Kupca.

Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: bywają gorsze rzeczy
Date: 12/24/2003

Dzięki za troskliwość i gościnność, ale ja NAPRAWDĘ ryb nie cierpię! To nie jest jakieś takie podkreślanie własnej oryginalności. Gdy przyjechaliśmy w 1977 do Warszawy, przed Świętami zjawił się u nas szwagier i zaoferował, że zabije karpia (o ile Zdzisław nie potrafi), na co – jak do dziś pamiętam – odpowiedziałem, że karp na Wigilię byłby chyba jedynym powodem do natychmiastowego rozwo-

du po 25 latach małżeństwa. U nas karp na Święta był jeszcze wtedy, gdy byłem dzieckiem i nie miałem nic do gadania. U mnie już ryby nigdy nie było. Miałem szereg wad i ta zapewne była jedną z wielu, ale myślę, że miałem także pewne zalety, które być może równoważyły te wady. A ryba w galarecie to jakby spotęgowanie tego wszystkiego, co mnie od ryby odrzuca.

Wigilię spędzę w domu przy komputerze – czyli mamy stereotypowy obrazek w landrynkowym stylu pt. „Samotna Wigilia osamotnionego starca”. Mój Boże. Od czasów Dickensa uważa się, że akurat we Wigilię budzą się w człowieku jakieś specjalne emocje, ale zaręczam, że we mnie się nie budzą, mimo iż na ogół nie jestem głabem pozbawionym głębszych uczuć. Wigilia to Wigilia i nic poza tym. Oczywiście, gdy była jeszcze rodzina, to trzeba było (żona kultywowała tradycję) siadać do wspólnej kolacji, był barszcz z uszkami, plastikowa namiastka choinki i jakieś tam prezenty, a raczej atrapy tradycji, ale to wszystko było w moim odczuciu sztuczne i wysilone. Tomek też za tym nie przepadał, a już kolędy po prostu NIENAWIDZILIŚMY. Dzielenia się opłatkiem też. U szwagra ryczy się kolędy, palą się świece i panuje atmosfera skoncentrowanego koszmaru. Ryba, opłatek, obyśmy, choinka do sufitu w tle i tak dalej. Naprawdę za tym nie tęsknię, a myśląc o tych, którzy ode mnie odeszli codziennie i to wielokrotnie, nie myślę akurat intensywniej dlatego, że w oknach bloku naprzeciw palą się światła choinek. Dają uroczyste słowo. Było takie opowiadanie Szaniawskiego o woźnicy, który wioząc gości do jakiegoś hotelu, na jakimś tam odcinku trasy – dyskretnie, by goście tego nie zauważyli – podcinał konie, bo tam zgodnie z miejscową legendą straszło i chodziło o to, by uwiarygodnić legendę w oczach gości. Pod koniec opowiadania przyznaje się, że gdy konie zaczynają ponosić, on sam też doznaje uczucia nadprzyrodzonego strachu, mimo iż sam to wszystko zaaranżował. Podobnie jest z nastrojem wigilijnym. Wmówiliśmy to sobie i potem tresura przez kilkadziesiąt lat... Nie uległem tej tresurze może dlatego, że jestem „po-przecznik”, jak jeszcze w dzieciństwie nazywała mnie moja mama. No i zeszło na wspomnienia rodzinne. Stille Nacht heilige Nacht. Wszystkiego najlepszego z okazji Świąt. W końcu stać mnie na odrobinę konwencji.

Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: I po Wigilii!
Date: 12/25/2003

No cóż: u Pani – jak widać z opisu – panowała ciepła, rodzinna atmosfera. Ja do nocy usiłowałem pracować (ciągle morzy mnie senność, a wczoraj jedna znajoma poddała mi myśl, że może mam cukrzycę?) nad kolejną grafiką i nawet prawie ją skończyłem, a porę Wieczery Wigiliijnej urozmaiciłem sobie oglądaniem Świńskich fotografii w internecie, aby już było całkiem w złym stylu. Powinienem raczej przybrać pozę faceta ukrywającego talerzem łyż samoty jak na „Wigilii Zesłańców” Malczewskiego. To byłoby w dobrym stylu. Może z racji mojej dys-

leksji, nie jestem w stanie prowadzić dialogów na IRC-u. Nawet raz, gdy musiałem wystąpić w jakimś CHAT-cie, to za mnie tekst na klawiaturze wystukiwał pracownik portalu. Zresztą moja potrzeba takiej wymiany myśli (niech Pani rzuci okiem na standardowe blogi) jest równa zeru:

Tsheść co słysząc?

Nudno qrwa

I tak dalej. Małą mam ochotę na to, by przez internet udawać teenagera, mimo iż czasami z blogów dowiaduje się, że dla kogoś jestem zajeby (tzn. moje obrazy chyba?). Pan Lonty w galerii w Częstochowie obsypał mnie wczoraj w trakcie składania życzeń tak nieprawdopodobną ilością komplementów, że aż się zrobiłem czerwony z zawstydenia. Gdybym tak mógł uwierzyć choćby w 1/10 z tego. On, oczywiście, był szczerzy, bo to przemiły facet, ale jego ocena mojej osoby lokuje mnie gdzieś między Małyszem i Madonną, czyli w zaszczytnym co prawda miejscu, ale w miejscu, gdzie nader źle się czuję. Boże: znowu chce mi się spać! No nic: zbadam sobie cukier. Pięknie pozdrawiam

Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: jaja to nie kpina
Date: 12/28/2003

Co do grafiki, to ja nie mam tematów przewodnich, bo mnie chodzi o formę, a nie o temat. Robię twarz lub postać i tyle. Pretekst dla formy. Tematem byłby arcybiskup na hulajnodze wniebowzięty przez dwa serafiny. Na chmurze Pan błogosławi, a u dołu Piekło beziłnie się wścieka. Pokusy życiowe po lewej i prawej, czyli obżarstwo i rozpusta nie mają szans. Tłuszcz nie ma żadnych szans. Już to gdzieś słyszałem. Amen.

PS: załączam kilka pomniejszonych grafik.

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: to jednak znów ja
Date: 12/31/2003

Od czego to zacząć: Od wyjaśnień technicznych czy od Nowego Roku. Na wszelki więc wypadek, abym potem nie zapomniał: Życzę Pani wszystkiego dobrego w Nowym Roku. Nie chcę wchodzić w szczegóły, lecz najogólniej. OK? To wyczerpuje część oficjalną i możemy przejść do kuluarów. W przeciwieństwie do Pani, w całym swym długim życiu ANI RAZU nie świętowałem publicznie sylwestra i Nowego Roku, tak więc nawet nie wiem, ile straciłem, ale znając siebie i swoje reakcje, nie straciłem niczego, a zyskałem święty spokój. W każdy Nowy Rok NIESTETY (większych liter już nie było) muszę doczekać do godziny 1 w nocy i nie mogę się normalnie położyć spać, gdyż śpię przy otwartym oknie, a tu wałą rakiety, śmierdzi proch i słysząc radosne wrzaski durniów, którzy cie-



Co do grafiki, to ja nie mam tematów przewodnich, bo mnie chodzi o formę, a nie o temat. Robię twarz lub postać i tyle. Pretekst dla formy. Tematem byłby arcybiskup na hulajnodze wniebowzięty przez dwa serafiny. Na chmurze Pan błogosławi, a u dołu Piekło bezzilnie się wścieka. Pokusy życiowe po lewej i prawej, czyli obżarstwo i rozpusta nie mają szans. Tłuszcz nie ma żadnych szans. Już to gdzieś słyszałem. Amen

szą się, że są o rok bliżej śmierci. To tak jak porykiwanie byłą wiezionego do rzeźni. Może też ma ono charakter radosny, a tylko my tego tak nie odbieramy? W domu jakoś nie było tradycji oczekiwania na Nowy Rok, a ostatnimi laty oczekiwaliśmy na to tylko, by nareszcie pod oknami ucichło. Tak więc już bez żenady obnażyłem się teraz jako mizantrop oraz człowiek zgryźliwy i nudny, a już na pewno nienadający się jako prawiący damom komplementy kumpel do szampa na oraz tańca do białego rana. Wszędzie będzie stereotyp: sztuczne ognie, kiełiszki, zegary, estrada, fikołki, ewentualnie przemówienia prezydentów i tak dalej. Może jakoś to przeczekam. Od dzieciństwa mam jakąś głęboko zakorzenioną niechęć do rytuału i religii, a w końcu to wszystko jest rytuałem i religią razem. Salutowanie sztandaru, salwa honorowa, wybory miss, fryzura na karnawał

i na sylwestra, moda, kolor kredki od ust... Ludzie, odrzucając jakiś rytuał, jak np. pojedynki czy pierwszą komunię, natychmiast kupują inny, jeszcze zapewne głębszy od poprzedniego. Oczywiście gapienie się na obrazy, wieszanie ich na ścianie oraz wernisaże to też rytuał i jestem tego świadomy. Może w ogóle od religii i rytuału nie ma ucieczki, ale ja nieustannie próbuję, bo czuję się spętany.
Beksiński

From: <lilianasc@poczta.onet.pl>
To: <bex@acn.waw.pl>
Sent: Friday, January 02, 2004 2:27 AM
Subject: chandra

Co Pan robi, jak Pana dopada depresja? Może ma Pan jakiś męski, a skuteczny sposób na odgonienie złych myśli?

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: chandra
Date: 01/02/2004

Na złe myśli nie ma sposobu, ani męskiego, ani damskiego. Żyję w ich otoczeniu i pod ich ciężarem, od kiedy pamiętam. Można powiedzieć, że zawsze miałem i nadal mam wyłącznie złe myśli. Można jednak także powiedzieć, że jest, jak jest, niezależnie od tego, co sobie o tym myślimy. Myśli to tylko nasza opinia: mogą mieć znaczenie i siłę sprawczą na ograniczonym obszarze, w którym jesteśmy w stanie coś zmienić, jeśli jednak w gównianej kondycji naszej zmienić się niczego nie da, to stan, który nazwać można by stanem dobrych myśli i nadziei na poprawę, jest złudzeniem takim samym, jak stan diametralnie przeciwny. Ja osobiście stosuję jak do tej pory skuteczne remedium (czyli zagłuszanie), wyobrażając sobie, że moja praca i doskonalenie w niej, mają jakiś sens. Nie wiem więc, jaka byłaby konsekwencja utraty prawej ręki lub oczu. Czy dałbym jeszcze radę zbudować sobie kolejną fikcję sensu istnienia, czy jest na to już za późno, bo życie zbliża się do kresu. Zawsze na deser nadchodzi ten moment, że leży się w szpitalu pod kroplówką lub respiratorem, oczekując już tylko końca. Dla kogoś pozornym sensem istnienia jest rodzina. Dla kogoś sport lub uroda. Biegacz lub modelka stają przed tym samym problemem już w kwiecie wieku (o ile w ogóle są zdolni do autorefleksji, a nie należą do istot, które Witkacy określał jako: takie coś, co zaledwie wie, że jest, a i to nie bardzo). Myślałem w młodości (jeden z pomysłów) o takim filmie krótkometrażowym, w którym świat na oczach jakiejś staruszki zaczyna się materialnie rozpadać: ucieka powietrze z opon, wypadają szyby z okien, osypuje się tynk z ścian, ale potem rozsypują się i ściany, w końcu widać tylko poruszające się fale oceanu gruzu (nie było jeszcze animacji komputerowej, więc planowałem, by robić to spychaczami) i tylko ta babcia zostaje i we mgle pyłu chodzi trochę bez sensu, patrząc niewidzącymi oczyma. Otoczenie i świat nieustannie i na naszych oczach ule-

gają destrukcji, ale ponieważ w miejsce rozpadającego się wyrasta nieustannie nowe, wydaje nam się do czasu, że nic się nie zmienia i dopiero w jakimś momencie widzimy, że destrukcja dotyczy także nas. Aby więc panią rozweselić: Moja znajoma z Krakowa chciała początkowo wychowywać swoje dzieci bez religii, ale w końcu poszła po rozum do głowy i uświadomiła sobie, że za taki non-konformizm mamusi zapłaci w szkole przede wszystkim dziecko. Poszła więc z synkiem na jakąś wstępną lekcję do kościoła, ale lokalnemu księdzu akurat w tym dniu odbiło na efekty specjalne, więc znieńacka z taśmy zagrzmiało, a potem rozległ się głos z zaświatów, który poinformował zebranych o czekającym Sądzie Ostatecznym. Znajoma po powrocie do domu udzieliła dziecku zgodnych wprowadzie z ortodoksją, ale bardziej usystematyzowanych wyjaśnień na temat Sądu Ostatecznego i końca świata, bo dzieci myślą bardziej konkretnie, niemniej jednak u 6-lątka pojawiły się problemy egzystencjalne i w nocy miał sen albo wizję, która wywołała u niego atak histerycznej paniki. W wizji tej, na tle piorunów i błyskawic, pojawił się wielki 10-metrowy teletubiś i ogłosił grzmiącym głosem, że świat się właśnie kończy, a wy wszyscy umrzecie. Owoż ten mistyczny teletubiś, przyszedł, jak widać, wczoraj i do Pani. No cóż: to jedno więcej złudzenie. Myślę, więc mnie nie ma. Jest myśl, nic więcej. Takie mniej więcej motto wypisałem sobie przy sztalugach. Zarówno autorzy komiksowego filmu „Matrix”, jak i autor scjentystycznego „Solaris”, cofnęli się przed konsekwencją tego, co przyszło im do głowy, lub raczej nie czuli się na siłach, by sprostać zadaniu, a tymczasem wiedzieli o tym już przed setkami lat buddyści: Świata po prostu NIE MA. Jest złudzeniem. To, z czym obcujemy, to tylko nasze wyobrażenie. Amen. Koniec kazania.

Beksiński

From: <lilianasc@poczta.onet.pl>

To: <bex@acn.waw.pl>

Sent: Saturday, January 03, 2004 4:00 AM

Subject: złudzenie

Krakowska znajoma to ta sama od anegdoty „my, wielbiciele Paula McCartneya?”. Zapomniałam Panu napisać, że ta awanturka z jedną nogą nie tylko się skutecznie wydała za Beatlesa, ale jeszcze urodziła mu przed paroma tygodniami córeczkę. Widziałam ją w tok-show na CNN, w którym odkręciła własną sztuczną nogę za parę tysięcy USD i prowadzący postawił ją na blacie. To było rewelacyjne! Prawdziwe odmitologizowanie koszmaru! Dzieci z pierwszego małżeństwa Paula ze słynną Lindą odchodzą od zmysłów, bo niezły majątek przeszedł im przed nosem. Ale tak to jest z dziećmi z poprzednich małżeństw. Jeszcze żadnego nie widziałam, które pobłogosławiłoby ponowny ożenek rodzica. Calusków moc

Liliana

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: złudzenie
Date: 01/03/2004

No nie! Tamta pani od McCartneya dawno już znikła z horyzontu i nawet nie pamiętam jej nazwiska, a zostało mi tylko imię. Pani od teletubisia jest bardzo sympatyczną, tylko szalenie gadatliwą rówieśnicą mego syna. Byli bardzo zaprzyjaźnieni. Jest żoną adiunkta WSM w Krakowie i krytykiem muzycznym. Jej specjalizacja lokuje jej muzyczne zainteresowania zapewne w zupełnie innych regionach niż te, po których porusza się McCartney – no, ale nie rozmawiałem z nią nigdy o nim.

Problemy rozwodów i nowych mariaży przerabiałem już kilkakrotnie już na sobie, ale na swoich obrazach. Muszę pisać oświadczenia, że np. dałem je w prezencie lub sprzedałem konkretnie tej lub tamtej osobie w takim, a nie w innym okresie, to wszystko w trosce, aby nie rozpiłowano ich na pół. I tak się bez tego nie obeszło i nawet niedawno w jakimś amerykańskim ogłoszeniu internetowym, widniała mocno uszkodzona połówka mego obrazu za bardzo niewysoką cenę. No, ale to nie był efekt rozwodu, lecz efekt obchodzenia się ze sztuką w Polsce. Przed laty, gdy wysyłałem obrazy z Sanoka do Warszawy, wiele osób informowało mnie, że mój obraz wiszący na Zapiecku ma wybitą dziurę. Ponieważ zań zapłacono, nie miałem podstaw do interwencji. Pionowo skomponowany obraz przedstawiał olbrzymią nawisającą pionową ścianę pokrytą olbrzymimi głowami, pajakami etc., a na dole przez małe drzwi wchodził do środka człowiek. Potem ktoś mi powiedział, że na Zapiecku wisi bardzo interesujące „pole bitwy” (?) mojego autorstwa. Potem, gdy sprowadziłem się już do Warszawy – jakiś przeprowadzający ze mną wywiad dziennikarz ówczesnej prasy młodzieżowej przyniósł do mnie mały kawałek tego obrazu, przedstawiający człowieka wchodzącego przez drzwi i ze dwie-trzy głowy na ścianie. Prosił bym go podpisać, bo obraz przepiłowane, odrzucono dziurę, a część największą, na której odwrocie znajdował się mój podpis, obrócono w poziom (pole bitwy!) i kupił ją jakiś dentysta ze Stanów, jemu zaś jako uboższemu nabywcy krajowemu, odpalono fragment z drzwiami, ale bez podpisu. Podpisałem mu, wypisując obok podpisu słowa „Pars pro toto”.

Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: wrona
Date: 01/08/2004

W poniedziałek od godziny 8 rano zaczyna się u mnie Armagedon remontowy, a dziś za parę minut pojawi się pan Krzysztof, by opróżnić jeden z pokoi, zbudować podwójną śluzę przeciwpylową etc. Przede mną koszmar remontowy. Mam już dziś z tego powodu coś w rodzaju reisefiber. Jak to robią na będących wzo-

rem dla Ludzkości Wyspach Kanaryjskich? Pewnie też się po kanaryjsku denerwują. Nawet kanarki wrzeszczą z nerwów. Tam chyba są w nadmiarze kanarki? Zawsze myślę, że w Katarze wszyscy mają katar. Dość – zaczynam bredzić ze zdenerwowania.

Beksiński

From: <lilianasc@poczta.onet.pl>
To: <bex@acn.waw.pl>
Sent: Thursday, January 08, 2004 11:51 PM
Subject: Ależ skąd!

Na Wyspach Kanaryjskich nie ma kanarków, ja przynajmniej ani jednego nie widziałam, w przeciwieństwie do bezdomnych psów z milionami kleszczy w uszach, czego w życiu nie zapomnę. No i wcale Pan nie bredzi, bo bredzą w Bredzie, brodzą na Bródnie, a brudzą się w Bremie. Albo w bramie. Muszę wymyślić jakiś maleńki remoncik, aby Panu nie tylko psychicznie w remontowych cierpieniach dojrzałego Wertera. Już główkuję, co by tu wykombinować. Szkoda, że na wyłożenie kafelkami balkonu stanowczo za wcześnie, bo za zimno... Może tapety na suficie?

14. robię wywiad z min. Huebner, 15. przed południem z Edytą Jungowską. Mam nadzieję, że zdołam zapomnieć o operacji, zanim przyjedzie dupek brukselski, co ma nastąpić około 7 lutego – sobota. On też oczywiście nic nie wie o operacji, bo nic mu do tego. O aferach redakcyjnych nie ma sensu pisać, bo to zaśmianie serca i umysłu.

Dzięki za mądre słowa przestrogi i za zdjęcia (jak na człowieka, który nie lubi drewna, coś sporo boazerii na ścianach). Pozdrawiam ciepło. Przez weekend porządkuję mieszkanie, papiery, gazety i własne myśli. W skupieniu. Przedoperacyjnie. Życia uporządkować nie mogę, bo już je przesrałam. A logistykę przemyślałam. Serdeczności

Liliana

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: Logistyka przemyślana!
Date: 01/10/2004

Innej recepty na życie niż jego przesranie niestety nie wynaleziono. Chińczycy powiadają, że w momencie śmierci obojętne się staje, czy życie było bogate i wspaniałe, czy nędzne i podłe. Ale dość eschatologii. Nie mam (prócz oglądania witryn porno w internecie) doświadczenia osobistego z wkładami, ale Tomek narzekał, że on to doskonale wyczuwa i tego nie cierpi. Gwiazdy porno (jak zauważyłem) mają czasami biust jakby spod sztancy i sprawia on wrażenie sporego dysonansu. Poza tym chyba boją się, by im coś tam nie pękło (jednej Tomka dziewczynie strzelił wkład po jednej stronie ale ona wstawiła sobie chyba jakąś taniochę), bo w scenkach intymnych (hm, jaka to intymność przy fotografii, oświetleniowcach, fryzjerce, kosmetyczce i sekretarce planu zdjęciowego) mę-

skie gwiazdy porno jakoś bardzo ostrożnie i z widocznym skrępowaniem manipulują łapskami przy sztucznych cyckach i sztucznych pośladkach. To jest moim zdaniem tak: Panie uwierzyły, że ich głównym atutem są cycki, a panowie, że ich głównym atutem jest rozmiar fiuta. Panie robią sobie cycki dla siebie i dla innych pań i to samo robią panowie ze swoimi walorami, ale też chyba po to, by się dowartościować i by kolesiów szlag trafił z zazdrości. No cóż. W modzie jest poprawianie Pana Boga, w końcu chirurdzy też muszą z czegoś żyć. Syn mego znajomego chirurga (Wojtka Noszczyka) tym się zajmuje. Inny znajomy niegdyś chirurg plastyczny (dr Matuszewski), który jeszcze za komuny regulował w jakiejś spółdzielni damskie kształty, pomagał nam (ustalił metodę postępowania) w leczeniu odleżyn u mojej matki, a były one (po szpitalu) wręcz okropne, miały ca 5 cm głębokości na obszarze 15 na 15 cm otoczone czarną martwicą, a matka miała 88 lat. No i po pół roku czy roku zmieniania dwa razy dziennie opatrunków zgodnie z zaleceniami doktora dupa zarosła się jej na gładko, a ja uwierzyłem, że chirurdzy plastyczni wiedzą jednak, co robią. Pozdrawiam

Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: riposta
Date: 01/12/2004

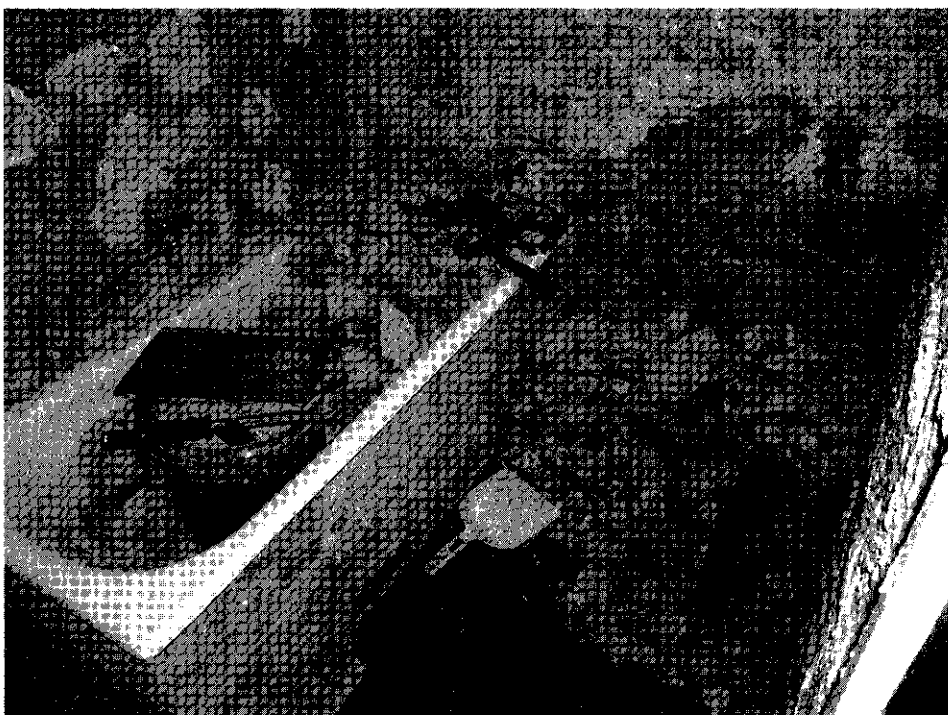
Co do Tomka, to o ile wiem, odbiło mu wtedy na skapstwo i stąd w ogóle wiem o implantach i „tych przeklętych durnych babach”, bo zwierzał mi się raczej z finansowego aspektu sprawy i tego, że jemu żadne pieprzone implanty nie są do szczęścia potrzebne i tak dalej, na co ja po ojcowsku replikowałem, że gdybym z kimś był, to bym mu jednak zafundował to, co stanowi przedmiot marzeń. Ponieważ kilka znajomych Tomkowi i mnie dziewczyn wprawiało sobie wtedy implanty, to w zeznaniach teźże pani Ani mogły nastąpić przekłamania co do osoby. Choćby inna Ania, czyli Anja Orthodox piosenkarka, chwaliła się nawet tym w telewizji. Powiedziała, że facetów to kręci. Mnie akurat nie kręci, ku rozpaczcy mego szwagra, który uważa, że jestem zakłamanym, bo każdy prawdziwy facet lubi duże cycki. No, ale ja nie jestem prawdziwym, o czym już pisałem na wstępie. Co do Anji, to była bliską kumpelą Tomka, ale nie łączyły ich żadne poza przyjaźnią węzły emocjonalne i na pewno implantów jej nie fundował. Sprawa finansowania dotyczyła tylko jednej dziewczyny – zresztą osobiście ją lubilem, co nie było regułą, a nawet wręcz przeciwnie, jeśli idzie o dziewczyny Tomka.

Moja generacja jeszcze sobie niczego nie implantowała. A szkoda, bo chętnie zaimplantowałbym sobie drugą głowę i trzecią rękę. Cholernie by mi się przydały. Przepraszam! Zapomniałem na śmierć! Mam implant!!! Dr Awilło implantował mi przed ca 8 laty zęby po prawej stronie na dole, bo groziła mi proteza szkieletowa. No, ale chyba nie mam już nic więcej. Zaraz... Pomyślmy: jak udzielałem Pani wywiadu, to miałem jedną głowę czy dwie? Pięknie pozdrawiam

Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: Jest PAN błyskotliwy
Date: 01/13/2004

Dzieci to mógł być fajny pomysł, ale także fatalny. Jak wszystko na tym świecie. Nie miałem w sobie nigdy za grosz instynktu ojcowskiego i pod tym względem na pewno jestem podobny do Pani byłego męża. Tomek przyszedł na świat wbrew moim psychologicznym potrzebom i logice, bo nie mieliśmy w ogóle forsy i perspektyw, a tylko dlatego, by zamknąć nareszcie dzioby sanockim plotkarzom i życzliwym ludziom, którzy wielokrotnie podsuwali nam dzieci do adopcji. Do dziś obwiniam się o to, że może ten mój brak potrzeb ojcowskich był jakoś widoczny i tak wpłynął na jego stosunek do życia. A może to było dziedziczenie mojej niechęci? A może ta moja niechęć była nadświadomym przeczuciem tego, co się stało? Wracając do spraw błahych, to on na pewno nie chciał mieć seks-bomby z cyckami, bo podobnie jak i ja, nie przepadał za amerykańskim ideałem urody. To Asia miała zapewne jakieś kompleksy, a zupełnie bez podstaw, bo była wyjątkowo ładna. Nadbudowa kulturowa, do której należą też powszechnie pożądane rozmiary cycków i fiuta, potrafi wpływać szczególnie silnie na kobiety, które jakoś chyba z natury mają bardziej dewocyjne podejście do każdej religii (wszystkie w tym sezonie zmieniamy klamerki na prostokątne. W dodatkach dominować ma kolor czerwony etc., etc.), tak więc obawiała się, że nie dorównuje



zasobniej wyposażonym koleżankom. Jeśli religijne pisma dla nabożnych niewiaśc typu VIVA! dla starszych, a BRAVO dla młodszych, coś zaczną propagować jako modern look, to żadna się temu nie oprze.

U mnie od wczoraj Armagedon. Załączam zdjęcia, bo więcej powiedzą od mego kulawego opisu. Przez cały dzień mieszkanie drżało od walenia młotami. Na szczęście pan Krzysztof jest pedantem, więc po mojej stronie widocznego zapylenia nie było. Dziś wyniosą worki z gruzem i ma przyjść hydraulik, by odpalić rury od kaloryfera łazienkowego (poprowadzone będą inaczej). Przede mną otwiera się parada atrakcji. Jak ze specjalizujących się w budownictwie Wysp Kanaryjskich. Na razie mam jednak Powstanie Warszawskie lub Irak po trzęsieniu ziemi. Pięknie pozdrawiam

Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: Zauważyłam!
Date: 01/17/2004

Problem za wielkich cycków u faceta zwie się ginekomastia i sam na to cierpię albo i cierpię, tyle że obecnie już mniej cierpię, bo brzuch mam większy niż cycki. W mej młodości nikt z wyjątkiem mnie nie przejmował się takimi sprawami. Nie było to zresztą jakoś karykaturalne, bo byłem cienki jak deska, a tylko denerwowało mnie, że moje sutki zwiększają się lub zmniejszają w zależności głównie od temperatury. Nieustannie, gdy musiałem (np. u lekarza) zdjąć koszulę, szczypałem się boleśnie w okolicach piersi, co powodowało natychmiastowe obkurczenie się sutków. Odruch ten został mi do dziś. Gdyby wtedy istniały operacje plastyczne, to natychmiast bym to zoperował, stąd moje wyrażone w którymś z dawniejszych maili przekonanie, że u ludzi młodych pewne deformacje mogą stać się przyczyną życiowych kompleksów. Moja żona miała z kolei kompleks złego zgryzu i zabieg przeprowadziła sobie dopiero w Warszawie grubo po pięćdziesiątce. Ona nawet u prezydenta USA zauważała przede wszystkim zgryz. Problem zgryzu przesłaniał jej cały świat, mimo iż ja tego w ogóle początkowo nie dostrzegłem, podobnie jak ona moich cycków. Tomek odziedziczył po niej wadę zgryzu, ale nie odziedziczył po mnie ginekomastii. Żona włożyła nieprawdopodobną ilość wysiłku w to, by w dzieciństwie regulować jego zgryz. Co kilka dni jechali koleją do odległego o ponad 40 km Krosna, gdzie była lekarka, która nim się zajmowała. Co wieczór wykonywała wraz z nim długą gimnastykę szczęk, etc. etc. W sumie nie miał potem nawet śladu złego zgryzu, co jednak nie wpłynęło na jego radość życia czy też z życia. Jesteśmy bandą mutantów, które pragną dopasować się do kulturowego ideału rozmaitego zresztą w różnych czasach i w różnych kulturach. Znajoma pani miała problem taki, że gdy się denerwowała, np. przed egzaminami, to pociła się w pępku, i to w sposób tak silny, że mogło to wyglądać, że w brzuchu zrobiła jej się dziura. Ja z kolei mam wtedy sraczkę. Gdyby mi miano powiesić wysokie odznaczenie, to musiałbym chy-

ba z 500 razy polecieć do WC. Same usterki i niedoróbki, a tymczasem chcielibyśmy być kimś w rodzaju Jamesa Bonda lub Lary Croft.

Nie mogę już więcej. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: Między Larą Croft a Ensorem
Date: 01/18/2004

Zapomniałem wczoraj odpisać, w jakim języku należy porozumiewać się z Panem Bogiem. Owoż chyba po polsku. W dzieciństwie w 4. klasie, dostałem od niejakiego Bodziaka po ryju za to, że powiedziałem, iż Pan Jezus był Żydem. Sprawa oparła się o księdza, który znalazł się w kłopotliwej sytuacji, która groziła spadkiem pozycji Pana Jezusa z pierwszej piątki Top Twenty na sam szary koniec. Aby zyskać na czasie, zadał pytanie: A ty, Bodziak, jak sądzisz, jakiej narodowości był Pan Jezus? Bodziak nie miał cienia wątpliwości: Pan Jezus był Polakiem. Miał bardzo racjonalne i nieskażone mesjanizmem wyjaśnienie dla swoich przekonań: Matka Boska jest Królową Korony Polskiej. Przecież Żydówy nie wybraliby na polską królową. Co racja, to racja. Tak więc o powodzenie operacji modliłem się po polsku, bo stosując dalej racjonalne myślenie Bodziaka: skoro Syn Boży był Polakiem, to jego ojciec też jest Polakiem. To my jesteśmy Narodem Wybranym. Alleluja! Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: nienawidzieć
Date: 01/19/2004

Także poruszyła mnie śmierć Niemena. Ze swej perspektywy postrzegałem go zawsze jako człowieka młodego, a tymczasem młodzi robią się starzy, a starzy robią się starcami – ciekaw jestem, kiedy na mnie przyjdzie kolej. Czy skończę przedtem remont?

Dziś panowie od remontu pojawili się już o godzinie 8 rano i przesuwają wannę w starej-nowej łazience, bo w sobotę dosunęli ją do niewłaściwej ściany, czyli głową, a nie nogami. Na szczęście jeszcze nie obmurowali. W tym całym burdelu usiłuję pracować i nawet odpiłowałem już jeden obraz. Dzisiaj przyjedzie ktoś po grafikę na jakąś aukcję telewizyjną, której patronuje Religa, i ledwie znalazłem jedną zabłąkaną teczkę na grafikę, bo wszystkie zostały zablokowane w pokoju zaklejonym na amen do końca lutego. Będę musiał w przyszłości odmawiać. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: padnięta
Date: 01/20/2004

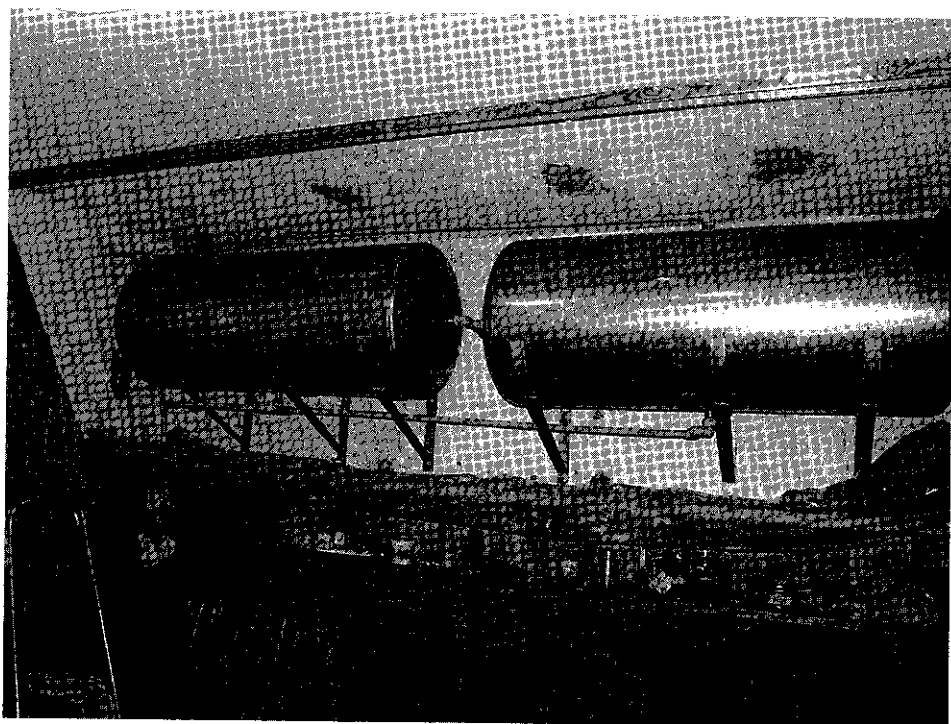
Artykuł o życiu intymnym prezesa Gminnej Spółdzielni Spożywców Chłopska Droga z minionego okresu, przekształconej obecnie na spółkę EuroEko, byłby fajnym pomysłem, gdyby wyrzucić słowo „intymne”. Jeśli coś uznajemy za intymne, to jest to intymne i nie podlega upowszechnianiu. Grzebanie się w czyjejś intymności, o ile jest to prawdziwa intymność (bo agenci od reklamy gwiazd filmu i rocka preparują fikcyjne historyjki dla ludu), uważam za nieprzyzwoitość. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że świat się zmienił od czasów, gdy Homer zajmował się życiem intymnym bogów. Zmienia się z każdą epoką. Gdyby o jakimś wyimaginowanym pradziadku napisano, że obciąża mu żona aptekarza, to pradziadek poszedłby do redakcji i obił laską „pismaka”, bo przecież wyzwać na pojedynek można było tylko równych sobie, a dziś jego wyimaginowany prawnuk, gotów jest postawić kolację redaktorowi, jeśli ten opisze, że obciąża mu pół Warszawy i panienki stoją na schodach w kolejce. Świadczy to przede wszystkim o wzroście niedowartościowania. Twarde piersi to mit literacki. Jak widać, nawet kobiety to kupiły. Niby ja też przez krótki okres życia chciałem być wegeterianinem. No, ale to było za komuny i przysparzało tylko trudności żonie i matce, które zajmowały się kuchnią, więc po miesiącu czy dwóch zrezygnowałem z przyczyn humanitarnych. Wysyłam kilka fotek. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <lilianasc@poczta.onet.pl>
To: <bex@acn.waw.pl>
Sent: Tuesday, January 20, 2004 11:41 PM
Subject: No, no!

Dobrze. Przyjmuję wyzwanie, zajmę się życiem księgowego z EuroEko. Proste, codzienne, zwyczajne, zawodowe, rodzinne – jakie Pan chce, albo razem do kupy? Ponawiam propozycję. Likwidujemy intymność: nudne żony i zaborcze kochanki, tzw. świeżynę i w ogóle wszystkie problemy sercowo-fiutowe. I już widzę oczyma wyobraźni, jak wielki BEXA gryzie palce z przejęcia i emocji (może być na odwrót), czytając reportaż z życia prowincjonalnego księgowego. Done. Największe wrażenie robią na mnie te dwie metalowe bomby zawieszone pod sufitem w Pana mieszkaniu. Wiem, wiem, zbiorniki na wodę. Tylko czy to musi tak groźnie wyglądać?

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: No, no!
Date: 01/21/2004

Czy ja prosiłem o tego księgowego? Rozumiem, to pozycja przetargowa. OK. W zamian za odpuszczenie księgowego odpuszczę Wyspy Kanaryjskie i już ni-



Po 6 tygodniach przystąpię do remontu starej łazienki, gdzie wannę mam zamiar wymienić na kabinę natryskową oraz do remontu zbiorników na wodę (600 litrów), które mają charakter awaryjny – na wypadek wyłączenia na pół dnia czy dłużej dopływu wody, co w takim bloku zdarza się nagminnie

gdy... Mówiąc już serio: Proponowałem raczej, by opisując jakąś ciekawą osobowość, nie produkować kolejnego odcinka serialu brazylijskiego. „Chopin. Pragnienie miłości”. Faj! Księgowy został tu użyty jako przykład tego, co banalne. Sięgnijmy więc dna: Zarówno Chopin, jak i księgowy musieli wydalać, ale czy wydalanie Chopina jest ważniejsze i różni się czymś istotnym od wydalania księgowego? Każdy w kimś się kiedyś kochał, ale co z tego. To też banał. Proponowałem, by szukać raczej tego, co spowodowało, iż Chopin nie został [...] Co mam zrobić, by zaczęły mnie boleć cycki, a odpuścił kręgosłup? Chociaż po mojemu to na jedno wychodzi. Według mojej mamy w klasztorze, w którym się wychowywała, zakonnice leczyły ból zęba wsypywaniem pieprzu do ucha i wtedy tak bolało ucho, że nie czuło się bólu zęba. Czy to prawda? Nawet jeśli to nieprawda, to zasada jest taka sama. U mnie wczoraj zaczęto nareszcie kłaść kafle. Wysyłałam fotkę. Krany są na razie prowizoryczne (stare), bo będą inne. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: Bezcenny
Date: 01/23/2004

Skąd przekonanie, że jestem racjonalistą? Jestem wręcz skrajnie irracjonalny i mistyczny, zainteresowany metafizyką bardziej niż modelami samochodów, z tym zastrzeżeniem, że naprawiając telewizor lub posługując się aparatem cyfrowym, nie używam do tego celu gnostycyzmu (bo za czasów Bazylidesa i Mikołaja z Kuzy nie było jeszcze sprzętu cyfrowego), lecz wbudowanej protezy racjonalistyczno-technologicznej i stosownych podręczników. O chiromancji tylko czytałem i umiem ją przyporządkować określonej formacji kulturowej, ale nie umiem wróżyć z linii dłoni. Nawiasem: Chiromancja pozwoliła mi poczuć się odrobinę innym i mniej nijakim i mimetycznym, niż jestem, podobnie zresztą jak uczynił to Zanussi, dzięki któremu poczułem się rozpustnikiem. Zanussi w jakimś felietonie POLITYKI napisał przed laty, że jedzenie z McDonald's nosi cechy „wszetczności”. Nie jestem tak mądry jak Zanussi, więc poszukałem w słowniku i okazało się, że wszetczeństwo to synonim rozpusty. Uczułem się więc kimś innym: rozpustnikiem jak stary Karamazow lub Żeleznów (ten od Wassy: „Siergiej, prynimaj paroszek” – pamięta to Pani?). Wprawdzie nie ten – dostarczany przez McDonald's – rodzaj rozpusty byłby najbliższy memu sercu, ale na bezrybiu i rak ryba. Owoż jeśli idzie o chiromancję, to zauważyłem na jakiejś ilustracji, że na przedłużeniu linii wątrobowej na samym wzgórku Saturna mam cztery krzyże, a takie znaleziono podobno tylko u Heinricha Himmlera i jednego beziennego faceta, który wymordował całą swoją rodzinę i sąsiadów. Uczułem się wtedy dowartościowany jeszcze bardziej niż przez tą panią, która twierdziła, że równie dobrze mi z oczu patrzy jak Grzegorzowi Piotrowskiemu. Trochę interesowała się chiromancją moja żona, ale ja – jeśli idzie o dłonie – to interesowałem się jedynie Tantryzmem Lewej Ręki, a więc Hasziszinami, Thugami Dusicielami etc. Aha: Wcale nie lubię gadać przez telefon. A może to była ironia? Odbiegłem chyba dziś od tematu. A był jakiś? Pięknie pozdrawiam

Beksiński

From: <lilianasc@poczta.onet.pl>
To: <bex@acn.waw.pl>
Sent: Monday, January 26, 2004 12:57 AM
Subject: terapia szokowa

Człowiek, który centymetr po centymetrze remontuje swoje mieszkania, precyzyjnie myśląc o przyszłości (ile szybciej niż na Kanarach, ale jakościowo – na porównywalnym poziomie), który perfekcyjnie ustawia jakość swego życia, aby nawet na chwilę Mu nie zbrakło wody, który poprawia, przekłada na nowo całkiem nowe oszklenie balkonu, bo jest lekko tu i ówdzie zarysowane – nie jest człowiekiem racjonalnym? Ależ błagam o przeprosiny, nie chciałam Waszej Wysokości obrazić. Nie rozumiem, ale domyślałam się, co Pana razi w tym określeniu (racjo-

nalny= dający dobre wyniki, przemyślany, kierujący się rozumem – PWN, pod redakcją Szymczaka). Świetnie rozumiem, że oprócz „racjonalnego” chciałby Pan też być nieprzewidywalny, szalony, niepojęty, mistyczny, zagadkowy, enigmatyczny i długo by wymieniać. Cały dzień kończyłam wywiad z Huebnerową, jutro go będę skracała. Ani na chwilę nie wyszłam z domu. Ciepło pozdrawiam. Och, dzięki Bogu, istnieją antybiotyki i Bexa. Albo w odwrotnej kolejności

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: Prosta historia
Date: 01/27/2004

Nigdy nie byłem dziennikarzem, ale przed laty interesowałem się po dziennikarsku zbyt wielką ilością rzeczy, a potem przestałem interesować się właściwie wszystkim poza własną twórczością i teraz mój mnemiczny magazyn uległ nielichemu wymieszaniu. To już ogrodowy kompost: obok siebie spoczywają Kapleau, Lenin, Freud, Mahler, von Braun, Lacan, Plechanow, Wagner i Stirner. Miesza mi się hrabina Iwanowska (ta od Liszta) z baronową von Merck (tą od Czajkowskiego). Zaczęli się już wszyscy rozpuszczać i przenikać wzajemnie na zasadzie osmozy. A może i zasada osmozy mi się już poplątała z samouszczelniającą się masą w zbiornikach z paliwem, bo interesowałem się też samolotami bojowymi i rakietami. Oczywiście, Suzuki rzeczywiście pisał o Zen i ja go czytałem przed stu laty i nie należy go mylić z firmą motocyklową. Tak daleko chyba nie pomieszało mi się w głowie. Jeszcze nie pomieszało, ale wszystko przede mną. Pięknie pozdrawiam Beksiański

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: Hipokamp w moim wieku
Date: 01/28/2004

Można być narzeczoną dwóch facetów naraz? To coś jak z okresu młodości mojej mamy. Modne wtedy były związki trójkowe. Dwóch panów i jedna pani. Cio-cia, wujek i pan (chyba) Opalski. Wszystkie te związki dotrwały niezmiennie do późnej starości. Ostatni, jaki widziałem przelotnie, będąc tam zaproszonym, to stary S. i państwo Ł.

Za chwilę pojawią się ludzie pracy i zaczną się walenie młotkami. Już trzeci tydzień idzie, ale robota się posuwa. Widać postęp. Pięknie pozdrawiam Beksiański

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: uczulenie
Date: 01/30/2004

To są właśnie te subtelne różnice w ocenie urody, gdy ocenia płeć własna lub przeciwna. Nieustannie dzięki Pani się uczę, bo – mówiąc słowami poety – „mar-

twoje znam prawdy nieznane dla ludu", więc wczoraj w ramach edukacji poszukałem w internecie, jak wygląda Kasia i Tomek, ale ani Kasia, ani Tomek nie są w moim guście. Nie żeby byli brzydcy, ale po prostu niczego szczególnego w nich nie widziałem. Ja bym się akurat w tym brodziku nie zanurzał, ale ilekroć o jakiejś dziewczynie mówiłem, że mi się podoba, tylekroć słyszałem, że wygląda jak dziwka lub jak panna sklepowa. Nic na to nie poradzę: mam, jak widać, zły gust. Nie mogę nawet powiedzieć, że tylko panie tak stwierdzają, bo panowie, gdy im wyjawilem wstydliwą tajemnicę, że nie znoszę dużych biustów, jednogłośnie twierdzą, iż jestem zakłamanym. A ja nawet oglądając porno, pomijam z niechęcią, a nawet czasami obrzydzeniem cyncate amerykańskie ideały urody. Może dlatego, że moja mama była cyncata? Podobnie (już poza problematyką biustu) nigdy nie podobała mi się Marilyn Monroe, która podobno podobała się wszystkim. Jestem, jak widać, białą wroną. Przed dziesięciu laty takim olśnieniem dla mnie była dziewczyna, która wystąpiła w małej roli w pierwszym (były dwa) telekllipie „Crazy” grupy Aerosmith, niejaka Alicja Silverstone (uroda panny sklepowej, jak określiła to jedna z moich znajomych). Coś miała w sobie, raczej w twarzy czy w ustach takiego... O Jezus! Dostałem jak pałkę w łeb. Minęło 10 lat, a ja pamiętam to wrażenie, jak by to było wczoraj. Teraz jednak została seryjną aktorką, ucywilizowali ją, uczesali, nosi dekolty i szpilki, seryjny produkt drugiej ligi Hollywood, zresztą to już staruszka około trzydziestki – no, ale ja ją jeszcze pamiętam w tej roli – nikt ze znajomych jakoś nie podzielał mego entuzjazmu.

A propos brodzika, to już mi go zamontowali. Dwukrotnie w trakcie awarii wyżej lub niżej wpadali panowie w kufajkach i wśród bojowych i zagrzewających do pracy pokrzykiwań kurwa, kurwa, rozwalali młotami mur, by dostać się do pionów. Raz rozwalili też zlewozmywak, bo posypały się nań cegły. Do dziś piony zamurowane są na trupa i zaklejone tapetą, ale teraz „za jednym brudem” chcę to wreszcie załatwić. Nie musiałem robić tego wszystkiego, bo na dziś konieczne było tylko powtórne okaflowanie łazienki, ale wiedząc, jaki to spowoduje brud, postanowiłem zrobić wszystko, co latami odkładałem, a co może stać się konieczne za rok czy dwa, jeśli dożyję. Pięknie pozdrawiam

Beksiński

Muszę jeszcze dziś trochę popracować. Niestety światło jest mniej niż złe. Okropne. Maluję konia i jest tam trochę koloru, a bez światła nie sposób go zobaczyć i nad nim pracować. Około 16 po wywiad przyjedzie jakiejś dziewczę z jakiejś prowincjonalnej gazety w Głogowie, zaprotegowane przez kolegę szkolnego mego syna, który tam jest jakimś redaktorem lub dyrektorem liceum. Ledwie go pamiętam. Podobno się rozpił, ale pozostał wytworny, więc w trakcie wspólnych kolacji wymiotuje wprawdzie dość często, ale zawsze do filiżanki, którą trzyma w lewej dłoni, odginając wytwornie mały palec. Opowiedział mi to inny szkolny kolega Tomka. Miejmy nadzieję, że to dziewczę nie zacznie wywiadu od wymiotowania lub demonstrowania cysty na macicy. Pięknie pozdrawiam

Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: dziura dziurze nierówna
Date: 02/08/2004

Łagam: tylko bez inicjatyw w sprawie potencjalnych kupców. Nie jestem teraz w nastroju do sprzedawania. Za długo by trzeba tłumaczyć – proszę uwierzyć na słowo. Mój remont jeszcze w ubiegłym roku zaplanowany został do końca lutego, i o ile grypa lub inny dopust boży nas nie załatwi, to wtedy remont zakończymy planowo. Niczego tu się nie da przyspieszyć, odłożyć ani zaniechać. Muszę zrobić to, co zostało zaplanowane, bo to wszystko są naczynia połączone. Jedną rzecz zależy od drugiej i tak dalej. To nie remont mnie wykańcza – bo pracuję i namalowałem w trakcie remontu już trzy obrazy – lecz usługi dla ludności. Jutro po południu jakaś magistrantka też po wywiad-rozмовę do pracy. Ustawiam wszystkich po godzinie 16, czyli po zmroku, gdy nie bardzo już da się malować, ale czasami przyjdzie ktoś niezapowiedziany przed południem (tak jak wczoraj przyszedł mój bliski kolega) i w ogóle dzień mogę wtedy spisać na straty. Wczorajszy wywiad też będę musiał w całości napisać sam, bo to dziecko odczytywało z kartki uczone pytania, z których każde dałoby się podzielić na 5–10 mniejszych i bardziej konkretnych, a po 5 minutach zepsuł się jej pożyczony magnetofon (u mnie zawsze wysiadają magnetofony), więc dalej trzeba było notować odpowiedzi. Notowała starsza kuzynka, która z nią przyszła, ale która nie miała zielonego pojęcia o temacie. No, dobra. Udzielałem już wywiadu do gazetki szkolnej w Warszawie, Sanoku i Dynowie, dam sobie radę i z organem prasowym z Głogowa. Byłem raz w Głogowie jeszcze z żoną w trakcie tygodniowego pseudourlopu samochodowego we Wrocławiu (z babcią zamieszkała przez ten tydzień wynajęta pielęgniarka). Był to okres stanu wojennego. Ponieważ miałem kamerę video, to na pustych bocznych uliczkach Wrocławia czy Legnicy wrzeszczano na mnie: Gestapo! Heil Hitler!, bo wtedy rodacy nie dysponowali jeszcze kamerami video. W Głogowie był lokal o nazwie SALOME i zamówiłem tam Głowę św. Jana w galarecie, ale żart spalił na panewce, bo okolice Głogowa muszą być ubogie w jod. Przypominam sobie jakieś dwa zrujnowane kościoły, które obfilmowałem. Tyle Głogowa. Podobno kolega syna, redaktor K., który spowodował to całe zamieszanie, wygląda na mego ojca. Dałoby się z tego ukręcić jakąś dydaktyczną historyjkę z morałem o zgubnych skutkach picia alkoholu. Obywatelka Biskup wisi u mnie w kawalerce. Wysłałem mój właśnie zakończony obraz oraz obraz poprzedni. Z obu jestem zadowolony, ale wyciąganie wniosków, że taki właśnie wygląda koń lub taki typu urody, jaki reprezentuje postać, jest moim ulubionym, jest strzelaniem na aut. Pięknje pozdrawiam

Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: społeczeństwo
Date: 02/09/2004

Co do wywiadu i jego poprawiania lub pisania od nowa, to problem jest niestety, mimo marginalizacji terytorialnej, dość istotny. Już wielokrotnie cytowano mi moje „złote myśli”, zadając mi pytania do jakiegoś wywiadu przed kamerą lub w radio. Nigdy nie wiadomo, co przetrwa. A nuż przetrwa właśnie gdzieś wywiad w jakimś „Kurierze Głogowskim” czy jak mu tam i ktoś się będzie powoływał na moje słowa, a to będzie tekst panienki z liceum głogowskiego. Tak więc kompletnie olewając to, co się o mnie pisze – bo pisze się rozmaicie – przykładam zawsze bardzo dużą wagę do tego, co ma być moimi słowami. Nie zdawałem sobie bowiem dawniej sprawy, jak silnie działa czyjaś opinia, gdy pada na młodociany grunt. Do dziś spotykam ludzi, którzy są dyrektorami banku, biznesmenami czy dziennikarzami, a których gusta muzyczne i wrażliwość muzyczną ukształtował (gdy byli młodzi) Tomek swymi audycjami, których czasami serdecznie nie znośłem, bo inaczej to wszystko widziałem niż on. Zostało im to na resztę życia. Zapewne sam zostałem tak ukształtowany w młodości. Gdy byłem młodym chłopcem, zainteresowanym niesłuchanie Zachodem (gdyż nie może sobie nawet Pani wyobrazić, jak silne i dominujące było wtedy nasze uczucie, że siedzimy zamknięci we więzieniu, a „prawdziwy” wyidealizowany świat pozostał za jego murami), kupiłem cykl esejów Kałużyńskiego zatytułowany „Podróż na Zachód”, w których młody dziennikarz w sposób krytyczny opisywał literaturę i sztukę „upadającego” kapitalizmu. Ta książka stała się dla mnie drogowskazem literackim i wykazem lektur obowiązkowych i nie byłbym tym, kim dziś jestem, gdyby mi to w ręce nie wpadło. Nie znam Kałużyńskiego, ale nazwałem go swoim nieślubnym ojcem duchowym. Zabawna anegdota: w trakcie poszukiwania w ówczesnej Polsce tych wszystkich lektur, a między innymi „Procesu” Kafki, który wyszedł przed wojną, uruchomiłem nawet bibliotekarkę sanockiej biblioteki, by wyszukała mi „Proces” (ogromna ilość książek była wycofywana i szła na przebiegi). W końcu moja mama wraca z miasta i mówi, że pani bibliotekarka znalazła dla ciebie „Proces”. Biegnę w te pędy do miasta, a bibliotekarka pełna dumy, wręcza mi propagandową broszurę „Proces Doboszyńskiego”. O Boże. Pograżyłem się w dygresjach dziadunia. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: ekran radiestezyjny K-42
Date: 02/11/2004

Za Żabojadami i ich przepisami generalnie nie przepadam, ale w sprawie symboli religijnych uważam tak jak oni, tzn. że trzeba ich eksponowania w miejscach publicznych prawnie zakazać, bo jedno przeczą drugiemu, jedno drażnią tych, a in-

ne tamtych. Mnie osobiście obojętne są wszystkie, jakiegokolwiek by były, bo jestem absolutnie niereligijny. Powolne mieszanie się ras i kultur jest nieuniknione i nawet jest czymś pozytywnym i budzącym nadzieję na lepsze jutro, ale na dzień dzisiejszy jest to problem wzajemnej nietolerancji, i do prawa należy w miarę możliwości zapobieganie temu.

Synek pana Krzysztofa odsunął się na bok, bym w pełni mógł ująć agregat i stąd występuje z profilu. Starannniejsze kompozycje wymagałyby czasu, a poza tym psuły efekt autentyzmu. Staram się dokumentować, nie przeszkadzając w pracy. Pięknie pozdrawiam

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: hata joga
Date: 02/14/2004

Jezu! Za chwilę (o 8:15) jeden nudziarz ze Śląska na 15 minut po podpisy na fotomontażach. Potem pan Krzysztof chórem wraz z żoną. Ona do sprzątanía, on do pracy. Wczoraj nie pracował, bo wyciągał z rowu jakąś przyczepę. Ksiądz mnie nie obmacywał, chyba że zepchnąłem te wspomnienia do podświadomości. Po prostu (jak teraz myślę) nasza rodzina w Sanoku była zbyt ważna, by ksiądz o tym nie wiedział. Miał do obmacywania pod dostatkiem dzieci proletariatu. Inny ksiądz, który był przyjacielem rodziny ze strony mej matki, był podobno (jak dowiedziałem się niedawno) uważany za specjalistę od sprawdzania starszym dziewczynkom, czy noszą medaliki i czy włożyły dolną bieliznę. Biedny ksiądz. Nie było jeszcze wtedy stringów. No cóż: moje wyobrażenia o księżach z okresu przedszkolnego opierałem właśnie na nim i gdyby mnie spytano, co to są księża, miałbym gotową odpowiedź, że są to faceci w czerni potrzebni w każdej rodzinie do brydża, wspólnych kolacji, picia alkoholu i opowiadania kawałów. Do wspólnego tenisa już się nie nadawali, a we wspólnych wycieczkach kajakowych brali udział nawet zaprzyjaźnieni młodociani żydowscy komuniści – jednym słowem, czysta żydokomuna. Na dodatek, wujek był piłsudczykiem i legionistą, a dziadek endekiem, ciotka wojującą antysemitką, której najsłynniejsze – już powojenne – odkrycie polegało na tym, że Jasir Arafat to też Żyd. To była francuska prowincja z francuskich filmów o aptekarzu, księdzu i komuniście, wraz z jej nieuchronnym zidioceniem. No nic, kończę, bo tylko patrzeć, jak zadzwoni pan Krzysztof. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: chórem czy hurtem?
Date: 02/15/2004

Przepraszam: Zamiast „chórem” powinno być „w duecie”, ale od lat nauczyłem się używać tego określenia, które kiedyś tam wymyśliłem jako żart, a teraz przyjęło się już w moim osobistym języku jako określenie potoczne. Ze zrozumieniem

dowcipu zawartego w rodzajniku Le lub La, miałbym poważne kłopoty. Moja żona była romanistką, ale ja po francusku umiem tylko merde. W ogóle nie mówię prawie żadnym językiem. Słabo po polsku i to wszystko. Umieję z trudem czytać i na 2/3 rozumieć pewien zakres informacji technicznych po angielsku i po niemiecku, ale nic poza tym. W każdym razie lepiej to robię niż komputerowy tłumacz, bo jeśli on przetłumaczy jakiś tekst, to już nic z niego nie rozumiem. Jeszcze gorzej, jeśli tłumaczy z polskiego na angielski. Ostatnio tytuł listu „Drogi Guido” przetłumaczył mi na „Road Guido” (chyba tak, bo już nie pamiętam, ale nawet ja się od razu zorientowałem). Biedny Guido pewnie sądzi, że zwariowałem, ale dawniej pisała do niego zawsze Zosia po francusku lub Tomek po angielsku. Jeśli chce się Pani pośmiać, to proszę mi podrzucić mailem jakiś tekst angielski, a ja go przetłumaczę tym tłumaczem. Kolega z ławy szkolnej okazał się moim rówieśnikiem (starszym o dwa tygodnie) z ławy szkolnej. Przybył razem z żoną i zapytał już w progu: Poznajesz? Optymista! Ja z trudem pamiętałem nazwisko, a tu naprzeciw mnie stał zgrzybiały podobnie jak ja starzec, tyle że nieco bardziej dopasowany wizualnie do swego wieku: Przedziałek, krawat, kamizelka, marynarka, rolex, wyglansowane buty, zapach wody kolońskiej. Żona w jego wieku, ale zrobiona na rudo. Byli mili, wykształceni, mają już gromadę wnuków, mieszkają w Poznaniu i widzieli moją wystawę. Niczego nie chcieli prócz chyba odnowienia znajomości, a zatem odnowiliśmy ją i wymieniliśmy adresy. Mój kompleks winy żerował potem na mnie przez dwa dni: facet pamięta, jak bawiliśmy się w naszym ogrodzie, a ja zapomniałem. Mane tekel... Jednym słowem, taka ze mnie żydowska świnią. Rozmaici ludzie do mnie przychodzą, ale tak naprawdę odczuwam coraz częściej koszmarną samotność. Większość moich rówieśników-przyjaciół albo nie żyje, albo coraz głębiej pograża się we mgle sklerozy. Czasami czuję się jak w balii na środku spokojnego jak jezioro oceanu, którego horyzont łączy się z szarym niebem. Nikt nie woła. Nic, nikt, nigdzie, nigdy. Koniec. Jak to powiada lud: zdechniesz jak pies pod płotem. Sam. Jak widać, nawet w umieraniu potrzebna jest człowiekowi widownia, a jak tu zagrać przed pustą lub nawet niekoniecznie pustą, ale obcą widownią, która mówi innym językiem. Ja tu umieram, a na widowni nie ma ludzi, lecz siedzą same fotografie.

Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: dzięki
Date: 02/15/2004

Słowo „Żyd” obrosło w Polsce sztucznością. Ludzie, którzy nie są antysemitami, boją się go użyć, jakby parzyło. Moja nieżyjąca już kuzynka, użyła raz takiego określenia: „nasz bliski przyjaciel pochodzenia semickiego”. Czyż można sztucznie? Łaziła po tym zdaniu jak po zaminowanym polu. Po pierwsze, drugie i trzecie: głównie mnie obchodzi, jakiego kto jest pochodzenia. Ja np. jestem pochodzenia ormiańskiego (po babce ze strony matki). To co: już nie jestem zwykłym

facetem, tylko facetem „pochodzenia ormiańskiego”? Jezu! Może więc powinienem nienawidzić Azerów, którzy też gównu mnie obchodzą, podobnie jak Ormianie? Więc jeśli się już koniecznie musiało określać przynależność etniczną, to można było powiedzieć, że ten przyjaciel jest Żydem. Co w tym na Boga jest złego? Sam czuję, że to słowo obrosło złą konotacją, ale to siebie trzeba uwolnić, a nie niewinne słowo. Jeśli idzie o Palestyńczyków i Żydów, to są tak pokrewni rasowo, że nie do odróżnienia, i nie znam się na tym, ale chyba jedni i drudzy są Semitami. Różnice są chyba tylko religijne. W końcu też Żyd Żydowi nierówny, podobnie jak ja nie jestem równy Ojcu Rydzykowi, Lepperowi czy aktywistom Rodzin Polskich. Aszkenazyjczycy, Sefardyjczycy, którzy tych pierwszych nie cierpią jak stonki, demokraci, liberałowie, fanatycy, bigoci z pejsami etc. To, na Boga, takie samo społeczeństwo jak każde inne, tylko trochę skrzywione przez obecne położenie geopolityczne i diaspore, podobnie jak my przez zabory. Pięknie pozdrawiam i życzę szybkiego wyzdrowienia.

Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: jejku
Date: 02/18/2004

Staram się być człowiekiem grzecznym. Tak mnie wychowano. „To mój syn – Zdzisiu, ukoń się”. Pewne odruchy zostają na całe życie. Gdyby mnie napadnięto, a nie wiedziałbym, jak działa spray oślepiający, to najpierw bym przeprosił: „bardzo przepraszam, panie bandyto, ale proszę chwilę zaczekać, gdyż muszę włożyć okulary do czytania, aby przeczytać instrukcję”. Do tego dochodzi mój kompleks winy i przekonanie, że za wszystko ponoszę odpowiedzialność moralną – w końcu bandyta jest ubogi, a ja mam za co żyć. Z masochizmem nie ma to NIC wspólnego. Określenie „masochizm” używane jest u nas powszechnie kompletnie bez sensu. Jestem tu rodzajem autorytetu, bo jestem zadeklarowanym masochistą, o czym dowiedziałem się przypadkiem, mając już ponad 30 lat, gdyż poprzednio podejrzewałem się o pewne skłonności sadystyczne. Niestety, nigdy nie uprawiałem tego czynnie, bo w tym celu trzeba chyba mieć kogoś czującego bluesa do współpracy oraz być co najmniej karateką, o czym dopiero co pisałem Dmochowskiemu, który też niewiele z tego rozumie.

Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: ZosiaSamosia
Date: 02/19/2004

Pan Krzysztof pracował wczoraj do 22, ale dziś ma kolejny pogrzeb w rodzinie. Już trzeci pogrzeb w trakcie remontu. Jeśli w końcu remont się skończy i pani Kupcowa wysprząta mieszkanie (liczy jednak sporo drożej niż ta Ukrainka), to

powiniennem nagle stracić oddech, zwalić się na nowe panele i zakończyć żywot. Lub uczynić to w kabinie natryskowej! Zawsze gdy na filmie bohaterka zdejmuje szlafrok i wchodzi do kabiny natryskowej oraz na jej twarzy pod wpływem strumienia wody pojawia się odprężenie po dniu pracy, wiem na 100%, że kolejnym ujęciem będzie obracająca się powoli klamka lub obrośnięta futrem łapa z trzema pazurami, podważająca futrynę okienną. Zawsze najgorsze zaczyna się od kabiny natryskowej. Nie nauczyło mnie tego wprowadzić życie, bo nie miałem kabiny natryskowej, ale jeśli wierzyć filmom, to zrobiłem głupstwo, bo teraz się zaczyna horror. Z rur nagle polecą krew albo kwas azotowy. W mieszkaniu pojawią się potwory lub członkowie mafii wołomińskiej (pan Krzysztof jest z Wołomina), a ja niczego nieświadomy obracać się będę pod natryskiem, nie widząc nic przez zaporowane szyby. Albo kabina wypełni się gazem sarin. A może gazem soman lub trilenem? Aha, widziałem jeszcze coś lepszego. Agregat zsynchronizowany będzie na skutek pomyłki w magazynie z emitерem odpowiedniej częstotliwości opracowanym przez zbrodniczą organizację pragnącą zawładnąć światem i spowoduje, że w kilka sekund zamrażnę do temperatury -100 stopni i rozsypię się w kawałki. Wszystko, co najgorsze, zaczyna się zawsze w kabinie natryskowej. Uboczne działanie cardury jest w moim wypadku cholernie nasenne, a i tak od kiedy zacząłem się leczyć na nadciśnienie, a równocześnie zostałem starcem, senność w ciągu dnia najbardziej przeszkadza mi ze wszystkiego. No nic, biorę się do pracy. Pięknie pozdrawiam

Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: przyjemność wåtpliwa
Date: 02/21/2004

Sto tysięcy pytań, na które nie umiem odpowiedzieć. Np. nie znam W OGÓLE życia prywatnego Freuda – interesowała mnie jego interpretacja marzeń sennych, bo przed wielu laty interesowałem się snem i snami i wtedy trafilem też na Freuda. Interesował mnie wyłącznie przez swoją twórczość. Jak rzadko kto, stał się postacią legendarną. Każdy młody psychiatra we Wiedniu czuje się po trosze Freudem. Znajomy amerykański mim (przez długie lata był uczniem i współpracownikiem Marcela Marceau) opowiadał mi, że gdy otworzył we Wiedniu prywatną szkołę mimów, mieściła się ona w basement kamienicy, w której równolegle prowadziło praktykę kilku młodych psychoanalityków. W tym okresie w modzie było zabijanie własnych kompleksów. Zamiast położyć się tak jak dawniej same-mu, kładło się na kanapie kompleks i waliło węż laską, wydając przy tym wrzaski. Cała kamienica przeszywana była co chwila wrzaskami zakompleksionych, którzy zabijali na kanapach własne kompleksy. Podsunałem mu nawet scenkę mimiczną, w której poranione kompleksy wyczołgują się przez drzwi, a martwe wynoszone są przez sanitariuszy na noszach.

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: 75
Date: 02/24/2004

Że też ANI RAZU w całym swym długim życiu nie sprawdzałem swej potencji rano. We wszystkich porach dnia, najczęściej wieczorem, a raz przy pełnej sali w loży teatru Słowackiego w Krakowie na socrealistycznej sztuce „Lubow Jarowaja”, miałem – używając stylu Kałużyńskiego: pełne pożycie męsko-damskie, ale Bóg mi świadkiem, że nie przypominam sobie, bym to robił rano. Nawiasem: To, że robotnicy wstają o 6 i o 7 jest typowym wyobrażeniem inteligenta, który nigdy nie pracował fizycznie. Do fabryki wstaje się o 4, a najdalej o 5 rano. Za pięć 7, syrena fabryczna już ryczy, że można ogłuchnąć, a najbardziej spóźnieni, świńskim truchtem podbiegają pod bramę. Przedtem słycać tylko w półmroku łomot setek butów po chodniku. Nikt nie rozmawia. Wszyscy, idąc, jeszcze śpią. Tych, co musieli wstać o 4, podwożą autobusy zakładowe. O godzinie 7 wygrzebuje się z barłogu codziennie taki leniwy, rozkapryszony i cyniczny starzec jak ja, dawniej przy dźwiękach Radia Eska, a teraz przy Radio Zet. Zresztą jedno warcie drugiego. Bardzo dziękuję za życzenia. Żeby się jeszcze chciały spełnić...
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: Klub Chorowitych
Date: 02/28/2004

W tym miejscu przyjechał wraz z rodziną (żona, córka i syn) pan Krzysztof w celu finalizowania robót, ale najpierw chciał byśmy obaj pojechali do OBI kupić szafkę łazienkową, kable i trochę dupereli. Kupiłem też kosz na łódry (laundry – dzięki Pani poznaję tajniki języka angielskiego, którym posługuje się Wielki Świat), a wracając, kupiłem sobie na obiad dwa Royale w McDonaldzie, panu Krzysztofowi WieśMaka, a reszcie famalii 3 BigMaki zgodnie ze wskazaniem pana Krzysztofa. Bikont napisał we WPROST (chyba), że jedzenie w McDonaldzie jest obrazą dobrego smaku. Uznałem to za celne stwierdzenie, bo przy moim braku asertywności, mogę obrażać bez skrępowań choć przynajmniej smak, nie cierpiąc katuszy duchowo-moralnych na skutek wyładowania agresji. Zanim wróciliśmy i mogłem się do pisania, zbliża się już godzina 13. Teraz muszę brać udział w robotach. W Hermesie była VIVA!, ale jeszcze nie zdążyłem zobaczyć. Więc proszę o wybaczenie, że nie odpowiem na wszystko. Pięknie pozdrawiam Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: Sunday, bloody Sunday
Date: 02/29/2004

No, więc niestety wczoraj nie dobiliśmy do mety z remontem, ale mam już chyba czysto. Piszę chyba, bo jestem facetem, który lubi czystość wokół, ale gdy

tylko w moim mieszkaniu pojawi się nawet na pół godziny jakaś dama, to przeciąga palcem po jakiejś niewidocznej części ramy od obrazu lub kawałku zamka u drzwi i mówi, że powinienem zwrócić uwagę sprzątacze. Wyrzuciłem z domu wszelkie dywany, bo wiem, do czego one służą: do tego, aby pod nie zamiatać kurz z podłogi. W końcu po co by je ludzie kupowali. Poza tą jedną cechą wyłącznie przeszkadzają i szpecą. Tymczasem kobiet to wszystko nie zadowala. Mają w swoim homeostacie dokładniej ustawiony miernik zabrudzenia otoczenia. Chyba już na pewno zakończymy jutro, czyli w poniedziałek. Tak na oko to wszystko jest już zrobione, ale zostało trochę niedoróbek i dupereli, takich jak wieszak na ręcznik, usunięcie rusztowania pod lustrem w łazience etc. Rusztowanie pod lustrem spowodowane tym, że Pan Krzysztof doradził, by lustro przykleić do kafli, a nie przykręcić. Ja jestem starej generacji. Śruba to śruba. Lustro jest w nogach wanny i przechodzi na łazienkę, tak abym uniósłszy się w wannie, mógł zobaczyć, czy zmyłem szampon z głowy, a umiem myć głowę, tylko siedząc w wannie, oraz abym mógł się ogolić lub wysuszyć włosy, gdy stoję obok wanny. Już widzę oczyma wyobraźni, jak leżę w wannie po całym dniu pracy, a tu nagle klej puszcza i lustro jak gilotyna leci w dół, przecina mi naczynia i ścięgną w nogach. Woda w wannie błyskawicznie robi się czerwona i kończę jak Petroniusz, tyle że na skutek starzenia się silikonu.

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: coraz mniej czasu
Date: 03/01/2004

A co ja mam powiedzieć o przemijaniu? Ile mi jeszcze zostało? Wszystko wpada do jakiejś dziury. Nie myśmy to pierwsi zauważyli. Marność nad marnościami, wszystko to marność. Nawet jeśli ktoś z nas zapisze się w pamięci zbiorowej, to na jak długo. I przede wszystkim, po co. To jak sen we śnie. To porównanie też już kilkakrotnie wymyślono od nowa i zawsze tak samo. No, ale trzeba wracać do rzeczywistości, remontować, malować, kupować kolejne aparaty cyfrowe, powiększać lub zmniejszać cycki, zazdrościć innym, że jeszcze nie zjedli przydzielonego im kotleta pod nazwą życie. Na niektórych dopiero oczekuje na talerzu. Jakże wspaniale pachnie! Natomiast my, otumanieni alkoholem podanym litościwie przez pomocnika kata, stoimy pod szubienicą i nawet nie warto wymyślać i wypowiadać ostatnich słów, bo nikt z zajętych konsumpcją nie słucha. Ale im też nie ma czego zazdrościć. Będzie z nimi to samo co z nami. Albo napchają się po dziurki od nosa i wyrzycą to, co zjedli, albo będą sobie odmawiać i potem z żalem patrzeć, że niezjedzone zgniło. Wszystko to marność. Nie ma na nią skutecznego sposobu. Dziś tylko ten rozweselający wstęp, bo pan Krzysztof już przyszedł i robimy dogrywkę z Wielkiego Finału. Oby się to na dniu dzisiejszym skończyło. Czas bowiem raz biegnie za szybko, a raz za wolno.

Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: kawałek kotleta
Date: 03/02/2004

Ta dyżurna feministka powiedziała chyba całkiem rozsądnie, że nie można lubić lub nie lubić kobiet. Mogę lubić Kasię, a nie cierpieć Marysi, podobnie jak lubić Wacka, a nie cierpieć Jacka. Osobiście staram się lubić wszystkich, bo taką mam naturę, skłoną raczej do zgody, ale nie zawsze i nie do końca to mi się udaje. Natomiast nieustannie spotykam się z kretynoidalnymi opiniami, że nie lubię kobiet, bo namalowałem kobietę w sposób zdeformowany. W ten sposób można byłoby mi zarzucić nienawiść do całego świata jako takiego, bo z reguły stosuje deformację tego, co przedstawiam. Podział na płcie jako kryterium oceny jest powszechny, i magistrantka, która ze mną rozmawiała ostatnio, pytała, jaki mam stosunek do malarstwa kobiet. Powiedziałem, że dla mnie istnieją złe lub dobre obrazy i nie umiem podzielić ich na kobiece i męskie, choć zapewne udałoby się dokonać takiego podziału. Jeśli oprzeć się na tym, co piszą i mówią feministki, istnieje jakaś szklana ściana, oddzielająca świat kobiet i mężczyzn, i rządzą za tą ścianą mężczyźni, nie dopuszczając kobiet. Zapewne tak jest, jeśli spojrzeć na statystykę, ale tego nie załatwi żaden ruch i żadne procentowe nakazy zatrudnienia, a chyba raczej wychowanie dzieci, które dziś chłopcom oferuje karabiny i samoloty, a dziewczynkom lalki Barbie. Poza tym kobiety mniej powinny żądać JAKO KOBIETY, a silniej pracować łokciami JAKO JEDNOSTKI. Być może też, że taki układ uklepał się na skutek inercji większości kobiet. Wiem po sobie, jak łatwo powstaje inercja wieku podeszłego. Jeszcze nie tak dawno wszystkie nieomal prace, jakie wykonuje teraz u mnie pan Krzysztof, wykonywałem sam. Sam ciąłem płyty pilśniowe i deski. Sam oprawiałem też obrazy. Sam robiłem i malowałem ramy. Sam przemieszczałem ciężkie meble i montowałem półki, regały etc. Sądzę, że gdybym tego nie przerwał, potrafiłbym to robić do dziś. Najpierw przerwałem coś tam, bo pomyślałem, że wygodniej będzie zapłacić. Teraz już tylko siedzę i patrzę. Kpiłem z własnej matki, a teraz sam taki jestem. Ta inercja pchająca większość kobiet w sakramentalne niemieckie 3K (Kinder, Küche, Kirche) może być też spowodowana chęcią uzyskania łatwiejszego rozwiązania. Pójdzie linią najmniejszego oporu. To okazuje się czasami na dłuższą metę zawodne, ale tego nie załatwi żaden ruch wyzwolenia, bo żaden ruch wyzwolenia starców nie spowodowałby we mnie potrzeby wykonania poleczki pod telefon samemu, skoro wygodniej jest zapłacić. Zapewne statystycznej większości jest wygodniej, tak jak jest. Co, oczywiście, nie wyklucza narzekania. Pięknie pozdrawiam

Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: sonsiat
Date: 03/04/2004

Ja nie obracam się w takich kręgach jak Pani, lecz bardziej przy ziemi. Mój miły sąsiad od tygodnia na orbicie. Przed tygodniem poprosił o 20 zł, przed czterema dniami o 20 zł, potem o 30 złotych. Dziś zaokrąglił to o kolejne 30, ale powiedziałem stanowczo, że ponad 100 zł już mu nie pożyczę, bo będzie mieć trudności z oddaniem. Wtedy wyjawiał, że jak sąsiad sąsiadowi, powinienem mu dać obraz. Tylko jeden. Niewiele. Najlepiej portret. Powiedziałem, że mogę mu zrobić zdjęcie. Zrobiłem, ale on sądził, że ja z tego namaluję portret, i gdy poszedłem po te 30 zł, wparował mi do mieszkania. Obejrzał całe mieszkanie, a ja go oprowadziłem, bo nie chciałem urazić jego dumy i wyprosić go. Nie mogłem mu wytłumaczyć, że ja nie maluję z modelu, co zrozumiał z menela i zaczął się obrażać. Jakim językiem przemówić, by zrozumiał, co do niego mówię. Choćbym przemawiał wszystkimi językami świata, a miłości nie miał, byłbym jako ta miedź brząkająca... Faktycznie miłości do niego nie potrafiłem w sobie wzbudzić (mea culpa), ale on do mnie tak, i w końcu zapomniawszy urazy, zapragnął mnie pocałować w rękę, ale jakoś mu ją wyrwałem. Boże: ten mój brak asertywności...
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: męczące życie
Date: 03/06/2004

Z sąsiadem wyszło w końcu tak, że wczoraj przyszła jego żona i błagała mnie, bym mu nigdy nie pożyczał pieniędzy, ani nie otwierał drzwi, bo w efekcie tego, co mu pożyczyłem, zarzygał mieszkanie, gdy przyszła (ona ma jakąś taką pracę, że czasami jej przez kilka dni nie ma i on wtedy wchodzi na orbitę). Dałem jej słowo honoru, powiedziałem, że te 110 zł (bo jeszcze przyszedł rano po dodatkowe 10) podaruję mu, aliści ona powiedziała stanowczo, że wszystko zwróci. Żał mi i jego, bo jak go suszy, to mu się mózg wywraca na lewą stronę, i jej też mi żał, bo jakie ma koszmarnie życie. Dzieci i wnuki na szczęście mieszkają gdzie indziej. Gdy idę rano po chleb do MarcPolu (to daleko od hotelu Westin czy Sheratonu), to pałęta się tam taka grupka biedactw rozmaitego typu, która czeka niejednokrotnie na zimnie i na deszczu, aż znajdzie się jeden, który będzie mieć na flaszkę (bo znalazł frajera takiego jak ja), i grupują się wtedy pod murem lub w krzakach za płotem, gdzie następuje konsumpcja. Żaden nie pije do lustra. Jak mnie taki spotka na ulicy i zagadnie „koleś kopsnij piątala na browar”, to daję nawet 20, no, ale teraz dałem słowo honoru, że jemu już nie pożyczę, bo to wszystko spada na jego żonę, gdyż podobno zadłużył się w całym osiedlu, a na dodatek zarzygał mieszkanie.

Pyta Pani, po co te monitory. Sam nie wiem. Ja mam po prostu nieczyste sumienie, zwane w psychiatrii kompleksem winy za to, że mnie jest lepiej niż jemu. Bę-

dę czuł się teraz chory, jeśli on będzie dzwonił, a ja mu nie otworzę, ale postanowiono mnie między młotem i kowadłem, bo dałem jego żonie słowo honoru, że go nie wpuszczę. Przed chwilą już dzwonił.

Zdzisław Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>

To: <lilianasc@poczta.onet.pl>

Subject: Re: Orac

Date: 03/07/2004

Po śmierci żony rozdałem wszystko, co nie miało cech ściśle użytkowych. Porcelanę, srebra zabytkowe, świeczniki, wazony, wyroby z laki, drobiazgi etc. Kupiłem plastikowe talerze i talerze jednorazówki, zarówno plastikowe, jak i papierowe. Podobnie szklanki. Gdy spadnie, to się nie tłucze, zaś jednorazówki wywalam do zsypu, nie musząc myć. Z mebli najbardziej lubię biurowe. Ważne by były dla mnie wygodne, to też do niektórych krzeseł pan Krzysztof przyspawał przedłużacze do nóg i mam je poznaczone skoczem, abym wiedział, które są do czego, bo w każdym długość nóg jest nieco inna. W życiu nie kupiłbym antyku, a jeśli bym go miał, to dałbym rodzinie lub postawił koło zsypu, by go sobie ktoś zabrał. Nie mam w domu NICZEGO, co miałoby jakąkolwiek wartość poza użytkową. Wręcz organicznie nie znoszę czegoś, co ma wartość głównie dekoracyjną. Czysta funkcja. Pani pasje do staroci podzieliłby na pewno Starowieyski, ale ja jestem kimś w rodzaju portretu pamięciowego. Człowiek bez twarzy. Funkcjonalny cyborg. No nic. Biorę się do malowania i pięknie pozdrawiam Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>

To: <lilianasc@poczta.onet.pl>

Subject: Re: przedmioty a pamięć

Date: 03/08/2004

Kurczę! Marchewkowa kanapa jest moim najpiękniejszym, wręcz ulubionym meblem i czuję się boleśnie dotknięty, że się Pani nie podoba. Nie nakryję jej narzutą, bo po pierwsze jestem z niej dumny, a po drugie im mniej szmat, tym lepiej. Doznania, jakie się ma w kontakcie z przedmiotami, które należały do bliskich osób, są wspólne nam wszystkim, i do dziś jakieś drobiazgi po ojcu trzymam w domu, ale nie można trzymać wszystkiego. Porcelana i srebra rodzinne były jeszcze po dziadkach – używało się tego od świąt i wielkiego dzwonu, ale ze wszystkim rozstałem się po śmierci syna. Jestem już w sposób ostateczny sam i bez spadkobierców. W którymś momencie trzeba wbrew sobie wiele rzecz zniszczyć, choćby listy, które pisałem do żony i które ona przez całe życie przechowywała, bo chyba były dla niej ważne, no, ale sam w każdej sekundzie mogę się przekreślić, a te listy nie mogły zostać. Choćby dziennik Tomka prowadzony na dziesiątkach kaset dyktafonu. Poleciał go zniszczyć, lecz pozwolił mi przesłuchać, ale w końcu nie dałem psychicznie rady całego przesłuchać i zniszczyć-

łem, bo były tam po nazwisku osoby trzecie, takie jakie widzę czasami w TV. Zebrałem więc siły i spaliłem. Za każdym razem czułem się tak, jakbym dokonywał egzekucji. Także na sobie. W mieszkaniu Tomka, które teraz sprzedałem, przechowywana była w workach plastikowych przez kilka lat bielizna pościelowa i ciuchy żony, jakaś kołdra puchowa dla mnie, z której była dumna, ale gdy to teraz ruszono, to ze środka wyleciały setki moli, więc wszystko zostało spalone. Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz. Nie mogę żyć z upiorami, szczególnie że sam niedługo nim zostanę. Można było niczego w mieszkaniu nie zmieniać, ale wtedy zrobiłaby się kapliczka z „Pałuby” Irzykowskiego. Nie można zatrzymać czasu. Jesteśmy tylko śmieciem w kosmosie. Czy mamy się jeszcze dodatkowo zasypywać Śmieciem, jaki nieustannie kolekcjonujemy wokół siebie? Oczywiście: racjonalizm to jedno, a emocje to drugie. Nie jestem od nich wolny. Boże, ja TV prawie nie oglądam. Oglądałem przed kilku dniami jakichś nowych Zombich na HBO, a wczoraj na HBO jakąś pukawkę z pseudoszpiegami i ukradzioną bombą atomową. Jestem przecież infantylny. Pięknie pozdrawiam Beksiański

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: jak nie urok
Date: 03/13/2004 *

Oczywiście, jest w internecie kupa bzdur, ale w książkach na pewno też, tylko w książkach nie są one tak łatwe od odszukania. Tu ma Pani do dyspozycji grubo ponad 3 miliardy wielostronicowych czasami plików. Niedawno znalazłem jakąś stronę filmowców amatorów, którzy postanowili nakręcić film o moim synu, ale jest on tam przedstawiony jako bojący się świata facet z agorafobią. We fragmencie scenariusza jest, jak facet rozrzucający reklamy, rzuca ją pod jego drzwi, a ze szpary w drzwiach wysuwa się ręka i łapie za reklamę. Jak znałem Tomka, to nie zza szpary, ale w całych drzwiach pojawiłby się z wrzaskiem: „Zabieraj sobie kurwa te śmiecie, bo ja za ciebie sprzątać nie będę”. Czego jak czego, ale asertywności miał sto razy więcej niż ja. Co do mnie, to informacja, że byłem w komie, w czasie której zwiedzałem odległe rejony Piekła, została wprawdzie usunięta z witryny angielskiej, ale ktoś ją już przetłumaczył na włoski, a gdy wystukałem, beksinski+coma, to dowiedziałem się nawet z jakiegoś bloga, że przed samobójstwem byłem długo w komie. Czyli pomieszano mnie z Tomkiem, a nas obu z komą.

Tak: słyszałem rano przed dwoma chyba dniami, że pilot, z którym robiła Pani wywiad, ma kłopoty. Oskarżenie o niedopełnienie obowiązku odmrażania jest chyba rutynowe. Takie samo oskarżenie padło pod adresem pilota Antonowa 24, który rozwalił się i spłonął pod Rzeszowem przed laty i w którym leciał też Tomek, stąd przez całe lata uważał, że jest niezniszczalny. Miał sobie tylko nieustannie za złe, że nie dał rady uratować jakiejś kobiety przynięcionej żelastwem, podczas gdy wszyscy już uciekli i gdy zaczął przez drzwi wołać, by mu

ktoś pomógł, usłyszał tylko, że za chwilę wybuchnie benzyna, co się po paru sekundach stało. Boże, biję dziś rekordy niekonkretności i starczego głędzenia. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <lilianasc@neostrada.pl>
To: <bex@acn.waw.pl>
Sent: Sunday, March 14, 2004 4:55 AM
Subject: Krystyna

Byłam dzisiejszego wieczoru na imieninach Krystyny – ambasadorowej. Była w towarzystwie tęga brunetka, która od stu lat pracuje w ZPAP na Mazowieckiej. Mogłam, bez ujawniania się, posłuchać, jaką też ma Pan opinię w środowisku. Reasumując: był Pan DOMINUJĄCYM ojcem i stąd wszystkie kłopoty. Nie ujawniając się, zapytałam, „jak można być dominującym, jak się jest nieprawdopodobnie tolerancyjnym? Kosmiczna bzdura”. Następne zdania były rozwinięciem tezy, że dominacja to narzucenie komuś czegoś. Ona swoje, ja swoje. Po paru minutach zorientowałam się, że powtarza cudze, obiegowe opinie kolegów-artystów; zresztą potwierdziła: „tak ludzie mówią”. Pies ich trącał.

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: Krystyna
Date: 03/14/2004

Co do Tomka, to oczywiście ta informacja jest idiotyczna. Być może, że był w jakimś tam stopniu obciążony tym, że jestem środowiskowo znanym malarzem. Niemniej jednak on był chyba środowiskowo bardziej znany ode mnie – tyle że trochę lekceważył to środowisko, czyli swoich fanów. Gdy na rok czy dwa przed jego śmiercią miałem na Śląsku wystawę fotomontaży, zadzwoniło do mnie jakieś tamtejsze radio i zapytało, czy powiem parę słów przez telefon na żywo. OK., powiem. Słyszę w słuchawce jakąś muzykę pop i czekam, nagle muzyka się nieco wycisza, a na tym tle słyszę zapowiedź: „Wszyscy znamy Tomka Beksińskiego, ale tylko niewielu wie o tym, że jego ojciec też jest utalentowanym człowiekiem...” i tak dalej. Takie opinie nie kształtowały w nim chyba kompleksu ojca. Dostawał paki listów, i to ja raczej powinienem być zazdrosny o popularność, która na dodatek trwa nadal i jego witryna „Krypta” ma na liczniku 112 702 odwiedzin na dzień dzisiejszy. W artykule w „Gazecie Wyborczej” po jego śmierci Tochman zacytował kogoś, kto powiedział, że się nim brzydziłem (?), co też było jakąś kosmiczną bzdurą. Może szło o to, że brzydzę się pulpetów; ktoś mu powiedział coś w stylu „gdy jeszcze ojciec nosił cię w beciku”, na co usłyszał: „stary brzydzi się pulpetów i na pewno mnie nie nosił”. Tak to sobie tłumaczę, bo niby jak inaczej? Niemniej jednak za „Gazetą Wyborczą” zacytował to w obszernym artykule organ kobiet wtajemniczonych pod tytułem „Wróżka”. Byłbym o tym nie wiedział, gdyby nie zaczął mnie przez internet poszukiwać jakiś facet, który

dostał mój adres i napisał, bym zadzwonił do jakiejś kobiety w Lublinie na numer taki i taki, bo ona nie daje mu spokoju, informując go stale, że duch Tomka do niej przychodzi i prosi o modlitwę. Zadzwoniła do niej znajoma pani stomatolog i dowiedziała się, że „Tomek nie może skontaktować się wprost ze mną, bo jego ojciec ma serce zimne jak głaz” i nie zamówi mszy na jego intencję (zamówilem kilka, a nawet sam na nich byłem, bo sąsiadki by mi życie nie dały). Na dodatek ktoś uruchomił Radio Maryja i tam były zbiorowe modlitwy za duszę Tomka! Cóż za paradoks! Tomek zaznaczył w ostatnim liście do mnie, że absolutnie nie życzy sobie księdza na pogrzebie (czego dotrzymałem), a Kościół uważał za swego wroga numer jeden. Ilość ludowego kretynstwa, jaka wylała się z narodu po jego śmierci, była na poziomie polskiego serialu telewizyjnego. Tomek, oczywiście, był człowiekiem ambiwalentnym i nie można było do końca opierać się na jego ideowo-religijnych deklaracjach. Niemniej jednak kretynem nie był, a to, co na jego temat usłyszałem, było czystym kretynstwem. Mniejsza o to. Pięknie pozdrawiam

Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: można liczyć
Date: 03/18/2004

Rany boskie! Niechże Pani czyta dokładniej!!! Jak może sobie nawet Pani wyobrazić, że do damy napisałbym, iż jest prymitywna psychicznie. Coś takiego nie przesłoby mi przez klawiaturę, ani przez usta nawet w stosunku do prymitywów, a wręcz niemożliwe jest, bym tak napisał do Pani. Oblicowanie oznacza w języku fachowym albo kafelki w łazience, albo obłożenie elewacji budynku płytami piaskowca lub marmuru i tak dalej. W tym wypadku oznaczało urodę zewnętrzną i nie ja wymyśliłem ten termin, lecz (w polskim tłumaczeniu) jakiś znany pisarz radziecki, którego nazwisko wyparowało takiemu jak ja sklerotykowi z głowy. Nie wyparował jednak cytat. Jakiś dieduszka z kołchozu opowiada, że usłyszał od kobiety, że u mężczyzny nie jest ważne oblicowanie, a tylko sok życiowy, ale ja ki tam u mnie towarzysze sok... i tak dalej. Myślałem, że mogę zacytować, a Pani od razu kupi, ale okazuje się, że oboje zapomnieliśmy.

Słowo „chemia” miało w pani tekście zabrzmieć groźnie niczym gazy Saddama Husseina, ale H_2O , które pija pani codziennie i z którego w potężnym procencie składa się Pani cielesność, to też chemia. Te banialuki o chemii, słyszałem nawet od bardzo znanego malarza: „Dawniej pigment był naturalny, a teraz robią go pańscy koledzy (w tym wypadku chodziło o chemików) i dlatego obraży współczesne ustępują renesansowym”. To właśnie naturalny pigment używany przez Leonarda był niewiele wart, a obecnie mamy nieporównywalnie lepsze pigmenty, natomiast nieporównywalnie gorszych malarzy. Pięknie pozdrawiam

Beksiński

From: Liliana Śnieg-Czaplewska
To: Zdzisław Beksiński
Sent: Tuesday, March 23, 2004 12:59 AM
Subject: Ciceronica

Jak zobaczyłam, że niecałe pół godziny przed północą PAN JESZCZE NIE ŚPI, to myślałam, że wirus poprzestawiał Panu godziny w komputerze! Niewiarygodne, niesłychane.

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: Ciceronica
Date: 03/23/2004

Na 15 minut przed północą NIGDY nie śpię. Zwykle wtedy włączę do wanny, ale wczoraj poprzestałem na natrysku, bo rzeczywiście, z powodu poprawiania błędów w liście do Pani, byłem opóźniony. Wyrobiłem się jednak i zamknąłem w przewidywanym czasie, gasząc światło o północy.

Z innej beczki: Nie mam W OGÓLE doświadczenia w tym zakresie, ale zawsze zastanawiałem się nad tym, jak to ma być, jeśli miałem żonę, a potem się rozwiódłem, bo np. ona bardziej zabawowa niż ja i lubiła skoki w bok, a mnie to nie odpowiadało i mam drugą żonę, to jak to jest: Mam przechodzić na drugą stronę ulicy, o ile pierwsza żona się zbliża? Przecież pewnych zachowań, związków i pewnego stereotypu nie można przerwać administracyjnym ukazem, hokus pokus przed ołtarzem lub pieczętką. Jeśli np. nie ja, ale pierwsza żona odczuje do mnie wolę bożą, a ja mam drugą żonę, to jak to rozegrać? Co z tym zrobić? Czy akt administracyjny ma spowodować zakręcenie kranu z jednej i otwarcie z drugiej. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: Liliana Śnieg-Czaplewska
To: Zdzisław Beksiński
Sent: Wednesday, March 24, 2004 6:06 AM
Subject: Penderecki

Nie śpię od 4.30, może dlatego, że dwa dni temu skończyła mi się melatonina? Teraz się mogę Panu przyznać, gdy gazeta wydrukowana, że w ostatniej „Vivie!” (wysłałam ją Panu do domu) w rozmowie z Pendereckim bezczelnie użyłam Pana nazwiska. Brzmi to tak. On mówi: „Oczywiście, chodzę na koncerty. Ale to tak, jakby się pani spytała malarza, czy chodzi na wystawy i wernisaże kolegów”. – „Spytałam Zdzisława Beksińskiego. Powiedział, że unika jak diabeł święconej wody”. – „Ja też unikam. Żyję swoją muzyką”. Wybacz mi Pan?
Liliana

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: ależ oczywiście!
Date: 03/26/2004

Od rana szukam w całym domu numeru ART&BIZNES z reprodukcjami konkursowych obrazów, bo o ile to mi się nie przyśniło, ktoś mi go, z jakichś zapomnianych już przeze mnie powodów, przyniósł przed jakimś czasem i ja rzuciłem okiem, po czym położyłem gdzieś, po czym pismo wcięło. U mnie wszystko ginie najdalej po 24 godzinach. Niczego nie wyrzucam, wszystko skrzętnie chowam, ale jest to już nie do znalezienia, i gdy się w końcu znajdzie, jest już niepotrzebne. Jeszcze za życia syna i za życia mej żony trwały np. poszukiwania: gdzie ja u licha schowałem kilka lamp radiowych typu duotrioda ECC 83, bo były potrzebne do reanimacji jakiegoś przedpotopowego magnetofonu, którym syn posługiwał się przy tłumaczeniu list dialogowych. Cały dom został przewrócony do góry nogami, a pierwotny oskarżał mnie, że wszystko bezmyślnie wyrzucam, no i znalazły się teraz w trakcie remontu. Można by je było tylko oddać do muzeum techniki. Nie istnieje już ten magnetofon, nie żyją żona i syn, a nagle pojawiło się – jak z innego świata – pudełko z lampami. Pięknie pozdrawiam Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: w górę, w górę!
Date: 03/29/2004

Odruchom określanym jako desygnaty miłości, przypisać można znaczenie diametralnie przeciwne i wydaje mi się, iż jest to interpretacja właściwsza od interpretacji, z jaką spotykamy się na co dzień. Istoty żywe nastawiane są po prostu wyłącznie na branie, a nie na dawanie. Kontakt z drugim osobnikiem to podjeżdżanie do stacji benzynowej. Jesteśmy albo na niedoborze paliwa, albo jesteśmy w konkretnej sytuacji właśnie stacją benzynową i nasze odruchy mówią prawdę, a nasze wyobrażenia kłamią. Odruch czułości byłby więc jednoznaczny z wampiryzmem, a odruch rezerwy reakcją obronną przed wampiryzmem. Czy nie śniło się Pani w dzieciństwie, że ciocia czy nawet mama, z którą zostaje pani sama w pokoju, okazuje się kimś innym i groźnym pod przebraniem cioci czy mamy? To był podświadomy sygnał, że rzeczywistość jest inna niż nasza interpretacja. Ale to tylko dygresja, a propos mojej nieśmiałości z dzieciństwa i obecnej rezerwy. Ja po prostu sądzę, że jest to obrona terytorium. O Boże, zaczynam się rozpisywać, a przede mną sto tysięcy błędów do poprawienia. Pięknie pozdrawiam Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: jak wtorek, to jesteśmy w Krakowie
Date: 03/30/2004

Jeśli idzie o seks, to ma Pani rację. To jedyna sytuacja dwustronnego wampiryzmu, gdy dajemy, aby zabrać, czyli dokonujemy wymiany. We wszystkich innych sytuacjach bronimy się nieświadomie, jeśli przypada nam rola stacji benzynowej, i usiłujemy uwieść urokiem osobistym, gdy przypada nam rola pojazdu, w którym kończy się benzyna. Oczywiście, role się płynnie zmieniają, a pozory zmylić mogą nawet podświadomość. Jak wiadomo, szczególnie atrakcyjne są kwiatki, które zajmują się pożeraniem owadów. Tak więc pojazd złakniony benzyny może nagle wbrew swej woli stać się stacją benzynową. Ale to w końcu tylko teoria stworzona ad hoc. Nawiązując: film pod kretyńskim tytułem „Dzikie rzondze”, który obejrzałem wczoraj z taśmy, okazał się całkiem chytrze pozakręcanym thrillerem i początkowo chciałem go sobie nawet po 10 minutach odpuścić, a potem, w miarę kolejnych zakrętów, oglądałem już z przyjemnością do końca. „Nawiązując” dlatego, że w całości od początku do końca okazał się (naciągniętą przez scenarzystów do absurdu) grą pozorów, gdzie nic nie było na końcu tym, czym wydawało się na początku. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: rankingi
Date: 04/02/2004

Oczywiście, że pamiętam zarówno Wojtkę S., jak i aferę z wyborem mojego obrazu. Na pierwszej stronie „Polityki” była fotografia przedstawiająca wiadro na śmieci, miotłę i wewnątrz wiadra kartkę z kolumną BEKSIŃSKI, BEKSIŃSKI i tak dalej. Dodatkowym aspektem sprawy było to, że Wojtek miał chyba gejowską orientację seksualną, piszę „chyba”, bo nie interesowałem się nadmiernie orientacjami mych przyjaciół i znajomych – no, ale ja też wyszedłem przy okazji na pedałę, a z całej afery zrobił się Family Biznes. Mieszkałem wtedy w Sanoku i cała sprawa docierała do mnie za pośrednictwem relacji znajomych. Podobno wyglądało to tak: Wojtek był moim zadeklarowanym entuzjastą. Gdy już wszyscy uprawnieni głosowali (chyba członkowie AICA), przewodniczący pan Bogucki (to jemu właściwie zawdzięczam uparte lansowanie) wezwał Wojtkę do karnego raportu i poinformował, że jeszcze tylko on jeden (jako kompletny dystrakt) nie złożył swego głosu. Wojtek przyszedł i zapytał, ile głosów dostał Beksiński. Okazało się, że 3, na co Wojtek się wściekł i wszystkie z wyjątkiem jednego głosu oddał na mnie, i nie dało się go spacyfikować, mimo iż bardziej umiarkowani nakłaniali go do opamiętania. Potem w Stanie Wojennym Wojtkowi odbiło na katolicyzm i pracował w piśmie „Królowa Apostołów”. Ostatni raz spotkałem się z nim na konferencji prasowej, gdy miałem (zorganizowaną przez Dmochowskiego w porozu-

mieniu z księdzem Przekazińskim) wystawę w Muzeum Archidiecezji, z której do dziś mam zachowaną 10-minutową migawkę z lokalnego programu warszawskiej telewizji. Wystawę otwierał Glemp słowami: „W imię Ojca i Syna...”, a obecni byli także monsignore Marcinsano z Kongregacji Patrimonium Ecclesiae z Rzymu, przydupas Wałęsy ksiądz Cybula i inni dostojnicy kościoła. Na dziedzińcu rozścielono dywany, na których w fotelach siedzieli dostojni purpuraci, a między nimi Dmochowski z miną, którą Tomek określił „jakby połknął osę”. Znajomym scenaria pomieszała kompletnie pod sufitem i zachowywali się jak na rekolekcjach, i nawet Dzikowska powiedziała do mikrofonu dosłownie, „Beksiński jest postacią sakralną”. Ja, oczywiście, na wieść o tym, co się święci, uciekłem przed otwarciem i obejrzałem rzecz w TV. Już w trakcie programu zadzwonił telefon z tekstem „taki jak ty zawsze spada na cztery łapy – ledwie zerwałeś z Dmochowskim, a już zdażyłeś się podpiąć pod Kurie”. To raczej Kuria usiłowała się podpiąć do mnie, ale na szczęście, wobec braku reakcji z mojej strony i jakimś nieostrożnym moim (nieautoryzowanym) słowem o manipulacji w POLITYCE, poobrażali się (jeśli z kolei wierzyć Dmochowskiemu, który powoływał się na Przekazińskiego) i sprawa nie miała dalszego ciągu. Wojtek jest bardzo inteligentnym i wrażliwym, ale znerwicowanym do granic możliwości facetem. Ja przy nim jestem jak kartofel przy dmuchawcu. Opiekuje się swoim jeszcze bardziej chorym bratem, a ostatnią informację o nim zawdzięczam zaprzyjaźnionej dr psychiatrze. Gdy poszedł do przychodni po recepty na lekarstwa dla brata, młoda lekarka zrobiła z nim wstępny wywiad i skierowała do mojej (i Wojtka) znajomej z adnotacją: „chory ma urojenia – twierdzi, że jest krytykiem sztuki”. Sic transit gloria mundi. O Boże. Znowu się rozpisałem. Do roboty... Do roboty... Pięknie pozdrawiam Beksiński

From: Liliana Śnieg-Czaplewska
To: Zdzisław Beksiński
Sent: Saturday, April 03, 2004 9:50 AM
Subject: huraaa

Uciec „przed otwarciem” znaczy w ogóle nie pójść na uroczyste otwarcie wystawy sobie poświęconej? Z Pana to model, panie Zdzisławie. Jakimś cudem na własny ślub Pan podszedł?

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: huraaa
Date: 04/03/2004

Oczywiście. Ciepłe trykotowe majtki do kolan to jest to. Jeśli ktoś nosi stringi (dupowkręty, jak je nazywa moja znajoma), to takie są potem efekty. Zapalenia pęcherza, miedniczek nerkowych i Bóg jeden jeszcze wie czego. Uciec jeszcze przed otwarciem to uciec przed otwarciem. Na szczęście wszyscy już wiedzą, że ja na własnych wernisażach nie bywam.

Co do ślubu, to ma Pani rację. Pytałem bardzo grzecznie księdza, czy nie dałoby się tego całego hokus pokus załatwić bez mojej obecności, ale niestety rytuał jej wymagał. Nie mieliśmy jednak zdjęcia ślubnego, bo kolega pożyczył ode mnie aparat i zapomniał przynieść do kościoła. Potwornie nie lubię demonstrować się publiczności i stąd ta niechęć do wielu sytuacji interpersonalnych. Np. służenie do mszy. Do dziś pamiętam tekst, który wkuwałem, przeniesiony z jednej szkoły do drugiej przed samą wojną. Introibo ad altare Dei. Ad Deum qui laetificat iuventutem meam. I tak dalej. Modliłem się co wieczór o cud, który wybawiłby mnie z konieczności publicznego służenia do mszy. I stał się Cud!!! Wybuchła druga wojna światowa! Alleluja! Chwalmy Pana! Nie musiałem od września służyć do mszy i walczyć z własną nieśmiałością! Adolf Hitler, pomazaniec Pana, nie dopuścił do tego. Niech mu ziemia lekka będzie. Die Fahne hoch, die Reihen fest geschlossen... A tak nawiasem: Wy, kobiety, to macie dobrze. Jesteście Naczy-nie Nieczyste i nikt Was nie zmusza to takich wyrzeczeń. Pięknie pozdrawiam Beksiański

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: między paschą a Beethovenem
Date: 04/10/2004

Co do afery MSZ, to nawet mnie to zbulwersowało. Jakaś tam Jakubowska ma prawo nie wiedzieć, że na sformatowanym dysku coś zostaje, ale kretyn, który w sposób konwencjonalny „złomuje” (odsprzedając na wagę) stary szmelc komputerowy z takiej instytucji, zamiast poddać dyski komisyjnej anihilacji (jak zużyte banknoty, narkotyki lub broń), zasługuje na wyrok. Tymczasem wyrok dostanie student, który dyski kupił i odsprzedał. Dom wariatów.

No cóż: jeśli idzie o Dworzaka, to mamy nieco inną perspektywę. To, co dla Pani jest dobre, dla mnie jest złe, ale przecież nie znaczy to, że narzucić chcę swój punkt widzenia. W muzyce szukam jednak czegoś innego. W każdym razie dobrze go Pani opisała. Piątką z plusem.

Jakie, na Boga, „tabuny gości”? Aha: rzeczywiście znienacka odezwała się przedwczoraj jedna moja dawna entuzjastka z zapytaniem, czy w związku z powiększeniem metrażu nie mógłbym przenocować 10-osobowej grupy z własnymi śpiworami, ale dałem odpór. Dobry Jezu! No, to teraz konwencjonalnie: Wszystkiego dobrego na Święta i po Świętach życzy Beksiański

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: jak tam jajeczko?
Date: 04/11/2004

Dopiero co dzwonił jakiś sędziwy krewniak spod Giewontu. Gadał sapiąc i pokaszlując przez półtorej godziny. Był to rodzaj seansu spirytystycznego, bo wszy-

scy – znani skądinąd – aktorzy dramatu już poumierali (nasz wspólny kuzyn Jurek, Barbara Kwiatkowska, tylko Polański „jiszczu żywjęt na swjetie”). Tenże krewniak też ma już po jakimś zawale tylko 1/3 serca. Czasami jestem zawstydzony, że ciągle jeszcze żyję, a na dodatek nienajgorzej się czuję (jak na swoje lata). Teraz np. Kaczmarek. Nie znałem go, ale był w wieku mego syna. Beksiński – kurka wodna – nie wstyd ci? Spierdaj stąd! Twoje miejsce po Prawicy Pańskiej. Z dołu z płonących piekieł, będzie mnie wzywała (powołując się na dawną znajomość) niewierząca Czaplewska, prosząc tylko o kroplę wody dla zwilżenia warg, a ja tylko siedząc po Prawicy Pańskiej, pokażę jej gest Kozakiewiczza: Trzeba było, duszo potępiona, chodzić do kościoła i śpiewać kolędy! Zaraz, zaraz w te Święta się chyba nie śpiewa kolęd? Już to zapomniałem. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: koniec świat
Date: 04/13/2004

Pyta Pani, czy człowiek jest na ziemi za karę. Nie zna Pani Pisma Świętego i dlatego, jak już pisałem, będzie się Pani smażyć w piekle. Oczywiście, że człowiek jest na ziemi za karę w efekcie wygnania z Raju, bo skosztował jabłka z drzewa wiadomości złego i dobrego, co się tłumaczy symbolicznie bardzo prosto. Drzewo symbolizuje po prostu świadomość. W momencie jej uzyskania straciliśmy zwierzęcą niewinność i szczęśliwość, zaczęliśmy zadawać sobie pytania o sens i sami wygnaliśmy się z Raju, a teraz w pocie czoła pracujemy na chleb swój, a ziemia rodzi nam osty i ciernie. Oczywiście, że jesteśmy na ziemi za karę. Nie trzeba było zaczynać myśleć. Nasza świadomość i konieczność bycia człowiekiem cholernie nam ciąży. Czytałem gdzieś u jakiegoś etnografa, że gdy Bóg ukazał się w jakiejś wiosce w Południowej Ameryce i powiedział, że daje ludziom 24 godziny, w czasie których mogą robić, co tylko chcą, i żadne normy nie obowiązują, to wszyscy postąpili identycznie: rozebrali się do naga i biegali, wyjąc, a niektórzy sprawniejsi, powłazili na drzewa. To bardzo pouczający przykład. Mowa i cywilizacja, którą symbolizuje ubiór, bardzo nam ciąży. Gdyśmy mowę mogli ograniczyć do wycia, wszyscy zaczęlibyśmy tylko wyć. W jakimś sensie modelowym przykładem na to, są posiadacze samochodów. Ich język ograniczony jest przez klakson. Proszę zwrócić uwagę, że gdy tylko mogą, to nadużywają tego języka w sposób prawie absurdalny. Potrafią trąbić, jeśli chcą skrócić w prawo, a ktoś stoi na światłach na prawym pasie. Przecież wycie niczego nie zmienia, bo facio nie uniesie się w powietrze, no, ale pojawia się nareszcie okazja, by wrócić choć na moment do Raju zwierzęcej szczęśliwości sprzed skosztowania jabłka z drzewa wiadomości złego i dobrego. Tak, proszę Pani: jesteśmy na ziemi za karę. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: trudna środa
Date: 04/15/2004

Czy kochałem się kiedyś na stole? Może. Naprawdę nie pamiętam. Chyba tak, ale dla panów jest to poza mało uciążliwa. Nie dalej jak przed dwoma tygodniami zachwalał ją jeden z moich dawnych kumpli, młodszy ode mnie o 10 lat, ale też już leśny dziadek. Ja to jestem zdeklarowanym od stu lat dewiantem określonym za Atlantykiem jako Twister. Na dodatek wiem, co mnie w wyobraźni naprawdę kręci, ale NIGDY tego nie uprawiałem, bo tego się właściwie nie da uprawiać, a moja perwersja jest mocno egzotyczna dla statystycznej większości i bardzo trudna, a w znacznej części niemożliwa do realizacji, tak więc robiłem to zawsze tak, jak Pan Bóg przykazał, a tylko wyobrażałem sobie nie zawsze to samo, co robiłem. Dawniej, naiwnie sądziłem, że chyba tylko ja jeden mam takie zachcenia, ale dopiero internet mi uświadomił, że podobnych lub takich samych są miliony, gdyż to, co wydaje się dziwne lub dziwaczne, lub skrajnie perwersyjne oraz indywidualnie wymyślone, traci swą wyjątkowość skonfrontowane z prawem wielkich liczb. Nawet całkowicie dziwaczne i skrajnie fantastyczne erotyczno-seksualne pomysły, które (jak mi się wydawało poprzednio) mogły się narodzić tylko w mojej chorej wyobraźni, znalazłem niedawno na stronach z (mniej lub więcej nieudolnymi) rysunkami podobnych jak ja, i to nie tylko w Japonii, ale nawet w byłym ZSRR! To zresztą rzutuje też już poza sferę erotyki na tzw. zapożyczenia artystyczne. Głupawi krytycy wyszukują niejednokrotnie, kto pierwszy coś wykombinował, nie biorąc w ogóle pod uwagę tego, że te same pomysły mogły niezależnie od siebie wpaść do głowy rozmaitym ludziom. Gdy gdzieś w latach 50. zrobiłem zdjęcie (nie najlepsze zresztą i wcale nie byłem do niego przywiązany, ale bardzo często na nie powoływali się krytycy) przedstawiające akt opakowany sznurkiem tak jak baleron, nie miałem pojęcia, że w latach 30. serię takich zdjęć zrobił Bellmer. Jeśli idzie o rysunki Bellmera (szczególnie szło o budowę dłoni i anatomii), to powoływałem się niejednokrotnie na jego wpływ, więc krytycy zdecydowali, że tamto zdjęcie zerżnąłem od Bellmera, podczas gdy ja w momencie jego robienia nie miałem nawet wyobrażenia o istnieniu jakiegoś Bellmera. Kończę, bo zaraz będzie introligator, a przez ponad godzinę dzwoniła jedna pani z Łodzi, radząc się, co ma studiować jej syn. W międzyczasie napłynęły kolejne 2 wirusy. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: złota Praga
Date: 04/16/2004

Miller: Każdy polski premier odejdzie w niesławie, bo to problem dysproporcji oczekiwań i faktycznych możliwości. Z pustego i Salomon... i tak dalej. Balowa-

nie ma z tym chyba niewielki związek. Dla postów i całego fundamentu władzy, każda zmiana u złobu to 4 lata, przez które należy się nachapać na tyle, by wystarczyło na resztę anonimowego i zwyczajnego życia w cieniu, bo cud nie powtórzy się po raz drugi, natomiast odium i tak spadnie na wierchuszkę. Tak zawsze będzie działać demokracja w ubogim kraju. No cóż: jeśli kolejnym królem Polski zostanie mąż opatrnościowy pod tytułem Lepper, który pocieszy strapionych, napoi spragnionych, nakarmi głodnych, rozliczy możnych złodziei i przepędzi Żydów, to cała historia powtórzy się raz jeszcze. W końcu żaden Hindenburg go nie namaści, a zresztą my jako naród mamy talent do spieprzenia wszystkiego, czego się dotkniemy, i gdyby Hitler był Polakiem, to nawet faszyzm by się nie udał. Co w końcu nie byłoby aż takie złe. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: czemu?
Date: 04/18/2004

Była nie tylko „nizinierowa”. Wszystko, co żyło, nie latało, nie pływało w stawie i nie było człowiekiem, nosiło nazwę „gadzina”. Zamiast pastylki i zastrzyki mówiono plastylki i zaszczyki, zamiast gzysms mówiono grzysms, zamiast taboret mówiono taborek (liczba mnoga taborki). Ostatnio, gdy razem jeszcze z moją żoną, ustalaliśmy w Sanoku wykończenie grobowca rodzinnego właśnie z myślą o niej, usłyszałem nową nazwę i powtarzaną wielokrotnie, więc nie mogło być mowy o pomyłce, czyli „kampinos”. Żona chciała obłożenia starego i popękanego grobowca łatwymi do mycia płytami kamiennymi, przy czym ja proponowałem jakieś włoskie, całkiem gładkie i czarne, ale ona wybrała jakiś granit południowoafrykański, bo był tańszy (zawsze mnie stopowała). Usiłowałem kamieniarza przekonać, by zrobił prostą kostkę, czyli takie Mauzoleum Lenina, ale on się uparł, że musi być kampinos i bez kampinosa to on się roboty nie podejmie. Wg szwagra – a chyba miał w tym wypadku rację – kamieniarz bał się, że nie potrafi dopasować płyty górnej do bocznych, a jeśli będzie kampinos, czyli po prostu gzysms szerszy od bryły, to ewentualne niedopasowania łatwe będą do ukrycia. Nie było wyboru. Zaakceptowałem kampinos (nie znoszę takiego gzysmsu, bo grobowce wyglądają jak stoły nadające się do przykrycia obrusem), bo żonie było wszystko jedno. Potem dopiero przyszło mi do głowy, że słowo wzięło się od terminu „kapinos”, którym w gzysmie określa się półokrągłe podcięcie od spodu zapobiegające podciekaniu wody na ścianę. To od nosa i od kapania. No cóż. Ten grobowiec – z mojej winy – był już wtedy nie do uratowania od strony wyglądu i można go było tylko obłożyć tymi płytami granitowymi. Przed laty był to niski grobowiec z leżącym ukośnie i pochyło na bryle kamiennej krzyżem – dzieło mego dziadka, który był w Sanoku budowniczym. Krypta była poniżej terenu, a pozioma płyta dostępu pod góry. Gdy chowaliśmy ojca, sam jeszcze przesuwaliśmy wraz z grabarzem trumny na dole: babcia, potem ciotka, czyli siostra ojca, która

zmarła na raka, gdy ja byłem na studiach, jakieś dziecko. Bywała tam chyba okresowo woda, bo ciotka leżała na boku i trzeba było trumnę ustawić poziomo. Ciotka zaturkotała w trakcie ustawiania do poziomu jak pudło pełne starych rupiec. Do dziś to słyszę. Jej mąż zginął w Katyniu lub Miednoje, jej syn – absolwent szkoły filmowej w Łodzi – zapił się (ale już w wiele lat potem) na śmierć. Mimo tych porządków trumna z ojcem ledwie się zmieściła i matka zaczęła naciśkać, by grobowiec rozbudować, zlikwidować rzeźbę bryły kamiennej i krzyża i dobudować część naziemną. Naszkicowałem, jak ma to wyglądać, ale roboty wykonywał idiota, który spieprzył wszystko, co się dało. A – małodusznie – nie nadzorowałem jego roboty, bo to było parę kilometrów od domu, lecz malowałem. Mea culpa. Potem następowały kolejne przeróbki, bo to krzyż betonowy na stropie utrudniał odpływ wody, a po jego skuciu całość wyglądała jak zsypanie śmieci. Tak więc na miarę skromnych środków, jakimi wtedy dysponowaliśmy, obłożono beton lastrikiem i grobowiec wyglądał wtedy jak zsypanie obłożony lastrikiem, ale stawał się coraz grubszy. W końcu w 1998 obłożono go tym granitem południowoafrykańskim i wygląda teraz jak Mauzoleum Lenina, tyle że z kampinosem. Jest tam także miejsce dla mnie, ale ja mam kompletnie w dupie to, gdzie będę leżeć i jak będzie wyglądać grobowiec. W każdym razie nad głową będę mieć kampinos. Wszystko przeminęło jak zmiecione huraganem podobnym do ostatniej sekwencji „Burzy nad Azją”. Oglądałem to po raz któryś przed dwoma czy trzema dniami w jedyne. Ostatnia sekwencja nawet dziś robi wrażenie. Ciekawostką jest fakt, że po raz pierwszy ujrzałem ją w czasie okupacji. Krótki film propagandowy wyświetlany przed normalnym seansem pokazywał na wstępie wnętrze jakiegoś kościoła w Krakowie. Nagle podmuch gasił płonące świece i pojawiała się ostatni sekwencja „Burzy na Azją”: gnące się do ziemi drzewa i pędzące watahy kałmuków. Miało to symbolizować zagrażającą nawałę wschodniego barbarzyństwa. Z tekstu spikera zapamiętałem fragment „to robiły te hordy w Hiszpanii, Rosji i na Węgrzech” (nawiasem: robiły coś te hordy na Węgrzech, czy to moja paramnezja?). To było moje pierwsze zetknięcie się z „Burzą nad Azją”, o czym jeszcze wtedy nie wiedziałem, ale fragment był na tyle sugestywny, że go zapamiętałem. Boże – znowu pogrążam się w dygresjach, a tu jeszcze poprawianie tysiąca błędów. Pora kończyć, bo dojdę do Adama i Ewy. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: Liliana Śnieg-Czaplewska
To: Zdzisław Beksiński
Sent: Monday, April 19, 2004 12:25 AM
Subject: tydzień w Pradze

Od „kampinosu” do Adama i Ewy. Zdolna bestia z Pana, w parunastu zdaniach zawrzeć historię rodzinnego grobowca. Naprawdę wszystko Panu jedno, gdzie i jak będzie Pan leżeć? Ja wiem, że chcę być spalona. Jak mój Tata. A stać sobie chcę, w postaci małej urenki, najlepiej w sypialni u jakiejś miłej memu sercu osoby. Mo-

głabym się wtedy nawet podjąć sprawowania opieki nad nią z zaświatów. Pamięta Pan cudny film Woody'ego Allena, którego akcja zaczyna się od znalezienia urny na półce w kuchni u sąsiadów? Czyż nie „Morderstwo na Manhattanie”? Jutro w drogę. Pobudka o 6.00. O 7.00 wyjazd do Czech. Niech się Pan grzecznie sprawuje, nie chodzi na boki. Chyba że intelektualne.

Liliana

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: tydzień w Pradze
Date: 04/19/2004

Niestety, nie widziałem tego konkretnie filmu Woody'ego Allena. Tomek sobie zażyczył kremację i wtedy zobaczyłem, jak to (styczeń 2000 roku) wyglądało na Wólce Węglowej. To było coś w stylu zakładu utylizacji odpadów. Jakieś pijane towarzystwo pięci obojga w kufajkach. Spory o to, że urna jest za mała, zakończono łapówką wręczoną przez łapiducha z firmy pogrzebowej (do mnie: „niech pan na chwilę wyjdzie”) któremuś w pokrytych trzydniowym zarostem i dwutygodniowym brudem palaczy. Zostawienie trumny z naklejonym taśmą paragonem na przechowalni, bo spalanie ma być jutro. Zostawienie syna w tym magazynie było dla mnie szokiem, ale co miałem robić. Tomek widział spalanie na gangsterskich filmach: trumna w obecności rodziny i znajomych i przy dźwiękach muzyki organowej wjeżdża za zasłonę. Pewnie po drugiej stronie zasłony jest tak samo jak w Polsce, bo w Polsce było, tak jak było. Nie wolno było używać określenia krematorium, bo „w Polsce to się źle kojarzy”. Dobrze, że nikt nie widział spalenia na Wólce Anno Domini 2000, bo krematorium kojarzyłoby mu się o wiele lepiej. Nie wiadomo nawet, kiedy dokonano kremacji. Tekst z Monty Pythona: „Postawi pan sobie urnę na kominku i będzie udawał, że to prochy pana matki” (cytuję z pamięci). Jak widać, w Anglii w tym czasie gdy kręcono Monty Pythona, nie było inaczej. W sumie jest mi to obojętne, bo z prochu powstałeś i w proch się obrócisz i jedyną moją potrzebą jest niezawracanie głowy i załatwienie tego w sposób najbardziej standardowy na danym obszarze kulturowym. Gdyby u nas zjadano zwłoki, mogliby mnie także zjeść. Jeśli idzie o Tomka, to urna leży w sanockim grobowcu, bo na drugi dzień po świeckiej uroczystości w Warszawie, ze względu na sanoczan, odbył się w Sanoku świecki pogrzeb. Też jak z Monty Pythona. Facet ubrany jak pajac w pelerynę z czerwonym i wyłogami, łańcuch i czerwony biret, plotący jakieś podniosłe banialuki. Powołał się w swej mowie na wszystkie najwybitniejsze autorytety intelektualne historii powszechnej od Seneki młodszego po Marylę Rodowicz. Cytował po łacinie i tłumaczył maluczkim na polski. Grzmiał głosem, który ploszył zmarznięte wrony na okolicznych drzewach. Organizacyjnie był dobry i dyrygował sporym tłumem, a opinia sanocka orzekła, że nasi księża mogliby się od niego uczyć. Potem – jak się okazało już po roku czy dwóch – był to były adept seminarium w Krakowie, który miał nadzieję na stypendium w Rzymie, ale zamiast tego dano mu jakiś krajowy wikariat i on

się wściekł, poleciał do Macharskiego i rzucił tam jakimś pierścieniem (chyba) z okrzykiem: „ja was p..., k... papieżniki” i tak dalej, na co Macharski: „Staszek, uspokój się, mnie tu nie było, ja tego nie słyszałem” i tak dalej, ale on się zawzięł, rzucił Kościół i wstąpił do Partii, a w Partii zrobili z niego łapiducha. Po czym po paru latach, gdy już wyprowadzono sztandar, facio wziął za radą Wałęsy sprawy w swoje ręce i założył przedsiębiorstwo świeckich pogrzebów i podobno nieźle mu się wiedzie. Jest podobno najlepszy w Polsce.

Jeśli idzie o film „Lepiej późno niż późno” to dzięki za uniwersalny odstraszacz, bym nigdy tego nie oglądał. Dobry Jezu! To jak oglądanie restauracji z jedzeniem świeżego mózgu zabitej na oczach smakoszy małpy lub kandyzowanych pająków i cocktailu z dżdżownic. Bóg zapłać!!! Ohne mich! No, to miłego zwiedzania Czech. Praga to przepiękne miasto, choć tam nie byłem, ale wiem. Pięknie pozdrawiam

Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: Kareński
Date: 04/26/2004

Z zabawniejszej strony. Moja wystawa w Łodzi zaowocowała listem od jednej czcigodnej damy w moim wieku. Okazało się, że jako 8 lub 9-latek bawiłem się z nią w trakcie zimowego urlopu, na który co roku wyjeżdżaliśmy w góry. Pani ta, co najdziwniejsze, jest malarką po Akademii. Nie wiem, czy przypominam sobie właściwie, i będę w tej sprawie musiał do niej napisać, bo przypominam sobie tylko jeden traumatyczny dla mnie moment, którego wspomnienie zostało mi na całe życie, a mianowicie pożegnanie, gdy wyjeżdżaliśmy z Poronina. Dorośli kazali się nam pocałować i ja, chyba z powodu swej nieśmiałości, dałem odpór, a na dodatek chyba odepchnąłem bardzo mocno chętną do spełnienia życzenia rodziców dziewczynkę, co potem – gdy czerwony jak burak, obrócony plecami do wszystkich i naburmuszony stałem pod ścianą – było przez dorosłych komentowane jako zachowanie niezrozumiałe i wręcz horrendalne. Teraz zacząłem się zastanawiać, czy to właśnie ten moment był przeżyciem traumatycznym, które zaowoco-



Ta „Kartka z pamiętnika” świadczy o wcześniej rozbudzonym talencie

wało potem na resztę życia niechęcią do obejmowania się i pocałunków, co w końcu rzutowało nawet na wigilijne łamanie się opłatkiem w rodzinie. Może już wtedy byłem taki, że nie lubiłem kontaktu fizycznego, a może to właśnie stało się momentem, w którym powstał uraz? Będę musiał do tej kompletnie mi nieznanej pani napisać, bo wraz z ksero z pamiętnika dostałem obszerny list z którego wynika, że obserwowała moją karierę artystyczną i zapamiętała nazwisko. Ja, poza tą scenką, kompletnie i wszystko zapomniałem. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: 1 maja
Date: 05/01/2004

Od dziś podobno jesteśmy w Europie. Gdy wyglądam przez okno i spoglądam na Europę, to wprawdzie widzę te same co wczoraj kupy, zrobione na parapecie przez gołębie, ale to już kupy europejskie. Cieszymy się zatem. Alleluja. Oto atut dla mojego solipsyzmu. Nie chciało się Mahometowi przyjść do góry, a więc to góra przyszła do Mahometa. Nigdy nie byłem za granicą i oto jestem, nie ruszając się z domu. Czyż to nie piękne? Zatem pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: coś w stronę Kałuży
Date: 05/03/2004

Felieton Kałużyńskiego doskonale pamiętam i często cytowałem fragmenty, a nawet radę Rudzkiego, by myjąc się, zmieniać przynajmniej wodę. Ma Pani rację: nie wytrzymam bez wody. Stosuję ją zewnątrz i wewnątrz. Wewnątrz nie pod postaciami PepsiMax i soku grejpfrutowego. Wczoraj się zbuntowałem i nie wykapałem się przed snem, ale ze skrucą zrobiłem to dziś rano zaraz po wyjściu z barlogu. To wszystko stereotypy. Eskimosi podobno myją się we własnym moczu. Niektóre zwierzęta w ogóle się nie myją, ale nie sposób walczyć ze stereotypem. Rak prostaty prędzej czy później zagrozi i mnie. Borkowski jednak przed dwoma laty mnie pocieszył, mówiąc mi, że jeśli nawet zacznie się u mnie rak prostaty, to i tak umrę na coś innego, bo w moim wieku rozwija się on wolniej od postępującego rozpadu reszty organizmu. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: Słodkie wina
Date: 05/03/2004

Gdy mówiłem o upodobaniach mego syna i określałem jego kredo estetyczne w dziedzinie muzyki, to mówiłem, że w opinii Tomka Rosjanie nie mają głosów,

Niemcom brak kultury muzycznej, Włoski język nie nadaje się do śpiewania, Murzynom brak wyczucia swingu, a po polsku nie można zrozumieć tekstu, natomiast wszystkie te talenty razem zgromadzili Anglicy. Listę tę można było ciągnąć z tym samym, rzecz jasna, zakończeniem. Wszystko to z grubsza zgadzało się z opiniami Tomka, ale nigdy nie było wygłoszone jako credo i nigdy jednym tchem, no, ale trudno mi się czasami było powstrzymać. Pięknie pozdrawiam Beksiański

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: 30 punktów
Date: 05/10/2004

Co do sensowności czy bezsensowności wojny w Iraku, to w ogóle nie mam zdania. Co do naszego w niej udziału, to też nie znam przesłanek, w oparciu o które podejmowano decyzje. „Demokracja kant dziadowski” (Gałczyński „Kołczyki Izoldy”) kończy się w momencie wrzucenia kartki do urny. Potem i tak się już nic nie wie, ani na nic nie ma wpływu, bo niby jak? Nie mówiąc już o tym, że nie mam cienia przygotowania do podejmowania jakichkolwiek decyzji. Oczywiście zazwyczaj decydenci też nie mają takiego przygotowania. W naszym – ubogich krewnych – wypadku, jedyny problem polegał chyba na tym, której spódnicy się chwycić, bo nadziane ciocie stały do siebie w opozycji. Gdybyśmy wybrali ciocię niemiecką i francuską, też nie obyłoby się bez problemów. Miałyby tylko inną naturę.

From: Liliana Śnieg-Czaplewska
To: Zdzisław Beksiański
Sent: Tuesday, May 18, 2004 11:36 PM
Subject: jezu!

Dlaczego zobowiązał się Pan do podpisania niemal każdej ilości prac, które sobie ktoś wydrukuje i ma czelność zwracania Panu głowy? Ja bym była dumna, gdybym miała choć jeden Pana oryginalny podpis na takiej pracy, ale kilkanaście? Toż to hurt pachnący spekulacją, jak się w danych czasach mawiało. A potem wszyscy plotkują. Takich dobrych ludzi jak Pan nie ma. Ani takich naiwnych. Ani takich wielkodusznych. Ani takich bezinteresownych. Wymarli razem z dinozaurami. Byli, ale się zmyli przed milionami lat. Nawet ja w ich istnienie nie wierzę. Nie, gdybym Pana nie знаła, bym w nich nie wierzyła. Jak w krasnoludki. Bo to Pan jest Pierwszym Krasnoludkiem III RP.
Liliana

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: jezu!
Date: 05/19/2004

Wie Pani: Niekoniecznie gonitwa za kasą musi być równoznaczna z brakiem naiwności, a odpuszczenie sobie od czasu do czasu tej gonitwy z naiwnością. Pie-

niądze nie są warte tego, by się dla nich zabijać. Ja wiem, że tłumaczenie komuś, komu ich nie starcza na pierwsze potrzeby, świadczyć może o naiwności pana Pickwicka, ale np. ja nie jestem (wbrew temu, co niejednokrotnie słyszę) człowiekiem bogatym. Po prostu mam stosunkowo niewysokie wymagania i daję sobie jakoś radę w życiu, ale bynajmniej nie na wysokim poziomie.

W wypadku prac komputerowych z niczym się nie muszę rozstawać, bo rozdając kopie na CD nawet na lewo i prawo, nadal zachowuję pliki źródłowe w swym posiadaniu. (Jak wiadomo, w technice cyfrowej kopia i oryginał są identyczne i nie pojawia się entropia.) W momencie, gdy to robić zacząłem (1997/1998), nikt tego nie traktował poważnie. Ludzie niewiele rozumieją z komputera. Gdy w „Polityce” ukazał się artykuł zatytułowany „Beksiński maluje komputerem” – moja stara znajoma z Zakopanego, napisała mi z oburzeniem, bym nie przyznawał się publicznie do tego, że za mnie maluje komputer, bo spadną ceny na moje obrazy. Inna znajoma, będąc u nas z wizytą, właściwie nie chciała nawet tych prac oglądać, „bo komputera nie uznaje”, ale zmusiła ją do tego moja żona. Obejrzała i powiedziała chyba szczerze, że jej się to bardzo podoba, ale będzie musiała zapytać kogoś (kogo?) „czy to ma wartość artystyczną”. Dosłownie!!! Jedynym poważnie zainteresowanym był właściciel firmy komputerowej ESTA w Gliwicach. Wykonał swoim kosztem pierwsze odbitki na większym formacie i zaczął organizować wystawy w Polsce. Dla celów jego wystaw (miał sprzedawać, by sobie zwrócić za druk, ramy, plakaty i katalogi) zgodziłem się prace numerować, co było pierwszym moim błędem, z którego potem się wycofałem. Ja nie brałem zresztą za to ani grosza. Ponieważ sam nie mogłem tego drukować, jako iż profesjonalne drukarki i maszyny do foliowania oraz naklejania tego na mikropiankę kosztują majątek, to wszystkim darowywałem prace nagrane na CD, aby wydrukowali sobie sami. Rynku na to praktycznie nie było. Druki, które przynoszono mi do podpisu, były rozmaitej jakości w zależności od firmy, a niektórzy drukowali sobie nawet w biurze na smużących i wyeksploatowanych drukarkach, bo nie mieli kasy, by zapłacić za solidny wydruk w firmie – za co więc miałem sobie liczyć, podpisując. Za podpis? To czy miałbym też liczyć, za autografy przy innych okazjach? Puściłem to po prostu na żywioł. Pierwsze ostrzeżenie, że coś jest nie tak, otrzymałem z Rempexu. Jakaś pani zadzwoniła z zapytaniem, jaka jest różnica cenowa prac numerowanych i nienumerowanych. Rany boskie, a więc zrobił się już z tego rynek? Drugie (a może to właśnie było pierwsze) z firmy AxelSpringer. Chodziło o jakieś obiady dla dzieci wiejskich firmowane przez Ochojską. W tym celu wydano rodzaj albumu prac komputerowych i do tego płyty i reklamowano to w TV i gazetach. Wszystko dałem za darmo, aliści tak samo za darmo (podobnie jak każdemu, kto o to poprosił) dałem facetowi z Gliwic, który też wydawał płytę. Owoż przedstawiciele wydawnictwa AxelSpringer, zaczęli mieć do mnie pretensje o to, że oni robią promocję w TV i gazetach, a korzysta z niej za darmo facet z Gliwic. Wsadziłem, jak się okazało, palec między drzwi albo głowę między ostrza potężnych szermierzy. A chciałem dobrze. Od stu lat jedno jest dla mnie pewne: zabawa w sztukę jest męczącą i bolesną frajdą (jak

rodzenie dzieci), za którą gotów jestem dopłacić. To, że pozwala mi sprzedawać i żyć za to, jest jakimś błogosławieństwem losu, ale także nie do końca, bo muszę rozstawać się z własnymi dziećmi, oddając je w adopcję. Gdy powstała sytuacja, że mogłem zamiast dzieci rozprowadzać ich fotografie, sprawa zysku stała się dla mnie kompletnie nieistotna. Frajdę bowiem mam, realizując coś. To frajda, która nie ma sobie równych. Forsa to dla mnie, zapłata za rozstanie się z obrazem, a tu nie musiałem się rozstawać, więc i forsa stała się nieistotna. Ot co. Piszę dziś chaotycznie, ale mam jakieś kłopoty żołądkowe. Chyba mam początki wrzodu żołądka, ale na razie udaje się to rozpędzić przy użyciu Manti. Tak więc już kończę i pięknie pozdrawiam

Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lili@anasc@neostreda.pl>
Subject: Re: brzuch
Date: 05/20/2004

Ergotamina, czyli pochodna sporyszu. Brałem w młodości ergotaminum, chyba hydrochloricum i ergotoxinum. Chyba sam sobie to zaordynowałem, lecząc w ten sposób uporczywe bóle głowy, bo jedyny dostępny w Sanoku neurolog, leczył wszystko, co mu tylko podpadło, pilokarpiną, która wydawała mu się rodzajem panaceum. W Sanoku byłem właścicielem nie tyle apteki, ile budynku, w którym była apteka. Przed wojną była w części naszego domu i właścicielem był mgr Eisenbach. Po wojnie apteka była w sąsiadującym z naszym domem budynku, który wystawił w 1939 roku ojciec, mając nadzieję dzierżawić go na sklepy. Tak czy siak w każdej z tych aptek sprzedano by mi bez recepty nawet cyjanek potasu, o ile byłby w lekospisie. Pamiętam, jak moja mama kupowała tam yohimbinę, która była w tych niewinnych czasach ekwiwalentem dzisiejszej viagry. Tomek jako dzieciak, hodował papużki faliste, które nie chciały się mnożyć. Jeden z moich klientów wcisnął mu kit, że papużkom trzeba dać yohimbinę, by zastybulować ich zainteresowanie seksem. Tomek poprosił o kupno babcię. Babcia poszła do apteki i stanęła w długiej kolejce, aliści znajoma pani magister zawałała nad głowami ludu: niechże pani nie stoi, co podać? Yohimbinę. Nazwa była powszechnie znana, a tylko babcia jej nie znała, więc ogonek zamarł w bezruchu, a pani magister zmieszała się i mówi: ależ, proszę pani, to bardzo silny środek i w pani wieku... Na to babcia, że to nie dla mnie, lecz dla wnuczka. Radosny ryk śmiechu całej kolejki i babcia wróciła do domu wściekła na Tomka. Apteka to było coś, co praktycznie było u nas zawsze drzwiami w drzwiach, i nawet najlepszy ustrój świata nie zmienił na poły rodzinnych stosunków z kolejnymi jej właścicielami lub administratorami. Budynek, w którym była apteka, sprezentowałem miastu gdzieś z początkiem lat osiemdziesiątych. Chciałem się go pozbyć ze względu na to, że był w sensie administracyjnym kulą u nogi, szczególnie z perspektywy Warszawy. Nie mogłem mieć rachunku oszczędnościowo-rozliczeniowego, bo musiałem mieć imienne konto Funduszu Gospodarki Mieszkaniowej,

a w najlepszym ustroju świata można było mieć imiennie tylko jedno konto. Chciałem budynek dać miastu, ale miasto nie chciało przyjąć hojnego daru, z którym przyjęłoby na siebie wszystkie moje kłopoty administracyjne bez żadnych zysków. Tak więc dałem obraz komuś w zamian za przychyłność i udało mi się przekazać miastu budynek w darze. Dokonywałem tego w Warszawie koło trasy WZ. Budynek, w którym były biura notarialne i sądowe, był akurat remontowany – wszędzie stały drabiny i pracowali malarze. W jednej sali, przy kilku ogromnych biurkach siedzieli sędziowie w scenerii trochę jak z „Procesu” Kafki. Sędzia, do którego zostałem skierowany, zaczął – zapewne w mniemaniu, że robię jakiś złoty interes – elokwentnie budować na moich oczach tor przeszkód tej niezwykle, w jego opinii, skomplikowanej sprawy, a ja, mały i przestraszony majestatem, siedziałem skulony na krześle przed mahoniowym biurkiem i modliłem się o jakiś cud, i nagle stał się cud! Do sali weszła dziewczyna w wieku ca 20 z pękiem czarnych skarpetek, które dzierżyła w ręce niczym Zeus gromowładny pęk piorunów. „Skarpetki dla sędziów”, wrzasnęła na całe gardło i nagle zrobiło się czarno, bo wszyscy sędziowie wyskoczyli zza biurka, aż łopocąc, rozwiąły się togi, i jak doświadczalne szczury, rzucili się w kierunku skarpetek, wyrwijąc je sobie nawzajem. Gdy mój sędzia wrócił do biurka z łupem, zdecydował chyba w swym sumieniu, że oto na oczach petenta stracił godność gwarantowaną przez tożę i w milczeniu, ale z widoczną złością, załatwił mi wszystko od ręki. Boże: nadał mnie brzuch boli. Pięknje pozdrawiam i wysyłam fotografię skończonego wczoraj obrazu

Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <ilijanasc@neostrada.pl>
Subject: Re: pouczający dzień
Date: 05/26/2004

Tylko parę słów, bo przede mną męczący dzień, który zaraz się zacznie. Muszę lecieć do banku, gdy tylko przyjedzie teraz rano mój kolega z bratem, bo podobno jakaś cholerna nagła awaria w rodzinie i bratu grozi eksmisja. Bogdan jest od stu lat moim bliskim przyjacielem, więc nie mogłem odmówić, ale wygrzebuję prawie wszystko, co mam na koncie, a zupełnie nie wiem, czy będą to w stanie oddać. Oczywiście, ja zawsze daję sobie radę, więc dam sobie radę i tym razem. Muszę się jednak złamać i sprzedać 5 czerwca Dmochowskiemu budynek z błyskawicą, ale on chce, by to poszło do stałej jego-mojej ekspozycji w Częstochowie, więc obraz będzie dostępny dla ludzi i to mi osłodzi pigułkę, bo sprzedawać go nie chciałem. Od wczoraj nocuje u mnie kuzyn i właśnie się zbudził, tak więc dziś tylko daję znak życia. Na razie. Pięknje pozdrawiam

Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: dobroć serca
Date: 05/27/2004

Bogdan jest aktualnie jeszcze cieńszy finansowo od swego brata, bo brat ma przynajmniej stałą pracę. Znamy się od około 40 lat. Nigdy o nic nie prosił i nie należy do typów naciągających kogokolwiek. To wyjątkowo cichy i spokojny facet. Jeśli on zwrócił się do mnie, a ciężko mu to na pewno przyszło, bo poznałem to po głosie, to sytuacja była naprawdę poważna. Jego brata znam, ale nie tak jak Bogdana. Nie jestem ani bogaty, ani nie jestem frajerem, który każdemu daje forszę, na dodatek zdaję sobie sprawę, bo znam sytuację, że potencjalnie może to być niemożliwe do oddania, ale są sytuacje (na pewno i Pani takie ma), kiedy się nie odmawia.

Afera Orlenu. Orlen to coś z benzyną? Tak? Moja orientacja w zakresie otaczającej rzeczywistości jest nader niewielka. Nie jestem w stanie wymyślić ani jednego skojarzenia między prezydentem, Belką i Orlenem. Jedyna afera, za którą zapewne poszedłbym do więzienia, gdyby nie moja żona, miała miejsce jeszcze w roku 1953. Zawsze gdy, jadąc do Sanoka, przejeżdżam w Boguchwale za Rzeszowem ponad torami kolejowymi, przypominam sobie, że za wiadukt w Boguchwale mogłem pójść do mamra. Rzecz w tym, że nasze Zjednoczenie wykonywało wtedy ogromną ilość budów, ale zlecono mu także budowę wiaduktu w Boguchwale, tyle że z ramienia innego resortu i w oparciu o inny kredyt. Przy każdej budowie pierwszą czynnością są tzw. wykopy. W cenniku zwanym ówczesnie CRB brzmiało to w dużym skrócie mniej więcej tak: Odspojenie ziemi takiej i takiej kategorii z przerzuceniem jej do 2 metrów w górę i do 4 metrów w bok i załadowaniem na przyczepy oraz wywiezieniem na zalegalizowane wysypisko od 1–4 km oraz dodatkowo powyżej 4 km za każdy kilometr etc., etc. Owoż budowa wiaduktu w Boguchwale wymagała pozyskania ziemi (z odspojeniem, przerzuceniem i transportem etc.) i przewiezienia od 1–4 km i tak dalej. Natychmiast odkryliśmy, że otwarto dwa kredyty za tą samą robotę i teraz chodziło tylko o stworzenie listy fałszywych wozaków (martwe dusze), którzy rzekomo odspajali i transportowali ziemię, i comiesięczne pobieranie kasy na tą listę. Co się stało, ale beze mnie, bo żona to oprostowała i to do awantury włącznie. Po czym wszyscy zgodnie poszli siedzieć, bo albo ktoś się wygadał, albo też NIK to odkrył. Nie pamiętam, bo gdy do tego doszło, byłem już przeniesiony do Sanoka. Oczywiście, była to afera na skalę powiatową albo tylko zjednoczeniową, ale myślę, że mam w sobie (jak zapewne każdy człowiek) naturę aferzysty i gdybym był decydem, to nie wiem, jakby wyglądało moje morale, za które mnie Pani tak chwali. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: nie jest tak źle
Date: 05/29/2004

Bo się obrażę: Nie jestem człowiekiem kryształowym, prawym i prostolinijnym. Jeśli wspieram czasami ubogich, to przypominam, że Al Capone także to robił. Jestem krętacz, a najbardziej ze wszystkiego chciałbym chyba obrobić bank lub zrobić jakiś przekręt na wielką skalę, tyle że jestem na to zbyt tchórzliwy. Czym innym wyjaśnić fakt, że nawet głupawe komedyjki o obrabianiu banku do tego stopnia mnie denerwują (utożsamiam się z rabusiami), że wielokrotnie muszę przerywać ich oglądanie. Nigdy nie mogłem wybaczyć scenarzystom słynnych klasycznych komedii typu „Liga dżentelmenów”, że na końcu wszyscy wpadają i idą do mamra. Takie zakończenie odbierałem zawsze (paradoksalnie) jako niemoralne. Mam bardzo głęboko wpojona i wręcz anarchiczną niechęć do Prawa i wszelkich organizacji państwowych. Używając stylu xiędza Wójka czy też Wujka („położę nieprzyjaźń między tobą i niewiastą, między nasieniem twoim, a nasieniem jej...” etc.), Pan położył nieprzyjaźń między mną i Państwem (gównie fiskusem), i chociaż koegzystujemy ze sobą, to jednak bez wzajemnego entuzjazmu. Nigdy nie denerwowałem się na Boga, że wyciął mi jakiś numer (Panie! Za co?!), i nigdy nie denerwuję się na Państwo, gdy bywa górą i mi dokopie. Patrzę raczej, jak wygląda saldo moich stosunków z Bogiem i Państwem. Jeśli per saldo jestem od Państwa „lepszy” (bo z Bogiem tak się nie udaje), to nie ma powodu do zmartwienia. Oczywiście to wszystko na moją mizerną skalę. Nie wiem, co by było, gdybym miał możliwości Kwaśniewskiego lub Millera. No, ale bycie Kwaśniewskim lub Millerem, już samo w sobie zakłada akceptowanie czegoś takiego jak Państwo. Ja sobie żyję (jeśli idzie o miejsce w strukturze państwa) trochę jak robał pod kamieniem. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: Jak się Pan czuje?
Date: 05/31/2004

Jest jak zwykle. Keine kłopoty. Ostatni mail od Pani zatytułowany „Nie jest tak źle” otrzymałem w dniu 29. bm. rano i odpowiedziałem nań o godzinie 9:38. Od tego momentu zapanowała cisza, a ponieważ pisała Pani, iż będąc kolporterem wiadomości o przekrętach na szczycie, można się obudzić z połamanymi kończynami, zastanawiałem się nawet od wczoraj, co Pani połamano i czy nie jest potrzebna pomoc. Od wczoraj mój komputer zachowuje się tak, jakby do niego nie docierały niektóre wiadomości, bo oczekiwałem ich nie tylko od Pani, ale nigdzie jeszcze nie alarmowałem, ale teraz zacznę. Dziś od rana do teraz (ca 17) komputer był poza moim zasięgiem, bo dziś miałem wymianę kaloryferów i całe mieszkanie jest w proszku. Wymiana już się dokonała, ale szereg robót dodat-

kowych jeszcze przede mną, co przeciągnie się na jeszcze ze dwa dni. Czekam więc na informację: czy była jakaś korespondencja, na którą nie odpowiedziałem? A może nie dotarła także moja odpowiedź na „nie jest tak źle”? Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: 5.6.2004
Date: 06/05/2004

Na pytanie „dlaczego ten Beksiński takie depresyjne smutne obrazy maluje” można by z równym skutkiem odpowiedzieć pytaniem „dlaczego ten Broniarek taki jest wesolutki”. Byłoby tak samo usprawiedliwione lub – jak kto woli – bezsensowne. Pomijam już to, że mnie moje obrazy (wysyłam najnowszy) nie wydają się jakoś specjalnie smutne i depresyjne, ale zgadzam się, że statystycznie Broniarek ma rację, bo większość tak to odbiera. No cóż: widać tak dobry Bóg zaplanował, że jeden będzie smutny, a drugi wesół. Ku rozweseleniu wysyłam druk, który wczoraj znalazłem w mej skrzynce pocztowej. Nie bardzo rozumiem, o co tam biegnie. Czy pan Jezus i jego matka byli sodomitami i za to mam odmawiać różaniec? Bardzo to niejasne, ale zapomniałem, jak się odmawia różaniec, chociaż w dzieciństwie byłem najszybszy w klasie – potrafiłem dwa razy oblecieć dookoła, zanim koledzy dobrnęli do połowy! Zresztą nie ma u nas różańca. O kurczę – muszę kupić, bo co mi włożą do rąk, jak będę już w trumnie?

Proszę Pani: każda wojna jest draństwem, a to, co do nas dociera, to i tak zaledwie okruchy, a poza tym w Iraku jest to, jakby nie było, wojna łagodna. Niech Pani to porówna ze Stalingradem, Krzywym Rogiem, lądowaniem w Normandii, Monte Cassino, nalotami na miasta niemieckie, Hiroszimą, obozami zagłady oraz tym, co się działo niejako w cieniu tego, co wiemy. Ludzie są tacy i inni, ale wszyscy, a w tym prymitywy, szowiniści i zboczeńcy dostają broń do ręki i prawo strzelania do śmiertelnego wroga, który, jak wiadomo, wyrывa języki, gwałci, morduje i obcina piersi, o czym informuje prasa i TV po obu stronach barykady. Na końcu łańcucha informacyjnego w dalekiej Polsce dostaje pani papkę przygotowaną dla cywili, czym nie należy się nadmiernie przejmować, bo i tak nikomu to nie pomoże. W końcu jako dziecko obserwowałem to niejako bezpośrednio. Za niecałe trzy godziny ma u mnie być Dmochowski z forszą za obrazy (miejmy nadzieję, bo jestem dorżnięty), tak więc już kończę i biegnę po dywan, organistę, który zagra „Toccatę i Fugę D-moll” J.S.Bacha, oraz po dziewicę do sypiania kwiatków. Pięknie pozdrawiam

Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: czerwony dywan
Date: 06/07/2004

No, więc nie wyłożyłem czerwonego dywanu, ale wizyta przeszła w atmosferze sympatii i wzajemnego zrozumienia. Ustabilizowała także moją nader chwiejną sytuację finansową. Kasę, oczywiście, musiałem na życzenie Dmochowskiego przeliczyć, chociaż zawsze takie coś wydaje mi się czynnością niezręczną i o ile nikt nie naciska, to staram się tego unikać. Aby się jednak nie zawieść na ludziach, co byłoby dla mnie rzeczą przykrą, nigdy też, nawet po odejściu płatnika, nie przeliczam kasy. W ogóle staram się w miarę możliwości nigdy nie przeliczać kasy, co wynika z jakichś dziecięcych marzeń, o czym już pisałem chyba. Moim dziecięcym marzeniem, które niestety nigdy się nie zrealizowało, było nie wiedzieć, ile się ma forsy, tzn. mieć jej tyle, że dokładna ilość staje się obojętna. Wprawdzie się to nie zrealizowało, ale w miarę możliwości i sposobności udaję przed sobą samym.

Pani Feldman jako Nikifor jest na zdjęciach bardziej podobna do Nikifora niż on sam. Jak opowiadał mi kolega – Nikifor zaczynał pracę od napisania pędzelkiem ceny 100 zł i widok tej ceny wzbudzał w nim natchnienie twórcze. Pan Oraczewski: Nie znam człowieka i nie znałem jego malarstwa, ale poszukawszy w internecie, dowiedziałem się, że jest słynny, oraz zobaczyłem w pomniejszeniu dwa jego dzieła. Na podstawie takiej podstawy nie ma podstaw do zbudowania sobie podstawowej opinii opartej na podstawach. Rzeczywiście, już raz chyba Pani o nim pisała. Pięknje pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: TAK
Date: 06/11/2004

Analizując Pani list od końca, rozumiem, że powinienem się ożenić z kimś, kto świetnie gotuje. O nie! To już z mojej strony nie atrofia woli – lecz ukierunkowana panika!!! Dobrze gotowanie? Dobrze sobie! I tak mam już potężny brzuch. Gdyby powstawszy z grobu, zobaczyła mnie własna żona, pewnie uciekłaby z powrotem na tamten świat. Wyobrażam sobie siebie na tle dobrze gotującej żony, a zarówno mój szwagier, jak i mój kuzyn, o którym często pisałem, mają takie żony. Ich ekspansja kulinarna nie wyczerpuje się na mężach, lecz muszą mieć jakby szerszą publiczność, stąd imieniny, urodziny, rocznice, prośzone kolacje i inne takie. A brzuchy rosną (ludzie u nas rosną)! Gdy powiedziałem znajomej panie stomatolog ze Śląska, która czasami do mnie telefonuje, że Grzesiek chodzi na siłownię i gra w tenisa, brzuch ma twardy i płaski jak deska, bo zajmuje się podrywaniem i chce fajnie wyglądać, to cynicznie zauważyła, że Grzesiek powinien raczej popracować nad swoim portfelem, bo jeśli o niego zadba, to brzuch

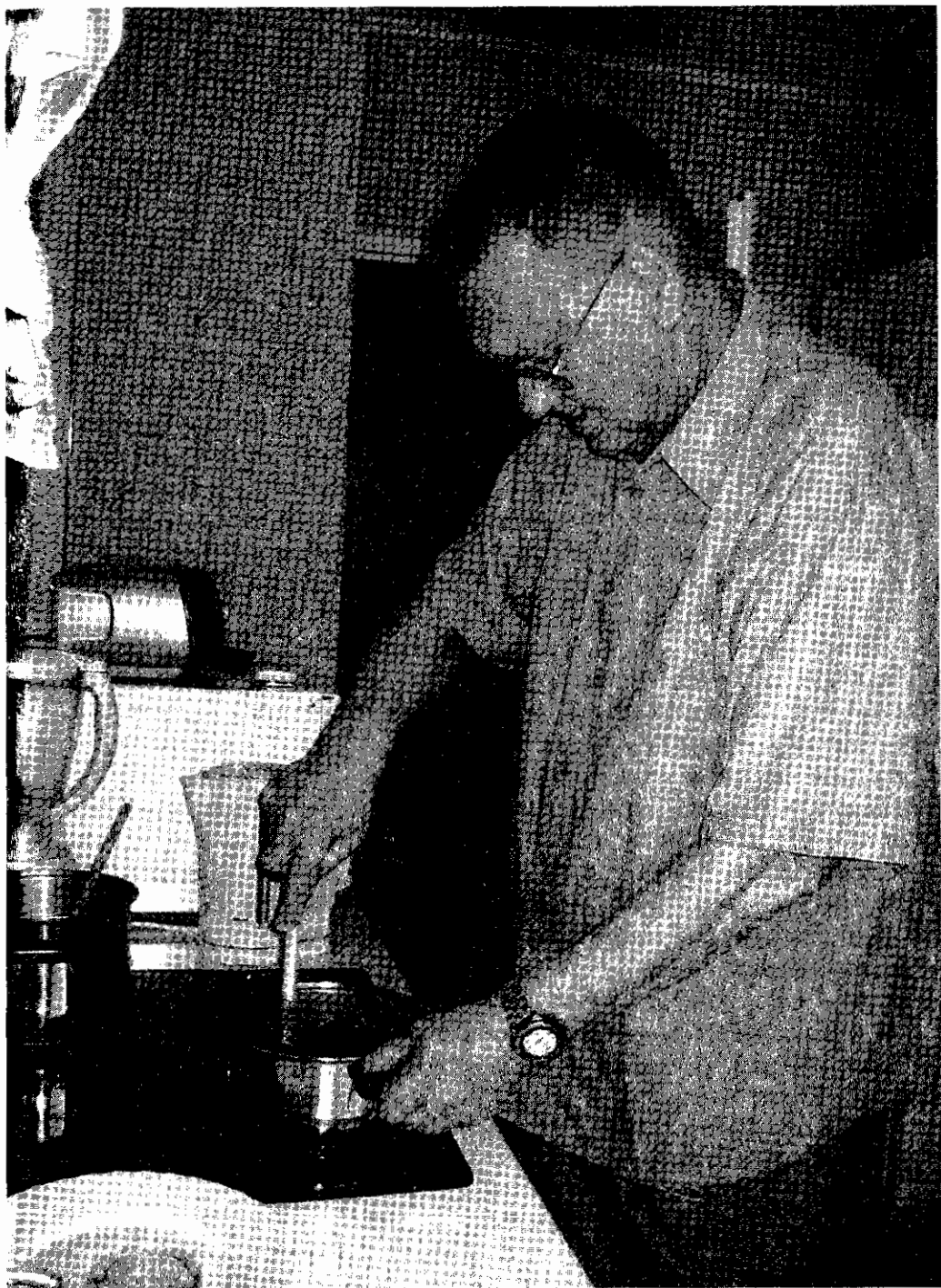
może mieć jak Urban, a i tak będzie mieć powodzenie u panienek. Dlatego właśnie czytam złote myśli bywalców, drukowane na butelkach CocaCola Light, bo nawet pod koniec życia muszę się wiele nauczyć. Nie rozumiem bowiem motywacji kobiet i kompletnie się w tym gubię. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: Julianów
Date: 06/12/2004

A cóż to za seksizm niezgodny z Political Corectness!!! Nie tylko mężczyznom mylą się terminy. W Sanoku, przed laty, kierowniczką kina zachęcała mnie do obejrzenia jakiegoś filmu, który określiła jako „psychiczny”. Zachęcała do obejrzenia tym, że w roli głównej występuje Menstruani. A swoją drogą, mnie najbardziej podobał się ten Bieszczad Tadeusz, który kryje na równi z ogierem, knurem i buhajem, a Dmochowskiemu „uszkodzony” samochód – widzę, że humor można użyć podobnie jak testu Taylora lub Rohrschacha. Dzięki za informację, że lepiej być młodym, pięknym, zdrowym i bogatym niż starym, szpetnym, chorym i bez kasy. Nie wpadło mi to poprzednio do głowy! Jeśli jednak w celu odnośzenia sukcesów erotycznych trzeba grać w tenisa, pływać i chodzić na siłownię, to nawet gdybym był młody, zrezygnowałbym z seksu i poświęcił się kontemplacji. To typowe przeinwestowanie, po którym nie zwracają się koszty. Gimnastyka zawsze mnie śmiertelnie nudziła, a to co nudzi, męczy mnie w dwójnasób. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: piękne albumy
Date: 06/20/2004

Albumy: Boże! Jak ja nie znoszę tego obrazu, który określa Pani jako mumie splecione w uścisku. Chciałem go zamalować, ale sprzedałem przed stu laty Dmochowskiemu za pół ceny, a on zrobił z tego logo swej galerii. Potem wszystkim się to podobało, a nawet w pracowniach tatuażu widniało, a może nadal widnieje, jako wzorzec (widziałem nawet fotografię czyjejs prawej łopatki, na której wydziargany jest ten obraz). Nie chciałbym wejść do historii sztuki najmniej lubianymi przeze mnie obrazami, no, ale nie mam na to wpływu. O Boże: Już się zaczęło z brzuchem. Dwa razy dziś łyknąłem Ibuprom i muszę odpuścić. Na razie na brzuch pomogło Manti, ale nie wiem, czy trwale i nie wiem, czy na tym się skończy. Zatem ulga w bólu krzyży była tylko przejściowa. Jak widzę, muszę odpuścić sobie Ibuprom. Pomóc mi może jeszcze woda z Lourdes i Akty strzeliste. Jako bezbożnik nie wiedziałem nigdy, co to są akty strzeliste, ale podobno pomagają. Pięknie pozdrawiam
Beksiński



Wysłałam skończony obraz, który nikomu z wyjątkiem mnie się nie podoba, i siebie przy produkcji spaghetti

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: błogosławieństwo arteriosklerozy
Date: 06/21/2004

Dziś czuję się jak na razie o odcień lepiej.

Zamek Ujazdowski: O święta naiwności! Mam wprowadzić w Zamku Ujazdowskim swoich ludzi, ale naczałstwo do nich nie należy. Ja z perspektywy Pałacu Ujazdowskiego to tak jak bicie rekordu seksualnego w oczach Ligi Polskich Rodzin. Ja dla nich NIE ISTNIEJĘ, a jeśli, to co najwyżej jako przykład dla młodzieży, jak nisko można artystycznie upaść. To fundamentaliści! W podobny sposób nie istnieję dla Centrum Pompidou, na czym popiekl się Dmochowski, gdy jeszcze nie czuł bluesa i robił w Paryżu za słonią w składzie z porcelaną. Mnie te środowiska nie cierpią od lat i chyba obecni działacze uzyskali w spadku po swych poprzednikach WIEDZĘ, że Beksiński to gorzej niż gówno. Myślę, że początkowo był to efekt Dżilasa i Koestnera. Byłem przed stu laty jednym z nich. Od tego zaczynałem, dobrze mi szło, chwalono mnie i nagle z niskiej chciwości stoczyłem się w bagno schlebiana gustom drobnomieszczkańskim i ciasny merkantylizm: sprzedawałem się za pieniądze i tak dalej. Zamek Ujazdowski – dobre sobie! Miałem tam jednak, bodajże w 1992 roku, wystawę złożoną z tego, co robiłem pod koniec lat pięćdziesiątych, gdy jeszcze nie było wiadomo, że się do tego stopnia ześwinie i stoczę. Rzeczy były wypożyczone z Muzeum Wrocławskiego, gdzie chyba gniją złożone w klasztorze w Lubiążu. Zamalowywanie. Prawie każdy mój obraz ma pod spodem kilka wersji zamalowanych. Maluję niejako od środka i w trakcie tego wielokrotnie zmieniam. Tak jakbym powoli, z dnia na dzień, nastawiał na matówce obraz na ostrość, ale w trakcie tego przed obiektywem panował ruch. Obrazów, które po namalowaniu zniszczyłem i połamałem było niewiele, ale takich, które zamalowałem sporo, bo szkoda mi było płyty pilśniowej, której przygotowanie jest pracochłonne. Czym się kierowałem, chcąc zamalować „mumie”? Nieudany obrazem. To w mej opinii gówniany obraz i nawet upływ czasu niczego w tej ocenie nie zmienił. Dlaczego? Tego nie da się racjonalnie wytłumaczyć. To tak jak tłumaczyć Zanussiemu dlaczego coca-cola lepsza jest od Chateaufeuf du Pape. Nie wyszło i tyle. O Jezus, zaczyna mnie cholernie boleć, a jeszcze poprawianie 600 aliteracji. Na godzinę 14 zapowiedział się jakiś ksiądz Stanisław z Krakowa – miłośnik sztuki. Pięknie pozdrawiam Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: Dżilas i Koestner
Date: 06/22/2004

Oczywiście Koestler, a nie Koestner – moje aliteracje poprawiam w całym tekście, ale nie w nazwiskach, bo te i tak zawsze są podkreślone, co usypia moją czujność. Obaj byli byłymi komunistami, którzy w opinii swych towarzyszy zdra-

dzili Sprawę. Milovan Džilas to były człowiek Tito, a Artur Koestler to pisarz, autor słynnej „Ciemności w południe”. O Boże: znowu mocniej boli i ledwie siedzę przy klawiaturze, a taka wspaniała pogoda do malowania... Muszę położyć się na wznak w pozycji siedzącej z kolanami uniesionymi na poduszkach tapczanowych. To jedno przynosi ulgę, ale nie sposób tak przeleżeć pół roku! Bo ostatnio trwało to pół roku. Nie dam rady więcej pisać. Pięknie pozdrawiam

Beksiński

Załączam fotografię mego legowiska

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: legowisko
Date: 06/23/2004

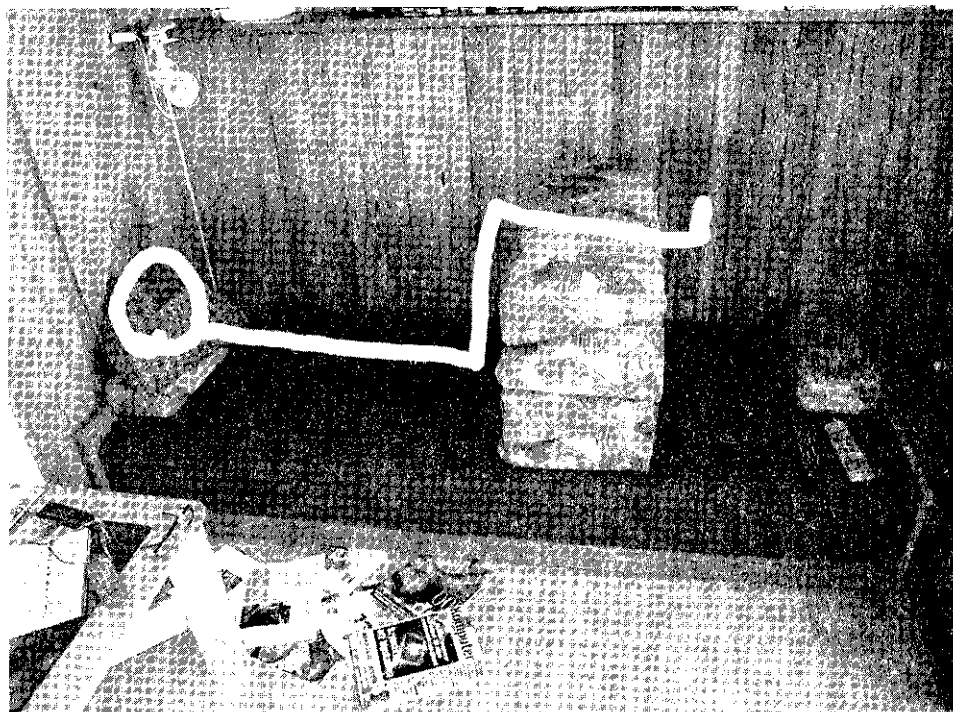
Legowisko: Poduchy pochodzą z dwóch tapczanów, obszyte w takie kolorowe szmatki, jeszcze przez moją żonę. Leży się na wznak. Kolana oparte od spodu na poduszkach tak, że kręgosłup i uda tworzą kąt prosty, a kolana i łydki drugi kąt prosty. Nie jest to pozycja na noc, bo śpię na innym (marchewkowym) tapczanie. Boże: jak ktoś do mnie przyjdzie, to się położę i poproszę, by mnie sfotografował. Ustawianie aparatu na statywie i robienie zdjęcia na samowyzwalacz, to już nadmiar wysiłku jak na człowieka poruszającego się z trudem i w aurze bólu. W każdym razie taka pozycja powoduje ulgę w nerwie kulszowym. W TV – jak mi mówił Grzesiek i pani Lidia, mają do tego celu specjalny hamak do naciągania kręgosłupa, który działa w sposób podobny. Byle tylko pismo „Biografie” nie potrzebowało ode mnie wywiadu. Dzięki za informację. To, że ktoś był w młodości call girl nie przeszkadza przecież w redagowaniu pisma, nawet jeśli by to było „Osservatore Romano”. Przecież w efekcie działania sakramentu pokuty wszelkie grzechy zostają odpuszczone. Pani opinia nosi charakter faryzejski. Jak wiadomo, pan Jezus też sympatyzował z dziewczyną z agencji towarzyskiej.

O co idzie z tą preambułą, tego całkiem nie pojmuję, ale przypomina mi to spory z początków sejmu kontraktowego o to, jak ma wyglądać korona i pazury u orła stanowiącego godło państwowe. Większość posłów to dumnie, a pani martwi się o byłą call girl. A może ona jest inteligentniejsza od innych? Nie posiadam niczego pod tytułem kalessony i przez cały boży rok używam zwykłych slipów, ale to nie ma wpływu na mój ischias (mimo iż zaraz o tym od Pani usłyszę). W końcu dopada mnie on nie na skutek przemarznięcia, lecz na skutek zmiany frontu atmosferycznego, nawet gdybym leżał pod pierzyną ubrany w trzy pary ciepłych kalessonów pradziadka. Front atmosferyczny i nawet wilgotny front jak upiór przenika przez mury, ściany i pierzyny. W mieszkaniu nic się nie zmienia, a dla mnie zaczyna się piekło. Załączam schematyczny szkic, jak ma się leżeć, by okrosowo zmniejszyć ból. Pięknie pozdrawiam

Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: niedziela z głowy
Date: 06/28/2004

Nie istnieją chyba „męskie” sposoby na kłopoty uczuciowe. Z tym, że w moim wypadku jest to raczej nie tyle uczucie do konkretnej osoby, ile zżerająca mnie pożądlivość seksualna na lewo i prawo, której i tak z racji wieku nie mogę ani sprostać, ani zaspokoić, ani nawet próbować się z nią zmierzyć. To coś nosi cechy idei, która umiejscowiona jest w mózgu i być może jest silniejsza niż u innych rówieśników, bo moje życie było raczej przykładne i bez prób sprostania własnym potrzebom w tym zakresie. Nie wykluczam, że gdybym parokrotnie się przejadł, to może obecnie apetyt byłby mniejszy. Nie sądzę jednak, by mi to zabierało cały smak życia, bo w końcu od zawsze „poświęciłem się Sprawie”, jeśli w ten staroświecki sposób można określić malowanie obrazów. Oczywiście wiem, że to wszystko z punktu widzenia wieczności niewiele więcej jest warte niż błoto na obuwiu, ale seks też niewiele jest w tym aspekcie wart i z wszystkiego wyziera pustka. Słowa „miłość” wolę nie używać, bo to pojęcie niedefiniowalne. Wczoraj nawet bardzo silnie dopadło mnie poczucie pustki, która w moim wypadku bardziej jest chyba dramatyczna niż w Pani wypadku. Po prostu nieomal wszyscy, do których chciałbym zatelefonować, by podtrzymali mnie na duchu lub bym



Załączam fotografię mojego legowiska

mógł potrzaskać sobie, jak dawniej, dziobem (bo jestem z nimi od stu lat związany), albo już nie żyją, albo też dmuchnęła ich taka skleroza, że szkoda wysiłku na przebijanie się przez mgłę snu na jawie, w jakiej się znajdują i w jakiej – być może nie uświadamiając sobie tego – znajdują się także ja.

U mnie bez zmian: Krzyże nadal bołą, ale nie do tego stopnia, by całkowicie uniemożliwić mi pracę. Jednym słowem: życie nadal jest piękne. Pięknie więc pozdrawiam

Beksiński

From: <bex@acr.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: Jak dobrze!
Date: 07/10/2004

Pedofilia: Jakoś nikomu, łącznie z autorytetami, nie przejdzie przez gardło oczywista prawda, że pedofilia jest takim samym efektem tego, iż jesteśmy mutantami, jak homoseksualizm, sadyzm, nekrofilia i nekrofagia, obojnactwo, dzieci z dwiema głowami, bliźnięta syjamskie czy dojrzałość płciowa wieku 3 lat. Religia traktuje nas jako Koronę Stworzenia, a to gówno prawda, gdyż każdy chyba zdaje sobie sprawę z tego, iż jesteśmy tylko ogniwem ewolucji. Tak więc trudno oskarżać pedofila, iż jest pedofilem, gdyż to nie jest jego wina, lecz taki sam fakt jak kolor włosów. Problemem społecznym jest molestowanie dzieci, podobnie jak problemem jest molestowanie czy pożeranie zwłok. Póki rzecz dzieje się w wyobraźni (a coś na ten temat mogę powiedzieć jako skrajny masochista, u którego wszystko MUSI, i MUSIAŁO przez całe życie, dziać się w wyobraźni) i nie narusza praw innych – w tym nie tylko dzieci, ale po prostu istot trzecich – rzecz nie może być traktowana jako naganna. Cały internet, gdzie legalne porno strony zastrzegają zawsze, iż modele i modelki mają ukończone 18 lat, pełen jest stron poświęconych tzw. incest, a więc tata z córką, mama z synem, dziadek z wnuczką i tak dalej. Jest tysiące lub dziesiątki tysięcy stron tego typu. Ogromna ilość stron poświęcona jest tzw. school girls, a Japończycy mają coś podobnego pod tytułem „urabon girls”. Wszystkie te strony są (z reguły nieudolnie) pozowane, mistyfikowane, a osoby są charakteryzowane na nieletnie, a nawet ubierane w mundurki szkolne. To samo dotyczy homoseksualizmu, gerontofilii, zoofilii, aż po tak dziwaczne zachcenia, jak podglądanie pańienek, które się posikały (setki zdjęć dziewcząt w jeansach, które mają w kroku mokrą plamę). Wreszcie entuzjastów tzw. water sports, też polegających na sikaniu, piciu moczu etc., etc. Nie patrzmy na to, jak na egzotykę, mimo iż niejednokrotnie musi to budzić obrzydzenie. To jest po prostu nasza kondycja. Nadużycie stanowi to, co określiła już rewolucja francuska: wolność jednostki kończy się tam, gdzie zaczyna się wolność innej jednostki. A tymczasem w majestacie prawa walczy się z pornografią w najszerszym tego słowa (pornografia) znaczeniu – podczas gdy właśnie pornografia pozwala skanalizować w społecznie bezpieczny sposób to, co w jakimś typie popędu jest aspołeczne

i niezgodne z prawem. O Boże: walnąłem z grubej rury! Zatem, aby temat pornografii rozładować: z lektury WPROST dowiedziałem się, że pani Danuta Waniek (na fotografii ma minę groźną niczym przed laty Nowina-Konopka) oprotestowała jako pornograficzny kanał XXL na Cyfrze+. Mam Cyfrę+, ale nie miałem pojęcia, że tam coś takiego jest. Przeleciałem wszystkie 609 kanałów i znalazłem: Na kanale 100 jest XXL, ale trzeba zamówić i opłacić RelaXXX (podany jest numer telefonu). Zaraz więc zadzwoniłem i zamówiłem sobie XXL, chociaż obawiam się, że to nie będzie hardcore, lecz stereotypowe gówno z gołymi babami. Okazuje się jednak, że w tym celu, zanim dostanę się do konfitur (o ile to będą konfitury!), najpierw muszę podpisać jakiś certyfikat, który zostanie dostarczony mi przez kuriera. Oczekuję więc pełen niecierpliwości, ale bez nadziei, bo niestety nawet w internecie trudno trafić na strony, które trafiają w moje upodobania, a jeśli nawet, to są robione nieudolnie. Jestem mutantem mniejszościowym. Dominuje stereotypowe hardcore, które ma z prawdziwym stereotypowym seksem tyle wspólnego, co teatr Kabuki lub pantomina z prawdziwym zachowaniem się ludzkim. Przykre, że pornografią zajmują się nieudacznicy, niemający pojęcia o reżyserii i montażu, mimo iż czasem dysponują bombowymi modelkami i modelami. Wszystkie te filmy i zdjęcia charakteryzują przedziwne gimnastyczne pozy, niczym na gimnastycznych drabinkach szkolnych, mające na celu tylko jedno, a mianowicie naoczne udowadnianie (i to non stop), że nikt tu nie wciska kitu i nastąpiła penetracja. I tak dalej aż do końca, no, ale damie nie wypada opisywać szczegółów. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: Mutant mniejszościowy
Date: 07/11/2004

Musiałem zajrzeć do swojego wczorajszego maila, bo nie wiedziałem, o co mnie Pani pyta. Mutant mniejszościowy. Skrajne skłonności masochistyczne (ale to może dziać się tylko w wyobraźni, a nie na jawie), które odkryłem u siebie przypadkiem w wieku około 30 lat, będąc już ojcem rodziny, są skłonnościami zdecydowanie mniejszościowymi. Odkryłem je przypadkowo, robiąc rysunek (a z reguły improwizuję), i nagle narysowawszy jakiś układ damsko-męski, dostałem jak pałką w łeb: To właśnie o to idzie! Do tamtej pory myślałem, że jestem przeciętny z bardzo lekkimi skłonnościami sadystycznymi. Po tym, jak sobie uzmysłowiłem, o co idzie, to przez pierwsze dwa tygodnie nie umiałem o niczym innym myśleć. Chodziłem jak w hełmie wirtualnym na głowie! Potem oczywiście przyzwyczaiłem się. Dlaczego mutant mniejszościowy. Każdy psychiatra powie Pani, że sadyzm i masochizm w jednym stoją domu, ale zawsze jedna z tendencji przeważa. Stąd określenia medyczne: algolagmia activa i passiva. Owoż na całym szerokim świecie przeważa tendencja sadystyczna, jeśli oczywiście wszyscy macho nie zakłamują się tak jak ja w młodości. Proszę wejść w internecie na

strony BDSM, a nawet na strony FEMDOM. Prawie z reguły w 95% maltretowane są panie, i to nawet panie przez panie, a panowie maltretowani przez panie należą do mutacji mniejszościowej. Dochodzę czasami do wniosku, że te mniejszościowe strony prowadzone są bardziej dla idei niż dla szmalu przez twisterów takich jak ja. Oczywiście strony te, prowadzone są przez osobników innych duchowo niż ja, a na dodatek nieudolnych, i trafienie na coś, co porusza, graniczy z niemożliwością. Z reguły działa stereotyp: Czarny winyl, skóra, jakieś łańcuchy, kolce i inne błazeństwa z repertuaru „jak mały Jaś wyobraża sobie BDSM i FEMDOM”. Stąd moje przekonanie, że należę do mutacji mniejszościowej. Czy byłem już wyczerpująco jasny? Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: superwizja
Date: 07/12/2004

Przedwczoraj znajoma pani, jadąc na działkę, zaczęła o moje mieszkanie, pytając wcześniej, co mi kupić po drodze, i poprosiłem o krówki oraz dwie puszki skondensowanego mleka z cukrem. Miałem nadzieję na osłodzenie sobie weekendu jak też samotności na przestrzeni jakiegoś tygodnia, aliści krówek był tylko 1 kg. Więc zżarłem od razu wszystkie krówki i potem poprawiłem dwiema puszkami mleka skondensowanego. Gdy w czymś jest cukier i ja już zacznę to coś jeść, to nawet gdyby puszek było 10, a krówek też z 10 kg, zjadłbym wszystko za jednym posiedzeniem. Najgorzej zacząć. Tak więc regularnie od 100 lat odmawiam sobie cukru, ale czasami, niczym sąsiad alkoholik, pogrążam się w gastronomicznej rozpuście.

Przepraszam, ale z tą mołojecką odwagą to nie tak. Jeśli czyjeś marzenia erotyczne polegają na wyobrażaniu sobie, iż jest się związanym, zakneblowanym, torturowanym i w końcu zamordowanym, ale w wymyślny sposób przez atrakcyjnego osobnika płci przeciwnej, któremu (to warunek) ta czynność powinna sprawiać seksualną satysfakcję, to jest to nie do realizacji, bo opiera się na ambiwalencji. Ja wcale nie pragnę umierać, a wręcz przeciwnie, natomiast moje marzenia erotyczno-seksualne tak właśnie wyglądają i TO naprawdę mnie rajuje. Czyli jestem skazany na wyobraźnię, bo próba realizowania jakiegoś scenariusza „na niby”, nawet z jakąś chętną do współpracy panienką, połączona z dopytywaniem co chwila, czy tak ma być, jest nie do przyjęcia. To by se widalo komicie! To wymaga wymyślenia całego wirtualnego świata opartego na innych zasadach. Powszechne mniemanie, że masochiści uwielbiają ból lub upokorzenie, jest naiwne. Uwielbiają, ale w wyobraźni!!! Na co dzień są tacy sami jak inni. Być może, że to wszystko polega na próbie powtórzenia jakiegoś traumatycznego doświadczenia z dzieciństwa? Podobno (jak mi opowiadał Andrzej Banach) Sacher Masoch jako gówniarz podglądał (masturbując się) kuzynkę, jak figlowała z porucznikiem kawalerii. Nagle kuzynka go zauważyła i goło wygrzebała się

spod porucznika, złapała kawalerską szpicrutę owego porucznika i spuściła gówniarzowi lanie. Podobno wtedy właśnie Masoch doznał orgazmu, ale takiego, jakiego doznaje się tylko raz w życiu, gdy człowiek ma wrażenie, że wszystko z niego wyleci i zostanie tylko skóra. Przez resztę życia pocziwina kombinował, jakby to powtórzyć, i w końcu namówił żonę, by powtórzyła numer kuzynki, znaleźli jakiegoś kandydata, kupili szpicrutę, Masoch ukrył się za firanką, podglądał i walił konia, ale mimo iż powtórzono dokładnie scenariusz, nic w tego nie wyszło. Najgorzej podobno wyszła na tym żona, bo Masoch uważał, że to jej wina, i się z nią rozwiódł. Tak więc Wilde miał rację. To życie naśladuje sztukę, a nie sztuka życie. Po prostu teatrum, jakkolwiek starannie byłoby przygotowane, jest niczym w porównaniu z wyobraźnią. O ile, oczywiście, ktoś ją posiada. Mój szwagier, gdy pokazałem mu przed rokiem czy dwoma jakieś dotyczące smotheringu pornozdjęcia ściągnięte z internetu, spytał pocziwie i naiwnie: a na czym tu polega przyjemność? No właśnie.

À propos psychoterapeutów. Czymś innym jest uwiedzenie pełnoletniej pacjentki (jeśli oczywiście ktoś jej nie zahipnotyzuje lub nie uśpi, jak to widziałem na jakimś thrillerze), a co innego uwiedzenie dziecka. A może to pacjentki uwodziły pana doktora? W końcu gdyby nie uwodzenie, to ludzkość przestałaby się reprodukcja. Pięknie pozdrawiam

Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: przeniesienie
Date: 07/13/2004

Moją normą przed stu laty, było zawsze 2 kg krówek w trakcie oglądania jakiegokolwiek filmu z kasety. Zjadałem je przez około pół godziny. Wcale wtedy nie tyłem!!! Nie lubię ciągnących się, lecz kruche oraz bez smaków dodatkowych typu kawowa, orzechowa, kakaowa etc. Nie mogłem przekonać mojej żony, że jak się włoży do ust 10 lub 20 landrynek, to smak jest wspanialszy niż przy jednej. Śmietanę z lodówki (była za komuny taka 12% Śmietanka Woła termizowana – moja ulubiona, teraz to już nie istnieje) lubiłem do pierogów ruskich, ale takich, jakie robiła moja matka, a potem moja żona. Tu ważne jest Know How. Potrafiłbym samemu takie wykonać, ale mi się po prostu nie chce pracować nad jedzeniem, natomiast to, co jest w sklepach, to parodia pierogów ruskich. Faj!!! Truskawki lubię, ale pół na pół z cukrem pudrem. Nie jadam, bo z nimi jest za wiele zachodu. Trzeba kupować z łubianki, potem płukać, potem odrywać ogonki – koszmar! Czekam: może jeszcze za mego życia wymyślą jakieś truskawki syntetyczne w tubach albo w bloku, od razu dosłodzone i tak dalej. Uwielbiałem poziomki ze śmietaną, ale ta śmietana musiała być bardzo rzadka i ubita pół na pół z cukrem. Dawniej piłem około 10 szklanek Neski Gold dziennie i do każdej dawałem 7 czubatych łyżeczek cukru, ale nie takich jak dla lalki Barbie, tylko klasycznych, dużych łyżeczek. Gdy cukier był na kartki, sprowadzaliśmy go via Kotwica lub Pe-

wex. Wczoraj znajoma pani ze Śląska (która przysłała mi książkę dr. Kwaśniewskiego i namawiała do lektury, ale od razu dałem ją pani Lidii) gadała przez dwie godziny nieustannie o tym, jak to wspaniale można się odżywiać metodą dr. Kwaśniewskiego. Kupuje schab, piecze go przez godzinę ze śliwkami, robi sałatkę z pomidorów etc. Boże, to już lepiej od razu umrzeć, by się tak nie męczyć! Gotów jestem sprawie obiadu poświęcić dziennie maksimum 10 minut, razem z przygotowaniem, zjedzeniem i umyciem po sobie. Poza tym nie cierpię schabu. Coii nie można, bo zawiera fosforany. Cholera. To nie dla mnie. Nie mogę więc pić najwspanialszego napoju w całej historii świata, nie mogę jeść najwspanialszych hamburgerów McRoyall!!! Mam jeść paskudny schab ze śliwkami, a od tego podobno nawet moja prostata zmaleje o 20%. Na pohybel!!!! Jeśli ktoś poddaje się psychoterapeucie na zasadzie kompletnego uzależnienia... Tego nijk nie potrafię sobie wyobrazić, może dlatego, że znałem kilku psychoterapeutów, i to raczej ja potrafiłem ich uzależnić od siebie, no, ale nie byłem ich pacjentem. Mój syn, będąc po próbie samobójczej w 1979 pacjentem psychoanalityka, tak nim manipulował, że ten skarżył się nawet na to koledze po fachu, który z kolei był moim kumplem. Kompletnie uzależnienie? Chętnie wierzę, ale nie rozumiem. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: zaspakajanie ciekawości
Date: 07/14/2004

Oczywiście znam tę wykładnię śmierci Kosińskiego, ale z nią się nie zgadzam. W ogóle nie wierzę w techniki seksualne. To dobre dla ludu. Kobiетom podobno sprawia przyjemność zaciskanie dłonią szyi w trakcie orgazmu. Może, choć ja sądzę, że ważniejsze jest, kto z nimi figluje. Książd Rydzyk mógłby zaciskać do woli rękę na szyi Jennifer Lopez, a i tak gówno by to dało. Nigdy zresztą tego nie próbowałem, bo się takich rzeczy panicznie lękam. A jeśli mimo woli zacisnę za silnie? Znam sytuację, w której szpanująca na nowoczesność dziewczyna w trakcie orgazmu wessała gumę do żucia do tchawicy i zesła z tego świata. Technika i wiara w strefy erogenne (jak np. pomaganie partnerce przy użyciu palca w odbycie) to zabawa dla tych, którzy czytają podręczniki. Kosiński był na to zbyt inteligentny. W końcu zabawa z plastic bag nie ma na celu zwiększenia przyjemności w sensie czysto somatycznym, lecz w sensie psychicznym (komuś, kto czerpie satysfakcję ze zniewolenia), o czym już pisałem. Inna rzecz, że możliwy jest banalny wypadek i sam omal takiemu nie uległem przed trzema czy czterema laty. Byłem w hotelu w Krakowie w związku z targami książki, gdzie musiałem podpisywać album. Miałem spotkać się wieczorem w restauracji hotelowej z wydawcą, jego żoną oraz fotografem Bujakiem i jego żoną. W mojej łazience był tylko natrysk i nigdzie nie mogłem znaleźć jednorazowych czepków kąpielowych, więc wywalilem z worka np. krowki czy coś w tym stylu i włożyłem go dość luźno na

głowę. Pod wpływem strumienia gorącej wody torba zacisnęła się i zassałem ją. Moment paniki, bo nie dało się jej ściągnąć, tak jakby się przykleiła, ale od czegoż jestem stary świntuch. Wielokrotnie widziałem na zdjęciach, jak panienki duszące przywiązanych do krzesła facetów robią im w miejscu otwartych ust niewielką dziurę w torbie i potem regulują im niewielkie racje powietrza dłonią. Pornografia uratowała mi więc życie! Dziabnąłem palcem (nie byłem przecież związany) i zrobiłem dziurę, po czym dokończyłem ablucji i zszedłem na kolację. Mogłem jednak spanikowany szarpać torbę w górę, potem zemdleć, a potem, gdyby mnie znaleziono, uczeni w piśmie seksuologowie mieliby podstawę do uczonych rozpraw na temat technik zwiększania siły orgazmu pod gorącym prysznicem. Co do psychoterapeutów, to warunkiem sine qua non są nie tyle studia i tytuł, ile osobowość i inteligencja, a tego nie da się kupić na studiach. Jeśli pacjent jest „lepszy” od terapeuty, to w końcu on go zdominuje. Pięknje pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: kreatywny bardziej
Date: 07/15/2004

Beksiński, nie wdawaj się w dyskusje, bo masz chory kręgosłup i dysleksję. Każde słowo kosztuje cię 100 razy więcej niż innych! A więc tylko: Moja myśl – gdy pisałem o Normie i Większości – biegła nieco innym torem. Normą na omawianym obszarze jest w zrozumieniu religii prokreacja. To, co narusza najprostszą ścieżkę prowadzącą do prokreacji lub co nie posiada w ogóle takiej ścieżki: nie jest w opinii religii normalne i uchodzi też za nienormalne w opinii społeczeństw wychowanych w duchu tej religii. Jest to przyjęcie antropocentrycznego sposobu widzenia świata i to z perspektywy wieczności. Rozmnażanie się w aspekcie, który z kolei ja próbowałem w poprzednim liście pobieżnie przedstawić, jest jedynie epifenomenem, takim samym jak czyraki na dupie, pożary lasów, AIDS czy wojny plemienne. Antropocentryzm jest oczywiście i dla mnie platformą do działania, ale na bieżąco, czyli w bardzo krótkiej perspektywie czasowej, w której i tak na nic nie jestem w stanie wpłynąć. Przyszłość za głupie 100 000 lat jest czymś niewyobrażalnym. W tym przyszłość definicji pojęcia „człowiek”. NIC nie przetrwa próby czasu, a człowiek – o ile istnieć będzie jego potomstwo – stanie się czymś innym, niż jest. Jako obserwator jestem skrajnym pesymistą: nie ma się po co i komu stawiać, bo i tak, w ten czy inny sposób, wiatr zmiecie nas i nasze pomysły. Możemy tylko obserwować, i to w nader krótkim mgnieniu oka, jakim jest nasza egzystencja na tym świecie, i na dodatek w coraz większym stopniu zdajemy sobie sprawę, że wprawdzie niepoznawalny obiekt obserwacji oddziałuje na nas, ale my w oparciu o te bodźce budujemy sobie samodzielnie i na swoją miarę obraz tego, co na nas oddziałuje, ale ten obraz jest wyłącznie naszą konstrukcją i nie odpowiada mu nic, co potrafilibyśmy, choć w przybliżeniu poznać, zdefiniować i opisać. Czyli jest to, jak określił to już przed grubo ponad

stu laty poeta: a dream within a dream. Nie ma nic poza naszym złudzeniem. Vanitas. Czy więc ma sens przyjmowanie innej postawy niż obserwatora? Płynąca woda obserwuje płynącą wodę. Czy coś innego mówi choćby buddyzm?

Wracając do Pani listu. Oczywiście, Kościół katolicki jest łagodny dla grzeszników i chwala mu za to. W 95% wypadków wystarczy sakrament pokuty, a w pozostałych wypadkach nawet tylko akt skruchy. Nie przepadam za Kościołem, ale muszę mu oddać sprawiedliwość, bo coś innego można zrobić dla tej kupy biednego robactwa zwanego ludzkością, niż opiekować się i wybaczać. Teza pani Korpolewskiej: osobiście staram się żyć zgodnie z tą tezą, co mi jednak nie zawsze wychodzi. Należy chyba oddzielić superego od ego. Moje życie może być plugawe, ale moje apostołstwo może jednak wskazać innym drogę. Ująłem to trochę w stylu dramaturgicznym, ale określa istotę problemu. No, Beksiński: Do roboty! Do roboty! Przerobić codzienną porcję niczego w nic, tak jak ten wzruszający człowieczek w „Żółtej łodzi podwodnej”. Pięknie pozdrawiam.
Beksiński

From: Liliana Śnieg-Czaplewska
To: Zdzisław Beksiński
Sent: Tuesday, July 20, 2004 12:36 AM
Subject: przerwa

Późnym popołudniem w czwartek wsiadłam w samochód moich przyjaciół – malarzy Murawskich. Wcześniej zapakowałam laptopa, kasetę świeżutko nagranego wywiadu z pisarką Grocholą i jej córką oraz Dudusia – jamnika szorstkowłosego i ruszyliśmy w drogę. Cztery godziny do Gawrych Rudy, do domu położonego sto metrów od jeziora Wigry.

Reasumując: nawdychana świeżego powietrza, wypoczęłam. Duduś pierwszy raz pływał, pierwszy raz widział konia i go obszczekał. Pan pewnie otrząsa się z obrzydzenia, słysząc o nienaturalnej naturze, ale mnie, niestety, to kręci. Dochodzę do wniosku, że powinnam mieszkać na wsi, widzieć poranki i zachody słońca oraz burze w całej okazałości, jak dzisiaj.

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: przerwa
Date: 07/20/2004

Jezioro. Obszczekanie konia. Natura. Rzeczywiście, to już prawie Irak w niewoli u ekstremistów islamskich. Jest Pani dzielną osobą! Ja walczę z bólem kręgosłupa, który przeniósł się dziś rano z krzyża na prawą łopatkę i kark. Od dwóch dni jest mniej zimno, ale na razie nie włączam klimatyzacji, bo chcę się nacieszyć. Paskudny tydzień, mimo iż poprawia się pogoda. W czwartek pogrzeb mojej bardzo bliskiej znajomej Marysi Turlejskiej, przedwojennej komunistki, która ma za sobą drogę od Kierownika Zakładu Historii Partii przy KC po opozycję Solidarnościową. Umarła w ubiegłym tygodniu. Za kilka dni pojawi się Dmochowski i rów-

nocześnie inny mój entuzjasta z Kanady, którzy wzajemnie nie chcą słyszeć o sobie. Muszę ich jakoś terminowo pozazębiać. Bolać plecy, a dopiero co przestał boleć brzuch. Mój kumpel będący w wieku 82 lat, posługuje się czasami moim internetem za moim pośrednictwem. Ostatnio szukałem mu rozkładów jazdy kolei i autobusów w Słowenii. Bo właśnie wybiera się tam po coś. To moje przeciwieństwo. Jeździ od stu lat nieustannie po całym świecie i poznaje (podobnie jak Pani) znane osobistości od Mao Tse-tunga po architekta Liebeskinda (jest architektem, podobnie zresztą jak ja). Ludzie więc się dzielą na przelotne ptactwo i rośliny doniczkowe. Ja jestem doniczkowy. No nic, biorę się do pracy. Muszę wreszcie skończyć obraz, który morduję i przerabiam od dłuższego już czasu. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: Maria T.
Date: 07/21/2004

O Jezu! Od rana młyn. Pani ma tak codziennie, zresztą nie tak, a sto razy więcej, ale ja uwielbiam spokój. Jestem jak ten Dulski chodzący na wysoki zamek, i gdy tylko coś zaczyna się dziać oprócz standardowego pójścia rano po zakupy i zabrania się do pracy, to odbieram to jako wir wydarzeń. Przede wszystkim w łazience kawalerki, na podłodze, obok miski klozetowej, zauważyłem małego (na szczęście) pajaka. Tak plus minus 15 mm średnicy razem z nogami. Mnie to już wystarczy. Gdybym ujrzał większego, to nie jest wykluczone, że wyskoczyłbym z 3. piętra przez okno. Pajaków boję się w sposób irracjonalny i na szczęście ich tu nie ma. Telepiąc się ze strachu, przyniosłem szklankę i pocztówkę, mając zamiar nakryć go szklanką i potem podsunąć pocztówkę i wywalić za okno, razem ze szklanką i pocztówką. Nakrywając go szklanką, wydałem dziki wrzask-warczenie Samuraja, który miał mi dodać odwagi i sparaliżować Złe Moce, po czym jęcząc i warcząc przez zaciśnięte w panice zęby, podsuwałem pod niego pocztówkę, której róg się zagiął, więc omal nie zemdlałem, ale wtedy okazało się, że pajak jest martwy. Wywaliłem wszystko za okno. Wypociłem w trakcie tego chyba ze dwa litry wody i musiałem brać prysznic i zmieniać koszulę. W całym mieszkaniu rozśmierzdział się GLOBOLEM, więc otworzyłem na przestrzał okna, aby zamiast pajaków, nie znaleziono mnie, leżącego odwłokiem do góry. Do teraz nie umiem się uspokoić. Chyba wspominałem, że cierpię na arachnofobię i to w stanie ostrym. Bengalski tygrys w mieszkaniu nie przeraziłby mnie tak jak włochaty pajak. Z nimi zawsze (w Sanoku były) rozprawiała się moja żona. Jeśli GLOBOL nie pomoże, będę zmuszony ożenić się powtórnie. To koszmar! Potrzebny byłby mi raczej psychoterapeuta i hipnoza, ale przy moim szczęściu na pewno trafiłbym na psychoterapeutę geja i gerontofila w jednej osobie, który by mnie wykorzystał seksualnie pod wpływem hipnozy. Przepraszam, ale jeszcze się trzęsę po tym pajaku. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: Liliana Śnieg-Czaplewska
To: Zdzisław Beksiński
Sent: Thursday, July 22, 2004 1:16 AM
Subject: Globol, gerontofil, żeniaczka

Przecież to był środkowoeuropejski pajak, a nie jakiś gigantyczny włochaty stwór, którym można się zachwycać jak dziełem sztuki. A poza tym, może on wcale nie był martwy, tylko tak onomatopeicznie udawał? Jakaś kandydatka na panią Beksińską powinna zaimplantować w Pana mieszkaniu małą hodowlę ślicznych pajaczków, a potem nawet nie potrzebowałaby specjalnie się wysilać, tłukąc to robactwo, aby zobaczyć w niej Pan swoją wybawicielkę.

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: Globol, gerontofil, żeniaczka
Date: 07/22/2004

Panie o miłości, panowie o seksie. „Dziad o chlebie, baba o fiołkach”, jak mawiał nauczyciel od historii w gimnazjum w Sanoku, którego 125-lecie ma się właśnie odbyć. Ponieważ dobry Bóg stworzył mnie psychicznie jako półbabę, częściej myślę o fiołkach niż o chlebie. W ramach kupowania fiołków nabyłem wczoraj za pośrednictwem internetu oczyszczacz powietrza DAIKIN MC704VM, reklamowany przed dwoma tygodniami ulotką w POLITYCE. Miałem w planie 3 takie oczyszczacze, ale niestety równowartość dwóch pozostałych musiałem wczoraj wysłać, tym razem nie emerytowi, lecz emerytce ze starego portfela, bo jest w dramatycznej sytuacji. To dawna koleżanka mojej żony: chora, połamana i narzekająca na cały świat. Mnie postrzega jako milionera: coś między Kulczykiem, a Billem Gatesem. Nie zaprzeczam, bo to mnie dowartościowuje, ale niestety kosztem fiołków. Może to i dobrze, bo ten oczyszczacz pracuje wprawdzie wsporniale, wyświetla informacje o stopniu zanieczyszczenia, o postępie czyszczenia powietrza, ale spektakularnych efektów nie zauważyłem. Może on tylko udaje, że to robi? Cała moja paroletnia praca w biurach polegała na udawaniu, że coś robię, więc swój pozna swego. Na razie przenoszę go z miejsca na miejsce i sprawdzam, a w mojej ciasnocie nie jest to proste. Na zdjęciu obok marchewkowego tapczanu. Leciał tam przez całą noc i stabilizował, przy użyciu fotokatalizy i jonizatora, ładunki ujemne w moim powietrzu, pochłaniając to, co dla mnie szkodliwe, filtrem plazmowym i lampą inwerterową. Dzięki temu czuję się tak samo kiepsko jak codziennie, z czego płynie wniosek, że na pewno dziś czułbym się gorzej, gdybym urządzenie nie uruchomił. To jednak typowy babski fiołek! A może męski fioł? Przetawię go chyba do pracowni, ale gdzie go tam włożyć, skoro nawet sam muszę się wczolgiwać. Tak czy siak, na razie muszę poprzestać na jednym, więc trzeba go ustawić tam, gdzie jest najbardziej (nie)potrzebny. Rany boskie, bo spóźnię się na pogrzeb, a tu jeszcze poprawianie 1000 aliteracji. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: trabant Anthony'ego Hopkinsa
Date: 07/28/2004

Chińczycy powiadają, że w chwili śmierci obojętnym się staje, jakie było życie: piękne czy gówniane. Te wszystkie oczekiwania biorą się z biblioteczki Harlequina i seriali brazylijskich. A może to efekt zatwardzenia? Nie należy lekceważyć tej ścieżki. Jeden z amerykańskich senatorów republikańskich w minionym okresie, ogłosił, że komunizm bierze się z zatwardzenia. Oto problem dla Nauki. Obejrzałem wczoraj w oczekiwaniu na Dmochowskich trzy kasety (głównie na szybkim podglądzie) z kanału XXL. Jak widać, jestem z innej galaktyki niż producenci i wykonawcy tego gówna. Większość sprawia wrażenie reportażu z wojewódzkiej stacji inseminacyjnej dla naczelnych. Jedyna jako tako sensownie zachowująca się i atrakcyjna wiekiem (ca 20) i urodą para w połowie stosunku (nareszcie na normalnym łóżku i w normalnym mieszkaniu) przeszła na stosunek analny, który zajął 70% całej zabawy. Do dupy (w przenośni i dosłownie). Przystanę to oglądać, a zadowolę się stanem posiadania. To podobnie jak z aparatami cyfrowymi. Prawie już nie fotografuję, a stale kupuję nowe. Uszczęśliwia mnie stan posiadania i poczucie, że jestem ekspertem. Pięknie pozdrawiam Beksiański

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: chandra
Date: 07/29/2004

„Sadomaso wyobrażeniowi” nie dążą do tego, by ich bolało, lecz do pocucia, że ktoś zadaje im ból lub że zadają ból innym. Próbowałem to – jak widzę bezskutecznie – wyjaśnić. No cóż: co do pana W., to podobnie jak przy analizie przez Panią mego obrazu, mógłbym analizować prezent, który jest podręcznikowym symbolem zawierającym w sobie na dodatek propozycję.

Nie należy zapominać, że kawałek kotleta mielonego, jest jednak kawałkiem kotleta mielonego, podczas gdy kompletny brak kotleta, może wywołać jeszcze większy stres. To po prostu z Pani strony zaborczość. Trudno mi mówić o sobie, bo jestem inny, i to zarówno płciowo, jak wiekowo i psychicznie. Nie wiem, jaki wariant bym wybrał. Pewnie wyszarpałbym swój kawałek kotleta. Istnieje niezbyt wytworny i seksistowski dowcip: Dlaczego kobiety oglądają kasety porno? Dlatego, bo oczekują, że na końcu będzie ślub. Wszystko to jest bez znaczenia, bo jest tylko wytworem naszego mózgu. Pięknie pozdrawiam Beksiański

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: wieczne pióro
Date: 07/30/2004

Oczywiście, że u Freuda wieczne pióro (chyba ich wtedy jeszcze nie było) stanowiłoby symbol falliczny, a posłanie go komuś oznaczałoby słabo zakamuflowaną propozycję. Jeśli na dodatek było w futerale... Hi hi. Nadal żartuję. Inna symbolika oneiroanalityczna była u Freuda, inna u Junga, jeszcze inna jest u Lacana. Przy pewnej wprawie można żonglować tymi symbolami i wymyślać nowe na okoliczność rozbawiania pań w towarzystwie. Jest jednak rzeczą dla mnie oczywistą, że istnieje jakiś, w dużym stopniu archetypowy, „wieszak, rusztowanie, struktura lub szkielet”, który pośrednio określa repertuar podstawowych potrzeb duszy i ciała, choćby w ujęciu podobnym jak u Masłowa czy nawet Fromma, i wszystkie nasze działania oraz wszystkie owoce tych działań, w jakiś sposób dostosowane są do kształtu tego wieszaka lub tej struktury. Nasze pomysły, twórczość, symbolika etc. przybierają kształt zgodny ze strukturą podstawową, ale oczywiście nie znaczy to, że każde wieczne pióro zobaczone we śnie jest oczywistym symbolem fallicznym. Nie jesteśmy po prostu w stanie w ogóle postrzegać i czynić rzeczy niezgodnych ze strukturą (one dla nas nie istnieją). Imperatyw reprodukcji jest jednak jednym z jej elementów podstawowych. To wszystko nie znaczy, że np. stereotypy dynamiczne Pawłowa i ta część psychiatrii, która ma charakter behawiorystyczny pozbawione są podstaw. To wszystko razem nie jest takie proste jak sennik egipski: Śliwki we śnie zbierać, strzeż się złodzieja. Położyłem się za późno i jestem niedospany. Pięknie pozdrawiam Beksiański

From: Liliana Śnieg-Czaplewska
To: Zdzisław Beksiański
Sent: Saturday, July 31, 2004 2:14 AM
Subject: Głowa

Panie Zdzisławie, który z polskich malarzy, Pana zdaniem, w najbliższych latach zrobi oszałamiającą karierę, w Polsce lub świecie?

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: Głowa
Date: 07/31/2004

Ależ, na Boga: nie jestem prorokiem. Nie mam zielonego pojęcia. Kariera nie zależy przecież od wartości artystycznej dzieł, o ile w ogóle coś takiego jak wartość artystyczna istnieje „obiektywnie”, a nie jest jedynie moim złudzeniem. Kariera to szczęśliwy zbieg wielu sprzyjających okoliczności. Jedyną okolicznością sprzyjającą, jest nasze wejście do Unii, co może spowodować, że na szerokim świecie jakoś nas złączą od różniąc od Bułgarii i Białorusi. I tak jest lepiej niż za czasów Gierka, gdy jeden z mych klientów, który dostarczał mi płyty, pomylił Polskę

z Tajlandią. To tak, jak bym Panią zapytał, który ze zbieraczy kapusty w Pcimiu będzie w tym roku najlepszy. Jest kilku młodych ludzi, którzy zaczynają być środowiskowo znani, co jednak nie zawsze idzie w parze z jakością tego, co robią, ale już na początku powiedziałem, że nie wiadomo, czy taka miara wartości w ogóle istnieje. Mnie akurat to wszystko nic nie obchodzi, więc nawet nie byłbym dobry w wyliczeniu nazwisk z pelotonu ubiegających się o sławę, a już ich dzieł czasami prawie w ogóle nie znam. Życzę im sukcesu i wszystkiego dobrego, chociaż oni raczej mnie tego nie życzą, bo jestem dla krytyków i satelitów tej grupy, czymś w rodzaju zmurszałego worka treningowego. No, ale tak zawsze bywało i bywa. To od ponad stu lat stereotyp zachowań na tym odcinku poczytnań ludzkich. To Pani raczej powinna takie rzeczy prognozować.

Państwo D. występują zawsze w wersji zły i dobry glina. Przy czym to nie jest grane. Tak jest naprawdę. Pani D. jest osobą o anielskiej cierpliwości. Ja chyba też już przestałem żywiej reagować na zachowania Piotrusia, bo jak mu raz nawet napisałem: nie można wymagać od żaby, by łapała myszy, ani od kota, by pływał krytą żabką. Dmochowskiego akceptuję już takim, jakim jest – w końcu (jak każdy) ma swoje dobre strony. Byli tu także (Piotr ściąga ich jak do nory zielonej małpy) jego rozmaici znajomi płci obojga, z których jeden biznesmen zaczął już molestowanie mnie o sprzedanie tej wiszącej w kawalerce wylizanej damy, która miała cycki, ale ich już nie ma. Aktualnie w ogóle nie pracuję, bo czekam, by się to wszystko przewaliło i fale jeziora uległy uspokojeniu, co nastąpi we wtorek. Pięknie pozdrawiam

Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>

To: <lilianasc@neostrada.pl>

Subject: Re: Ach!

Date: 07/31/2004

Teraz poważnie o malarzach. Po pierwsze, słabo znam współczesne młode malarstwo polskie. Po drugie, z tego, co znam, miałbym swojego konia, ale jestem na 200% pewien, że on nigdy nie zostanie ani ulubieńcem mediów, ani ulubieńcem międzynarodowej krytyki, a wręcz przeciwnie. Oczywiście, każdy chciałby być sławny, ale ani mnie, ani mnie podobnych młodych malarzy, nie rozpira chęć dojścia do sławy za cenę zrezygnowania z tego, co nas naprawdę kręci. To wszystko, co określane bywa mianem współczesnej sztuki, mam od stu lat głęboko w dupie. Tu trochę za mało orientuje się Pani w branży podzielonej silniejszymi antynomiami i animozjami niż te, które dzielą Jerzego Urbana od księdza Rydyka. Ja siedzę sobie w niszy i wszyscy, których sztukę lubię, siedzą w takiej samej niszy jak ja, a tylko nieco głębiej, bo mnie kiedyś udało się na terenie Polski wypłynąć i jakoś na razie nie utonąć, ale niech się Pani zapyta liczących się pań i panów krytyków, co o mnie sądzą, a wtedy na pewno się Pani dowie, że niżej podpisany jest jednym największych zakalców sztuki polskiej. Tak więc nie rzucę żadnym nazwiskiem. To trochę tak, jakby spytać kardynała Glempa

o to, kto zostanie w nadchodzącym sezonie seksualną rekordzistką Polski i przekroczy liczbę 800! Nawet jeśli coś obilo się o moje uszy i oczy, jako to, co ma największe szanse na rynku krytyki, jest to właśnie coś, czego serdecznie nie cierpię. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: Konia!Konia!Konia!
Date: 08/02/2004

Pani nadal z tym słupem wysmarowanym mydłem, na którym o pęto kielbasy i butelkę wody walczyły na jarmarku wiejskie osiłki w czasach, gdy bywała jeszcze tu i tam wieś spokojna, wieś wesola. Oczywiście, że nie poprę ani nie wymienię tego, kogo cenię, bo moja rekomendacja zrobiłaby krzywdę temu chłopakowi. To nie jest tak, jak Pani pisze, że cała sztuka to nisz (zaczynam już pisać wierszem!). To jest tak, że istnieje oficjalna sztuka i jej kapłani, a przede wszystkim leciwe i fundamentalistyczne kapłanki, dewotki i chorągwiarki. Ja od stu lat odłączam się od SZTUKI. Jestem MALARZEM, bo to mnie inspirowało, bawiło i to miałem ochotę w życiu robić. Wywiad z Mikulskim żywy i sympatyczny. Jestem zaszczyczony tym, iż powołuje się Pani na mnie. Staję się tym samym uznanym fizjonomistą (może ekspertem?), a przecież nie umiałbym za skarby świata przekazać policji do portretu pamięciowego ani jednego szczegółu czyjejś twarzy. To u mnie podobne do nieumiejętności rozpoznawania głosu, którą to nieumiejętność też posiadam w nadmiarze. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: kafeł z Opoczna
Date: 08/06/2004

Po rozwodach „działkują” się też moje obrazy stanowiące wspólnotę majątkową. Raz nawet była żona mojego kolegi, która sprzeciwiała się ostro ściąganiu w zamian za usługi „tych koszarów” (facet zdobywał mi w czasach komuny części elektroniczne, takie jak kondensatory, rezystory, półprzewodniki etc., w oparciu o listę, bo wtedy budowałem sobie studio nagraniowe do robienia muzyki elektronicznej – potem nic z tego nie wyszło, bo przeniostałem się do Warszawy, a po rozebraniu elementy tego przedpotopowego studia rdzewieją do dziś na jakimś strychu w Dynowie), więc owa żona, gdy doszło do rozwodu, pokochała moje obrazy i chciała zabrać połowę tak, że musiałem nawet pisać u notariusza oświadczenie dla sądu, że wszystkie obrazy były prezentami. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: wirtualny kotlet
Date: 08/08/2004

Ze złotymi zębami czy bez i tak biorą od Pani grosze w porównaniu z tym, ile ja płacę za cotygodniowe sprzątanie mojego mieszkania. Od momentu gdy doszła kawalerka i powierzchnia wynosi około 120 metrów, czyli 5 pokoi i korytarzyki, płacę co tydzień 250 zł. Sprzątanie (pomaga albo syn, albo córka) trwa ca 3,5 do 4,5 godzin. W tym także prasowanie tego, co poprzedniego dnia wyprałem i przez noc wyschło, czyli ze trzy koszule (najczęściej używam ich tylko przez pół godziny, by wyjść do sklepu, stąd nie zmieniam codziennie, natomiast potwornie poplamionej farbami koszuli do malowania nigdy nie prasuję, lecz przepieram wieczorem, a na drugi dzień wkładam), 7 par slipów, 3–4 ręczniki, kilka chustek do nosa i raz na 4 tygodnie bielizna pościelowa (jestem brudas i nie będę prześcierał prać co tydzień – w końcu codziennie przed spaniem się kąpię). Oczywiście, obecnie gotówką płacę tylko 50 zł na taryfę do Wołomina, bo resztę zapłaciłem z góry do końca 2005 roku, jako iż pożyczyłem sporo kasy panu Krzysztofowi na kupno renaulta, część odrobił on, część odrabia jego żona.

Kościół to nie moja broszka. Nie należę do Wiernych, to co mi może zależeć na tym, czy liturgiczne szaty są drogie, czy tanie. Kościół katolicki obchodzi mnie tyle co sekta Moona. Jestem do niego ustosunkowany życzliwie, podobnie jak do Mormonów, Zielonoświątkowców, Chasydów, Badaczy Pisma Świętego i Świadków Jehowy: jeśli niczego ode mnie nie wymagają, to i ja nie chcę niczego od nich. Niech sobie żyją po swojemu. Ja w zasadzie wszystkich lubię – jestem jak ten piesek, który merda do wszystkich ogonem – nic na to nie poradzę, bo taki jestem. Boga w sercu to nie mam. Natomiast krzyży u mnie domu jak na Kalwarii, bo to jeden z moich ulubionych tematów. Pięknie pozdrawiam

Beksiński

PS: Jestem chyba zdeklarowanym idiotą. W tej chwili kompletnie zdeklasowany kolega po fachu wydusił ode mnie 1000 zł. Zaczął od 5000, bo wszyscy uważają mnie za Kulczyka, no, ale zachowałem odrobinę asertywności i wytargowałem 1000 – skądinąd co najmniej nie przepadam za tym facetem i panicznie się boję, że wparuje mi do mieszkania, a więc umówiliśmy się, że przybędzie tu z Ursusa za półtorej godziny, i ja mu podam szmal przez drzwi. Powiem, że pozuje mi nago znajoma i nie chce, by wchodził.

From: Liliana Śnieg-Czaplewska
To: Zdzisław Beksiński
Sent: Monday, August 09, 2004 1:17 AM
Subject: benzyna za 10 zł

Chciałam od razu Panu odpowiedzieć na maila, bo się wpieniłam. Odczekałam jednak do końca dnia, bo może uznałby Pan moje wynurzenia za zbyt wtrącałskie. A mnie po prostu szlag trafił, że ktoś robi Pana w konia. Przepląca Pan na

własne życzenie, o czym oczywiście świetnie Pan wie, o 250–300 procent (!). I pewnie nikt nie jest Panu za to wdzięczny, tylko dumny, że prosty rzemieślnik robi w konia inteligenta. A może i żałuje, że od artysty bujającego w obłokach nie bierze jeszcze więcej. Bo właściwie co stałoby na przeszkodzie zażądać za sprzątanie 400 zł albo i 500? Toż to tylko sto euro, a jesteśmy w Unii. Tyle że nikt naprawdę UCZCIWY nie żąda za litr benzyny 10 zł w naszym kraju!!! Najbardziej mnie trzęsie ze złości na tę taksówkę.

From: <bex@acn.waw.pl>

To: <lilianasc@neostrada.pl>

Subject: Re: benzyna za 10 zł

Date: 08/09/2004

Każdy kij ma dwa końce, więc i ja mógłbym wygłosić gorącą orację o tym, jak wykorzystuje Pani biedne Ukrainki, korzystając z uprzywilejowania polskich sahibów przez rynek pracy. Ludzie, jak uczy wiktymologia, dzielą się na wilki i owce. Pani oraz rodzina pana Krzysztofa to wilki, a ja i Ukrainki to owce. Wiem, że wiele ludzi wykorzystuje mój brak asertywności, na co wściekała się także moja żona (kobiety są z natury bardziej intercepcyjne), ale skąd Pani wie, że nie zostanę drugim świętym Franciszkiem, któremu ptaki siadały na ramionach. Zrobiłem już w tym kierunku pierwszy krok, bo już dwa razy gołębie załatwiły się w locie wprost na mnie. Rzecznik rządu USA uznałby to za krok we właściwym kierunku.

Wczoraj małodusznie wykpiłem się utalentowanemu (bo to był bardzo utalentowany i znany malarz) koledze po fachu, podając mu forszę przez drzwi i nie zapraszając do mieszkania. To był krok wstecz. On też poprosił jeszcze o 50 zł na taryfę, bo przybył aż z Ursusa. On już przed 10 chyba laty, gdy w tym samym celu przybył do mnie, wyglądał jak kłoszard i ponieważ chyba się w ogóle nie myje, zasmrodził całe mieszkanie, bo jak usiadł i zaczął narzekać na los, to siedział przez dwie lub trzy godziny. Ma na co narzekać, bo ma kilkanaścioro dzieci, chyba po części adoptowanych z litości, jakieś aktualne i nieaktualne umierające żony. Gdy go teraz zobaczyłem (a w internecie wyczytałem, że urodził się w 1923), to byłem wręcz porażony. Starzec zgięty wpół i śmierdzący już z odległości dwóch metrów. Na łysinie beret w stylu Rembrandta. Egzaltowane wychwalanie na całe gardło mego talentu i wpadanie w łkania co kilkanaście sekund. Małodusznie nie zaprosiłem go do środka i potem czułem wyrzuty do wieczora i dziś je jeszcze czuję. Nigdy tego faceta nie znosiłem, nawet gdy był jeszcze względnie młody i nie śmierdzał, a to głównie na skutek jego egzaltacji i demonstracyjnego podziwu, jakim mnie otaczał. Teraz najbardziej boję się woni. Smrodu z niedomycia nie znoszę chyba jeszcze bardziej od perfum Diora. Czy zobaczyłem w nim swoją niedaleką przyszłość? Chyba tak. Brrr!!!

Z weselszych spraw, to wczoraj obejrzałem na HBO-2 polski film „Dzień świra”. Zapewne już to Pani dawno widziała, bo ja na skutek oglądania w TV, mam znaczne opóźnienia, ale jeśli nie, to niech Pani to zobaczy. Okazuje się, że nawet w Polsce można czasami nakręcić dobry film. Pięknie pozdrawiam

Beksiński

From: Liliana Śnieg-Czaplewska
To: Zdzisław Beksiński
Sent: Tuesday, August 10, 2004 1:18 AM
Subject: dobry biały Pan

Protestuję całą sobą przeciwko stawianiu mnie po tej samej stronie, co Pana sprzątająco-remontująca rodzinka cwaniaków. I Pan też to świetnie wie, tylko lubi mnie prowokować! Przecież wyraźnie napisałam, że oni biorą od Pana trzysta procent więcej, niż kosztuje taka praca i to dobrze wykonywana przez Polki, w mieście stołecznym Warszawie Anno Domini 2004. Rzekłam. Na pewno więc nie jestem polskim sahibem, jestem polską porządną pracodawczynią, która osobiście robi kawę lub herbatę sprzątającej i ZAWSZE częstuje obiadem, który akurat przygotowałam dla siebie. Oksana po raz pierwszy w życiu u mnie jadła szparagi. Zawsze miałam przygotowane dla niej dobre ciuchy i ile razy miała sobie coś wybrać, brała wszystko! A 10 zł za godzinę, czyli ok. 3 dolarów, to bardzo uczciwa stawka za godzinę i taka (przykład mojej Małgosi, która korzysta z usług legalnych Polek) jest NORMALNA – ADEKWATNA – OBOWIĄZUJĄCA NA MIEŚCIE. No, chyba że ktoś koniecznie lubi płacić więcej, niech płaci. Skoro ma przyjemność... Przyjemność zawsze kosztuje. I kto tu jest zarozumiałym sahibem, kupującym sobie miłość ludu? Dobrym białym Panem i bardzo, naprawdę, psującym rynek.

W połowie lat 70. jeździłam jako studentka pracować w wakacje do Amsterdamu. Dostawałam 25 guldenów za potwornie ciężką robotę w amerykańskim hotelu Victoria, naprzeciwko Central Station (dziś jest to już inny hotel), w hotelu Krasnapolski przy Dam Square (ten słynny pomnik o kształcie fiuta w sercu miasta). Wie Pan, jak trzeba było zasuwać dzień w dzień? I nikt nie był sahibem ani niewolnikiem, wilkiem ani owcą, tylko pracodawcą i pracobiorcą. Dobrowolnym. Jak teraz. Proponuję przekonstruowanie układu: wilki-owieczka, Pan-jeleń... nie, nie, sorry, Pan-Shrek. Albo oni-wilki, ja-normalna pracodawczyni.

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: dobry biały Pan
Date: 08/10/2004

I niech tak już zostanie. Nie wiem, jaki jest „Shrek”, bo tego już oglądać nie będę. Wystarczy, że męczyłem się na dwóch częściach kretyńskiego „Harry’ego Pottera”, oglądanych tylko po to, by zobaczyć pracę komputerowców. To jednak co wygenerowano w „Shreku” jest tak szpetne plastycznie, że przebija to tylko tuba do słodzonego mleka skondensowanego z Gostynia z krową w jakimś czerwonym fartuchu. Niestety – ponieważ mleko jest pyszne i daje się je obciągać wprost z tuby, tuba za tubą, więc z tą cholerną, ohydą krową muszę obcować na co dzień. Ja nie częstuję pani Kupcowej obiadem, nie mam dla niej ciuchów, bo niby skąd, czasem coś daję, z czym nie mam co zrobić, a jest jeszcze w stanie nadającym się do użytku. Płacę jej 250 zł. Tyle że 200 zapłacone jest z gó-

ry, a 50 placę każdorazowo. Gdy państwu Kupcom pogorszyło się (mieli wytwórnię luster, ale on od lat, jeszcze za życia mojej żony, wielokrotnie robił rozmaite rzeczy u mnie), bo nadciągał już obecny kryzys, on zaproponował, że żona będzie u mnie sprzątać za 150 zł. OK. Nareszcie miałem porządnie posprzątane i wszystko po wyprasowaniu poukładane w szafie (to dla mnie osobiście najtrudniejsza czynność – nie mam ani ręki, ani zdrowia do szmat). W momencie gdy moje mieszkanie poszerzyło się o kawalerkę, a początkowo były to dwa oddzielne mieszkania, zaczęły się rozmowy na temat podwyżki i stanęło na 250. Zapewne jest to drożej niż standard, ale nie będę już zmieniać układu, który się uklepał i funkcjonuje. Nie cierpię żadnych zmian. Nie znam się na rynku pracy i obowiązujących cenach, o ile w ogóle są jakieś obowiązujące ceny. Na obrazy na przykład nie ma. Moją zapewne największą wadą jest brak asertywności i nieumiejętność targowania się, bo targowanie się jawi mi się jako mało eleganckie, podobnie jak dłubanie w nosie – tak więc jestem zazwyczaj rozpoznawany jako jeleń. Albo więc zapłacę, ile żądają, albo zrezygnuję, bo nie mam forsy, ale targować się nie umiem. Koniec tłumaczenia się. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: Liliana Śnieg-Czaplewska
To: Zdzisław Beksiński
Sent: Wednesday, August 11, 2004 2:46 AM
Subject: Przepraszam

Nie, wcale nie chciałam, aby się Pan z czegokolwiek tłumaczył. Przepraszam za jelenia. W końcu jak kogoś stać, żeby był jeleniem, to znaczy, że nie jest z nim źle. Przeciwnie, jest z nim całkiem, a nawet bardzo dobrze.

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: Przepraszam
Date: 08/11/2004

Na razie uchodzę za skarbonkę lub kasę chorych. Wczoraj zaczął mnie telefonicznie molestować śmierzący staruszek, że koniecznie jeszcze 3000 zł na prezenty dla jakichś sierót (może i on jest pedofilem?). Na szczęście coś mnie tknęło i ukrywałem się przez cały dzień za sekretarką, ale on dzwonił raz po raz i wygłaszał całe tyrady, tak więc wieczorem, gdy przyszła do mnie pani Lidia (zacząłem wczoraj ponownie gimnastykę, zarzuconą jeszcze w listopadzie), prosiłem ją nawet, by jeśli zadzwoni, podjęła słuchawkę i powiedziała, że wyjechałem, a ona tylko sprząta mieszkanie. No, ale już nie zadzwonił. Znajoma panienka (dawniej studentka, od roku pracownik naukowy – to już na pewno nie menel) dzwoniła przedwczoraj, że chciałaby ode mnie dostać obraz, bo mam już 75 lat i mogę nagle umrzeć, i ona potem nie będzie miała drugiego obrazu, bo jeden już ma i dostała go przed dwoma laty jako nagrodę pocieszenia, że nie przyjąłem jej „oświadczyn”. Co się z tymi ludźmi porobiło? Czy jestem muchołapką dla nie-

udaczników, którym wydaje się, że są cwaniakami? A przecież wcale nie jestem facetem nadzianym – to jakaś fama utrwalona w jakichś środowiskach. Gdy ktoś jest w potrzebie, to staram się pomóc w miarę posiadanych możliwości, ale te możliwości są ograniczone i niedługo mi trzeba będzie pomagać. Psychicznie to mnie wykańcza, bo od zawsze miałem i mam kompleks winy. Jak widać, wszyscy są cool z wyjątkiem mnie. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: hospody pomyłuj!!!
Date: 08/11/2004

Kurczę. Nie umiem się skupić przy robocie, płakać mi się chce, bo ten popierdzielony dziadek przyssał się jak pijawka i od rana dzwoni i nagrywa całe kilometry i wygłaszane błagalnym tonem inwokacje pod moim adresem. Żałuję, że mu w niedzielę dałem ten 1000 zł. Uważa, że „biorę” ponad trzysta milionów za obraz, to te pieniądze dla biednych sierót, którym trzeba kupić kredki, to zaledwie „drobna końcóweczka” moich dochodów. Chyba to tym razem jakieś sieroty hinduskie – trudno wygrzebać coś konkretnego z jego gadania, mimo iż to inteligentny człowiek (był?) i o sztuce mówi sensownie, jeśli pominąć to, że nieustannie smaruje mnie wazeliną. Co do tych trzystu milionów, to chyba pomieścił stare pieniądze z nowymi, niemniej jednak ja nic nie „biorę”, bo od kwietnia ubiegłego roku, czyli przez półtora prawie roku, nie sprzedałem w Polsce literalnie NIC. Jeśli mi coś czasem wpada, to zza granicy, i to nie tak wiele, bym mógł utrzymywać hinduskie sieroty. Po co ja się tłumaczę – to przecież wariat, który bawi się w sponsora i dobroczyńcę moim kosztem, ale uruchamia u mnie mechanizmy równie dla mnie destrukcyjne, jak lęk przed pajakami. Ten mój pieprzony kompleks winy! Freud nie miał racji. Uświadomienie sobie czegoś, wcale nie ułatwia stłumienia. Byle świr za słuchawką uruchamia to we mnie i uniemożliwia mi pracę. Przepraszam, ale komuś musiałem o tym napisać, bo czuję się jak na tonącym statku.

Beksiński

From: Liliana Śnieg-Czaplewska
To: Zdzisław Beksiński
Sent: Thursday, August 12, 2004 9:47 AM
Subject: trik

Jak Pan wspomógł dziadka sowitym datkiem, nic dziwnego, że zobaczył w Panu jel..., pardon, bezradną muszkę w sieci pajaka. To, że faszeruje Pana komplementami, jest zwykłym zabiegiem socjotechnicznym. Ja też to robię, a kasy od Pana nie chcę. Dochodzę do wniosku, że jestem bohaterką.

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: trik
Date: 08/12/2004

Pisałem już poprzednio, że zadzwonił w niedzielę, zaczął od kondolencji w związku z Tomkiem (po 4 latach!), rozbeczał się i poprosił, bym kupił od niego obraz za 5000 zł. Powiedziałem, zgodnie z prawdą, że tyle nie mam i że obrazu nie chcę, i po targach stanęło, że przyjedzie do mnie, a ja mu podam 1000 zł przez drzwi, bo już przed laty chciał tego samego i tak zasmrodził nasze mieszkanie, że przez parę godzin nie można tego było usunąć. Jemu oczywiście sprzedałem legendę, że nago pozuje mi moja znajoma i nie mogę wpuścić go do mieszkania. Przybył taryfą i musiałem mu dać jeszcze 50 zł na taryfę do Ursusa. Mówił, że żona jest chora i nie mają forsy, a sieroty potrzebują jedzenia i tak dalej. Pani by nie dała, jeśli by Pani miała forszę? Skąd mogłem przypuszczać, że sierotom już za dwa dni potrzebna będzie następna dawka. Rozmaici ludzie proszą mnie o wsparcie i, jak mi się wydawało, zdobyłem w tym pewne doświadczenie. Np. chorowita emerytka z Rzeszowa, koleżanka mej żony. Raz potrzebowała 2000, potem 6000, a ostatnio 5000, ale te prośby oddzielał od siebie okres zazwyczaj dwuletni. Wysyłałem zawsze, bo wiem, że ma kiepsko. Śmierdzieli byli u nas dawno, jeszcze chyba przed 8–10 laty. Sądziłem, że to jego cykl i dałem mu ten szmal, myśląc, że wykupuję się na jakieś parę lat, a tu gówna. Czasem są to pomoce jednorazowe. Największa, jakiej udzieliłem, to 60 000 na kupno mieszkania dla pociota, którego ojciec (mąż mojej zmarłej kuzynki) w moim wieku nie ma już gdzie spokojnie mieszkać, więc chodziło, by ich razem z wnukami wypieprzyć z jego mieszkania, ale on miał na koncie wszystkiego 40 000 oszczędności całego życia i był bez wyjścia. Ja akurat sprzedałem 3 obrazy po 20 000, więc mogłem dodać do tej sumy tyle, że wystarczyło dla banku, który kredytował kupno. Zrobiłem to dla niego, a nie dla latorośli, którą mam w dupie. Niemniej jednak w tej chwili nie mam najlepiej i nie mogę wspomagać sierót hinduskich. Osilki musiały chyba rzeczywiście zbierać na szczytny cel, bo do mnie z reguły zwracają się per koleś kopsnij piątka na browar. To biedactwa. Stoją grupkami przez cały dzień i psim wzrokiem taksują, od kogo da się jeszcze coś wyszarpać. No nic: do roboty, do roboty...

Beksiński

From: Liliana Śnieg-Czaplewska
To: Zdzisław Beksiński
Sent: Thursday, August 12, 2004 1:57 AM
Subject: Nagroda pocieszenia

Och, czasami Pana nie lubię! Jak można dać „znajomej panience” obraz, którego ta bździągwa w życiu mieć nie powinna? Przecież to jawna pochwała cwaniactwa i naciągactwa. I znaczy, że jak się ciosa kolki na głowie, to się i wyciosa. Dlaczego jestem taka zła? Bo z tego płynie wniosek, że bezczelność w życiu

procentuje. Czy świat zwariował? Nie, zawsze taki był. Ale teraz spisał. Po prostu spisał. Złotozębna ukraińska Halina próbowała wsadzić mi dzisiaj w zastępstwie jakąś swoją koleżankę, a wykołegować Oksanę. Nie pozwoliłam.

Liliana

PS Pan nie jest muchołapką. Pan jest muchą. Muszką. Karaluszkiem dla pająka. Czymś smakowitym, tłusciutkim, nafaszerowanym szmalcem. A oni to właśnie pajęczki albo muchołapki.

From: <bex@acn.waw.pl>

To: <lilianasc@neostrada.pl>

Subject: Re: Nagroda pocieszenia

Date: 08/12/2004

Mnie czasem kogoś żal, że mu nie wyszło. Co ja na to poradzę. Jestem tego świadomy, że inni widzą słabe zabezpieczenia i przypuszczają szturm do twierdzy, ale nie zmienia to moich odczuć. W końcu śmierdziła też mi było żal i nie wiedziałem, że to ma iść na jakieś kredki dla hinduskich sierot. Myślałem, że to on potrzebuje wsparcia. Hinduskie sieroty uruchomił w drugim rzucie. Teraz nawet poinformował mnie, że pisze o mnie książkę i ma wydawcę w Nowym Jorku. Co do panienki, to jest mocno pokręcona osoba. Pomagałem jej, wykonując (co zresztą do dzisiaj robię) poszukiwanie czegoś w internecie, skanowanie, kserowanie lub drukowanie tego, co sama napisała, bo jest bez forsy. Akceptowałem to, ale z wizyty na wizytę pojawiały się coraz bardziej maślane spojrzenia, wreszcie zaczęła za mną po mieszkaniu chodzić jak pies i gdybym nagle się cofnął, to bym na nią wdepnął. O kurka wodna, co z nią zrobić? Na dodatek kompletnie nie w moim guście, i to ani fizycznie, ani psychicznie. W końcu ona wali z grubej rury, czerwieniąc się i chichocąc. Dobry Jezu, a nasz Panie... Dałem odpór na tyle „kulturalnie”, na ile było mnie stać. Jej się broda trzęsie, pobladła i pyta w końcu, czy „jestem aż taka brzydka”. Fakt, że Nicole Kidman to ona nie jest, ale mam pełną świadomość, że nie sprawdzić się nawet u ponad 73-letniego (wtedy) dziadka, to już dla niej kompletne dno i zapewne kolejna porażka. Pani nie byłoby jej żal? Cholernie było mi jej żal i nie wiedziałem, jak mam się wykupić sam przed sobą. No i tak doszło do tego obrazu. Nadal od czasu do czasu przychodzi w celach takich jak dawniej. Ostatnio drukowała u mnie część swojej pracy, co najmniej 800 stron, przy lekturze których Heidegger wygląda jak Ludlum. Poszły ze dwie ryzy papieru i co najmniej jeden pojemnik tuszu, bo wymieniałem w połowie drukowania. Poszło pół dnia mego czasu. Robię u niej zapewne za jelenia, ale w specyficzny sposób, bo ona sama jest cholernie specyficzna, załampleksiona i popierdzielona. Gdzieś w dwa miesiące po „oświadczeniach” zaoferowała mi swoją koleżankę, która jest „bardzo ładna” i zaopiekuje się mną „pod każdym względem”, a nie ma gdzie mieszkać. Był to już skok na kawalerkę, i to szyty grubymi nićmi. Powiedziałem, że nie chcę ani ładnych, ani brzydkich tylko świętego spokoju. Jest chyba kompletnie bez forsy, co widać, bo czasami jest głodna. Działa mi na nerwy, ale równocześnie jest mi jej żal, a poza tym mam też

swoje kompleksy z kompleksem winy na czele. Nic na to już nie poradzę, ale drugiego obrazu jej nie dam.

To fakt, że świat cokolwiek spisał, ale też ogromny jest obszar kompletnej nędzy. Pamiętam wieloletni okres, gdy byliśmy bez forsy. To budzi w człowieku całkowicie inną świadomość. Nie uważałem wtedy kradzieży za coś złego i wstydliwego. Wynosiłem z fabryki cynę w nogawkach od spodni i farby z malarni transparentów za pazuchą. Jeśli coś w zasięgu ręki było do ukradzenia i było mi potrzebne, to z całą pewnością związałem to gdziekolwiek to było. „Niehonorowo” było tylko kraść komuś personalnie. Pojęcie własności społecznej wtedy nie istniało dla mnie. Gdyby jednak istnieli wtedy oficjalnie, tak jak dziś, ludzie bogaci, to z całą pewnością robiłbym za Janosika, co mi zresztą zostało do dziś, a tylko zmienił się kierunek i staram się pomagać, jeśli tylko mnie na to stać. Oczywiście, świadom jestem tego, że jestem często p.o. muchy dla wygłodniałych pajaków. Niestety, ich własna nędza powoduje, że przeceniają moje możliwości. Ktoś widzi w galerii drogi obraz, ktoś drugi pyta w wywiadzie, ile obrazów maluję rocznie, ktoś trzeci mnoży jedno przez drugie, i rośnie wśród pajaków legenda o paskudnej tłustej musze, a to wszystko nie tak. No nic. Dość skarg na dziś. Cuchnący staruszek nie rezygnuje. Przed chwilą wykonał telefon, ale tylko dyszał do słuchawki. Pewnie doszedł do wniosku, że wyjechałem na urlop. Oby! Automatycznej sekretarki używam, od kiedy zaistniały na Zachodzie. Chyba od 1981 roku, niemniej jednak czasami zaczyna być wokół spokojnie i wtedy podejmuję słuchawkę od razu. Od kilku dni zablokowałem się jednak ponownie na amen. Ponieważ automatyczna sekretarka podaje numer komórki, wyłączyłem komórkę. Czuję się osaczony. Pięknie pozdrawiam

Beksiński

From: <hex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: spać!
Date: 08/13/2004

Przedpołudniem XYZ wykonał kolejny telefon. Tym razem podpowiadała mu jakaś kobieta w tle „zapytaj – jak nie może, to niech zadzwoni”, po czym on podał numer telefonu i powiedział chyba dwukrotnie, bym – jeśli nie mogę – „po męsku” zadzwonił, po czym znowu rozpoczął po raz któryś stałą śpiewkę błagalnym i histerycznym tonem w stylu, że co to dla mnie przy moim zarobkach, a pieniądze są na gwałt potrzebne, a on całość odda (jakaś nowość!), bo wydaje książkę o sztuce i o mnie w Nowym Jorku („stracą bilet”, podpowiadała mu kobieta – kto? jaki bilet? Nawet do tej pory nie wiem, o co idzie, z wyjątkiem „daj forszę”), a nie ma się do kogo zwrócić, bo wszyscy na urloпах (lub ukrywają się tak jak ja). Niech więc pomyśli, że ja też wyjechałem na urlop. „Po męsku” to ja mu powiedziałem na samym początku, że więcej nie mogę, ale do niego – jak już do wodnie widać – nic nie trafi, więc nie będę się ujawniać, bo zadcpcze mnie, zalewając tym słowotokiem lub, co gorsza, przyjdzie i zagazuje swym smrodem,

jak Hussein Kurdów. Wydawałoby się, że zaledwie stoi jeszcze kawałkiem stopy na tym świecie, a energii do molestowania ma tyle, że hej.

* Nawiasem: Socjotechniczne manipulacje, o których Pani poprzednio wspomniała, wcale mnie nie rozmiękczają, a wręcz przeciwnie. Jeśli ktoś je wobec mnie stosuje, to popełnia błąd w sztuce. Nie cierpię komplementów, jakiegokolwiek by one były, i to zarówno w sensie czynnym, jak biernym. W sensie czynnym, nigdy ich nie używam, nawet jeśli by mi na czyjejs przychylności zależało (raz jeden w życiu, jeszcze w Sanoku, bileterce w kinie, co natychmiast zadziało, ale czułem się tak, jakbym kopał leżącego). Gdy ktoś ich używa wobec mnie, udaję, że nie słyszałem. Na razie! Pięknie pozdrawiam w piątek trzynastego.

Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: DZIENNIK??!
Date: 08/14/2004

Mój dziennik jest równie lakoniczny jak dziennik dr. Goebbelsa i notatki nie wykraczają poza jego stylistykę: „Wieczorem na kolacji u Führera. Trzy piękne kobiety, Baarova, Riefenstahl i Braun. Führer w dobrym humorze. Wyszedłem około 21” (to wprawdzie moja improwizacja, ale tak on właśnie wygląda). Nie wiem, po co go prowadzę, ale nie jest to dziennik Szczypiorskiego ani innego Nauczyciela Narodu. Interesuję się bardziej swędzącą wysypką na mojej łydce niż wyborami lub destrukcją WTC (pewnie nawet o tym nie napisałem w dzienniku). Codzienny komunikat meteorologiczny zaraz po pościeleniu marchewkowego tapczanu, a przed przystąpieniem do śniadania.

Dziś: sobota, 14 sierpnia 2004. Rano pochmurno. Temperatura około 17 stopni. Chyba Śmierdziel odpieprzył się definitywnie, bo wczoraj był spokój i nikt nie dzwonił. Wieczorem przyszła P. na drugą gimnastykę. Cholernie jakoś się męczyłem i pocilem. Nie wiem, czy to był wpływ pogody, czy jakiegoś osłabienia. Po gimnastyce musiałem wleźć pod prysznic i zmienić koszulę, bo byłem cały mokry.

Nikt tego nigdy drukować nie będzie, bo nie ma tam ani rozważań, ani niedyskrekcji, właściwie nie ma nic poza narzuceniem sobie tego obowiązku, by codziennie poklepać w klawisze i mozolnie usunąć aliteracje. Podobnie bez sensu, po codziennym porannym i wieczornym pomiarze ciśnienia (nakaz Anina), zapisuję wyniki w palmtopie na biurku i jest tego już 106 plików wypełnionych samymi cyframi. Po cholere to robię? Dla kogo? To chyba moja łatwość wpadania w stereotyp zachowań. Zapewne jest to brzytwa (ale niestety nie Ockhama), której chwytła się tonący, mniemając, iż to koło ratunkowe. Pozór fundamentu w tym permanentnie tonącym świecie. Pięknie pozdrawiam

Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: lakoniczność
Date: 08/15/2004

A wie Pani, jaką opinię w tzw. środowisku mam ja? Czasem do mnie docierają wieści na mój temat, niekoniecznie za pośrednictwem takich oszołomów jak śmierzący dziadek („to drobna końcówka pańskich dochodów”), do czego przyczyniają się, bez mojej wiedzy, pragnący sobie dorobić organizatorzy niektórych wystaw, robiący koszulki z moim podpisem lub (jak mi doniósł ostatnio Dmochowski) moimi reprodukcjami, a nawet filiżanki do kawy z moim podpisem. „On za wszystko chce forszę”. Ale to nie ja i bez mojej wiedzy, a nawet (gdy się dowiem) przy moim zdecydowanym sprzeciwie. Oczywiście, zawsze podpisuję plakaty, książki i wszystko inne za darmo, zdając sobie sprawę z tego, że potem będą to sprzedawać, ale traktując to jako autograf, w końcu czasami mi ktoś przysyła kartoniki do podpisu (wczoraj 16-letnia panienka z Paryża pod tytułem Xu Xia). Czy za autografy może też biorę forszę? Oczywiście, nie sprzedaję obrazów tanio (jak na polskie stosunki!!!) i nie narzekam na to, że nie mam za co żyć – niemniej jednak wcale nie mam aż do tego stopnia różowo, jak wyobrażają to sobie niektórzy. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: dzień jak co dzień
Date: 08/17/2004

Z Dmochowskim nie dyskutuję o takich sprawach, bo łatwo się obraża, a ja jestem – jak już pisałem – Byczek Fernando. Lubię żyć w zgodzie, co nie wynika z nadmiaru emocjonalizmu w stosunku do kogokolwiek, bo podobno jestem emocjonalnie skrajnie chłodny, lecz z potrzeby poczucia stabilizacji. Oczywiście, nie chodziło mi o to, bym miał coś przeciw publikowaniu w przyszłości naszej korespondencji, chociaż, jak sądzę, nie była nadmiernie ciekawa, bo wciąż spieraaliśmy się o forszę i dotrzymanie warunków umowy. Kanał XXL już odstawiłem, a inne są chyba obecnie nie do oglądania, bo jak uczy doświadczenie: zawsze jak jest olimpiada lub mistrzostwa piłki nożnej, to niczego w tym okresie w TV nie ma i na ten czas wyłączam w ogóle telewizor i zapominam o jego istnieniu. Tych, którym cokolwiek podpisuję w związku z wystawami, znam osobiście i wiem, że chcą sobie dorobić. Szeregu osób nie znam, a czasami przywożą mi sporo wydruków do podpisu. Nawet z USA i z Niemiec. Popełniłem błąd w roku bodajże 1998 lub 1999, wypuszczając bezpłatnie i poza jakąkolwiek kontrolą, moje fotomontaże komputerowe. Poinformowałem, że każdemu chętnie nagram kilka, a nawet kilkanaście wybranych fotomontaży na CD i jeśli je gdzieś sobie wydrukuje, to potem mu je chętnie podpiszę, bo chcę, by to trafiło pod strzechy. Trudno się teraz z tego wycofać, a nie wiedziałem, że z tego wytworzy się wtórny ry-

nek. Podpisałem więc niejednokrotnie nawet żenująco słabe technicznie odbitki, które robił sobie ktoś w domu, bo nie sądziłem, że z tego zrobi się aż taki rynek. Trudno. Mea culpa. Nie robię już od prawie 3 czy 4 lat fotomontaży komputerowych, ale to ciągnie się za mną nadal jak smród za wojskiem i nie wypada mi odmówić panu X, skoro podpisałem panu Y. Tak więc nadal jeśli mnie ktoś poprosi, to proszę, by sobie coś wybrał z katalogu w komputerze i potem mu to nagrywam na płytę, a potem podpisuję, gdy przyniesie wydruki. Jestem ofiarą własnego braku przewidywania. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: Liliana Śnieg-Czaplewska
To: Zdzisław Beksiński
Sent: Thursday, August 19, 2004 12:35 AM
Subject: upały

Dzisiaj dzień sprzątanego. Moja Ukrainka Oksana szalała, ja robiłam z Januszem Głowackim wywiad. Przed nosem położyłam 240-stronicową powieść autobiograficzną, która ukaże się za miesiąc, aby sięgać „w razie co” po cytaty. To wspa-
niała proza, smakowity kawałek wspomnień z PRL, faceta ciekawego świata, za-
fascynowanego kobietami, a w szerszym aspekcie Rosją i Ameryką. Gadaliśmy
i... zaczęło się! Najpierw Duduś pogryzł bardzo drogi but Janusza. Ten nawet się
wcześniej grzecznie spytał, czy może po amerykańsku oprzeć nogi na stole, na
co się zgodziłam, bo czemu nie, a potem Duduś sprytnie przerzucił się z kości
na buty Janusza. Chwilę wcześniej, na własne nieszczęście, odkryłam dwa błę-
dy w tekście (prawdę mówiąc nawet więcej). Janusz wpadł w panikę, bo akurat
był dzień zsyłania tekstu do drukarni. W chwilę potem odkrył skatowany but pod
stołem, stracił humor, bo to były ukochane buty, a w Polsce nie ma innych. Nie
mam siły relacjonować krok po kroku, tragiczno-satyryczno-komicznego przebie-
gu akcji. Skończyło się na jeżdżeniu między chałupą Janusza przy Bednarskiej,
a moim domem, w którym zostawiłam sprzątającą Oksanę. But Janusza jutro bę-
dzie zreperowany. Ale dzień. Całuję obuwniczo
Liliana

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Re: upały
Date: 08/19/2004

Co do butów, to moim dwukilogramowym traktorom firmy ECCO nie dałby rady
nawet Duduś. Mam tylko jedno buty na lato, zimę, wizyty, podróże i do trumny.
Każda para wystarcza mi na kilka lat, po czym kupuję identyczne. Po śmierci żo-
ny przestałem je czyścić, gdyż odkryłem, że nadmiar brudu zawsze sam z cza-
sem odpadnie – co się nadal sprawdza. Czy Pani wie, że śp. profesor Bilikiewicz,
ojciec współczesnej psychiatrii polskiej, był w swej młodości freudystą i buty
w marzeniach sennych kojarzył z podróżą, a podróż ze śmiercią? Czy zaopatry-

wanie się we więcej niż jedną parę obuwia nie stanowi jakiegoś działania symbolicznego? Dlaczego pan Janusz zastosował styl nie tyle amerykański, ile nadwiślańsko-amerykański i zdjął buty przed położeniem nóg na stole? Fatalny błąd. Gdyby – jak każdy filmowy szeryf – położył na stole nogi w butach – zauważyłby, że ten upiorny Duduś zaczyna przy nich majstrować. Pięknie pozdrawiam Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@poczta.onet.pl>
Subject: Duduś Dusiciel
Date: 08/19/2004

Spieszę donieść, że na skutek użycia w poprzednim mailu słowa „Duduś” oraz odniesień do psychoanalizy, uzyskałem coś w rodzaju objawienia, bo otworzyła mi się jedna z zamkniętych komórek mej psychiki i natrafiłem na jakiś fragment śladu, prowadzącego do moich odchylonych upodobań seksualnych. Owóż we wczesnym dzieciństwie zetknąłem się z pijackim wierszykiem, wygłaszanym przez starszych ode mnie osobników, obdarzonych poczuciem humoru na poziomie mego szwagra. Wierszyk ten był kompletnie do dziś zapomniany (czyżby to było podręcznikowe „zepchnięcie”), a brzmiał on tak: „Duduś, moja Duduś, tylko mnie nie uduś, bo jak mnie udusisz, to pochować musisz”. Przyzna Pani, że pasuje, i czort wie, czy nie był dla mojej wyobraźni seksualnej jednym z pierwszych drogowskazów. Tak więc cholerny piesek nie tylko gryzie buty, ale odkorkował strefę „zepchnięć” mojej podświadomości.

Beksiński

From: Liliana Śnieg-Czaplewska
To: Zdzisław Beksiński
Sent: Thursday, August 19, 2004 11:36 PM
Subject: a właśnie że Duduś da radę!

Założymy się, panie Zdzisławie, że Duduś da radę Pana dwukilogramowym traktorom Ecco, że po półgodzinnej obróbce, by ich pan nie poznał? O skrzynkę mojego ulubionego wina Kagor. Przed południem zawiozłam Głowie zreperowany but. Wyrecytowałam Głowie Pana wierszyk o Dudusiu. „To ten świetny malarz?”, spytał. Widzi Pan, że nie wszyscy klepią obiegowe głupowate opinie upowszechniane o Panu przez Nieomyślne Gremium? Janusz kuma malarstwo. W końcu kobietą jego życia w swoim czasie była Bożena Wahl, która go porzuciła pod błahym pretekstem, że ją „ustawicznie zdradzał” – jak mi wyznał w wywiadzie. „Jak można z tak błahego powodu? Skandal”. Napisał wtedy opowiadanie, z którego Wajda – świeżo porzucony przez Beatę Tyszkiewicz „w nagłych i dramatycznych okolicznościach” – zrobił film z Braunek i Malanowiczem pt. „Polowanie na muchy” o modliszce.

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: but. Głowy
Date: 08/21/2004

Nie poznałem nigdy osobiście Bożeny Wahl, siostry Alicji. Widziałem ją tylko na jakimś filmie dokumentarnym, jako baczę prowadzącego redyk psów. Jako malarzkę oceniałem ją wyżej od Alicji. Obie zostały skrzywdzone przez krytykę, bo były grubo lepsze od szeregu uznanych nazwisk, o których się rozpisywano, ale percypowano je obie od zawsze jedynie w kategoriach towarzysko-plotkarskich. De facto nigdy krytyka nie potraktowała ich na tyle poważnie, na ile obie zasługiwały. Wczoraj dostałem mail od młodego kolegi z Bochni, z którego dowiedziałem się, że i Violetta Villas wpadła w ten sam syndrom. Zastanawiam się, czy śmierzący dziadek także opiekuje się jakimś stadem. Psy czy sieroty... z takiego punktu widzenia na jedno wychodzi. Czy nie wpadło Pani do głowy, że to miłośnicy zwierząt stworzyli całe to szambo? Psy polskie i egzotyczne mają gdzieś swoje naturalne środowiska, podobnie jak wilki, lisy czy łasice. Na mnie hodowanie zwierzęcia domowego czy też jazda na koniu, sprawia wrażenie czegoś głęboko chorego już w samym swoim założeniu. Oczywiście rozumiem, że Pani wzięła do siebie psa, którego czekałby gorszy los, ale generalnie ten cały problem będzie musiał być kiedyś rozwiązany i zostaną jedynie dzikie psy lub konie w swym naturalnym środowisku. Przecież pies lub koń nie jest „najlepszym towarzyszem i przyjacielem człowieka”, lecz ogłupionym niewolnikiem, pozbawionym naturalnej swemu gatunkowi wolności. No nie – Beksiński: pieprzysz już jak zielony lub obrońca zwierząt. Wracając do naszych baranów, to widziałem raz Głowackiego na jakiejś taśmie nakręconej na którymś z moich wernisaży w Gallerii Wahl, a może na jakiejś migawce w telewizji z tejże wystawy? Tu przynajmniej wiem, o kogo chodzi, bo stale operuje Pani nazwiskami, które mi kompletnie nic nie mówią. Żyję i funkcjonuję poza środowiskiem. Ergo: należę do psów, które nie przepadają za swym naturalnym środowiskiem (Ergo: zaprzeczam sam sobie). Zawsze gdy wybierany bywam do jakichś prezydiów, jakichś obchodów, lub wyzwany, by wbić gwóźdź do sztandaru i zobaczyć się z innymi sklerotykami z mojej generacji, wykręcam się, łżąc jak najęty, że mam niedowład, jestem ciężko chory i nie wstaję już z łóżka. To co było: BYŁO!!! To se ne wrati. Wszelkie rocznice i wspomnianie budzą nie mój sentyment, lecz odragę niczym galwanizowanie zwłok. Przepraszam. Mam kiepski humor, ale kolejna kuzynka ma guz nowotworowy na jajniku lub wątrobie, cudną pogodę minionych dwóch dni wszyscy diabli wzięli, poza tym żal mi Bożeny Wahl i Violetty Villas i jest to pewnie to samo uczucie, jakim obdarzają one swoje psie stada. Może i mnie czeka założenie klatek, w których hodowałbym niepozbianych ludzi? Nosiłbym im codziennie żarcie we wiadrach i zaśmierział się jak ten dziadek. Miewam takie sny: wokoło próchno, pajęczyny, robactwo, brud, cała podłoga zasrana i zasikana, tu i tam jakieś rozkładające się flaki, a ja jestem boso. Podręcznikowe sny i podręcznikowa oneiroanaliza. Będzie pani miała używanie w kontekście umiar-

kowanej sterylności mego otoczenia. Każdy z nas czegoś się NAJBARDZIEJ lęka. Ja lękam się świata organicznego, bo jest on w permanentnym rozkładzie. Jakże atrakcyjną jawi się nadchodząca epoka świata wirtualnego. Każdy świat jest złudzeniem, ale w wirtualnym będziemy mieli guzik, którym w każdej sekundzie go wyłączymy. W naszym świecie wyłączenie następuje tylko raz, a guzik jest pod kontrolą szefa i naciśnie go nie wtedy, gdy my będziemy chcieli, lecz kiedy on tego zechce. Tym rozweselającym akcentem kończę kazanie i pięknie pozdrawiam. Zaczyna mnie na dodatek boleć głowa...

Beksiński

PS: Pokój z marchewkowym tapczanem nie służy do przyjmowania gości, lecz do spania. Gości przyjmuję tam gdzie dawniej.

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: marchewkowy test
Date: 08/22/2004

Nie odróżnić truskawek od marchwi? To chyba nawet nie skleroza, a alzheimer. Nie dywan, lecz tapczan. Nie Marchewkowy lecz Truskawkowy. Obie te nazwy zawdzięczam właśnie Pani. Niedawno wykpiła Pani najpiękniejszy mebel, jaki udało mi się zakupić do kawalerki, poddając myśl, że można go zastąpić narzutą i określając go jako „marchewkowy”. O wiele starsza uwaga – sprzed dwóch chyba lat – dotyczyła tapczanu z pokoju, w którym nagrywaliśmy wywiad dla VI-VY!, gdy Pani powiedziała „widziałam pana w szarościach, a ten truskawkowy tapczan nie pasuje mi do tej wizji” lub jakoś podobnie, ale słowo „truskawkowy” na pewno padło. Teraz Pani pokielbał się jeden tapczan z drugim. Mam jeszcze stary jak świat tapczan „szpinakowy”, na którym czasami śpią goście, których muszę przenocować, ale tego już nie sfotografowałem, natomiast oba: marchewkowy i truskawkowy zostały aktualnie sfotografowane, by ożywić wspomnienia. Pięknie pozdrawiam

Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: do d...
Date: 08/25/2004

Panowie w wieku poprodukcyjnym nie są pod tym względem w bardziej uprzywilejowanej sytuacji. I jak tu nie zaakceptować nauki Kościoła, że jesteśmy jedynie uduchowionym materiałem reprodukcyjnym, stymulowanym do działania kijem śmierci i marchewką seksu. Wszystkiemu winne jest to, że wychowaliśmy się w katolicyzmie, w którym nie było zakazu przedstawiania wizerunków niewyobrażalnego. Stąd mamy wbite w twarde dyski wyobrażenia Boga, i to nawet ci inteligentni, a nawet ci, którzy nie wierzą. Bóg jawi się nam zawsze jako podstarzały bitnik, który wyszedł spod prysznicy, więc występuje w ręczniku kąpielowym.

A jeśli abstrakcja zwana przez mistyków Bogiem lub Przyczyną to właśnie my wszyscy od zarania dziejów aż po ich kres, i to nie my się reprodukujemy, a tylko Bóg za naszym pośrednictwem? I tak dalej.

Beksiński

From: Liliana Śnieg-Czaplewska
To: Zdzisław Beksiński
Sent: Thursday, August 26, 2004 12:24 AM
Subject: wolność poszpitalna

A wie Pan, mnie się zdaje, że Miłoszowi się zdawało?

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: wolność poszpitalna
Date: 08/26/2004

Wszyscy oczekujemy na pochwały. Na to nie ma rady. To kwestia wychowania, a jak już zauważył Pawłow, odruchy warunkowe będą takie same u Dudusia jak i u Pani. Całe nasze wychowanie, poczynając od niemowlęstwa, wytwarza w nas stereotypy dynamiczne głównie w kontekście pochwały i nagany. Oczywiście, budujemy sobie potem mechanizmy obronne, więc niektóre nagany eliminujemy, tłumacząc sobie, że świat składa się głównie z idiotów, a idiotów stać jedynie na głupstwo, ergo: ci, co nas krytykują, to durnie, ale Raj jawi nam się jako wielka sala, w której wszyscy klaszczą i wpadają w zachwyt, jacy to jesteśmy wspaniali. Tu na ziemi chroni nas samokrytycyzm i zdolność do refleksji. Niemniej jednak, gdy jestem umiejętnie pochwalony, to jakby rosnę w siły. Każda panienka z agencji, o ile nie jest kompletną idiotką, zna tę podstawową prawdę, że klientowi należy wcisnąć kit, iż takiego supersamca jeszcze w swym życiu nie spotkała, a wtedy pojawi się po raz drugi i kolejny. Oczywiście, na pewnym obszarze działa to jako dodatnie sprzężenie zwrotne i klient rzeczywiście staje się wtedy o oczko lepszy. Doskonale ten mechanizm działa w relacji: lider i masy. Np. Hitler i rozentuzjasmowany tłum. Tłum mu swym zachowaniem odpowiadał: jesteś wspaniały, i on faktycznie stawał się coraz lepszy. Obawiam się, że wszyscy łatwo możemy ulec iluzji i wpaść w autouwielbienie. Może potrzebne jest trzecie oko, które obserwuje nas jakby z dystansu i donosi zgryźliwym tonem, że obiektywna prawda, o ile w ogóle istnieje obiektywna prawda, wygląda nieco inaczej. Pięknie pozdrawiam

Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Abbelen
Date: 08/30/2004

Jestem człowiekiem, który nie lubi zmian. McRoyala z McDonalda jadam już przez co najmniej 10 lat i nadal jest to najwspanialszy posiłek na świecie. Colę

i pepsi piję już od 30 lat lub dłużej i nie znam nic lepszego. Z jedną żoną przeżyłem w szczęściu 50 lat. Krówki i słodzone mleko skondensowane będą mi smakować do końca życia, bo jadam je już od co najmniej 60 lat. Lubię jechać po szynach i mieć pewność, że jutro będzie takie samo jak dziś i wczoraj. Dlaczego więc przestały mi smakować te cholerne Abbelen? W każdym opakowaniu jest 5 małych kotletów. Jem jeden lub dwa na jedno posiedzenie, więc się nie przejadłem. W tej chwili czuję, że się po obiedzie porzygam, jeśli nie obciągnę sobie co najmniej jednej tuby słodzonego mleka skondensowanego.

Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>

To: <lilianasc@neostrada.pl>

Subject: Re: Pełnia

Date: 08/31/2004

Nie. Z kotletami Abbelen koniec. Zje je pies pani Lidii. Jak mam czegoś dość, to mam dość, i żadne nastroje ani pełnie księżyca tego nie załatwią. Niewiele znam poezji Miłosza, ale jakoś do mnie nie przemawiała, gdy na nią gdzieś natrafiłem. Potrafi mnie czasem głęboko poruszyć jedno krótkie zdanie jak np. sformułowanie „choćbym szedł ciemną doliną, zła się nie ulękę” z psalmu chyba 23., czy jakiś stary wiersz o śmierci napisany przez kogoś pod tytułem Anna Kamieńska, który przeczytałem w jakimś tygodniku przed wielu, wielu laty z jakimś genialnym skrótem łączącym dzieciństwo ze śmiercią, czy nawet jakieś fragmenty angielskie i niemieckie, mimo iż nie znam języków, ale znam te fragmenty. Myślę, że umiem tylko w ten sposób to odebrać. Czytanie całego tomu to jak wypicie 40 butelek słodkiego wermutu. Po tym niezrozumiałym porównaniu musi nastąpić wyjaśniająca je anegdota: Gdy pracowałem jako designer w fabryce, ludzie, którzy pracowali tam we wspólnej sali biura projektowego, od czasu do czasu robili wspólne imprezy alkoholowo-gastronomiczne. Ja się wykręcałem i mniemano, iż to dlatego, że jako pracujący na pół etatu nie mam dostatecznej ilości kasy na składkę imprezową. Zafundowano mi więc w końcu taką imprezę w jakiejś wynajętej salce jednej z sanockich restauracji. Było chyba ze 20 półlitrówek czystej, na jakieś 12 osób. Bractwo siedziało wokół stołu, jakieś takie speszone i nieruchawe, ale pierwsze kieliszki spowodowały rozluźnienie, które przeszło potem w zbiorowe śpiewy. Dwie czy trzy dziewczyny odpadły po pół godzinie i ulotniły się po angielsku. Panowie przeszli z piosenek bieżących na repertuar partyzantki (wszyscy byli o ca 10 lat młodszy ode mnie i wojny nie pamiętali), przy czym trzeba było non stop pić. Do zakąszania była tylko kiełbasa typu mortadela i bałem się już, że się porzygam. Coraz bardziej pijany domagałem się nieustannie prosiącym głosem o kiszony ogórek do zakąszania zamiast tej cholernej mortadeli, ale ich w tej restauracji nie mieli. Dwóch czy trzech osunęło się pod stół. Ja wytrzymałem do ostatniej kropli, ale byłem zalany w trupa. Potem po pijanemu poszedłem jeszcze w towarzystwie na strzelnicę i we własnym mniemaniu, wygrałem swą celnością półmetrowego siedzącego kota z gipsu, pomalowanego na

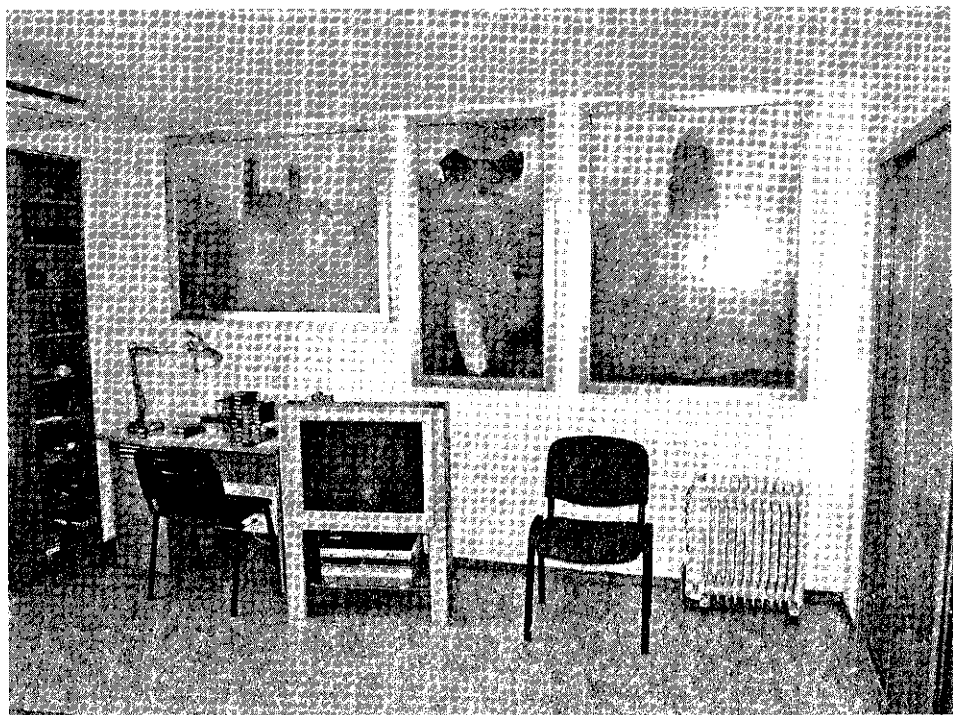
złoto i z czerwonym oczami. Widziałem już oczyma zalanej w trupa wyobraźni, jak stawiam tego paskuda w swojej pracowni, a miałem wtedy pracownię bardziej „artystyczną” niż dziś. Niestety, kierownik strzelnicy był innego zdania i doszło nawet do awantury. No nic. To była dygresja w dygresji. Na drugi dzień wszyscy w pracy byli bladzi z podkrążonymi oczami, a niektórzy biegali co chwila do kibla i rzygali. Rozpocząłem więc „pracę u podstaw” i zacząłem wykład na temat: czy takich spotkań nie można byłoby organizować bardziej „kulturalnie”, nie przy czystej, lecz przy winie, a może i nasze panie by wtedy od nas nie uciekały i w ogóle. Zaproszono mnie więc po jakimś czasie na kolejną imprezę, która miała stanowić spełnienie moich postulatów. Wchodzę do wynajętej restauracji, a tam na stole stoi 40 butelek słodkiego wermutu Istra. Mistrz ceremonii udaje się na zaplecze i z tryumfalną miną przynosi półmisek pełen kiszonych ogórków i zwraca się do mnie słowami: „mistrzu, są tym razem ogórki”. No i „kulturalnie” wykosiliśmy te 40 butelek słodkiej Istry pod kiszone ogórki. Od tej pory już starałem się nikomu niczego nie doradzać. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: jesień

Moje najwcześniejsze skojarzenia dotyczące orgazmu i pochodzące z okresu, gdy miałem około 10 lat lub mniej, wiązały się zawsze z tego typu snami. Coś nie wychodzi, czego się tylko dotknę, to się rozlatuje, nie mogę zdążyć do kina i do szkoły, wkładam nie ten but i nie na tę nogę, Boże, co za cholerny niefart, narasta zniecierpliwienie i złość na siebie oraz otaczający świat połączona z rozpaczą, i nagle kończyło się to dziwnym uczuciem w kroku, którego istoty jeszcze nie rozumiałem, po czym się budziłem, nadal nie rozumiejąc, skąd się to wzięło i co to znaczy. À propos: Po dłuższej przerwie nagrałem dziś w nocy kasetę z kanału XXL. Pierwsza część to stosunki analne, a druga część to geje i też stosunki analne. Mam dość! A czego się, idioto, spodziewałeś? Też mogę sobie zarzucić, że jestem nedorobionym kretyńcem, który musi mieć poczucie, że posiada wszystko wyłącznie po to, by to mieć, bo używanie go nie bawi. Aparaty fotograficzne też kupuję nie wiem po co, bo już nie fotografuję. Uspokajający stan posiadania. Ostanía deska ratunku. Brzytwa, której chwytą się tonący. Materia, która ma mnie ocalić przed niebytem. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: sms
Date: 09/06/2004

U mnie nic się nie działo. Co może się u mnie dziać? Skończyłem kolejny obraz, który zawisnąć ma w mojej dawnej sypialni, czyli (obecnie) „pokoju audiencyj-



W kawalerce nie wisi już „biskupica”, bo nie cierpiałem tego obrazu, a mam na niego w kolejce trzech kupców, zaś w te same ramy wstawiłem inny, o wiele lepszy (moim zdaniem) obraz. Wysłałem zdjęcie nowego obrazu oraz zdjęcie zmian w kawalerce, a teraz gonię do fryzjera

nym”. Pojutrze przyjadą ze Sanoka po ca 10 obrazów z ostatnich trzech lat, które im przekazuję, a w związku z tym w ubiegłym tygodniu przestawialiśmy z pomocą pana Krzysztofa obrazy z ram do ram. W kawalerce nie wisi już „biskupica”, bo nie cierpiałem tego obrazu, a mam na niego w kolejce trzech kupców, zaś w te same ramy wstawiłem inny, o wiele lepszy (moim zdaniem) obraz – no i nic innego się nie działo. Wysłałem zdjęcie nowego obrazu oraz zdjęcie zmian w kawalerce, a teraz gonię do fryzjera. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: zasłona opadła?
Date: 09/08/2004

Na załączonym zdjęciu obciążam tubę słodzonego mleka skondensowanego. Krowa wyobrażona na tej tubce jest chyba najpaskudniejszą grafiką, jaką w moim życiu widziałem, ale mleko wyborne. Doktor Kwaśniewski nie pochwaliby mego wczorajszego menu: Na śniadanie chrupkie pieczywo, sok grejfrutowy i cola. Na obiad pierogi ruskie Malma z ketchupem Heinz, żurawiną oraz colą. Zarów-



Na załączonym zdjęciu obciagam tubę słodzonego mleka skondensowanego. Krowa wyobrażona na tej tubce jest chyba najpaskudniejszą grafiką, jaką w moim życiu widziałem, ale mleko wyborne

no po śniadaniu, jak i po obiedzie, jak codziennie, ukochany jogurt wiśniowy Jogobella maxi w opakowaniach po 500 g. Na kolację zjadłem lody z Zielonej Budki i Manhattan oraz Grycan, mieszając je i wzmacniając mlekiem skondensowanym z tuby, bo na moje wyczucie wszystkie są za mało słodkie. W międzyczasie – jak codziennie – piłem kilkakrotnie colę z sokiem grejpfrutowym. Do thrillera z kasety (Banderas z wiecznie niedomytymi włosami i ustami w ryjek – stary produkt braci Wachowskich) zżarłem dwie torebki ukochanych karmelków Werther's Original. O czym donoszę pełen wyrzutów sumienia. Pięknie pozdrawiam Beksiński

From: Liliana Śnieg-Czaplewska
To: Zdzisław Beksiński
Sent: Thursday, September 09, 2004 3:01 AM
Subject: Frywolny Zdzichu

Oksana, która u mnie sprzątała, zostawiona na pół godziny sama w domu, zdążyła przejrzeć mi szuflady i w jednej z nich, znalazłszy zamelinowane 1000 euro na najbliższe wakacje w Indiach, oczywiście ulitowała się nad nimi i przygarnęła

je, ale... ani słowa więcej na ten temat. Moja zła passa trwa. Pytanie tylko, kiedy się skończy. Wiem zresztą, co Pan o tym ostatnim przypadku powie, bo już kiedyś podobny temat poruszaliśmy (biedne Ukrainki, biedna Ukraina, one tam zarabiają grosze, a ja tu, bogaczka, której same gołąbki wpadają do...). No, dobrze, przyswajam, ma Pan rację, a jakże, temat zamknięty.

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: Frywolny Zdzichu
Date: 09/09/2004

Co do Oksany, to mam podobne podejrzenia jeśli idzie o latorośle pp. Kupców, które pomagają teraz matce na zmianę w sprzątaniu mieszkania – no, ale trudno to udowodniać i byłoby przykro, więc po prostu chowam rzeczy takie jak forsa. W końcu łatwo jest pociągnąć banknot z kupki lub baterijki do discmana, bo mam zawsze spory ich zapas (oczywiście nie do discmana), ale niemożliwe jest zakoszenie aparatu cyfrowego, zaś inne rzeczy w moim mieszkaniu są po prostu dla szczeniaków nieinteresujące. Może w ogóle warto byłoby nabyć coś takiego jak kasa na hasło, co do tej pory raczej mnie rozbawiało, bo na myśli miałem tylko napad i to, że ktoś przypieka mnie żelazkiem do prasowania, więc w takiej sytuacji i tak podam hasło do kasy. Jednak w zaistniałej sytuacji metalowa kasa na hasło byłaby rozwiązaniem. Może warto to rozważyć?

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: koincydencje akauzalne
Date: 09/10/2004

Uwzględniając to, ile Pani płaciła Oksanie, to 1000 euro przekracza jej roczne zarobki. O ile dobrze rozumiem, to ona się już nie pojawiła więcej? Jeśli się jednak pojawiła, to ma chyba cholernie zimną krew. A czy jest Pani pewna, że to Oksana, a nie ten naszprycowany Duduś, który w ramach wejścia do Europy przerzucił się z butów na waluty? A może Duduś jest przebrany za psa agentem Fiskalnym, a te 1000 euro były nieopodatkowane? Nawet jeśli ten agent jest bardzo mały, to takie przebranie musi go jednak męczyć. Trochę więc współczucia dla drugiego człowieka. I tu przechodzimy do kolejnej kwestii: Uważa Pani, że płacę za to, że nie chcę być skurwysynem? Jeśli mogę, to staram się każdemu pomóc na tyle, na ile mogę, i rzeczywiście zaczynam już wątpić w to, czy uda mi się zostać świętym Franciszkiem, bo ptaki nie siadają mi na ramionach, a ludzie zaczynają obwiniać mnie o wszystko. Czy opowiadałem Pani, jak w Sanoku skończyło się dla mnie kilka prób dobroczynności? Pewnie tak, ale jedną historyjkę powtórzę. Na rogu naszego ogrodu rosła duża grusza, a na niej i pod nią w trawie setki soczystych ulegalek. Za ogrodem była szkoła. Jakieś dziecko stanęło za płotem i poprosiło o gruszkę. Podniosłem z trawy i pomny lekcji z „Dziadów” Mickiewicza, podałem mu ją przez płot, aliści jak spod ziemi pojawiło się kolejne dziecko z tą

samą prośbą. Za nim kolejne i jeszcze kolejne, bo akurat skończyły się lekcje i szkoła wypłuta ze siebie wrzeszczącą bandę gówniarzerii. Chodziłem jak waha-dło od drzewa do płotu i podawałem gruszki. Skończyły się te w trawie, więc zry-wałem te, które były w zasięgu ręki, ale po pewnym czasie nie było już nic w za-sięgu, a drzewo było za wielkie i za grube, by nim trząść. Drabiny nie miałem. Po-wiedziałem więc z uśmiechem, że koniec z gruszkami, i wtedy skończyły się proś-by, a dowiedziałem się, że jestem psim i chyba rybim chujem, a nawet poleciały w moją stronę ogryzki. Jediną wiedzę, jaką wyniosłem z tej lekcji, wiązałem ra-czej z roszczeniami politycznymi na linii Lud Boży i Władza, natomiast nie umia-łem zmienić swego postępowania. No nic. Może należałoby kupić jakiegoś wiel-kiego Dudusia i szczuć nim biednych? No, to wracamy do „Dziadów”.

Na pytanie „co ona w ogóle w pana życiu robi” nie umiem odpowiedzieć, bo nie ro-bi nic (choćby chyba początkowo miała taki zamiar), ale nie jestem, jak na razie, kaseta otwieraną na hasło i wmurowaną w ścianę. Staram się być otwarty dla in-nych. Dama od „Frywolek”, nie jest panienką, lecz czcigodną matroną i Matką Pol-ką, podpadającą pod naukową definicję, że w starym piecu diabeł pali. To jednak fakt, że za wiele osób zabiera mi za wiele czasu, bo każdą chcę obsłużyć w jakimś zakresie i nie dać się spalażować przy tej okazji, a ponieważ nie jestem wilkiem, lecz owcą, więc przychodzi mi to z trudnością. Lekarka, o której mowa, jest moją starą kumpelą i takie gadanie, jakie Pani proponuje, niczego tu nie zmienia. Ona chce dla mnie dobrze, podobnie jak mój szwagier organizujący mi randki w ciem-no, bo głupi Beksiński nie wie, co dla niego dobre. No, ale głupi Beksiński dobrze wie, czego chce. Po prostu jedni lubią golonko, a inni krówki. Ja przecież nie na-rzekam jak „niedojebana panienka” w stylu „chciałabym kogoś zapoznać”. Narze-kałem tak kiedykolwiek, choćby jeden jedyny raz? Jeśli nawet czegoś bym chciał i tego nie dostaję, to jest to po prostu nieosiągalne tak, jak nieosiągalna jest po-wtórna młodość i drugie życie. Tych wszystkich „niedojebanych” bardzo mi żal, ale mam ich wyżej uszu. Czy nie mógłby mnie ktoś zastąpić? Ostatnio jedna – nawet atrakcyjna – młoda entuzjastka z telewizji regionalnej chce sobie (po wizycie w mo-jej pracowni) wydziargać (na dupie?) mój obraz. Ja poniał waszu cionkują aluzju (jak w tym polsko-rosyjskim dowcipie), ale nie mam ochoty współpracować. Czy chęć podlizania się Panu Bogu i zostania św. Franciszkiem wymaga ode mnie spo-legliwości i w tym zakresie? W takim razie zmieniam sobie idola. Kogo by Pani pro-ponowała zamiast św. Franciszka? Może Pol Pota? Pięknie pozdrawiam

Beksiński

From: Liliana Śnieg-Czaplewska

To: Zdzisław Beksiński

Sent: Saturday, September 11, 2004 1:46 AM

Subject: 44 dni pracy Oksany

Wierzę w precyzję Pańskiego myślenia, tymczasem, jak czasami Pan walnie, to rę-ce opadają. Płaciłam Oksanie MAKSYMALNĄ polską stawkę za sprzątanie, tyle ile biorą sprzątaczkki Polki, tyle ile płaci Małgosia swojej pani dojeżdżającej (na własny

koszt i na pewno nie taksówką spod Warszawy, którą od lat zostawia samą w domu – takie zaufanie też jest wiele warte! Na dodatek prasuje jej stopy ubrań). Tego dnia, kiedy Oksana mnie okradła, jedliśmy we trójkę, z Januszem Głowackim. Zwinęła mi 1000 euro, czyli musiałaby pracować półtora, dwa miesiące. A tak wykorzystwała okazję, czyniącą złodzieja. Jak tu nie wierzyć w mądrość ludowego przysłowia? Ma Pan rację, Oksana sprząta u mnie ze dwa lata. Przedtem przyjeżdżała tu na 3, po czym wracała do siebie. Teraz była krótko, i mogę się z Panem założyć, że szybko nie przyjedzie. Następnego razu nie było. Wie Pan co? Po takich konkretnych tematach, odległych od górnolotnego filozofowania, najlepiej widać różnice między nami. Gdyby mnie tacy jacyś Kupcowie, którzy doświadczyli ode mnie tylko dobrego, bo nieźle zarobili (wyobrażam sobie, że wszystkie rachunki remontowe też były zawyżone, jak sprzątanie), mogli pożyczyć bez procentów sporą kwotę na samochód – a potem mnie robili w konia, żądając za sprzątanie tyle więcej, któregoś dnia spuściłabym ich w niebyt, wykopując raz na zawsze ze swojego życia. A Pan będzie trzymał Kupców w nieskończoność. Ot, różnica między nami. Ja chcę mieć wokół siebie tylko uczciwych, a nie naciągaczy, dla których jestem jedynie dojną krową. To obraża moją inteligencję.

Jak Pan chce, żeby Mu ptaki siadały na ramionach, wystarczy pojechać na Rynek Główny w Krakowie, kupić za złotówkę trochę ziarna i robić za św. Franka, do wyczerpania zapasów. Niech się Pan nie podlizuje Bogu, tylko sobie. Czy między św. Franciszkiem a Poi Potem nie ma miliona możliwości? Pan widać sunie po pokładzie krokiem pijanego marynarza w czasie burzy, który zatacza się od burty do burty. Prawidłowa odpowiedź brzmi: jest niewyobrażalna, niepoliczalna ilość możliwości. Pierwsza z brzegu: być Bexą, bardzo przyzwoitym, choć nieco łatwowiernym facetem. Idę spać, znów się zrobiło późno.

Liliana

A jednak jestem wkurzona stratą. Całuję po franciszkańsku

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: 44 dni pracy Oksany
Date: 09/11/2004

Ja daję tygodniowo tylko 250 (50 do ręki, „reszta w rozumie” jako zwrot długu). Z trudem wytrzymuję przez te trzy do czterech godzin, mimo iż sprzątający dbają o to, by mi nie dezorganizować pracy i życia, niemniej jednak, gdy cholernie chce mi się zdrzemnąć przez 20 minut, to tego nie zrobię, bo czułbym dyskomfort wynikający z faktu, że ktoś obok pracuje, a ja drzemię. Męczę się wtedy przy sztalugach i wręcz marzę, by już sobie poszli. Codzienna taka atrakcja byłaby ponad moje siły. W ogóle nie lubię poczucia zależności, nawet jeśli byłaby to zależność białego sahiba od swego hinduskiego sługi.

Teraz trochę niskiej złośliwości pod Pani adresem, a propos spuszczenia w niebyt pp. Kupców. Otóż rady radami, ale spuszczenie w niebyt nie za bardzo Pani wychodzi w praktyce. Może korzystniejsze byłoby przymykanie oka, co nie musi

być równoznaczne z łatwowiernością? Ja stosuję przymykanie oka, bo mi z tym wygodniej. Przecież nie narzekam. Czy kiedykolwiek narzekałem, poza specyficznymi incydentami typu śmierzący dziadek? Czasami napiszę tak jak ostatnio „Hospody pomyłuj”, ale to przecież żartem i z autoironią. Jakoś daję sobie radę taki, jaki jestem, i lubię życie i świat, mimo tego, o czym słucha się w radio i widzi w telewizji. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: pracująca sobota
Date: 09/12/2004

Pani Kupcowa razem z córką lub synem, którzy przychodzą jej pomagać na zmianę (zapewne w ich domu pada tekst: chcieliście jeździć nowym samochodem, to teraz musicie swoje odpracować, sprząta przez 3–4 godziny, raczej bliżej 4 niż 3. Przedwczoraj, za pośrednictwem galerii w Toronto, znalazł mnie brat chłopaka, który się ze mną bawił w 1938–1940 i który bez kontaktu z rzeczywistością, jak roślina, umiera na samoistne obumieranie komórek mózgowych. Był profesorem fizyki na Politechnice Wrocławskiej. Jestem starszy o 2–4 lat. Coraz częściej pojawia się pytanie: jak to u mnie będzie wyglądać? I tym optymistycznym rzutem oka w przyszłość kończę i pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: Liliana Śnieg-Czaplewska
To: Zdzisław Beksiński
Sent: Monday, September 13, 2004 3:33 AM
Subject: ratunku

Dochodzę do wniosku, że rację miał ten tandeciarz, co napisał: „mężczyźni są z Marsa, kobiety z Wenus”. Pan ma kłopoty z liczeniem. Ja płacę 10 zł za godzinę, Pan trzy razy tyle! A przy okazji, tak jak Pan nie umie się zdrzemnąć, bo ktoś inny pracuje, tak ja nie umiem sama żreć obiadu, gdy ktoś haruje w moim domu cały boży dzień. Obiady były wspólne, Oksana jadła je ze mną i ewentualnie z tym, kto akurat był u mnie; wiele razy w towarzystwie mojej Mamy, Kasi, a ostatniego dnia, gdy zwinęła kasę – z Głową. Jak widać, czy jest się ludzkim człowiekiem, czy bydlakiem, nie ma to żadnego znaczenia. Jak mają cię okraść, okradną. „To co powinno, stać się musi. I stało się, co stać się miało”.

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: ratunku
Date: 09/13/2004

Tylko „dwa słowa” i więcej o Oksanie nie będę. Co do obiadu, to ja go też nie jem w trakcie, gdy ktoś sprząta. W sumie obiad w moim wydaniu trwa nie dłużej niż 5 minut (gdy jem powoli i ceremonialnie) i realizuję go częściowo na stojąco, kur-

sując między lodówką, blatem kuchennym i komputerem lub innym urządzeniem. Ceremonialnych obiadów nie jadaliśmy nawet za życia mej żony. Dwa czy trzy razy zjedliśmy z panem Kupcem hamburgery (ja 2 Royale, a on 2 Wieśmaki) gdy robiliśmy zakupy, np. wyłączniki, kłamki, wieszaki czy coś podobnego, które on potem miał wmontować, i wracając, przejeżdżaliśmy w południe obok McDonalda. Pytałem, czy chce, bym mu też coś kupił, bo kupię sobie do torby dwa Royale na obiad, więc zawsze prosił o Wieśmaki. Potem w domu, raz czy dwa zaproponowałem mu, by zjadł je wraz ze mną w kuchni, ale nie chciał i brał je sobie do tego pomieszczenia, gdzie coś aktualnie robił. Nie mam jadalni ani stołu do jedzenia, lecz tylko blat w kuchni, ale myślę, że on zapewne nie lubi jedzenia w towarzystwie. Czekoladą nie częstuję, bo jej nie mam, natomiast sok grejpfrutowy i colę lub piwo każdy bierze sobie z lodówki sam, o ile odczuje taką potrzebę. Taki jest u mnie obyczaj od zawsze. Żona twierdziła, że jestem niegościnnie, bo gdy jej nie ma, to nikogo niczym nie częstuję. Zapewne miała rację, bo tej czynności nie znoszę, i to ani w sensie biernym (jeść u kogoś), ani w sensie czynnym (częstować u siebie).

Beksiński

From: Liliana Śnieg-Czaplewska
To: Zdzisław Beksiński
Sent: Tuesday, September 14, 2004 12:33 AM
Subject: Panna Sylwia

Z opisu wynika, że panna Sylwia zadomowiła się u Pana na dobre i czuje się jak u siebie. Bowiem tylko ktoś, kto czuje się u kogoś swojsko, śmie sięgnąć do lodówki. Ja nie umiałabym tego zrobić nawet u mojej przyjaciółki Małgośki. No, nie i już! Dochodzę do wniosku, że taki z Pana introwertyk jak ze mnie dziewczyna.

Liliana

Całuję jak szalona Sylwia, psychodelicznie

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: Panna Sylwia
Date: 09/14/2004

Zacznijmy od tego, że panna Sylwia mnie nie całuje. Jeszcze czego. Niech by tylko spróbowała, to od razu dostałaby szlaban. Poza tym każdemu pozwalam się szarogęścić na obszarze moich nader skromnych i stereotypowych zapasów gastronomicznych. Oczywiście nie lubię szarogęszczenia wszędzie. Nie pozwalam dotykać moich aparatów fotograficznych, grzebać w korespondencji i tak dalej. Natomiast nigdy nie znośiłem i nie znoszę u nikogo podawania herbaty i ciasta. Zamiast swobodnie rozmawiać, widzę nieustannie biegająca od kuchni do pokoju panią domu. Przecież, do cholery, zjadłem lub zjem u siebie! Jeśli będę głodny, to powiem. Siądź nareszcie na dupie, dobra kobieto, bo drugi raz nie usłyszysz tego, co chcę powiedzieć. Czyżby moje wyrafinowane bon moty mniej by-

ły ważne od jakiegoś pieprzonego piernika? Moja wrodzona pycha jest boleśnie urażona takim zachowaniem. Rozumiem, że ktoś może odczuć głód, pragnienie lub potrzebę udania się do WC, ale niechże przeprosi i zrobi to na własny rachunek, a nie jako konwenans towarzyski, utrudniający rzecz najważniejszą, czyli rozmowę. Zapraszam teraz państwa do naszego WC. Jak na filmie Buñuela, ale mnie pierwszemu to przyszło do głowy, jeszcze przed obejrzeniem, a nawet nakręceniem tego filmu.

Korespondencja: tracę na nią sporo czasu, a na dodatek zaczęło się pojawiać przemęczenie wzroku i mam kłopoty z prawym okiem. No, ale traktuję to jako gimnastykę głowy, oczu i palców. Właściwej gimnastyki też nie cierpię, mimo iż bardzo lubię panią Lidię, która co drugi dzień maltretuje mnie przez pół godziny na materacu gimnastycznym. Mam to chyba po mamie, która na starość rozwiązywała ciągłe krzyżówki, by nie zidiociec, i chodziła w obie strony po parkingu, by kompletnie nie sflaczać. Zapewne wszyscy na starość zaczynają się tego samego lękać. Ale to bitwa, którą i tak przegramy, tyle że może uda się przegrać honorowo.

Cały mój mizerny bufor finansowy w formie lokaty bankowej mam w USD i przez ostatni rok zmalał on na skutek spadku wartości dolara o jedną czwartą. Co jakiś czas dzwoni do mnie ktoś z banku PeKaO, proponując jakieś korzystne manipulacje tym żalosnym kapitałem, ale właściwie, jeśli mi się uda nie zidiociec, to zapewne nigdy tej forsy nie dotknę, bo stanowi jedynie psychologiczne zabezpieczenie, a nie konkretną wartość. Jak na razie udaje mi się zarabiać na życie bieżące. Oczywiście, że wyśrubowana wartość euro spadnie, a dolar w którymś momencie podniesie się z upadku, ale generalnie tak czy siak wszystko i od zawsze ześlizguje się w dół, co zauważył jeszcze Chrystus (przypowieść o zakopanych Talentach), i tak już będzie nadal. W końcu teraz, gdy zostałem sam, denerwuję się tym bez porównania mniej, niż wtedy gdy myślałem o zabezpieczeniu żony i posiadałem spadkobierców. Ten luz jest jedyną chyba dobrą stroną samotności. Pięknie pozdrawiam

Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>

To: <lilianasc@neostrada.pl>

Subject: Re: koncert z nagimi modelami

Date: 09/15/2004

Panna Sylwia pojawia się jak klęska żywiołowa (np. huragan Iwan) znienacka i zazwyczaj np. z potrzebą kserowania 400 lub więcej dokumentów, bo jest uboga i nie stać jej na zapłacenie w firmie, a na uczelni skończył się toner. Umawiamy się telefonicznie na jakieś popołudnie i potem do wieczora trajkocząc, grzmoci na mojej kserokopiarce, która nie jest niestety sprzętem heavy duty. Drzewiej miałem olbrzymią kserokopiarę, pod którą uginał się strop, bo po upadku komunizmu, gdy kserokopiarki przestały zagrażać podstawom ustrojowym, kupiłem w składzie celnym ogromnego Canona A3 i drugiego mniejszego A4 i używałem je do celów artystycznych. Potem Tomek zaczął na nich trzaskać masowo listy

dialogowe do filmów i były nieustannie zapaskudzone albo też walce były zużyte, albo jeszcze inaczej, więc dałem mu tą olbrzymią, by mi głowy nie zawracał, a po jego śmierci przekazaliśmy ją do Monaru. Potem tę mniejszą dałem kuzynowi, a potem kupiłem sobie nową, zasilaną tonerem z wymiennego cartridge'a ze zintegrowanymi wymiennymi walcami, a więc wygodną w eksploatacji, ale mało ekonomiczną, bo kseruję nie więcej niż 3–5 dokumentów miesięcznie. Już widzę w perspektywie, że dam ją pannie Sylwii, by ze mnie zeszła, a sobie ponownie kupię coś, co nie będzie wiecznie w takim stanie jak kserokopiarki w punktach kserowania. Uwielbiam mieć sprzęt w idealnym stanie.

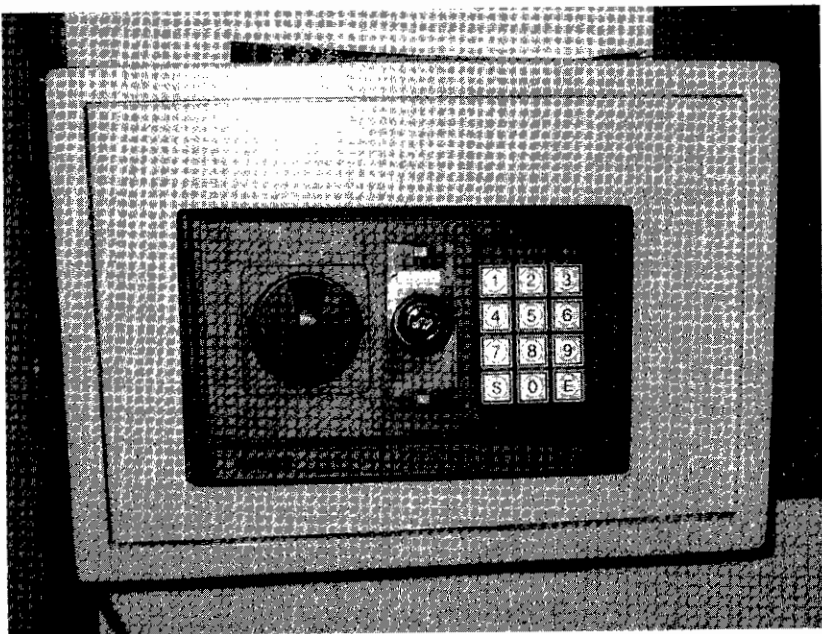
Co do mego czasu, to najwięcej chyba maluję. Posyłam ostatni obraz. Z tego, że niebo jest gładkie, nie wynika fakt, że nie było przy nim wiele roboty. To uwaga na wszelki wypadek, bo ludzie niemalujący, jakoś inaczej wyobrażają sobie pracę przy obrazie, niż ona de facto wygląda. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: dwie tubki Zoviraxu
Date: 09/16/2004

Śmierdziel: ja się nie boczę na śmierdziela. Ja się go panicznie boję, i to nie ze względu na jego żądania, lecz na to, że śmierdzi! Boję się go prawie tak jak pajaka. Gdyby się ucywilizował, umył, brał codziennie prysznic i codziennie zmieniał slipy i koszulę, to mój stosunek do niego byłby zapewne inny. Załóżmy, że podjeżdża pod mój blok nowym jaguarem i przychodzi wycyganąć forszę, bo proszę pana, tyle zapłaciłem za ten samochód, że mam teraz problemy z benzyną, to nie jest wprawdzie pewne, ale nie jest też wykluczone, że wtedy – mimo iż nie stać mnie na jaguara – wygrzebałbym jakiś szmal, by mu pomóc. W stosunku do śmierdziela – takiego, jakim on jest – odczuwam prócz lęku wyrzuty sumienia, że mu dostatecznie nie pomogłem i zawiodłem jego oczekiwania. W żadnym wypadku się na niego nie boczę w tym zrozumieniu jak Pani na panią Koftę. Mój sąsiad alkoholik rozpoczął w tej chwili atakowanie mego dzwonka. Widzę go na monitorze, jak chwieje się na nogach. Też nie mam nic przeciw niemu, ale się go boję, bo zaraz zechce mnie całować albo w policzek, albo w rękę. Zgiń, przepadnij, maro błada! (Nie ginie i nie przepada.) Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: Zdzisław Beksiński <bex@acn.waw.pl>
To: Liliana Czaplewska <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: gazy deprymujące
Date: 09/24/2004

Co do następczyni Oksany, to radzę kupno pseudosejfu, jaki można za głupie 170 zł, a nawet taniej kupić w Leroy Merlin i zapewne w innych magazynach, zacząć przykręcić do ściany i wstawiać tam zarówno uciulane euro, jak i zegarki



Cartiera, paski Versaccego, mniejsze sztaby złota oraz irchowe woreczki z diamentami. Oczywiście, każdy fachowiec pęknie ze śmiechu na widok takiego sejfu, ale dla następczyni Oksany będzie to już problem nie do przeskoczenia. Właśnie coś takiego nabyłem i pan Krzysztof przykręcił to na ścianie w kanciapie przy mojej pracowni. Otwiera się to na hasło cyfrowe oraz istnieje awaryjny dostęp przy pomocy kluczyka, o ile zapomniało się hasła lub wyczerpały się baterie w automatycznym zamku, lub urządzenie uległo awarii. Kluczyk można nosić razem z normalnymi kluczami przy sobie lub na szyi razem z medalikiem, szkaplerzem zawierającym piasek z Ziemi Świętej, kosmykiem włosów ukochanego, Juju z Nigerii odpędzającym złe duchy, Mantrą zapewniającą spokój ducha, zdrowie i bogactwo, fiołką z cyjankiem na wypadek wypadki, ogonem chińskiego szczura zapewniającym zdrowy sen, odwróconym do góry nogami krzyżem na wszelki wypadek, gdyby miało się okazać, że to szatan miał rację, a to co było, było tylko okresem błędów i wypaczeń, i jeszcze ze czterdziestoma innymi amuletami. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: PIĘKNY I ZŁY!
Date: 09/25/2004

Co do sejfu, to sama Pani nie da rady, i to zapewne nawet z transportem ze sklepu. Trzeba też mieć wiertarkę z udarem, tam są specjalne śruby i specjal-

ne kołki metalowe. Poza tym taki pseudosejf waży jednak ze 20 kg. Pan Krzysztof aż rzeźił, gdy go podnosił. Oczywiście, prawdziwy sejf, i to niewielki, kosztuje 2000–5000 i waży do 100 kg, ma atest przeciwożniowy i szereg innych zalet, np. centymetrową lub grubszą stal wokoło, ale trzeba wykuć w grubej ścianie otwór i tam go wmurować wraz z przykręceniem. No, ale nawet pseudosejf to jednak także półcentymetrowa stalowa blacha wokoło, ciężki zamek etc. Niezależnie jednak od wszystkiego, ja bym następczyni Oksany nie zostawiał samej w domu na pół dnia, bo jak zobaczy sejf, to ściągnie ze stadionu 10-lecia koleś z palnikiem laserowym lub nawet tylko sztamajzą i wydobędą sztaby złota, biżuterię z oprawionymi w złoto szmaragdami od Tiffany'ego i woreczki z diamentami, i tyle ich Pani będzie widziała, a dodatkowo zapłaci pani za prąd do lasera. No i na koniec opieprzy Beksińskiego, że źle doradził. Zmian w domu nie lubię i cierpię straszliwie, gdy muszę ich dokonać. Uwielbiam święty, niczym niezakłócany spokój w stylu: śpijmy, nikt nie woła. Remont, którego dokonywałem, przeżyłem niczym trzecią wojnę światową. Musiałem go zrobić i tylko tyle. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: Pan W. pełen szczęścia
Date: 09/27/2004

Od tego wypadaloby zacząć, że przecież życie na pewno nie ma „sensu”. To niewłaściwie postawiona kwestia. Ale to na marginesie. Pocałunki najlepsze z całego seksu?!!! Pora umierać. Już nic z tego świata nie rozumiem, a przecież postulowałem swego czasu seks wirtualny: wstawia się takie urządzenie na głowę lub je wszczepia, lub wchodzi do takiej kabiny, lub siada na takim fotelu i całonocną porcję dowolnego seksu w dowolnej formie uzyskuje się w ciągu jednej minuty czasu rzeczywistego, którą odbiera się jako np. dwie godziny, po czym wyłącza się prąd i można zająć się czymś naprawdę interesującym, i co najważniejsze nie traci się czasu, a boskość pocałunków można sobie ustawić na programatorze. Na dodatek jako premię ma się z głowy problemy z drugim człowiekiem. Pradziadek Onan był jednak wielkim prekursorem, a tylko urodził się za wcześniej, gdy nie było jeszcze technologii. Wydaje mi się, że mieli chyba wtedy nawet zwykłych wibratorów. No, ale ja mam temat do następnego obrazu. Wibrator Kleopatry. W tle wielbłądy, piramidy i nieśmiertelna potęga przyrody. Jestem jednak rzeczywiście z innej planety niż Pani. Taka (postulowana) „dupa na boku” nieustannie by mamdziła, że pocałunki są nie dość boskie, a człowiek by myślał, kiedy nareszcie będzie miała dość i będzie się można zabrać do czegoś innego. Może zafundować jej i sobie za niewielką opłatą jakiegoś zmiennika? Nowy temat do obrazu: Bezrobotny zmiennik Marka Aureliusza. Tło mogłoby zostać to samo, a kasa wpadłaby za dwa obrazy. Jestem też zapewne inny niż pan W., więc nie znam jego reakcji. Dawnych znajomości lękam się jak diabeł święconej

wody, nigdy nikogo z przeszłości nie szukam. To inni raczej szukają mnie, ale nie umieją odnaleźć. Może jestem nieprawdziwy? Urodziłem się jako efekt wypadku przy pracy, co kiedyś w chwili szczerości wyznała mi mama i co powitałem z radością jako rodzaj nobilitacji. Na dodatek urodziłem się martwy. Na dodatek zmarłem po raz drugi przed ca 20 laty w trakcie operacji. W jednym i w drugim wypadku przywołano mnie jakoś do świata żywych, ale jakoś tu nie pasuję, a może to tylko złudzenie czasoprzestrzenne jak w wirtualnym fotelu do wirtualnego seksu? Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: Liliana Śnieg-Czaplewska
To: Zdzisław Beksiński
Sent: Tuesday, September 28, 2004 2:41 AM
Subject: sens życia według Monty Bexona

O sensie lub bezsensie życia moglibyśmy napisać książkę na zamówienie Szymanika, przy czym ja wystąpiłabym w roli Mazana i Ochmana razem wziętych. Tytuł już mamy – taki jak tego maila.

Liliana

Całuję po Monty Bexońsku – niech Pan zgadnie, jak to jest?

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: sens życia według Monty Bexona
Date: 09/28/2004

Szymanik. Mam już w komputerze nieomal skończony list do Szymanika, odwołujący mój udział w tym przedsięwzięciu, bo po dokładnej i chłodnej analizie wyszło mi, że nie mam na to ochoty. Muszę jeszcze list wyczelować tak, aby nikogo nie dotknąć, a równocześnie zabezpieczyć się, odcinając od razu wszelkie inne możliwości porozumienia i molestowania w ewentualnej przyszłości. Tak więc nie będzie sensu życia wg Monty Bexona w niczym wykonaniu. Niestety, tracę też pretekst do kupienia dyktafonu, a na to głównie się jednak cieszyłem. Co do pocałunków i seksu już się nie wypowiadam, poza zacytowaniem Niemena: „Dziwny jest ten świat”. Każdy z nas żyje w swoim urojonym świecie: Pani, ja, Dmochowski... Nic w końcu innego się nie da na tym padole płaczu zrobić, jak tylko żyć w urojonym świecie biednych mrówek. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: awaria
Date: 10/01/2004

O śmierci Kałużyńskiego usłyszałem dziś rano w Radio Zet, a także o tym, że miał 86 lat. Nie da się w moim wieku uniknąć odejmowania i obliczania, ile też jeszcze mi zostało, co jest bez sensu, bo każdy umiera w innym wieku.

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: I tak okropny Bexa
Date: 10/07/2004

Zawsze dawniej zastanawiałem się, dlaczego Picasso przez cały czas łaził w szortach, demonstrując starcze piszczele, a teraz robię to samo. Prozaiczną przyczyną jest rodzaj egzemy uczuleniowej na łydkach. Zawdzięczam ją środkom na obniżenie ciśnienia, ale ich odstawić nie mogę, zaś ani Zyrtec, ani Clemastinum, ani Cinarizinum, ani niczego w tym typie brać nie mogę, bo wszystkie te środki działają na mnie nasennie. Jedyne co przynosi mi jaką taką ulgę (bo Marat siedział w wannie), to chodzenie non stop w sandałach i szortach, i tak też czynię nawet w styczniu. W domu temperatura nie spada nigdy poniżej 26 i przez cały rok mam lato. Tylko na noc wyłączam kaloryfery w sypialni i otwieram na oścież okna, bo spać umiem wyłącznie, gdy jest co najmniej chłodno, a najlepiej zimno.

Zapewne to Panią ubawi, ale ktoś się na mnie zawziął i w internecie moje nazwisko po raz któryś z rzędu prowadzi do reklam stron porno lub tematyki z tym związanej. Czy mi to ktoś celowo robi? Chyba nie jestem paranoikiem? Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: nareszcie sam
Date: 10/14/2004

Trochę się w końcu poluzowało. Dziś przez cały dzień lizałem rany. Nie nadaję się już do przyjmowania gości. Lubię ciszę, spokój, codzienną ustabilizowaną pracę, a zamiast tego miałem młyn: ciągle dzwonił dzwonek, ciągle ktoś czegoś ode mnie chciał. Musiałem nawet pójść do Muzeum Narodowego. Koniec świata. Na dodatek dziś padła moja drukarka i albo trzeba ją będzie zanieść do jakiegoś serwisu, albo kupić inną, co wydaje mi się czynnością mniej skomplikowaną.

Niezależnie od trzydniowej wizyty młodego kolegi z Bochni miałem wizytę znajomego galernika z Kanady i szereg innych wizyt, jakby rozbiła się jakaś bania. Najbardziej wkurzył mnie Pani kolega po fachu z pisma „Rzeczpospolita”, który przygotowuje jakąś wystawę „W stronę Schulza”. Dzwonił przed miesiącem i powiedziałem, że nie mam już w domu niczego, co stawiać by mnie mogło w kręgu Schulza, i najlepiej, by porozumiał się z Dmochowskim, który ma być w Warszawie 4. bm. w związku z wystawą. Podałem mu wszystkie namiary, aliści zadzwonił do Dmochowskiego dopiero, gdy ten był już w Warszawie, dokładnie w dniu 4. bm. Tak więc odpadły prace, które są u Dmochowskiego. Podałem mu więc wdowę po Andrzej Banachu oraz Muzeum w Sanoku, ale w obu sytuacjach zawałił terminy, i w końcu, ponieważ ja byłem już po nazwisku na zapro-



Załączam kilka starych prac w kiepskich czarno-białych fotografiach. Prace te proponowałem na wystawie „W stronę Schulza”, bo miały aspekt masochistyczny. Dziś takich prac nie mam. To, co jest u Banacha, to prace olejne, namalowane słabo, ale przynajmniej szczerze

szeniu, więc powinienem coś dać, ale CO u licha? To, co robię obecnie, tyle ma wspólnego z Schulzem, co Ron Jeremy z Papieżem. Trzykrotnie zapowiadał i przekładał swą wizytę w mojej pracowni, bo obiecałem dać jakieś obecne grafiki. Tłumaczyłem mu, gdzie ma wysiąść z metra i jak dojechać, i w końcu w umówionym dniu dzwoni w pół godziny po umówionym terminie, że nie może znaleźć ulicy, i okazało się, że zamiast na Służewiu wysiadł na Stokłosach. W domu nie pozwalałem mu już dotknąć żadnej grafiki, bo te, które dałem, są na stracenie, ale nie chciałem, by zniszczone zostały pozostałe. Ten typ egzaltowanej osobowości, występującej w połączeniu z dwiema lewymi rękami, nazwałem przed laty chómanistą. Występował on w dużym nasileniu w dawnych BWA, gdzie obrazy wieszano, przybijając krzywe gwoździe do ram przy pomocy mosiężnego przycisku z popiersiem Bolesława Bieruta. Przygotowałem i „rozchodowałem” 8 prac (prowadzę bardzo ścisłą ewidencję i księgowanie, bo numeruję nakłady i nie może tu być obsuwy), ale potrzebne były cztery. Wygląda to na czynność prostą, ale dziś straciłem prawie dwie godziny, by powsadzać z powrotem do określonych teczek cztery pozostałe prace i zmienić wpisy w księgowaniu. No, ale już jestem na prostej. Kończę w tej chwili pranie, a jutro od rana sprzątaczką, która wyprasuje to i porozkłada na półkach, oblecze w upraną bieliznę pościel dla gości i nareszcie odetchnę, że znów jestem sam. Oczywiście jutro muszę jeszcze podpisać na aukcję dzieło, które popeliłem w 1968 lub 69 roku, ucząc się malować olejem. No, ale to już betka. Pięknje pozdrawiam

Beksiński

PS: Załączam kilka starych prac w kiepskich czarno-białych fotografiach. Prace te proponowałem na wystawę „W stronę Schulza”, bo miały aspekt masochistyczny. Dziś takich prac nie mam. To, co jest u Banacha, to prace olejne, namalowane słabo, ale przynajmniej szczerze. Jedna z tego to obraz „ołtarzowy” w oryginale mocno czerwony, tyle że pewnie wywołałby zaraz skandal. Kolorowa praca to wspomniane poprzednio „dzieło na aukcję” z 1969.

From: Liliana Śnieg-Czaplewska

To: Zdzisław Beksiński

Sent: Friday, October 15, 2004 3:32 AM

Subject: chómanistka

Obejrzałam Pana prace. Niezły z Pana ancymonek... Nie mówię, że zostałyby Pan uznany za pedofila, gdyby któraś z tych grafik zawędrowała na śmietnik w pobliżu domu, ale... ale, ale ma Pan wyobraźnię! Nie wiem, czy usnę. Czy to możliwe, aby w ostatnią niedzielę licytowano w hotelu Hyatt na jakiś cel charytatywny pana obraz? Na bankiecie były Beata Murawska i Bakula, bo ich obrazy też licytowano. Nawet Becia – osoba przytomna, nie wiedziała, na jaki cel szły pieniądze i za ile kupiono obrazy. Pieprzyć takie akcje charytatywne. Może chodziło tylko o pretekst do bankietu?

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: chómanistka
Date: 10/15/2004

Co do licytacji na cele charytatywne, to rocznie daję na te cele 3 obrazy: jeden do Stowarzyszenia Brata Alberta, drugi na Aukcję Wielkiego Serca (chyba obie prowadzi Starmach), a trzeci Ochmanowi na aukcję w Ambasadzie polskiej w Nowym Jorku. Poza tym daję grafiki, i to na wiele aukcji, których nie pamiętam. Instytut hematologii i tak dalej. Ostatnio jakimś Przymierzu Rodzin. Pani, która grafikę odbierała, pytała, czy dam też jakimś Kawalerom Maltańskim, także na dobroczynność. Powiedziałem, że dam i że dam także Pannom Maltańskim, o ile takowe istnieją. Reprodukcyjne wysłane wczoraj Pani pochodzą z przełomu lat 60/70. Niektóre prace były wystawiane, ale w tamtejszej rzeczywistości, gdy (jak mawiałem) erotyzm po polsku to była tłusta blondyna i pół litra (wszyscy potem, z Andrzejem Banachem włącznie, sprzedawali tę moją definicję – Tomek nawet w londyńskich porno shopach w Soho), prace te, ku memu rozbawieniu, były zakwalifikowane jako „Zbrodnie niemieckiego faszyzmu”, a niektóre zakupiło nawet Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego. Niemniej jednak pan Janusz (Bogucki), który wiedział, co jest grane, podzielił moją wystawę w Warszawie na część ogólnodostępną i część „dla specjalistów i psychiatrów”, co z kolei spowodowało, że na moją wystawę w Katowicach napchało się ludzi jak do tramwaju, a przed wystawą w Rzeszowie pojawił się cenzor, co wywołało sensację, bo malarstwo traktowano wtedy jako wicie rozumiecie nieszkodliwe. W kontakcie z obrazami i ze mną cenzor się odhamował i zaczął opowiadać jakieś niecenzuralne wspomnienia z partyzantki ludowej, i potem nie wpadało mu już zakazać. Co do pieniędzy z aukcji charytatywnych, to rzeczywiście bywają aukcje, w których cała para idzie w gwizdek. Sam przed dwoma czy trzema laty rozwaliałem się w jakimś studio na Pradze na eleganckiej kanapie, a ekipa złożona chyba z 8 osób płci obojga robiła mi przez parę godzin zdjęcia na jakiś szczytny cel, chyba operacji kardiochirurgicznych u dzieci. Fotograf, asystent, dwie długie anorektyczne panienki, tłusta szefowa, dwóch kamerzystów telewizji i dziennikarz, który w krótkich momentach, gdy wyłączano Garbarka z kolumn, zadawał durne pytania, z których najgłupsze zapamiętałem na całe życie: „jakie to uczucie, należeć do elity”. Czyli pocziwiec uważał mnie za elitę, a ja, jak rasowy paranoik, myślałem tylko, że wszystko to pretekst, bo UOP chce w tym czasie przeszukać moje mieszkanie. Obawiam się, że dzieci z wadami serca skorzystały na tym jeszcze mniej, niż skorzystałby młodzieniec lub panienka, której trzeba było ostatnimi dniami zrobić i przyszyć fiuta, i panna Sylwia usiłowała wydębić ode mnie 1000 zł na ten szlachetny cel. Za taką sumę nie zdezynfekowano by nawet pola operacji. Operacja polegała na przerabianiu jakiejś panienki (która czuje się facetem) w faceta i już zlikwidowano u niej piersi, a nawet zaczęła porastać włosy, ale jeszcze nie miała fiuta ani kasy na jego przyszycie, i pocziwa panna Sylwia sądziła, że za 1000 zł go przyszyją razem z układem hydraulicznym do erekcji. Mo-

że w Holandii, ale nie w Prywisańskim Kraju. A swoją drogą, to ciekaw jestem, czy udałoby się przerobić mnie w kurę? Byłbym najinteligentniejszą kurą na świecie, byłbym wszędzie zapraszany, każdy słuchałby z uwagą moich opinii i nie musiałbym się przejmować swoimi problemami trawiennymi, bo fajdałbym na podłogę, a poza tym sam sobie znosiłbym jajka i nie musiałbym biegać do sklepu. Jak w starej ukraińskiej piosence: Oj gdy ja by kozu miał, to by ne żenył-sia. Kozu bym se pojobał, mołoka napyłsia. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: Liliana Śnieg-Czaplewska
To: Zdzisław Beksiński
Sent: Saturday, October 16, 2004 5:10 AM
Subject: Dlaczego kura, a nie kogut?

Ależ mocna końcówka maila! Bierze Pan przykład z Millera, że „nieważne, jak mężczyzna zaczyna...” itd. Pocziwy góralski dowcip z Podhala (wychodzi bacia z namiotu na hali, przeciąga się lubieżnie i wzdycha „oj, owieczko, owieczko, gdybyś ty jeszcze gotować umiała”) zinternacjonalizował Pan nieźle. Skąd u Pana takie poliglotyczne skłonności? Wciąż jest Pan dla mnie wyspą nieodkrytą.

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: Dlaczego kura, a nie kogut?
Date: 10/16/2004

Na Holandię powołałem się nie ze względu na zamożność, ile ze względu na to, że tam istnieją (czasami nawet bogate) stowarzyszenia osób ze zmienioną płcią, a sama Holandia słynie z uciążliwych do pomagania ludziom w sprawach, które u nas wzbudzałyby raczej niestosowną i rubaszną wesołość. Żona mego znajomego (kolegi Tomka, który umarł w ubiegłym roku) zajmowała się między innymi udzielaniem lekcji masturbacji samotnym paniom po pięćdziesiątce. Nazywało się to jakoś Pomoc Kobietom czy podobnie i było inicjatywą rządową. Rysiek pisał do mnie ironicznie w stylu: „Lydie nie ma w domu, bo przeprowadza egzaminy z masturbacji”. Myślałem więc, że od takich stowarzyszeń udałoby się uzyskać pomoc, na którą u nas nie ma co liczyć. Swoją drogą, mnie taki zabieg razi (a razi mnie bardzo niewielka ilość rzeczy), bo o ile nie umiemy czegoś zrobić do końca (a na razie nie umiemy, bo zmiana płci jest nadal rodzajem zewnętrznej dekoracji lub maski – przecież ta przerobiona na mężczyznę kobieta, nie wspominając już o innych niedoróbkach, do końca życia będzie się musiała fałszować testosteronem, zwiększając zagrożenie nowotworowe), to nie wypada się za to w ogóle brać. Przypominają mi się 20-letnie Rosjanki z czasów wojny, które przychodziły do znajomej dentystki z prośbą, by im wstawiła 4 złote korony na przednich, zdrowych jak u konia zębach. Majstrowanie przy zmianie płci jest, przy dzisiejszym stanie medycyny i poziomie wiedzy, podobne do oddawania dziecku zegarka do naprawy przy użyciu obcęgow i młotka. Taka pacjentka,

która pragnie być facetem – nie do końca zdaje sobie sprawę, że facetem nigdy nie będzie, a kobietą być przestanie i nie będzie już odwrotu. Panna Sylwia nie jest ani cwana, ani naiwna. Jest prostoduszna i nieprzystosowana. Mnie też poprosiła swego czasu, bym jej dał obraz, bo mam już 75 i w każdej chwili mogę umrzeć, a wtedy ona zostanie bez szans. To była właśnie prostoduszność. Dobry Jezu! Jakiś dziwny dziś dzień mamy, a może to efekt zastrzyku przeciwgrypowego VAXIGRIP z przedwczoraj wieczorem. Tak mi się źle pisze, że mimo woli kasuję to, co już napisałem, i robię dwa razy więcej błędów niż codziennie. Kończę więc na dziś i pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: Liliana Śnieg-Czaplewska
To: Zdzisław Beksiński
Sent: Sunday, October 17, 2004 2:49 AM
Subject: robótki domowe

Prostoduszność? Powiedzieć komuś: „jesteś stary, a więc w każdej chwili możesz umrzeć” to nie tylko brak klasy, kultury i zwykła głupota, bo przecież ludziom się nie mówi: „jest pani brzydka” albo: „jest pan inwalida” – ale przykład nieprawdopodobnej hucpy. W świecie, w którym małe dzieci umierają na nieuleczalne choroby, wszystko się może zdarzyć i nigdy nie wiadomo, co komu pisane. Sorry, takie jest moje zdanie. Ludzi gruboskórnych, nawet z tytułami naukowymi, nie cierpię bardziej niż nedorobionych i nieudaczników. Przebywać z takimi? Brrrrrrrr...

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: robótki domowe
Date: 10/17/2004

Panna Sylwia to istota skomplikowana. Jest chorobliwie nieśmiała, boi się ludzi, a równocześnie strzela takimi numerami, jak opisałem, i innymi w podobnym stylu. Ja też generalnie za nią nie przepadam, ale spotykam najdziwniejszych ludzi i nikogo staram się nie oceniać. No cóż, to osoba z bogatą przeszłością: pracowała w wojsku, w Monarze, myła trupy w szpitalu, obecnie jest naukowcem, a na dodatek ma dziedziczne zdolności parapsychiczne. Nie zdziwiłbym się, gdyby miała też skłonności do gerontofilii i nekrofilii. Umieram, a tu akurat jest u mnie panna Sylwia, która czeka, aż wystąpi rigor mortis, a następnie gwałci moje zwłoki w pozycji jeźdźca. Ach, cóż to za wspaniały stylowo finał żywota dla takiego zboczeńca jak ja! Niestety nie byłbym w ukrytej kamerze, więc widzem spektaklu byłby tylko Jehowa, a ten już nie takie numery oglądał.

Podziwiam Pani chęć i energię do majsterkowania. Ja dawniej też sam wszystko robiłem, ale obecnie kompletnie podupałem na siłach, ale przede wszystkim nic mi się nie chce. Wolę przepłacić panu Krzysztofowi. Zrobi to o niebo lepiej niż ja i posprząta za sobą, bo ja od zawsze, i to nawet wtedy, gdy byłem sprawnym,

wytwarzałem wokoło nieprawdopodobny burdel, a potem wdeptywałem we własne okulary lub tubę z klejem, który rozlewał się po podłodze, przyklejając do niej wióry i opiłki, lub ściągałem kablem od wiertarki stojącą na stole puszkę farby z tym samym jak wyżej skutkiem. Do pracy nie wkładałem rękawiczek ochronnych i byłem zawsze umazany po łokcie. To zresztą zostało mi i przy malowaniu, które jest jedyną czynnością, jaką jeszcze zdolny jestem kontynuować. Zawsze skórę do łokci i paznokcie mam dogłębnie zapaćkane, a te ostatnie to nawet wtedy, gdy się umyję benzyną, a potem wodą z mydłem. Robi się jaśniej, a więc do roboty. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: dyskrecja
Date: 10/18/2004

Jaki cel miało kupowanie cukiernicy od Cygana, skoro dr Kwaśniewski zabrania spożywania cukru? Aha: prawda. Boleje Pani nad własną niekonsekwencją. Jednym z nielicznych reliktyw przeszłości jest jakaś srebrzona cukiernica zamykana na kluczyk, wyjątkowy paskud po babce lub prababce. Nie miałem serca wyrzucić, bo chodziliśmy ją z żoną srebrzyć na jej życzenie gdzieś do jakiegoś zapyziałego warsztatu na Alejach Jerozolimskich. Potem, za życia żony, cukiernica przywracana była stale do stanu połysku przy użyciu jakiegoś płynu polerującego. Dziś jest czarna i łaciata i wygląda jak wydobyta z ruin, ale stary cukier nadal w niej jest. Mnie zabroniono w Aninie używania cukru, więc tylko od czasu do czasu pozwalałam sobie na maksimum kilkudniowe szaleństwa typu krówki i obciąganie mleka z tubek, ale z cukiernicy nic nie ubywa. Ale wracając do dogęszczania wnętrza, to ja też to robię, ale w trochę innym zakresie. W tej chwili nie jest to już tak dramatyczne, jak było, ale kolekcjonowałem, a raczej nabywałem ciągle nowe elektroniczne gadżety i urządzenia do odtwarzania muzyki. Od jakiegoś czasu poczucie starości osłabiło w znacznym stopniu tę potrzebę, ale np. ciągle swędzą mnie paluchy, gdy ukazuje się jakiś nowy aparat cyfrowy, więc wydaje forszę i z człowieka „mającego” przeistaczam się w „ubogiego malarza”, muszę na gwałt coś sprzedać i w końcu jestem ponownie człowiekiem mającym, ale nie na długo, bo już czeka w kolejce kolejne elektroniczne świecidełko kompletnie niepotrzebne do niczego. Kupowanie to odruch mający nas upewnić, że obrastając tłuszczem posiadania, jesteśmy bardziej zabezpieczeni przed śmiercią. Gadżety, cukiernice, aparaty cyfrowe, to jest właśnie owa brzytwa, której chwytą się tonący. Skoro więc tak ma być, to nie ma sensu z tym walczyć. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: z Kiepskim w Krakowie
Date: 10/20/2004

O rany! Jeśli Pani nie cierpi horrorów, to po co oglądać nawet genialny horror? Polecała mi Pani już ze trzy genialne filmy o miłości, a ja żadnego nie obejrzałem z tego właśnie powodu, że takich filmów nie cierpię. Miałbym wyrzuty sumienia, gdyby Pani okazała się bardziej elastyczna ode mnie. Czułbym się w obowiązku zaliczenia jakiegoś genialnego filmu z erotycznego repertuaru – nawet nie znam tytułów ani reżyserów. Zostańmy więc już przy swoich upodobaniach. Ja w zasadzie jeśli oglądam „na poważnie”, to oglądam reżysera, a nie film. Np. Altmana oglądam z satysfakcją nawet film o rewii mody, bo to Altman. Jeśli zaś oglądam dla rozrywki, to oglądam thrillery lub horrory, ale w tych ostatnich nie znoszę stylistyki 19-wiecznej (krypty, peleryny, nietoperze) – to muszą być współczesne horrory, jak np. doskonała amerykańska wersja japońskiego „The Ring” czy niezapomniany (przeze mnie) „Nie oglądaj się teraz”. „The Ring” ostatnio chodzi w Canalu+, i jest w dobrym stylu chwalić wersję japońską, a krytykować amerykańską, ale ja mam opinię diametralnie przeciwną. W wypadku „Lśnienia” miałem równocześnie i horror, i jednego z ulubionych reżyserów (Kubricka), no i warstwę dźwiękową (Ligeti, Penderecki etc.) do tej pory zagłuszaną przez pieprzonego polskiego lektora, a ostatnio na poprawionej cyfrowo płycie DVD, nareszcie było to doznanie pełne. Myślę, że jeśli idzie o prowadzenie samochodu, to zawsze bardziej lęka się pasażer niż kierowca, a najbardziej lęka się chyba pasażer umiejący prowadzić. Moja żona siedząc jako pasażer, nieustannie pracowała nogami i sięgała ręką po wyimaginowany lewarek, wprost błada ze strachu – natomiast, gdy siedziała za kierownicą, była pewna siebie. Mam znajomego galerzystę, który tak na oko do trzech zliczyć nie potrafi, a jak siądzie za kółkiem, wyłażą chyba z niego jakieś kompleksy. Jeździ jak wariat: po mieście ca 100–120, za miastem nie niżej niż 140–180. Wiózł mnie przed dwoma czy trzema laty do Gliwic na otwarcie wystawy samochodem renault scenic z 2-litrowym silnikiem. To niezgrabne, wysokie bydlę, nienadające się do takich szybkości, i to na polskich krętych drogach. Gdy protestowałem, uspokajał mnie, że poduszki są nawet w drzwiach bocznych. Idiotą! Cóż mi da poduszka przy takiej szybkości. Pięknie pozdrawiam Beksiański

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: horror
Date: 10/23/2004

Być może jest szansa na spowodowanie, by (jako osoba elastyczna) została Pani miłośniczką horrorów, więc nie chcę jej zaniedbać. Dziś w TVN o godzinie 22:05 leci horror „Inni”, który oceniłem swego czasu jako jeden z najlepszych i na pewno wart obejrzenia. Gorąco polecam Beksiański

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: Karpaty u podnóża Sanoka
Date: 10/25/2004

Artykuł we WRÓŻCE nie był jakiś napastliwy. Był pocziwie głupi, jak większość artykułów, które się wtedy ukazały. Nie dowiedziałbym się o nim, gdyby nie afera z tą kobietą z Lublina, której ukazywał się jego duch, informując, że mnie nie może się ukazać, bo mam „serce zimne jak gład” (czy coś w podobnym ludowym stylu – powoli zaciera mi się to wszystko w pamięci). Wkurzające mnie osobiście zdanie o tym, że rzekomo się Tomka brzydziłem, nie wymyśliła nawet WRÓŻKA, lecz przepisała z ogromniastego artykułu Tochmana w kolorowym dodatku do „Gazety Wyborczej”. Tochman wyglądał na rozsądnego faceta (rozmawiał ze mną), więc na pewno tego nie wymyślił, tylko mu to ktoś powiedział. W sumie – w ogólnym rachunku – wszystko to nie miało żadnego znaczenia. Tomek – podobnie jak ja – gadał czasem rozmaite rzeczy „w celu epatowania burżuazji” (nie umiem napisać tego znanego zdania po francusku). Część pozbawionych poczucia humoru ludzi bierze wszystko śmiertelnie serio. Pamiętam, jak raz w Galerii Wahl rozmawialiśmy w szerszym gronie: konserwatora, Dmochowskiego i jeszcze kilku osób i ktoś mi powiedział, że sporo straciłem na wadze (było to w okresie, gdy co jakiś czas zrzucałem 10–20 kg, obecnie całkiem z tego zrezygnowałem), na co strzeliłem, że to celowy zabieg marketingowy, bo po pierwsze, oszczędzam sporo na jedzeniu, a po drugie, ludzie powiedzą, że mam nowotwór i ceny na obrazy wzrosną – tak więc zyskuję podwójnie. Boże: ileż ja się potem nasłuchiwałem od Dmochowskiego, który kompletnie pozbawiony jest poczucia humoru i dystansu do tekstu, jaki daje autoironia. Może nie tylko on. Moje gadanie już Pani poznała. Tomek był podobny.

Co do wychowywania, to ja niestety nie byłem Makarenką. Nie mam takich talentów, ale wydaje mi się, że gdybyśmy żyli przez 1000 lat i mieli w trakcie tego 20-krotny okres płodności, to ucząc się na własnych błędach, pod koniec życia robilibyśmy ich o 20% mniej, co nie znaczy, że nie robilibyśmy ich wcale, bo każdy człowiek, każda enklawa wychowawcza, każda sytuacja interpersonalna jest inna. Myślałem dawniej, że gdybym był upierdliwym zgredem-zawalidrogą, który wszystkiego zabrania i nieustannie egzekwuje swoje polecenia, to odruch chęci sprzeciwienia się staremu kretynowi byłby może właściwszym mechanizmem kształtującym osobowość niż liberalizm i tolerancja posunięte do skrajnych granic. Ale czy to pewne? Czy jestem już mądrym Polakiem po szkodzie, czy też po szkodzie nadal jestem głupi? Pięknie pozdrawiam

Beksiński

From: Liliana Śnieg-Czaplewska
To: Zdzisław Beksiński
Sent: Tuesday, October 26, 2004 2:06 AM
Subject: okropny dzień

W Radiu TOK FM leci właśnie audycja o złodziejach, o tym, że Polacy są społeczeństwem złodziejskim. Dziennikarz GW, chyba Wojtek Staszewski, w ramach prowokacji dziennikarskiej kradł w supermarketach na oczach innych i potem opisał, co z tego wynika. Makabryczny dzień. Duduś ma 6 miesięcy i tydzień i końca nie ma zniszczeniom. Od jutra ostro przystępuję do akcji wychowawczej, choć zastanawiam się, czy nie za późno, złe nawyki nie poczyniły spustoszenia. W końcu śpimy w jednym łóżku. Jak można wymagać dyscypliny i karności od kogoś, z kim się śpi w jednym łóżku? Pojutrze robię wywiad z feministką Kazią Szczuką, autorką książki „Milczenie owieczek”, (a może obejrzał Pan teleturniej pt. „Najślabsze ogniwo”?).

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: okropny dzień
Date: 10/26/2004

Kradną chyba wszystkie nacje i na całym świecie. Nie jesteśmy wyjątkiem. Decyduje o tym nie tyle obcinanie rąk w przeszłości, ile niska zamożność społeczeństwa. Ja sam kradłem na potęgę w okresie, gdy nie miałem forsy na farby i pędzle ani na cynę do spawania moich prac metalowych. Wynosiłem z fabryki cynę, której laski mocowałem plastrem (tzw. lasotaśmą) wokół własnych ud. Farby i pędzle – ale chyba już to drugie Pani opisywałem, jak pracowałem w malarni transparentów i robiłem obrazki dla szefa. Jak się nie ma kasy, to kradzież, czyli „sposób angielski” (wg sztuki „Przyczynek do podróży Cooka”) pojawia się jako metoda racjonalna. Świat jawi się wtedy jako każdy przeciw każdemu, a Bóg przeciw wszystkim, co także jest tytułem. Co wyszarpię to moje – innych pierdołę! W tych czasach – podobnie jak dziś – tłumaczono to zjawisko tradycjami zaborów i tradycjami patriotycznego okradania okupanta. Moim zdaniem to głównie prawda. O masowości kradzieży w supermarketach decyduje zubożenie społeczeństwa. Inna rzecz, że są też hobbyści. Mojej żonie potrzebny był czasami zastrzyk adrenaliny i uprawiała sport polegający np. na błyskawicznym chwyceniu (w trakcie stania w ogonku) ciastka z lady cukierni w momencie, gdy odwróciła się sprzedawczyni i wpieprzeniu go tak, aby nikt nie zauważył. Obsypała się czasem cukrem pudrem. Ambicją była kradzież jakiegoś drobiazgu w sklepie, prawie na oczach sprzedawcy. No, a przecież mieliśmy wtedy już sporo forsy. To był rodzaj podniecającego sportu, bo nie była kleptomanką. Ja wpadałem wtedy w panikę, że jak ją nakryją, to wstyd będzie przed całym Sanokiem, ale to samo ją właśnie podniecało.

Jak ten koszmarny Duduś mógł zniszczyć but, który miała Pani na nodze. Czy nie czuła Pani, że dobiera się do buta??? Co do kabli, to napisałem już raz i teraz po-

wtarzam: Gdy Duduś przegryzie kabel prądowy, to będzie po Dudusiu. W końcu hodując takie coś, trzeba mieszkanie urządzić tak, by uniemożliwić temu czemuś dostęp do wszystkiego, co może zniszczyć. Gdy w zasięgu jego szczęk będzie wyłącznie wypolerowane szkło i metal – odzwyczai się od gryzienia. W końcu sama Pani chciała i chce mieć psa – tak więc każdy niesie swój krzyż. Łasi się do sąsiadów, bo oni go nie biją paskiem, a Panią tylko toleruje, bo wprowadzie pani nie cierpi bardziej od zarazy (z powodu: pasek), ale musi coś jeść, a dystrybucją żarcia, butów i kabelków od myszy zależy od Pani. Wszystkie prawie właścicielki psów śpią z nimi w jednym łóżku. Okropność! Nie potrafiłem nigdy spać w jednym łóżku z własną żoną. Moje łóżko należy do mnie i do nikogo innego.

Nie widziałem żadnego teleturnieju ani tego, o którym Pani pisze, ani żadnego innego. Nie lubię teleturniejów. Czyli Beksiński malkontent i mizantrop. Nie ogląda seriali, nie lubi zwierząt, nie spał z własną żoną w jednym łóżku, nie ogląda teleturniejów. Pozostała mu jedyna ludzka cecha: Kiedyś kradł, ale już nie kradnie, więc nawet tej jednej cechy się wyzbył. Okropność! Cyborg! Pięknie pozdrawiam Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: niebyt
Date: 10/28/2004

Jeśli idzie o krajowe skrzynki pocztowe, to młodszy (ca 45) kolega logował się przedwcześniej z mojego komputera na jakiejś witrynie ONET pt. „Sympatia”. Robiłem mu nawet skany dwóch jego zdjęć i jedno zrobiłem mu nowe, i teraz zarzucił sieci i czeka na efekty. Jego rówieśnicy fotografują się zwykle za kierownicą mercedesa i dodają zdanie „sponsoring niewykluczony”. On wierzy w potęgę własnej urody. Gdybym był w jego wieku, panicznie bym się bał takiej formy. Zdjęcia nie oddają rzeczywistości, a (jak znam siebie) mnie potem byłoby przykro, że mi się panna nie podoba i nie chciałbym jej zrobić zawodu i czułbym się moralnie zobowiązany do zjedzenia żaby. Koszmar. No, ale on pełen jest nadziei. Nie wypadało mi pytać, jaki tekst sobie wydrukował. Na świńskich stronach dla zboczków takich jak ja, które jednak powstają głównie w San Francisco, pełno jest takich możliwości kontaktu, ale tekst jest konkretny i szczegółowy z wyliczeniem formy, pozycji i preferencji. Niestety, z perspektywy Warszawy nie sposób z nich skorzystać. No nic. Trzeba się brać do roboty. Pięknie pozdrawiam Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: oko
Date: 10/29/2004

Awangardowe pomysły bardzo często biorą się z nieprzystosowania. Przypominam sobie dyskusję z panną Sylwią na temat ustawy zezwalającej na adopcję

dzieci przez pary homoseksualne. Nadmuchana szlachetnym oburzeniem obrońcy praw mniejszości seksualnych i własnym nonkonformizmem, usiłowała przekonać starego cynicznego zgreda, który powtarzał refren: „jeszcze poczekajmy, jeszcze się nie spieszymy”. Byłem bowiem zdania, że najpierw należy ustawowo dopuścić małżeństwa homoseksualne, a następnie przez wiele lat (w Polsce) przyzwyczajać do tego faktu konserwatywne społeczeństwo, bo inaczej za nonkonformizm przybranych tatusiów zapłacą pociechy w szkole. „Przebrane życie”. A kto je wygrał lub wygra? Wszyscy przegrali lub przegrają. Co mam powiedzieć o sobie? Oczywiście: wiele wygrałem, ale młody po raz drugi, ani nawet „niezbyt stary”, już nigdy nie będę, a tylko na tym mi zależy w układzie bezpośrednim: ja i moje życie. Oko może nieco lepiej, ale jednak ciągle jest opuchlizna na policzku i ciągle trochę boli lub swędzi. Dziś o godzinie 13:20 obejrzy moje oko doktor Elżbieta Wolska w Szpitalu Damiana. Mam już od trzech dni zaklepany termin i nie będę go odwoływać.

Duduś. Ten pies jednak to horror. Ja bym się wyprowadził, zostawiając psa z całym dobytkiem, niech go sobie pogryzie i niech go w końcu szlag trafi, a w nowym, pustym jeszcze mieszkaniu napisałbym nad drzwiami: „Nigdy już żadnego żywego inwentarza”, bo koty i papugi mogą być podobnie upierdliwe. Pięknie pozdrawiam

Beksiński

From: <lilianasc@neostrada.pl>

To: <bex@acn.waw.pl>

Sent: Saturday, October 30, 2004 3:04 AM

Subject: Fw: zbliżamy się do weekendu.....

Zapomniałam się wczoraj spytać, czy ten Pana zaprzyjaźniony 45-latek, dostał już koszt ofert od atrakcyjnych panienek? Nie mogę zapomnieć, jak przed laty, tuż po rozwodzie, odpowiedziałam na „fantastyczną” ofertę matrymonialną, która była tak sformułowana, że żadna samotna dusza nie mogła przejść obojętnie. I co się okazało? Że wolny zawód to zawód taksówkarza, wszechstronne zainteresowania to telewizor, piwko, seks po pracy, kibicowanie; symbol samodzielności – własny samochód to mocno sfatygowana taksówka. Pan przyznał łaskawie, że rzeczywiście, jestem ładna, bo inne – poskarżył się – piszą, że są, ale tylko im się zdaje. I że nie wyobraża sobie, żebyśmy się miesiącami prowadzali za rączki, bo jesteśmy na to za dorośli, więc... do rzeczy. Jezuuuuuuuuuu. Ta przygoda raz na zawsze zniechęciła mnie do reagowania na jakiekolwiek oferty matrymonialne. Był to mój pierwszy i jednocześnie ostatni raz w tym względzie. Zaczynają się te dni w roku, których nie lubię, i chcę je mieć jak najszybciej za sobą. Na szczęście dużo pracy.

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: zbliżamy się do weekendu.....
Date: 10/30/2004

Mój 45-latek nie miał chyba na celu tego co Pani, lecz to co ten pan, którego wtedy Pani poznała (opis wspaniały i z życia wzięty – tak to właśnie jest). Z tym, że mój 45-latek ma do pań określone preferencje wiekowe – chyba podobne do moich. Całość wyobrażał sobie jako nieustający festiwal chętnych panienek, z którymi umawiać się będzie przez internet na seks wieczorem po pracy. Na razie miał ponad 70 odwiedzin na swojej stronie i kilkanaście propozycji, ale wszystkie od swoich rówieśnic. On raczej liczył na coś w przedziale 18–25 lat, więc poradziłem mu, że musi jednak dodać sakramentalną formułę „sponsoring niewykluczony”, co powinno spowodować wysyp młodocianych, które mają kłopoty w domu, bo starzy trują, że trzeba się uczyć, i nie chcą dawać kasy, więc przystojny wujek z doskoku rozwiązałby podstawowe problemy życiowe, a może nawet zapewnił chatę i pozwolił prowadzić samochód. Jak by to Gośka zobaczyła, to by ją szlag trafił! No, ale jego nie stać na sponsoring. No, to bracie sprawdzisz na sobie, jak to jest wypadać z obiegu. Nie ma na to rady. Życie jest okrutne. On – jak większość męskiej populacji sądzi, że ich głównym atutem u kobiet jest „znajomość” ars amandi i rozmiary wdzięków męskich, a tymczasem w tym przedziale wiekowym, który go interesuje, i na tym obszarze poszukiwań, jaki obejmują randki internetowe, liczą się raczej rozmiary portfela. A propos rozmiarów wdzięków męskich, to szperając po stronach BDSM, znalazłem ogłoszenia lekarzy, którzy podejmują się ich zmniejszania do takich rozmiarów, by kobiety mogły pokpiwać z ich posiadaczy, bo to głównie sprawia im frajdę. Znalazłem nawet taką stronę, gdzie na dziesiątkach zdjęć widać śmiejące się panie, pokazujące palcami rozmiary nie większe niż 3 cm, i obok zawstydzonych panów. Takie też bywają źródła seksualnej satysfakcji. Niedawno trafiłem na stronę seksu z żebrakami, którzy mają całe ciała pokryte liszajami, pryszczami i zastarzałym brudem, a obciągają im na jakichś śmietniskach całkiem urodziwe panienki. Od stu lat interesowała mnie psychiatria i seksuologia, ale z żadnego podręcznika nie można się było dowiedzieć tyle, ile z internetu. Oczywiście nie w celach naukowych lażę po stronach porno, lecz w nadziei wygrzebania czegoś dla siebie. Niemniej jednak przed laty interesowałem się seksuologią poważnie. Nie wiem, czy pamięta Pani film Woody’ego Allena, w którym on, pragnąc nabyć jakiegoś pornosu, wchodzi ukradkiem do sklepu i szeptem wyjaśnia sprzedawcy, że prowadzi badania naukowe na temat orgazmu (nie pamiętam już tego dokładnie), a sprzedawca drze się przez cały sklep: Kaśka, podaj temu panu „Niebiański orgazm”. Wracając do naszych baranów, to mam nawet czasami poważne trudności z klasyfikacją, bo do jakiego przedziału wrzucić tych żebraków? Wyglądali na równie ogłupionych sytuacją, za którą obiecano im zapewne jakąś kasę, jak pies, którego jedna panienka głaskała, a druga mu robiła laskę. Obie w tym celu rozebrały go do rosołu. Zainteresowała mnie głównie reakcja psa, ale miał podobny wyraz

oczu jak ci żebracy. No i poświęciłem sobie w swoim stylu, ale to na Zadzuszkę. Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz. Amen. Idę malować i pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: Liliana Śnieg-Czaplewska
To: Zdzisław Beksiński
Sent: Monday, November 01, 2004 1:27 AM
Subject: jabłko w karmelu

Moja Mama, która znów źle się czuje, zaczęła wplatać w rozmowę zwroty „jak dożyję”, mówiąc np. o wiośnie przyszłego roku. Gdy zaprotestowałam, odrzekła, „przecież każdy musi kiedyś umrzeć”. Potwornie się boję samotności bez Niej. Jak się zastanowiłam, do kogo to piszę, powinno mi się zrobić głupio, ale... Zawsze Pana podziwiałam za uzewnętrznianą w relacjach z ludźmi pogodę ducha. Ale jaki Pan jest sam w czterech ścianach? Tak czy inaczej, sądząc po tym, co widać i jak zorganizował Pan sobie życie, jest Pan zupełnie nieprawdopodobny.

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: jabłko w karmelu
Date: 11/01/2004

Podobnie jak Pani mama, stale rozważam problem „jeśli dożyję”. To nieuniknione. W swoim czasie przejdzie Pani też przez to. W dzieciństwie myślałam, że dorosli mnie straszą i chcą mi w taki sposób dokopać, a teraz patrzę na to trochę jak na osvajanie się z zagadnieniem i dodawanie sobie animuszu, że to niby tak jak ze mnie chojrak, że nic mnie nie jest w stanie zaskoczyć. Problemu samotności nie rozwiązałam i jest mi z nią ciężko, ale są problemy, których nie da się rozwiązać, a wszelkie dostępne półśrodki są jeszcze gorsze od zaniechania. W końcu w każdym, nawet idealnym układzie, w jakiś czas po napisie THE END następuje prawdziwy finał i któraś ze stron schodzi z tego świata, a druga zostaje sama. W moim wypadku Jehowa wybrał wariant optymalny, bo ja byłam najodporniejszy psychicznie z całej mojej rodziny – każdy inny wariant byłby gorszy. Na dodatek dostałam premię: mogłem sobie jeszcze trochę pożyć. Jednym słowem, Alleluja! Chwalmy Pana!

Dziwnie interpretuje Pani moje obrazy. Wydawało mi się, że głowa z czerwonymi włosami to najbardziej idylliczny obraz, jaki ostatnimi czasy udało mi się namalować. Jako skrajnie łagodny chcę go powiesić w kawalerce, gdzie tematyka obrazów ma być w założeniu trankwilizująca. Chcę zdjąć wiszący na boazerii poziomy obraz leżącej postaci i przenieść go do mieszkania, gdzie musiałem ostatnio zwolnić („dla chleba, panie, dla chleba”) dwie ściany, a w to miejsce po oprawieniu powiesić czerwoną głowę. No, ale każdy widzi po swojemu. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: tango
Date: 11/06/2004

Prawnuk stryjeczny van Gogha i bezsensowna śmierć? Nie kojarzę z niczym. Być może nawet mogę wiedzieć, o co idzie, ale nie kojarzyć tego z rodziną van Gogha? Przez całe lata nie wiedziałem, że Lucien Freud (jeden z największych współczesnych malarzy) jest wnukiem Zygmunta Freuda. W końcu nie jednemu psu Burek. W magazynie fabryki, w jakiej pracowałem, magazynierem też był Freud. Swoją drogą, może on też był potomkiem dr. Freuda? Sanok wchodził przecież w skład Monarchii Austro-Węgierskiej. W internecie znalazłem i zakonnika o nazwisku Beksinski, i konstruktora samolotów o tym nazwisku, i weterynarza amerykańskiego, i nawet Doris Beksinski, cheerleaderkę z jakiegoś uniwersytetu w Ohio czy Oklahomie. No, a nazwisko Beksinski rzadsze jest od nazwiska Freud. Wszyscy Beksinscy na całym świecie wywodzą się ze wsi Koprzywnica pod Sandomierzem. Legenda głosi (dowiedziałem się niedawno od poszukiwaczki korzeni), że nazwisko pochodzi od jakiejś kobiety zgwałconej przez Tatarów, która nieustannie beczała, że musi wychowywać bękartą czy bękartę, i nazwano ją Beksa. To raczej bzdura, bo przedrostek Bek wskazuje raczej na pochodzenie tatarskie nazwiska. Czyli raczej jakiś Tatar dał początek rodowi Beksinski. Tak czy siak, ja jestem rodzajem kundla, bo babunia była Ormianką, a podobno inna babunia Żydówką. Nigdy nie paliłem się do dochodzenia swoich korzeni. Były też chyba jakieś koligacje morawskie, czyli czeskie – niestety z przyczyn geograficznych zabrakło Murzyna. Już 11:30. Najwyższy czas zabrać się do malowania. Pani Kupcowa sprząta w tle. Pięknie pozdrawiam Beksinski

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: MYSZ ZA MYSZ!
Date: 11/07/2004

Dzięki za obie myszy. Zapewne przy okazji wyślę je dalej. W internecie trafiam czasem na strony, z których bezpłatnie można takie rzeczy ściągnąć, ale właściwie nie bardzo mam je komu potem wysłać. Większość mych przyjaciół ma do komputera stosunek pełen lęku, podobnie jak Jurek z Gliwic, który nabył komputer przed około 4 laty, bo „trzeba z żywymi naprzód iść, po życie sięgać nowe”, ale na razie stoi on w pokoju pokryty narzutą, aby się nie kurzył, ale Jurek go jeszcze nie włączył. Jego spadkobiercy będą mieli nieużywany eksponat do Muzeum Techniki. Poprzestajemy na rozmowach telefonicznych raz na jakiś czas. Inny mój krewniak, który mieszka w Komorowie, informuje mnie czasami zbolalym głosem przez telefon, że wysłałem mu jakąś nieaktualną informację i o co mi właściwie chodzi, a ja mu ją wysłałem przed pół rokiem i on nagle ją przypadkowo odszukał. Dla niego komputer jest źródłem i zarazem skarbnicą zaskakują-

cych przypadków: nagle się coś w tej kupie ukazuje i daje odczytać albo zobaczyć, napełniając go zdumieniem i podziwem na temat technicznych możliwości, ale skąd, u licha, to się wzięło i tak dalej. Oczywiście, daleko jeszcze do wyrzucania remote control (chyba w Sezamie na dole jest stoisko, gdzie kupuje się zastępcze remote control, i jeszcze gdzieś takie stoisko widziałem), ale rozmaite przedmioty zasilają Łubną, która będzie kiedyś stanowiła obszar wykopaliskowy zabytków z naszej ery. Kuchynka ukryła rodzinne precjoza przed potencjalnymi złodziejami na dnie puszek z kaszą jaglaną, ale kasza zaczęła pleśnieć, i gdy zawitała do nich teściowa z prowincji (a moja ciocia), zabrała się za porządki i wywaliła kaszę do zsypu. W ten sposób przyszli archeologowie odnajdą na Łubnej także biżuterię z naszej zamierzchłej epoki, snując błyskotliwe teorie na temat tego, dlaczego turecka biżuteria odkopana została w innym kręgu kulturowym.

Kobiety mają fioła na punkcie zmarszczek, a faceci na punkcie erekcji. Jak dogodzić wszystkim? A propos zmarszczek, to ciągle przymierzając się do kupna EOS 20D, który (moim zdaniem) zbyt miękko i nieostro rysuje, naraziłem się znajomej pani, tłumacząc w jej obecności koleżdze przez telefon, że dla mnie kryterium numer jeden sine qua non dla decyzji kupna jest maksymalnie ostry rysunek, tak aby zmarszczki na twarzy, które mają ukazać się dopiero za dwa lata, już teraz widoczne były na zdjęciu, na co przysłuchująca się dama zareagowała tak ostro, że uniemożliwiło mi to dalszą rozmowę telefoniczną. Uzmysłowiłem sobie wtedy, że naruszyłem jakieś tabu. Dla niej zapewne ideałem byłby kiepski aparat. Pięknie pozdrawiam

Beksiński

From: Liliana Śnieg-Czaplewska
To: Zdzisław Beksiński
Sent: Monday, November 08, 2004 3:24 AM
Subject: intymność

Będę musiała wyjąć biżuterię z pojemnika na kaszę, bo wprawdzie żadna ciotka do mnie nie przyjeżdża, a tym bardziej porządków mi nie robi (ostatni, wzruszający zrobiła pewna Ukrainka), ale przykład podziałał mi na wyobraźnię. W końcu największą sklerozę w moim otoczeniu mam ja sama, więc któregoś dnia sama, osobiście mogę wszystko wyrzucić.

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: intymność
Date: 11/08/2004

Mój system kontaktu z rzeczywistością i otoczeniem jest i był od zawsze pełen rezerwy i zawsze żartuję (może i do Pani to napisałem), że mógłbym z kimś przeżyć 10 lat na bezludnej wyspie i nie zapytać, czy jest żonaty, czy ma dzieci i jakie studia ukończył. Wydawałoby mi się to chyba niestosowne, a być może ten ktoś oczekiwałby na takie właśnie pytania. Przy czym nie jestem milczkiem, lecz

gadulą, więc na pewno miałbym wrażenie, że z tym kimś jestem nieustannie w pełnym kontakcie. Rozmawialibyśmy zapewne o realiach, czyli jak przeżyć, jak zorganizować żarcie i spanie, a poza tym wyłącznie o abstrakcjach lub metafizyce. Nawet obecnie jest podobna sytuacja. Chodzi o człowieka, który załatwił mi w Kanadzie sprzedaż już 3 obrazów i w tej chwili załatwia czwarty, który był już wielokrotnie u mnie w domu i gadaliśmy godzinami, który w porozumieniu z Muzeum w Sanoku chce mi organizować w 2006 dużą retrospektywną wystawę w USA (nie wiadomo, czy to mu się uda), który na dodatek jest sympatyczny... Owoż ktoś mnie przedwcześniej spytał, jaki jest jego zawód, z czego żyje, czy jest żonaty, co studiował i gdzie pracuje lub jaki jest jego zawód. Nie mam zielonego pojęcia! Dla mnie jest to pan P. i tyle. Nie umiem go – po ponad roku znajomości – przypiąć do niczego. Znam nawet dobrze panią, która reprezentuje go (w sensie kontaktów ze mną) na terenie Polski i załatwia w jego imieniu rozmaite sprawy, gdy on jest w Toronto, i też nie wiem o niej nic. Nawet gdzie mieszka. Mam tylko numer jej telefonu. Też jest to miła osoba i rozmawiamy zawsze na pełnym luzie. Dla mnie jest to pani F., która reprezentuje pana P. Oni wszyscy mogliby być współpracownikami jakiegoś Alganowa, a kontakt ze mną przykrywką operacyjną dla zupełnie innej sprawy i nawet bym z tego nie zdawał sobie sprawy. Tak więc nie chwalę się tym swoim stylem bycia, który powoduje, że każdego postrzegam jak gadającą fotografię w kolorowym magazynie lub postać z ekranu telewizyjnego. Taki po prostu jestem. Urodzony dla solipsyzmu. Na szmaragdy, kolie perłowe, złote bransolety i brylanty od Tiffany'ego miała Pani przecież kupić pseudokasę, by w nich nie grzebała następczyni Oksany. Pięknie pozdrawiam

Beksiński

From: Liliana Śnieg-Czaplewska

To: Zdzisław Beksiński

Sent: Wednesday, November 10, 2004 1:22 AM

Subject: 20 jaj Bexy

Wywiad z najsukuteczniejszym architektem Warszawy Stefanem Kuryłowiczem poszedł mi nieźle, bo facet okazał się rozumieć „uwarunkowania prasy kolorowej”. Wieczorem wylądowałam w Multikinie na premierze drugiej części „Bridget Jones”, wreszcie jeszcze później, bo po 22.30, na Politechnice Warszawskiej na imprezie mojej b. firmy – Twojego Stylu, na której brylowała nowa dyrektorka wydawnicza Jolanta Pieńkowska – dawniej tv „Wiadomości”. Pan by pewnie powiedział, jak posłanka Nowina-Konopczyna, że znów się spotykam z przypadkowym społeczeństwem. Trudno... Lubię je.

Liliana

Całuję jajecznie. Fascynuje mnie, dla którego szwadronu wojska gotował Pan tyle jaj naraz?

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: 20 jaj Bexy
Date: 11/10/2004

Tytuł Pani maila nasunął mi skojarzenie z wczorajszym telefonem bezkonkurencyjnej panny Sylwii. Najpierw potrzebowała, bym jej wyszukał w internecie, czy istnieją jeszcze dyskusyjne kluby filmowe, a gdy wyszukałem jej namiary na reaktywujący się klub w Hybrydach oraz na pana Romana Gutka, to zapragnęła „dowcipnych” przekształceń tytułów znanych filmów. Spadaj, dobra kobieto – mam robotę. No, ale ona nie dała się splawić i powiedziała, że ma już tytuł „Przeminęło z wiatrem”, no to na odczepnego zaproponowałem raczej „Przeminęło z wiatrami”. W końcu to jedyna nadzieja przy bólu brzucha. Teraz te „20 jaj Bexy”, jakby z podobnego repertuaru. Gotuję zawsze 20 jajek naraz. Dwa opakowania. Kupując, patrzę na datę, bo już odkryłem, że jaja gotowane na twardo nie pękają tylko wtedy, gdy data ważności jest dłuższa niż 3 tygodnie. Przedtem soliłem wodę i nawet dziurawiłem igłą jaja, ale teraz już nareszcie po kilkudziesięciu gotowaniach doszedłem doświadczalnie, że jest to funkcja świeżości jaj, i minimum 3 tygodnie na datowniku to gwarancja, że w trakcie gotowania nie popękają. Dlaczego gotuję naraz 20? Bo lubię cholernie jaja na twardo, ugotowane tak mocno, żeby obrzeża żółtek pozieleniały, i odmawiałem sobie ich przez całe moje życie, jako iż podobno były niezdrowe i zawierały cholesterol. Teraz nagle „odkryto”, że to nie jaja są przyczyną wzrostu cholesterolu, i ja na starość odrabiam jajowe zaległości. Może zresztą medycyna ponownie się myli. Może myliła się przedtem, może myli się teraz, ale ja już nie tak wiele mam czasu przed sobą na to, by cholesterol w moim organizmie poważniej mi zaszkodził. W ogóle lubię jaja, ale jaja na twardo chyba najbardziej. Nie wiem – może to już Pani opisywałem, ale w dzieciństwie raz jakiś facet w pensjonacie w Poroninie, w którym się stołowaliśmy w trakcie zimowego urlopu, dostał jakiegoś napadu – krążył i mówił od rzeczy. Facet ten jadł zawsze na śniadanie jajecznicę z wielu jaj. Po tym incydencie mój ojciec powiedział (zapewne z przekąsem), że jak ktoś jada tyle jaj, to nie ma się czemu dziwić. Ponieważ w naszym domu absolutną i nieprzekraczalną granicą były dwa jajka, i to z rzadka, doszedłem do wniosku, że trzy jaja stanowią ilościową cezurę, oddzielającą nas od pogrążenia się w szaleństwie. Uwielbiałem jaja pod każdą postacią i raz, gdy rodzice poszli do kina, a do babci przyszła jej przyjaciółka, zrobiłem sobie (miałem 9 lat) pięć czy więcej sadzonych jaj i spalażkowałem je w ukryciu, umyłem patelnię i potem zamknąłem się w ciemnym pokoju, oczekując z determinacją momentu nadejścia szaleństwa, które postrzegałem jako nieuchronną karę za nadużycie gastronomiczne. Nic podobnego się nie stało i był to pierwszy wyłom w murze wiary w nieomyślność autorytetów. Oczywiście, obecnie nie pochłaniam naraz 20 jaj na twardo, a tylko gotuję je jednorazowo, wsadzam do lodówki i mam na jakiś czas.

„Przypadkowe społeczeństwo” madame Konopki. To zabawne, ale świadczy też o mojej pamięci do twarzy i głosów. Nie mógłbym być pomocny przy tworzeniu

portretów pamięciowych. Owoż przed paru laty, gdy panią Nowiną-Konopką straszono Rodaków, nie miałem pojęcia, że znałem ją na płaszczyźnie towarzyskiej jeszcze w Sanoku, aż mi nagle uzmysłowiła to wspólna znajoma, która razem z nią pracowała w Muzeum Budownictwa Ludowego („przecież doskonale znasz Konopczychę...”). Nie zdziwiłbym się bardziej, gdyby mi wtedy powiedziano, że Herman Goering jako chłopiec podawał piłki na naszym korcie tenisowym. Świadczy to też o moim stosunku do ludzi, o czym już pisałem. Wszystko wokół postrzegam jak kolorową fotografię, a hipokamp od dawna mam już do dupy. Jeśli mi ktoś doniesie, że przed 15 laty uczyłem Leppera fotografować, przyjmę taką informację z pokorą. Nie ulega jednak wątpliwości, że Pani – jeśli porównać ze mną – styka się z ogromną ilością ludzi. Czy Pani ich pamięta? Ja zapominał niezwykle szybko. Często ktoś powołuje się, że był u mnie przed dwoma laty, a ja mam pustkę w głowie. Kompletną pustkę! Nawet widok twarzy niczego nie zmienia. Nie pamiętam. Udamę oczywiście, że doskonale sobie przypominam, ale nie pamiętam nic a nic. To chyba fatalnie o mnie świadczy. Egocentryzm posunięty do granic absolutnej skrajności.

Co do pana W.: a może stosował i stosuje technikę podrywania na własne dziewictwo w zakresie niewierności małżeńskiej? W końcu każdy ma jakąś technikę. Kolega mego syna podrywał na to, że jest impotentem, i każda panienka uważała, że kto jak kto, ale ona go na pewno rozrusza, i technika ta dawała podobno wspaniałe rezultaty, a na dodatek dowartościowane panienki rosły w dumę, jakie to z nich boginie seksu. No, to tyle. Biorę się do pracy i pięknie pozdrawiam Beksiński

From: Liliana Śnieg-Czaplewska
To: Zdzisław Beksiński
Sent: Thursday, November 11, 2004 3:49 AM
Subject: Duda-Gracz

Pana jaja naprawdę zrobiły na mnie wrażenie. Znam mnóstwo potraw, które następnego dnia są lepsze niż pierwszego. Niestety nie należą do nich jajka ugotowane na tak twardo, że zabite na śmierć. Pana jaja gotowane hurtowo z każdym dniem, co tam dniem, każdą godziną są coraz bardziej zielone i coraz bardziej nieakceptowalne przez moje kupki smakowe. Artystycznie wyrafinowane-mu twórcy nie wypada jeść starych jaj. Świeżyzna to świeżyzna. Ergonomią tego hurtu Pan nie wytłumaczy.

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: Duda-Gracz
Date: 11/11/2004

Najpierw o jajach. Ja też na początku sądziłem, że zielenienie żółtka, i w związku z tym lepszy (dla mnie!) smak, to funkcja czasu i przetrzymywałem w tym celu jaja nawet przez dwa tygodnie, ale nic z tego. To funkcja czasu gotowania. Na-

wiasem: Pomijając stuletnie jaja chińskie, jedyny rodzaj jaj, jakiego serdecznie i z głębi serca nie cierpię, to jaja na twardo z miękkim w środku żółtkiem. Dla mnie to okropność i psucie surowca. Jajko na twardo powinno być ugotowane „na durch” i zimne, czyli z lodówki. Co do przetrzymywania potraw w lodówce, to w przeciwieństwie, być może, do Pani, nie cierpię procesu gotowania, prania, jak też tego, co określane bywa jako Selbstpflege, czyli dbałości o własne ciało. Odwalam to wszystko byle szybciej i po łebkach. Gotowanie codziennie po dwa jajka, to byłoby już zboczenie. Nie wspominam już o tym, że leżą przedtem w stanie surowym albo u mnie w lodówce, albo w sklepie bez lodówki, bo przecież nikt codziennie nie dostarcza do pawilonu nowego towaru. Howgh. Co do moich kupków smakowych, to smak jaj na twardo, jaki zawsze w młodości odczuwałem jako najwspanialszy, to był smak jaj na Wielkanoc. Doszedłem więc do wniosku, że to funkcja czasu przetrzymywania, bo w moim dzieciństwie na Wielkanoc gotowało się jaja na twardo, następnie barwiło i malowało, następnie świeciło w kościele, a potem przez dwa czy trzy dni oczekiwały na to, by zostać zaserwowane. Od tego więc zacząłem po śmierci żony własne doświadczenia z jajami. Przedtem gotowanie było jej domeną. Nie lubię gotować, ale nie cierpię wszelkiej fuszerki, więc jak się za coś w końcu biorę (a jaja uwielbiam) to systematycznie. Przekonałem się jednak, że wprawdzie smak rzeczywiście zyskuje w funkcji czasu (do czasu), ale kolor zielony wynika z czasu gotowania, bo nawet po zbyt długim przetrzymywaniu w lodówce czy poza lodówką eksperymentalne i ponumerowane jaja nie zieleniały. Ustaliłem więc z elektronicznym timerem, że najlepsze (podkreślam: dla mnie!) są jaja, które, wsadzone do zimnej i osolonej wody, są od chwili zagotowania się wody gotowane jeszcze przez 12 minut. Na doświadczenia poszło ponad 200 jaj. Przeprowadzałem każdorazowy eksperyment z 20 jajami, 2 litrami wody i białem ceramicznym ustawionym na full. Gotowałem pierwszą partię 6 minut (jak poradziła mi na początku szwagierka, która, jak się potem okazało, też lubi tylko jaja ugotowane „na śliwkę”) i wywaliłem wszystko do zsypu, poszedłem do sklepu, przyniosłem chyba 100 jaj i zabrałem się systematycznie za opracowanie know how dla 20 jaj (bezwładność wsadu ulega zmianie w funkcji jego wielkości): gotowałem kolejne partie od 8 minut do 20 minut, numerowałem markerem, schładzałem, degustowałem i wywalałem do zsypu po 19 jaj (jedno szło na próby) – robiłem też potem szereg doświadczeń jeśli idzie o ich pękanie w trakcie gotowania, jak też okres przechowywania w lodówce. Jestem teraz specjalistą: kupuję i gotuję jaja na pewniaka. Oczywiście dotyczy to satysfakcjonowania moich kupków smakowych. W końcu jakimi mam się posługiwać, jeśli nie moimi? Dzisiaj jakieś święto kościelne, a ja wczoraj dopiłowałem obraz (wysyłam kiepskie zdjęcie), tak więc nie będę dziś chyba pracować, lecz zabiorę się za odwalanie zaległości, bo mam do obejrzenia 37 nagranych filmów, które szybciej nagrywam, niż oglądam. Ponad połowa to zapewne chłam, który porzucę po pierwszych 10 minutach. Pięknienie pozdrawiam

Beksiński – specjalista od robienia sobie jaj

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: święto państwowe
Date: 11/12/2004

Co do jajek, to, oczywiście, także miałem na myśli jajo niedogotowane w ten sposób, jak Pani to opisała. Ja tego nie cierpię i lubię jajko ugotowane na tupa lub na trociny. Nie cierpię też wilgotnej polędwicy, lecz też wygotowaną na trociny. De gustibus non est disputandum. To, że doświadczenia dotyczące czasu gotowania musiałem robić na pełnej ilości jaj i z taką ilością wody, w jakiej potem będzie się zawsze gotowało, wynika z bezwładności masy. Moja mama – od kiedy pamiętam – rozgotowywała pierogi ruskie tak, że nawet zarzucałem jej złośliwie, że robi zupełną pierogową, czego dziś się wstydzę. W końcu wziąłem się za to i ustaliłem ilość wody i maksymalną ilość pierogów gotowanych naraz. Wyszło mi 10 sztuk. Mama gotowała naraz 30 lub więcej, co powodowało, że po ugotowaniu farsz w środku był mokry, a idealny pieróg ruski powinien być ugotowany, ale suchy w środku. Cóż mi jednak po tej wiedzy, gdy nie żyje ani mama, ani żona. Sam sobie pierogów robić nie będę, a te, które są w handlu, wprowadzę jadam, ale bez najmniejszej satysfakcji. W Warszawie robi się pierogi wręcz okropne. Nawet w domach prywatnych. Ktoś mi już powiedział, że 22 lipca przeniesiono na 11 listopada, ale nie wspomniał, że trzeba wywieszać flagę. Na szczęście nikt nie zauważył i nie dostałem mandatu. Nie mam nawet flagi. Pani z Zabrza kupiła mi przed rokiem dwa ręczniki, które mógłbym uznać za flagi, bo są nader paradne, haftowane, dziwaczne i w ogóle ich nie używam. W przyszłym roku je wywieszę. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: racja
Date: 11/13/2004

Rozumiem, że z panem W. udało się uzyskać sytuację status quo ante, czego z całego serca gratuluję. Burza hormonów i permanentna frustracja mają teraz szanse na uzyskanie równowagi chwiejnej, a nie ma nic lepszego w układach damsko-męskich nad równowagą chwiejną, bo jej przeciwieństwem jest stabilizacja, która może przekształcić się w monotonię i nudę. Ranek ponownie paskudny i nie wiem, jak uda mi się dziś malować, a rozpoczynam pracę nad nowym obrazem i przynajmniej w ten jeden dzień niebo powinno być nieco jaśniejsze. Gdy jest tak jak dziś, to odechciewa mi się wszystkiego. Trudno sobie wręcz wyobrazić, że mogłoby być jeszcze paskudniej niż dziś. Najchętniej walnąłbym ponownie na wyro. Cholera! Muszę wyjść i kupić chleb, bo jutro niedziela! Zatem na dziś już kończę i pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: błąd za błędem
Date: 11/16/2004

Boże! Lepszych niż ja do trumny kładli. Przy moim przeciętnym ciśnieniu, które po wszystkich środkach farmakologicznych lokuje się gdzieś pomiędzy 152/85 a 142/74, mam dziś rano 115/67 przy tętnie 68. Tętno w ogóle mam od lat zaniżone, bo od urodzenia do wieku 65 lat zawsze miałem 84, ale od momentu, gdy zacząłem się leczyć, utrzymywane jest zazwyczaj poniżej 70, stąd stale jestem senny, no, ale dziś to dosłownie nic mi się nie chce. O ilości błędów i aliteracji nie chcę nawet wspominać. Do tego miejsca zrobiłem ich już co najmniej 100. Czuję się od wczorajszego wieczoru jak polinezyjski pradziadek posadzony na wysokim drzewie, którym potrząsa rzeczywistość meteorologiczna. Czy tym razem spadnę?

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: 150 tys. USD
Date: 11/19/2004

Myślałem, że z tymi płukanymi prezerwatywami to banalna pomyłka wieku, bo jeszcze nie przywykliśmy, że żyjemy w wieku 21., ale skoro tak pisało FORUM? Nie jestem znawcą sprawy. Strasznie się wstydziłem kupować prezerwatywy i załatwiała to za mnie zaprzyjaźniona pielęgniarka. Nie do pomyslenia dla mnie było, iż farmaceuta w aptece może pomyśleć sobie, że ten pan się będzie pierdolić, i wyobrazić mnie sobie w tej roli. Okropność, która jakoś z jednej strony wytłumaczona może zostać czasami, w jakich upływało moje dzieciństwo i młodość, a po części moim bardzo skrytym charakterem. Sadzę, że pragnąłem w oczach otoczenia uchodzić za wyższego nad takie sprawy. Jeśli z prezerwatyw (nader rzadko!) korzystałem, to właśnie w połowie ubiegłego wieku i ja ich nie płukałem, a sam pomysł już wtedy postrzegałbym jako supergroteskowy. Z istnieniem prezerwatyw zetknąłem się chyba w czasie okupacji. Nosiły one wtedy nazwę Olagum. Chyba z wykrzyknikiem i znakiem zapytania na opakowaniu. Znalazienie w krzakach zużytej prezerwatywy wywoływało wrzaski zachwytu i noszenie jej na patyku jak trofeum. Miałem chyba 10 lub 11 lat. To wszystko, co wiem o prezerwatywach. Dzięki za informację o aukcji w Krakowie. Obawiałem się, że tego obrazu nikt nie kupi, bo należał raczej do obrazów trudnych i mało efektownych, ale innego nie mogłem zaoferować w tym okresie, gdy musiałem coś im dać. Jeśli Starmach znalazł na niego kupca, to chwala mu za to. Co do wczorajszego światła, to po powrocie ze sklepu, zjedzeniu śniadania i poprawieniu maila do Pani, pojawiło się dobre światło i pracowałem potem do godziny 15, gdy zaszło słońce za bloki. Napisałem w tamtym mailu, że czasami ciągnie mnie do cukru, i zapłaciłem wczoraj za to, bo mój przewód pokarmowy odwykł już od dziesiątków i setek kilogramów cukru przetaczanych przez niego całymi latami

i obecnie nie umie tego strawić. Przerwawszy wczoraj pisanie i załatwiwszy pocztę, a potem sklep, kupiłem tam 3 torebki krówek GOPLANA i po pracy, wczesnym wieczorem, zjadłem w ciągu kilku minut dwie torebki i miałem już brać się za trzecią, gdy nagle (po telefonie, który przerwał konsumpcję) zaczęła mi dokuczać zgaga. Wlałem w siebie Manti i jakoś przeszło, ale widzę, że nie jestem już w stanie normalnie jeść!!! Dawniej 2 kg krówek do jakiegoś filmu w TV, to była normalka. Co do opłat, to za Plus GSM i telefon płacę z banku, ale każda z innych firm uznaje inny bank i załatwienie tej całej biurokracji tak mnie przerażało, że wolę te kilka razy w miesiącu polecieć rano na pocztę. W miarę możliwości, to co się da, płacę z góry za cały rok. Np. co do czynszu, to podwyżki są co dwa, trzy miesiące i o każdej trzeba informować osobiście bank, bo spółdzielnia tego nie robi. To pozorne ułatwienie, podobne do płacenia w dużych sklepach kartą. Ponieważ nie zarabiam co miesiąc, lecz nieregularnie, to wolę raz dać na czynsz z superatą 10 czy 12 tysięcy, niż cykać co miesiąc. Płacąc, pytam zawsze, ile wynosi nadwyżka na moim koncie i uzupełniam na następny rok z pewnym zapasem na spodziewane podwyżki. Oczywiście, teoretycznie tracę procenty bankowe, ale ja najczęściej i tak forszę mam w szufladzie (obecnie w pseudosejfie) lub w kieszeni, a nie w banku. Muszę zażyć prochy, bo łeb mnie rozbolał. Aha: zaczął sypać śnieg, to pewnie z tego powodu. Pięknie pozdrawiam Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: Ukraina
Date: 11/26/2004

Co do tego, jak przeżywa się starość w związku, to mnie moja żona nie drażniła, a wręcz przeciwnie, ale oczywiście widziałem, że jest już stara. Być może zależy to od siły związku. Ja myślę, że narasta w miarę upływu lat odczucie, że jestem jedynie połową, która żyje i starzeje się w symbiozie z drugą swoją połową. To fakt, że najgorsze staje się, gdy połowa zostaje tylko połową. Oczywiście, jest mi lżej, bo nie muszę się już o nikogo ani za nikogo martwić, tak jak facet, któremu nogi odciął tramwaj, nie musi się już martwić kupowaniem butów i skarpetek. Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: Między roletami a memotropilem
Date: 11/30/2004

Zwijaną roletę mam tylko jedną nad sztalugami, bo w miarę możliwości unikam szmat w domu. Za życia żony były tylko w kuchni, a w pokojach były firanki i zasłony – no, ale ja to wszystko wywaliłem do diabła. Jestem zdeklarowanym wrogiem szmat, czyli: serwetek, obrusów, wszelkiego rodzaju narzut, koców, kocyków, dywanów i dywaników, firanek, zasłon falbanek i tak dalej. Piszę o falban-

kach, bo żona mego nieżyjącego już kuzyna miała falbanki nawet wokół miski klozetowej, na gumie czy na tasie. Koszmar. Ja w miarę możliwości stawiam na sterylność i nieukrywanie funkcji, bo i tak wszystko zagrą, ale nie jest to zagrącenie niczym szmacianym i kudłatym. W związku z tym stale uzyskuję informację, że w moim mieszkaniu da się zauważyć brak kobiecej ręki. Jak widać, nie do końca jestem kobietą, bo mam wprawdzie dużo damskich hormonów, ale nie wytwarzają one u mnie potrzeby uzyskania przytulności. Ciemności w dzień nie lubię, chociaż lubię być odcięty w swej norze i nie potrafiłbym funkcjonować tak jak w niektórych krajach Zachodu „na patelni” przy niezastłonym oknie, bo skoro zasunął rolety, to powstaje domniemanie, że coś za nimi knuje: może fałszuje pieniądze, a może jest pedofilem? Mój starszy kolega architekt, który zna wszystkich najsłynniejszych architektów świata i całe życie poświęcił na badanie, fotografowanie i opisywanie architektury od bieguna po równik, pokazał mi przed laty projekt jakiejś willi postawionej w lasku, która to willa była w całości szklaną kostką. Chyba w USA. Architekt miał oczywiście jakąś ideologię, którą dopisał do tej szklanej kostki. Nie pamiętam już, czy chodziło o integrację z lasem, czy o inną głupotę. Ponieważ na stałe mieszka w Nowym Jorku (?), to w tej swojej willi ulokował ubogich krewnych i gdy mój kolega chciał tam pojechać, by słynną na cały świat willę obfotografować, to umówił go na czwartek, bo musi zawiadomić krewnych, by posprząta. Mój kolega pomylił czwartek z wtorkiem i gdy pojawił się w tym lasku we wtorek, okazało się, że wewnątrz szklanej kostki dookoła wiszą koce i jakieś plandeki, likwidujące integrację z lasem, ale zarazem pozwalające na uzyskanie intymności. Tak to jest z teoriami, które mają uszczęśliwić człowieka. Przerabialiśmy realizację teorii przez 40 lat, tyle że nie była to szklana willa. Inna rzecz, że Przyboś przewidywał „ach, my mieszkać będziemy w naddomach, powietrzach” (cytuje – zapewne nieściśle – z pamięci). Na szczęście głównie prawda.

Co do „pobudzenia” po Memotropilu, to pana W. dodałem w formie metafory. Chodzi o to, że oprócz bezsenności i goniwmy myśli, ubocznym efektem stosowania takich leków bywa też wzrost pobudzenia seksualnego – niestety w wypadku panów nie oznacza to wzrostu możliwości w tym zakresie. Tu przychodzi na myśl niezbyt wyrafinowały szmonces o 80-letnim pacjencie, który przyszedł do lekarza po środek na obniżenie popędu, ale jak się w wyniku rozmowy okazało, chodziło mu o obniżenie go z głowy o ca 80 cm w dół. Przez połowę życia (jeśli idzie o panów) popęd zaczyna się tam, gdzie zapewne zaczynać się powinien i stamtąd działa na głowę, a potem role się zmieniają i to głowa zaczyna stymulować popęd, co nie zawsze i nie do końca jest skuteczne. Na koniec zostaje już tylko praca mózgu, no i pełne rezygnacji gadanie na ten temat, czego w tej chwili właśnie doświadczam, zatem kończę i pięknie pozdrawiam

Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: pierdzielony wiatraczek
Date: 12/03/2004

Robert Kuśmirowski to rzeczywiście bomba i jak najbardziej zgadzam się z opinią Tarasewicza. Nie wypowiadam się na temat kariery, bo takimi kategoriami operuje VIVA!, a nie ja. Dla mnie liczy się jakość, choćby nawet faceta nikt nie znał, a pod tym względem Kuśmirowski nie ma sobie równych.

Co do psucia się rolet, to czy nie bierze Pani pod uwagę, że to może Pani operuje wszystkim zbyt nerwowo i gwałtownie? Bo popsuly się niegdyś żaluzje, popsuly się rolety... No a wiatraczek? Trochę życzliwości dla urządzeń technicznych! Żartuję. U mnie wczoraj po raz drugi padł kaloryfer, z którego ciepło już przed tygodniem czy dwoma. Cieknie ponownie, a tylko inaczej w tym samym miejscu. W ostateczności każę zrobić nowy kaloryfer, bo w końcu nie jest to drogie, a takie awarie są nieznośne. Od wczoraj leci w pracowni kaloryfer elektryczny. Tak więc u mnie też się wszystko psuje. Dziś około 12 przychodzą po coś galerzystki z Galerii SD, więc kończę, bo chcę jeszcze przedtem trochę popracować, a potem muszę włożyć długie spodnie i czekać. Pięknie pozdrawiam Beksiański

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: chore emocje
Date: 12/05/2004

Zapomniałem już, kiedy byłem jurnym kogutem. Obecnie jestem zdychającym kogutem. Nie nadaję się nawet na rosół dla żebraków w garkuchni imienia Świętej Zyty. Nawet piąć już przestałem. Na płot wylazłem ostatni raz przed trzema laty na Pradze, by sfotografować to, co za płotem, i natychmiast zgubiłem portfel (wylatują mi pióra z ogona), który po paru godzinach dostarczyła mi na ul. Sonaty jakaś żebraczka. Zresztą na tym płocie też nie piałem, a tylko fotografowałem. Twórczość Kuśmirowskiego funkcjonuje w internecie i w gazetach, a nawet w ostatnim „Przekroju”. To, co mnie u niego urzeka, to nie pomysły artystyczne typu: cofnięte w czasie wycieczki rowerowe za granicę, lecz jakość tego, co potrafi wykonać. Mam od zawsze ogromny podziw dla artystycznych umiejętności manualnych, które są w Polsce pogardliwie określane jako rzemiosło. Nie wymieniając tu nazwisk, wśród artystycznych kolegów Kuśmirowskiego, czyli ludzi działających w ramach podobnego syndromu, pieszczonych przez RASTER i inne podobne ośrodki, dominuje chłam i brak jakichkolwiek umiejętności, a liczą się tylko pomysły, które niestety nie są wcale takie świeże i oryginalne, jak się o nich pisze i mówi. Kuśmirowski tu świeci jak diament na śmietniku. Osobiście człowieka nie znam, jak zresztą nie znam prawie nikogo. Jestem od stu lat na uboczu, bo taką sobie pozycję wybrałem i wymarzyłem. Pięknie pozdrawiam Beksiański

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: ciągle ten sam płot
Date: 12/07/2004

Z ekonomii i bankowości jestem kompletną nogą, o czym świadczyć może fakt, iż w ciągu ostatniego roku czy dwóch, na skutek zmiany kursów, straciłem połowę swojego bufora finansowego, który od stu lat trzymałem w dolarach w banku PeKaO. No, nie jestem aż tak głupi, bym nie potrafił temu na czas zapobiec, a nawet bufor podwoić, ale albo maluje się obrazy, albo zapobiega stracie pieniędzy i mnoży kapitał, zamiast pozwalać mu topnieć. W końcu to elementarne reguły, które doskonale postrzegał jeszcze Chrystus, ale ja jestem jednotorowy. Umiem poświęcić się tylko jednemu. Nie mam (jeśli idzie o kasę) w ogóle innych potrzeb niż potrzeba poczucia pewności i luzu, które umożliwiają mi pracę na własnym podwórku, i ta pewność i luz nie zostały nadmiernie zachwiane stratą pieniędzy, jako iż nie mam już spadkobierców, a szybciej wapnieją moje naczynia, psuje się wzrok i chyli ku ziemi głowa niż maleje stan mego bufora. I tak tych pieniędzy nigdy nie użyję, bo mają być tylko zabezpieczeniem mego poczucia komfortu – w końcu nadal zarabiam na życie. Aby zająć się na serio finansami, i to tylko własnymi, trzeba przestawić swoją psychikę z sybarytyzmu na aktywność, a wtedy nie ma już miejsca na myślenie o sztuce, bo jestem jednotorowy. Potrafiłbym chyba zarządzać kapitałem i mnożyć go, gdyby to była moja działka, ale moją działką jest malarstwo. Co do Balcerowicza, to osobiście czerpię dużą satysfakcję z faktu, że oparł się wszelkim wichrom historii i nadal trwa. Jeszcze na samym początku rządu Mazowieckiego postawiłem intuicyjnie na Balcerowicza, jak na męża opatrnościowego, coś w rodzaju idola, którego nie muszę rozumieć, ale mogę podziwiać, i jak do tej pory moje na wierzchu. Jednym słowem: niech żyje Balcerowicz! Tylko niech mu Pani tego, broń Boże, nie powtórzy, bo podobnie jak źle, nie cierpię także mówić o nikim dobrze. Mam głęboko zakorzoną potrzebę demonstrowania dystansu do wszystkiego i wszystkich. Zapewne chronię w ten sposób coś u siebie, ale nie umiem tego zwerbalizować.

Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: Balcerowicz odejdzie
Date: 12/08/2004

Boże: Jestem dziś na wpół przytomny! Z niewyjaśnionych przyczyn wczoraj nie mogłem zasnąć jak zwykle o północy w przeciągu kilku minut, lecz kotłowałem się do godziny 3:30. Wstaję zawsze o godzinie 7, ale czuję się teraz jak wypłuty. Chyba nie będę dziś pracować, lecz walnę się na wyro. Martwię się panią Lidą, której po zmniejszeniu sterydów wyraźnie się pogorszyło i dziś rano przyjmują ją do szpitala na Spartańskiej, gdzie ponownie powiększą jej dawkę. Ma ponownie nacieki na płucach, krwinki w moczu i nade wszystko potworne bóle

głowy. Nie chcieli jej wczoraj przyjąć do szpitala, mimo iż stoi prawie pusty, bo skończyły się na ten rok fundusze. To dom wariatów. Nie można zapłacić za pobyt i leczenie prywatnie, a nie chodzi o dowolny szpital, bo to rzadka choroba i tylko tam wiedzą, co z tym robić! Jesteśmy niewolnikami urzędniczej nieudolności i durnych woluntarystycznych zapisów w Konstytucji. Bogate państwa opiekuńcze wykładają się jedno po drugim, a ubogie państwo opiekuńcze tyle jest warte, co pomalowane fasady w Piotrogradzie, które mi Pani opisywała. To nawet nie jest churchillowski równy podział niedostatków, ale Monty Python! Co do „kultury korupcji”, to moim zdaniem, rację ma Balcerowicz. Najogólniej, wszystko, co stworzyła ewolucja, zna tylko podstawowe imperatywy „brać” i „nie oddać”. Oczywiście, ulegają one podwójnej ewolucji: innej dla jednostek, a innej dla grup, o czym już chyba kiedyś do Pani pisałem. Jeśli jednak jest coś do ukradzenia, to zostanie ukradzione. To oczywiste nie tylko w Polsce, lecz wszędzie, gdzie grupy nie stworzyły narzędzi ochronnych lub „zwrotnic”, które promują bardziej długofalowe reakcje, z których wynika przekonanie, iż korzystniej będzie oddać, niż zabrać. Pięknie pozdrawiam i idę spać, albo raczej odsypiać. Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: kotłowanina
Date: 12/09/2004

Oczywiście, że straciłem połowę bufora, na który pracowałem pół życia (ale raczej z myślą o zabezpieczeniu żony), z powodów podobnych jak te, z jakich Kwaśniewski nie skończył studiów: Olałem sprawę! Nie chciało mi się przestawiać wajchy z malowania na ekonomię, bo skórka nie wydawała się warta wyprawy, a moje wiadomości „na temat” i „z zakresu” były praktycznie żadne. Teraz wszyscy przestrzegają, że kurs dolara spadnie do 2,60, a ja nadal nic nie robię. Nie można walczyć na ślepo, bo „wszyscy przestrzegają”, choć można by było to czynić, będąc „na bieżąco”. Ja nie jestem na bieżąco w niczym z wyjątkiem swojej piaskownicy i własnych wiaderka do piasku. Gdy ktoś pisze o Kulczyku, Orlenie i przesłuchaniu, to kompletnie nie wiem, o co właściwie chodzi, podobnie jak bardzo prędko przestała mnie interesować sprawa Rywina, jak też nie interesują mnie wahania cen ropy, czy też polityka USA i jej wpływ na prognozowanie kursów. Boże: jest jaśniej. Nic więc innego nie będę robić, lecz biorę się póki co za malowanie, bo potem ponownie ma się zachmurzyć. Pięknie pozdrawiam Beksiński

From: Liliana Śnieg-Czaplewska
To: Zdzisław Beksiński
Sent: Friday, December 10, 2004 12:15 AM
Subject: dyktafon

Po raz pierwszy zastosowałam mikrofon w moim cyfrowym dyktafonie, nagrywając Balcerowicza, i wyszło niezłe. Przy spisywaniu 100 razy przesłuchuję tekst,

bo facet gada z szybkością karabinu maszynowego i nawet jeśli w sumie ma niezłą dykcję, to łyka sylaby, jak smok dziewice. Wie Pan, że ja w ogóle nie myślę o tych paru tysiącach USD na koncie, które co miesiąc tracą na wartości. Wierzę, że któregoś dnia znów zaczną przybierać na wadze, jak anorektyczka odciągnięta znad grobu.

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: dyktafon
Date: 12/10/2004

Co do dolarów, to zależy. Na pewno odbijają się po jakimś czasie od dna, ale oczywiście takie odbijanie (mniej więcej z częstotliwością cykli Kondratiewa) zawsze ma charakter spadkowy. Problem polega na wielkości posiadanego buforu. Jeśli wynosi 1000 USD, to straciło się np. 500, ale jeśli wynosi milion USD, to straciło się około pół miliona. Mój bufor jest gdzieś pomiędzy, ale o wiele bliżej dołu niż góry, niemniej jednak straciłem sporo. Może część odzyskam, ale to bez znaczenia, bo nie da się transferować gotówki na tamtą stronę, a przecież już chyba niezadługo tam się przeniosę. Patrzę na to – podobnie jak Pani – bez emocji, mimo iż od czasu do czasu dzwoni do mnie z banku PeKaO jakiś łapiduch i doradza sposoby, jak mam ratować swoją kasę, uzyskując ode mnie odpowiedź może nie kwiecistą, ale lekceważąco odmowną w stylu raczej Koheleta.

Windykacja. Sam nie bardzo wiedziałem, o co biegnie i przypomina się owo słynne pytanie sędziego: „czy świadek widział, jak oskarżeni spółkowali”, na co odpowiedź brzmiała: „tak, wysoki sędzie, najpierw to sobie trochę spółkowali, ale potem to się nawet pierdolić zaczęli”. Nie mogę zasnąć już trzecią noc z kolei i zaczynam się obawiać, że sobie to sam zafundowałem, odstawiając eksperymentalnie Cardurę 2mg. Biorę to na nadciśnienie, a nie na prostatę, ale zacząłem oskarżać właśnie Cardurę o swoją codzienną senność w trakcie pracy. Od trzech czy czterech dni odstawiłem Cardurę, ale być może z tego powodu mam trudności z zasypianiem, a na dodatek nie wiem, czy to pomaga na przedpołudniową senność, bo teraz na skutek niewyspania mam ją zapewnioną jak w banku. Pięknie pozdrawiam Beksiański

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: tępota
Date: 12/13/2004

Jak to dobrze, że udaje mi się własną dobroczynność utrzymać w granicach zasilania aukcji grafikami lub obrazami, a nie muszę chodzić na takie bankiety. Al-leluja! Chwalmy Pana! Mogę się czuć dobroczyńcą nieomal na miarę Ala Capone, a równocześnie nie przeżywać stresu, i to nawet gdybym mógł wygrać maszynę do szycia (mówiąc prawdę, nie wiem, czego bardziej nie lubię: wygrywania fantów czy dostawania prezentów – jedno i drugie wymaga demonstrowania

radości, a z reguły wygrywa się lub dostaje w prezencie coś całkiem zbędnego). Jak widać, martwe znam prawdy nieznane dla ludu – no cóż: lud mnie nigdy nie zachwycał, podobnie jak jego uciechy i potrzeby. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: Zdzisław Beksiński
To: Liliana Śnieg-Czaplewska
Sent: Wednesday, December 15, 2004 9:04 AM
Subject: Re: zmęczenie

Cardura 8mg na pana W.? Nie wiem, jak Cardura działa na libido, ale nie docenia Pani faktu, że i tak ma Pani do dyspozycji lepszy fragment kotleta, bo jest to fragment jakoś tam romantyczny i wyszarpywany po kryjomu, plus ciągle spory, ale i godzenie się, niepewność i tak dalej. Proszę uruchomić wyobraźnię i wyobrazić sobie, że posiadała pani pana W. na co dzień. Rano po wyłączeniu budzika siedzi na skraju łóżka z rozczochranymi włosami i unosząc bluzę piżamy, drapie się obiema rękami po żebrach, patrząc tępo przed siebie lub nawet wydobywa papierosa i dusząc się od kaszlu, pstryka w zapalniczkę. Potem pan W. blokuje łazienkę, rycząc fałszywie przebój Krawczyka lub, co gorsza, arie Carvadossiego. Potem strzelając szelkami, trzyma Kazanie na Górze na temat tego, gdzie leżeć winny toczki, by Duduś się do nich nie dorwał, i jak należy wychowywać psa, by nie żarł toczków, a w niedzielę po kościele prowadzi seminarium z ekonomii na temat rosnących cen i spadku wartości pieniądza, i tego, że nabywanie sto czterdziestej pierwszej pary butów nie jest najlepszym pomysłem na życie, no i że zupa była za słona. No, a wieczorami pan W., pachnie jakimiś nieznanymi perfumami i ma ślad od szminki na chustce do nosa. Oczywiście, może też dla odmiany śmierdzić piwem i zasnąć przy telewizorze. Która część kotleta jest atrakcyjniejsza? Jasne, że ta, do której właśnie Pani ma dostęp, ale z typowo damską skłonnością do intercepcji, marzy Pani, by pojąć raczej tą drugą i legalną stronę. Jest głównie warta! Zaręczam. Odrobina wyobraźni, dobra kobieto! W podobny sposób zwykle zniechęcam sam siebie: zasłonki na oknach, serwetki na stole, kanał „Romantika” w telewizorze oraz włosy w wannie i umywalce... Pod koniec roku rozbiła się bania z klientami. Teraz też czekam na odbiór obrazu. W sumie rok był nader chudy, ale końcówka dla odmiany nieco zbyt nerwowa. Za zarobioną kasę, kupię sobie pod choinkę coś kompletnie mi niepotrzebnego, ale takie jest podstawowe prawo stabilizacji: Jeśli Kowalski nie uwierzy, że nie może żyć bez czegoś, co wyprodukował Piotrowski, to Piotrowski straci pracę, a w efekcie tego, nie będzie miał za co kupić tego, co wyprodukował Kowalski, więc w drugim rzucie i on straci pracę, i obaj uwierzą populistom i wyjdą na ulicę. No, ale ja nie potrzebuję niczego! A potrzebujesz spokoju? No to nie wstawiaj kija w szprychy światowej ekonomii, tylko podporządkuj się marketingowi. Co mi Pani radzi, bym sobie kupił pod choinkę? Tylko nie toczek. W toczku mi nie do twarzy. Może kieszonkowe wydanie księgi Koheleta? Pasuje jak ulał. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: zmęczenie
Date: 12/16/2004

Jestem już dziś nieludzko zmęczony na zasadzie starość nie radość, ale i lud boży miał w tym swój udział. Cała korespondencja od wczoraj wieczór do teraz zwała się dopiero teraz, bo jednak coś się od tych wirusów popierdzieliło i zablokowało. Gdy już list wrzuciłem do skrzynki i wysłałem, miałem przed sobą ca 3 godziny na pracę, bo o godzinie 11:30 zapowiedziała się do mnie emerytowana pielęgniarka, która pomagała nam opiekować się mamą. To pocziwa kobieta, która odwiedza mnie nie częściej niż raz w roku, więc nie mogłem jej powiedzieć, że chcę wykorzystać pogodę do malowania. Gdy poszła, zjadłem dwa jajka na twardo z lodówki, bo już była dla mnie pora obiadowa, ale odłożyłem obiad i zabrałem się do malowania, by wykorzystać resztki dnia, ale nagle zadzwonił telefon. Myślałem, że to znajoma z kasą za obraz, więc z chciwości natychmiast podniosłem słuchawkę, a to entuzjastka z Krakowa, taka dama o lewackich poglądach, która swego czasu twierdziła, że się we mnie zakochała, bo mi dobrze z oczu patrzy, podobnie jak trzem innym panom, czyli aktorowi Sydneyowi Poitierowi, Fidelowi Castro i Grzegorzowi Piotrowskiemu. Tym razem zaatakowała mnie, bo rzekomo kiedyś „wykryłem” u niej cyklofrenię, co jest jakąś paramezją, bo niczego podobnego do niej nie mówiłem. Posądzałem ją kiedyś nieostro o psychozę Korsakowa (była alkoholická), ale nie o cyklofrenię, bo nie miałem podstaw do jej diagnozowania. Z cyklofrenii (rzeczywiście gadała, jakby miała maniackalny słowotok) przeszła na Kępińskiego, twierdząc, że to idiota, wylansowany przez Solidarność, a potem na to, że większość ma zawsze rację, tak jak uważali komuniści, a nie mniejszość, jak dowodzą obecne władze. Pozwoliłem sobie łagodnie wyjaśnić jej zasady demokracji parlamentarnej w przeciwieństwie do leninowskiej dyktatury proletariatu, sięgnąwszy nawet do Marksa i jego prognozy koncentracji kapitału i pauperyzacji klasy robotniczej, ale zdecydowała, że chyba lepiej wycofać się z niebezpiecznego tematu, bo „w tym temacie” za dobrze kłapię językiem, więc z tryumfem doniosła, że mój idol, czyli generał Pinochet stanie nareszcie przed sądem. Dopiero co przed tygodniem Dmochowski miąnował Wałęsę moim dyżurnym idolem. Teraz doszedł Pinochet. Czy ludzie powariowali? Ona na pewno tak. Smętnie patrzyłem, jak powoli zachodzi słońce, a ona trzaskała dziobem jak nakręcona. Gdy skończyła i spytała, czy nie przeszkadza mi w malowaniu, mogłem już tylko przystąpić do obiadu. Po obiedzie zadzwoniłem i gadałem z godzinę z panią Lidią w szpitalu, bo już nie miałem szans, by do niej pójść. Potem zwała się wspomniana lawina maili, no i teraz odpowiadam Pani, ale już fizycznie nie wyrabiam. Padam. Idę obejrzeć jakiś durny thriller, bo na nic innego mnie już nie stać. Pięknie pozdrawiam

Beksiński

From: Liliana Śnieg-Czaplewska
To: Zdzisław Beksiński
Sent: Saturday, December 18, 2004 1:52 AM
Subject: Pinochet

Dzień telefonów. Jest grudzień, co chwila człowiek dowiaduje się, że ktoś napisał książkę. Hanka Samson z „Twojego Stylu”, Wildstein z „Rzeczypospolitej”, Lubelska z „Polityki”... Książki ludzie piszą. Kto to czyta? Stanisław Lem już kilka lat temu powiedział to słynne zdanie, że czuje się, jakby dolewał wodę tyżeczką do herbaty, stojąc na brzegu oceanu. Przeróżająca ilość zapisanego papieru. No dobrze. I tak lepiej jak ludzie czytają, niż czynią drugiemu zło.

Liliana

Całuję przedświątecznie

PS Z okazji świąt dostaliśmy dziś od pracodawcy bon na 100 zł do supermarketu. W ubiegłym roku było 200 zł. W przyszłym będzie całusek od prezesa

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: Pinochet
Date: 12/18/2004

To zabawne, że równolegle z Lemem wymyśliłmy podobne określenie, z tym, że jego jest lepsze. Ja mówiłem od lat, o kolorowaniu oceanu przy pomocy atramentu spuszczanego z wiecznego pióra. Za oboma metaforami stoi znana anegdota św. Augustyna. No cóż – znowu wypada wrócić do Koheleta lub do „Żółtej łodzi podwodnej”, gdzie był ten stworek, który w pustce, która powstała, gdy nic coś zjadła samą siebie, przerabiał nic w nic. Ja książek już nie czytam, bo mam jakieś kłopoty z okiem, ale te kłopoty niewiele znaczą wobec problemów pani Lidii, która w ubiegłym roku straciła słuch i nosi aparat kostny w okularach, a teraz pojawiło się zmętnienie soczewek w oczach, przy czym w lewym na tyle silne, że przeszkadza jej to w widzeniu. No nic. Niewesoło kończy się ten rok, ale na szczęście wpadło mi trochę kasy, co pozwoli załatwić szereg problemów – bo nawet taki niebieski ptaszek jak ja miewa problemy – niemniej jednak jak na razie daję sobie z nimi radę. Pięknie pozdrawiam, ale jeszcze nie świątecznie, bo chyba do Świąt jest jeszcze kilka dni.

Beksiński

From: Liliana Śnieg-Czaplewska
To: Zdzisław Beksiński
Sent: Sunday, December 19, 2004 12:17 AM
Subject: kolorowanie oceanu

Pani Lidia ma mnóstwo szczęścia do ludzi, jeśli tak pięknie potrafił Pan powiedzieć: „może uniknęlibyśmy tego zmętnienia rogówki”. Z Pana to jednak prawdziwy przyjaciel

Liliana

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: gulasz w sosie węgierskim
Date: 12/19/2004

Wszyscy kłamią! Zjadłem przed chwilą pół puszki gulaszu wołowego. Na wieczku były napisy „Gwarancja jakości” oraz „Dobre, bo polskie”. Kurczę. Wcale nie było dobre!!! Pół puszki poszło do zsypu, a pół wyrzygałem. Byłem przekonany, że polskie konserwy są wyśmienite i tylko trzeba dodać do nich keczupu Heinz, popijając ostro colą, no i myśleć pozytywnie, to wtedy przy pewnym wysiłku, wcale nie musi się człowiek porzygać. Tu nie pomógł ani keczup, ani cola. Zerzygałem się, jak Bóg przykazał, natychmiast po zjedzeniu połowy, a na dodatek i straciłem wiarę w Słowo (Na początku było słowo, a słowo było u Boga, a Bogiem było słowo) i w to, że polskość to gwarancja jakości. Swoją drogą, gulasz był w sosie węgierskim. Nie wiem, co jadają Węgrzy, ale sądząc po tym gulaszu, jest to naród, który nie zna ani pieprzu, ani papryki, ani w ogóle żadnych przypraw. Przypominało to Whiskas, o czym donosi nadal cierpiący mdłości Beksiński

From: Liliana Śnieg-Czaplewska
To: Zdzisław Beksiński
Sent: Sunday, December 19, 2004 6:50 PM
Subject: Re: gulasz w sosie węgierskim

Strasznie mi Pana żal. Wciąż pamiętam Pana mądre zdanie, że cierpi się podwójnie (przy rzyganiu), jak nad cierpiącym nie załamuje rąk kobieta. Solo rzygać, zupełnie bez sensu. Całuję niewyobrażalnie współczująco

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: gulasz w sosie węgierskim
Date: 12/19/2004

Oj, nie pamiętam, jak się nazywało, już poleciało do zsypu. Firma nazywała się chyba Co-operal, czy coś takiego. Była to konserwa w formie słoika. To nie było nieświeże i nie zawierało botuliny, bo byłbym już chory, lecz było po prostu paskudne smakowo. Moje rzyganie miało podłoże „estetyczne”. Zbrzydziło mnie. Może to ja mam zły gust? Prosiłem nawet znajomego, który jedzie do Holandii, by mi kupił tam puszkę gulaszu wołowego, bo chce zrobić eksperyment, pozwalający określić, czy żarcie w konserwie musi być z natury paskudne, bo wynika to z procesu technologicznego, czy też jest paskudne dlatego, bo jakieś głęby nie mają pojęcia o gotowaniu. Jestem zaprawiony w jedzeniu z puszek, ale chyba coś tu jednak zależy od umiejętności producenta. Np. szynka. Taka sama identyczna w kształcie i chyba cenowo szynka, ma świetny smak, gdy ma napis KRAKUS, a zupełnie przeciętny, gdy ma napis Dębica lub jeszcze inaczej – też to zapomniałem, ale kupuję z reguły wyłącznie KRAKUS. No, więc w dziedzinie konserw są tacy, którzy potrafią i tacy, którzy nie potrafią. To podobnie jak z ma-

lowaniem obrazów. Jako surowca do robienia rozmaitych szybkich obiadów, używam od lat konserwy o nazwie „Wołowina we własnym sosie”. Nie jest to rewelacja, ale ma normę PN-A-82022:1998 i w zasadzie, niezależnie od producenta, od lat trzyma plus minus jakość. Nadaje się jako półfabrykat dla starych kawalerów i samotnych wdowców, którym nie chce się bawić w gotowanie. Kupiłem raz przed paru laty „Wołowinę we własnym sosie – wyborny smak”, która miała inną normę, lub nawet jej nie miała. Nie sposób było tego zjeść, bo było to koszmarnie paskudne. Kupiłem wtedy z rozpędu chyba 20 puszek i chciałem 19 wywalić, ale szwagier jest emerytem i powiedział, że szkoda wyrzucać, oni to przyprawią i zjedzą. Nie mogli zjeść i dali psu. Pies obwąchał, schował ogon pod siebie i odszedł do kąta. Nie wiem, na czym to polega. W sumie w żadnej z tych puszek, które od lat używam, nie ma wołowiny argentyńskiej klasy lux, tylko normalna krajowa padlina, ale gdy coś ma normę, to trzyma od biedy standard, a gdy jej nie ma, to rany boskie. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: Artur Schnitzler
Date: 12/20/2004

Czyżby coś się przez noc samo naprawiło w moim komputerze? Na razie przestał wariować, a przecież nic nie zrobiłem. Może to cisza przed burzą? Na wszelki jednak wypadek od razu składał życzenia Świąteczne, obyśmy i tak dalej. Do Pani jeżdża Rodzina, a ja przystępuję już do pieczenia strucli i malowania jajek. Podziękowałem już za kilka zaproszeń na wigilię, ale od czasu gdy nie mam rodziny, brak kolacji wigilijnej traktuję jako rekompensatę i nagrodę pocieszenia ze strony Niebios. Na dodatek, z tym dniem mam fatalne wspomnienia w związku z Tomkiem, co nie przybliży memu sercu samej uroczystości jako takiej. Postaram się wieczór wigilijny spędzić w podniosłym nastroju, ale sam. Popracuję do zmroku, a potem oglądać będę w internecie świąskie obrazki. Można byłoby też włączyć o północy kanał XXL, za który płacę, ale którego już nie oglądam mimo iż codzienny serwis informacyjny przekazują tam na zmianę i na stojąco, dwie całkiem gołe prezenterki. Na Wigilię będą pewnie z pastorałami i w czapach św. Mikołaja. To zamiast pasterki, bo w życiu z wrodzonej skromności nie byłem na pasterce, gdyż obawiałem się naruszyć własną wstydlivość. Pasterki na obrazach Bouchera (Boże, jak ja ich nie znoszę) zachowywały się zazwyczaj bardzo swobodnie – stąd obawiam się od dzieciństwa, że chodzenie „na” pasterkę, choćby nawet propagował to papież, nosi w sobie zagrożenie dla mej moralnej czystości, dawniej młodzieńczej, a obecnie starczej. Niech już inni figlują z pasterkami. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: Liliana Śnieg-Czaplewska
To: Zdzisław Beksiński
Sent: Wednesday, December 22, 2004 1:37 AM
Subject: A jednak!

No, więc jednak miał Pan rację ze świętym Augustynem, który lubił się przecha-
dzać nad brzegiem morza. Wszystko świetnie Pan pamięta, tylko udaje, że nie.
Jedynie to dziecię było rezolutniejsze i miało odrzec: „szybciej przeleję ocean do
tego dołka, niż ty poznasz tajemnicę Trójcy Świętej”, której św. Augustyn był ba-
daczem. Zaraz wywiad o chorobie z Kamilem Durczokiem. Temat: rak mnie kom-
pletnie zdołował. Błagam, niech Pan da komuś obejrzeć swoją prostatę, niech
Pan nie zaniedbuje, tylko pójdzie do lekarza, byle dobrego. Please.

Liliana

Całuję profilaktycznie

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: A jednak!
Date: 12/22/2004

Całą noc nie spałem, bo kupiłem wczoraj z biegu aparat OLYMPUS E-300, któ-
ry jest całkowitą nowością, ale oczekiwaną już od kilku miesięcy. W Media Markt
otrzymali tylko jeden egzemplarz (bo normalnie nie kupuję niczego z gabloty)
i dyżurni kretyni „uzbroili” go i postawili w gablocie na godzinę przed moim przy-
byciem, robiąc przy okazji odcisk dłoni na tylnej soczewce obiektywu. Gdyby nie
to, że jeśli aparat zda pomyślnie testy, które mam zamiar dziś przeprowadzić,
i tak wymienię obiekty na inny, droższy ze szklami ED, który kosztować będzie
tyle, co cały aparat z tanim obiektywem, to chyba szlag by mnie na miejscu tra-
fił. Jestem przeciwnikiem kary śmierci, ale za zostawianie odcisków palców na
obiektywach czy płytach należałoby winowajców rozwalać od razu i bez sądu,
a zwłoki zostawiać jak w średniowieczu przed wejściem do sklepu, innym su-
biektom dla postrachu. Widok daktyloskopii w takich miejscach, budzi we mnie
zwierzę. Jak Pani się domyśla, to od momentu kupna, nie jestem w stanie ani
myśleć, o czym innym, ani nawet rozmawiać i korespondować z damami
o czymś innym, no, a ten temat, na pewno Pani nie zwilży. Dziś zawieszam ma-
lowanie i cały dzień poświęcę na testowanie sprzętu.

Co do prostaty, to co roku badam markery PSA, a przed dwoma laty robiłem na-
wet biopsję. Prof. Borkowski, powiedział mi przed dwoma laty, że nowotwór
w moim wieku to już nic groźnego, bo rozwija się na tyle powoli, że i tak umrę
na coś innego. Przyjąłem to pocieszenie ze zrozumieniem, ale gdyby mój „Pies”
(PSA) miał jakieś dramatyczne odchyłki od normy, to oczywiście powtórzę biop-
sję i ewentualnie zacznę się leczyć. Sama biopsja jest nieprzyjemna, gdyż wsad-
zają do odbytnicy jakiś taki dinks i w moim wypadku przystojna pani dr Keller
pobrała pstryk, pstryk, aż 12 wycinków. Krwawiłem jak cholera, mimo że zało-

żono mi jakiejs podpaski. Absolutnie nie palę się do powtarzania tego zabiegu, jeśli nie zaistnieje wyraźna konieczność. No nic. Kończę dziś szybko i biorę się za testowanie. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: idiotka
Date: 12/23/2004

Bo ja wiem? Czy posłuszeństwo wyrokom boskim należy określać jako idiotyzm? W pocie czoła pracować będziesz na chleb swój, a ziemia osty i ciernie rodzić ci będzie. Amen. Pani, na dodatek, nie rodzi ostów i cierni, a przynosi kasę. Na dodatek, drukując często, staje się Pani środowiskowo posiadaczką nazwiska. Na dodatek, poznaje pani wielu ludzi, a to zdaje się Pani lubi. A co by Pani chciała robić innego, bo ja zawsze patrzę na to tak: czy robię to co lubię, bo to ważniejsze niż kasa i zmęczenie. W końcu jeśli coś lubię, to gotów jestem nie tylko robić to za darmo, ale nawet dopłacać do interesu. Gdy coś robię, to robię zawsze z myślą, że robię to dla siebie. Potem oczywiście muszę co jakiś czas coś sprzedać, ale nie po to rzecz robiłem. Do wielu rzeczy dopłaciłem i to sporą kasę (fotomontaże), a zarabiają na tym inni, bo ja za darmo rozdawałem płyty i podpisywałem potem wydruki i zresztą robię to do dziś, mimo iż już nie robię fotomontaży. No dobrze: per saldo zapewne lepiej zarabiam od Pani, ale to mi się trafiło fuksem, bo gdybym nie zarabiał, też bym nie przestał robić tego, co robię. No, może biorę pod uwagę siebie sprzed lat, bo teraz w coraz mniejszym stopniu pracuję, a w coraz większym udaję, że coś robię. To fakt. Czas rachunku sumienia? Jutro nawet zwierzęta będą mówić ludzkim głosem. Nie mam materiału doświadczalnego, a zawsze zastanawiałem się jak psy w Noc Wigilijną artykułują głoski przedniojęzykowozębowe. Proszę to sprawdzić na Dudusiu, a tymczasem składam najlepsze życzenia Świąteczne i Noworoczne: oby w nadchodzącym roku uznano Panią dziennikarzem roku i zapewniono pensję pod niebiosa (będę miał od kogo pożyczać). Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: Cierpliwie

Dziś rano pojawiło się niebo, a wraz z nim szansa na malowanie przy świetle dziennym i do godziny prawie 15 uczciwie pracowałem, bo od kilku dni prawie nic nie robiłem, a to z powodu testowania aparatu, a to z powodu komputera. O godzinie 15 przystąpiłem ponownie do prób z aparatem, ale zrobiłem się głodny, więc zagotowałem wodę z zamiarem zrobienia sobie ruskich pierogów MALMA, aliści zadzwoniła z życzeniami znajoma pani muzykolog z Krakowa, a ona ma gadanego, więc trwało to ponad półtorej godziny. W końcu skończy-

ła, a ja ponownie zabrałem się za gotowanie wody na pierogi MALMA, aliści wtedy zadzwonił z życzeniami z Krakowa jej mąż kompozytor, który jednak jest małomówny – po prostu żona zapomniała dopuścić go do telefonu. Po raz trzeci zagotowałem wodę i zjadłem pierogi z pieprzem KAMIS, keczupem HEINZ i korniszonami RĘBEK. W trakcie tego były dwa telefony, ale nie odbierałem. Teraz siadłem do komputera, bo nie umiem zapłacić w firmie Picture Code z Texasu za program Noise Ninja, którego wersję ewaluacyjną ściągnąłem i wypróbowałem w związku z nowym aparatem. Działa genialnie, więc chciałem od razu zapłacić kartą VISA te 80 dol. i mieć ja na stałe, aliści mój brak znajomości angielskiego spowodował, że wykladałem się kilkakrotnie na szczegółach. Otwarłem więc Outlooka, by napisać do znajomego w Toronto, aby mi to kupił po prostu w sklepie, i wtedy spłynął mail od Pani. Odpowiadam więc: tak, już jestem na chodzie, a właściwie na chodzie jest mój komputer. Wesołych świąt już chyba życzyłem. Sam nie świętowałem ani wczoraj, ani dziś, ani w ogóle. Święta trzeba przeczekać tak jak gripę. Nie cierpię Świąt. Amen. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: Liliana Śnieg-Czaplewska
To: Zdzisław Beksiński
Sent: Saturday, December 25, 2004 11:41 PM
Subject: świąteczne pławienie

W gruncie rzeczy zgadzam się, że „święta to grypa”, ale nie, u mnie to angina, którą aktywnie przeczekuję (imbir, sok malinowy, aspiryna i inne rozgrzewacze), ale w końcu i tak biorę antybiotyk.

Liliana

Całuję anginogrypowo (brzmi prawie tak dobrze, jak kunożagiel)

Nie uwierzy Pan, ale moja Mama leżąca już w łóżku (spędza u mnie święta) i słuchająca klikania w klawiaturę, kazała mi w tej chwili „pозdrowić Pana Beksińskiego serdecznie”. Jak się jej spytałam: „za co?”, odpowiedziała: „za trud pisania”. Ojej...

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: świąteczne pławienie
Date: 12/26/2004

Ależ rano sypnęło śmieciem! Tylko jeden mail od Pani i wokół same reklamy do wyrzucenia. Vide załączony zrzut! Hen, na polu błyszczą kwiecie, z komputera lecą śmiecie. Nawet ja jakiś rym ułożyłem. Dziękuję za pozdrowienia i proszę pozdrowić Mamę. U mnie Święta przebiegają bezboleśnie i bez smakołyków, bo nie cierpię zmieniać rytmu i standardu. Dzień jak co dzień i gdyby nie to, że nie mogę np. wyskoczyć do sklepu, by kupić dodatkową pamięć lub tusz do drukarki i nie wypada zadzwonić do technika z zapytaniem, czy mogę bez obawy odblokować „wyskakujące okienko” w witrynie z crackami (wprowadził mi ostatnio ja-

kieś dodatkowe zabezpieczenia i zainstalował jakiegoś rezydenta, który ostrzega mnie co chwila przed ryzykiem związanym z rozmaitymi działaniami na obszarze internetu), to mógłbym nie wiedzieć, że są Święta. Jem tak jak zwykle i także w wyciapanej farbami letniej koszuli z krótkim rękawem i takich samych szorach żeglarskich jak zwykle. Wszystko jak zwykle i tylko za oknami z 3. piętra, widać pary lub całe rodziny w wyjętych z naftaliny uroczystych wdziankach i kapeluszach, jak wsiadają do samochodów i jadą do znajomych lub wysiadają, bo przyjechali do kogoś obok. Święta (jeśli się je obchodzi) to męczarnia gastronomiczno-towarzyska. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: Koniec świątecznych męczarni
Date: 12/27/2004

Wyjść za mąż? Też mi atrakcja i cel życiowy. To dobre dla kogoś, kto skończył szkołę i chce wyrwać się z domu. To prawie tak, jakbym ja pragnął się powtórnie ożenić. Zamiast żyć sobie bez zobowiązań, musiałbym mieć na głowie jeszcze żonę i jej rodzinę, martwić się, że jest chora lub oglądać z nią seriale brazylijskie. Małżeństwo? To tak jak z Ukrainą. Zawsze widzimy na jeden krok przed sobą. Wygrał Juszczenko i teraz zaczną się kłopoty. Bo zaraz pojawi się ukraiński Giertych, księża Rydzyk i Jankowski, Lepper i cała banda oszołomów, którzy zetrą się z naszą, wypróbowaną w tym temacie, pierwszą ligą. Już ja to widzę. Jak w banku mamy powrót do polsko-ukraińskich sporów o to, kto jest większą świnią i jest bardziej winny. Skończy się miesiąc miodowy, a zaczną schody. Niech więc Pani zgoli tą partyzancką brodę (to przenośnia z okresu 2. wojny) i spręda trabanta do muzeum. Toyota jest nie do zatłuczenia.

Film „Telefon”. Zaraz zajrzałem, jaka to produkcja. Zobaczyłem, że thriller. To dlaczego go wczoraj nie nagrałem? Zajrzałem na post it naklejony na pudełku. Ależ nagrałem! Nawet nie wiem, co nagrywam i nie wiem, co potem oglądam. Jak w programie napisane jest thriller, to nagrywam; jak napisane „obyczajowy” – pomijam. Tytuły kompletnie zapominam. To sieczka. Wczoraj wieczorem po skończeniu obrazu (wysyłam) zaczynałem oglądać z kasety 4 filmy. Jeden już kiedyś widziałem, więc zacząłem drugi. Drugi był scifi o mutantach i zrezygnowałem, bo mnie nudził. Zabrałem się za trzeci, ale też już go kiedyś oglądałem. Zabrałem się za czwarty, ale gliniarz zaczął odczuwać miętę do nadzianej wdowy, podejrzanej o zabicie męża – dobry Boże, czy ja to muszę oglądać? Przystałem i zacząłem czytać POLITYKĘ, ale mnie nudziła, więc przerzuciłem się na „Newsweek”, ale nic tam nie było, więc sięgnąłem po WPROST, ale zacząłem mieć kłopoty z prawym okiem (coraz gorzej nim widzę), wokoło grobowa cisza, nikt nie woła. Gdybym ożenił się powtórnie, miałbym przynajmniej kogo zamordować, a tak tłukłem się przez pół godziny w pustym mieszkaniu i poszedłem spać. No, ale czytaliśmy już Koheleta, tak więc wiemy, że wszystko już było i nic

nie ma sensu. A coś można zrobić w taki deszczowy poranek jak dziś? Położyć się i dalej spać, co uczynię ku większej chwale bożej. Amen. Pięknie pozdrawiam

Beksiński

From: Liliana Śnieg-Czaplewska

To: Zdzisław Beksiński

Sent: Tuesday, December 28, 2004 1:11 AM

Subject: A jaka toyota?

Działa Pan na mnie pozytywnie. Znów wydałam kupę forsy na książki na Koszykach. Większość to teksty interpretujące Biblię, twórczość św. Augustyna, a nawet losy twórcy psalmów Dawida (Nie, to ostatnie to już, między Bogiem a prawdą, na własny „umysłowy rachunek”, bo zaczęłam penetrować temat cudzołóstwa, a Dawid – ten zjednoczyciel plemion Izraela okazał się pierwszym wybitnym cudzołożnikiem, a na dodatek mordercą, po czym wszystko mu uszło niemal na sucho). Znalazłam też przecenione pamiątki malarza Tadeusza Makowskiego z pierwszym zdaniem posłowania: „Niemal wszyscy ludzie nie lubią mojego malarstwa” (to ci imponująca autoświadomość), ale ich nie kupiłam.

Liliana

Całuję noworocznie

From: <bex@acn.waw.pl>

To: <lilianasc@neostrada.pl>

Subject: Re: A jaka toyota?

Date: 12/28/2004

Dobry Boże. Wyjdę na biblistę. I tak już Dmochowski przedstawił mnie raz jakiemuś francuskiemu krytykowi pod tytułem Barriere, jako znawcę Tory, Kabały, Zohar i innych Świętych Ksiąg. Dobrze, że nic nie wiedział o hebrajskiej lub teozoficznej numerologii, bo pewnie i tego by mi nie oszczędził. Ależ ja interesuję się tylko sobą i tak było od zawsze. Księgi Królewskie o Dawidzie, Saulu etc. czytałem z Biblii jeszcze jako dziecko, bo w mojej ówczesnej optyce nie bardzo różniły się rozwojem akcji od Tarzana, który wtedy był jedną z moich podstawowych lektur. Czytałem to ze starej, ogromnej Biblii xiędza Wujka czy Wójka, w której laski podrywano tekstem: „dopuść mnie, bym miał sprawę z tobą”, ale na koleżanki to w ogóle nie działało – najładniejszy jednak stylistycznie zwrot zapamiętałem do dziś z Apokalipsy: „natenczas anioł czwarty nagotował się był, aby trąbił”. O, jakie to było fajne! Przez pewien czas nawet używałem języka xiędza Wujka. Potem języka Gombrowicza z „Transatlantyku”, który sam w sobie był już persyflażem. Z osiągnięć seksualnych Dawida, które Panią, jak widać, szczególnie interesują, najzabawniejszy był tekst „godzinek” o Niepokalanym Poczęciu NMP, śpiewany w mym dzieciństwie w kościołach przez stare baby. Owoż był tam zwrot „Abisai prawego Dawida grzejąca”, co było chyba rymem do Jutrznie gorejąca lub Judith wojująca. Jak wiadomo, gdy Dawid był już stary i miał tech-

niczne trudności z cudzołożeniem, bo nie pomagała już nawet viagra, wsadzano mu do łóżka 14-letnią Sulamidkę pod tytułem Abisai, aby miał kogo obmacywać. Zabawne było słuchać o tym w kościele. Teraz, gdy pojawił się problem z molestowaniem nieletnich, zwrot ten został dyskretnie usunięty, bo godzinki śpiewa się chyba nadal, ale w internetowej ich wersji nie ma już nic o Abisai, ani o grzaniu Dawida. W owych czasach pojęcie cudzołożenia występowało w odniesieniu np. do żony Putyfara, ale nie w odniesieniu do ogółu płci przeciwnej jako takiej, tak że wykładnia 9. przykazania ulegała zmianie w czasie, podobnie zresztą jak innych przykazań, które nawet brzmiały inaczej. Np. dziesiąte brzmiało: „nie będziesz jeść mięsa jagnięcia w mleku matki jego”, co pokutuje w umysłowości ludu do dziś jako obawa o niestrawność, gdy kielbasę popije się mlekiem. W młodości przeprowadziłem nawet na oczach ocipiałego ludu eksperyment, polegający na zjedzeniu pęta kielbasy zwyczajnej i popicia kwaśnym mlekiem. Miejscem eksperymentu była fabryka autobusów w Sanoku, a ludem technicy, którzy zafundowali mi kielbasę, byli przekonani, że natychmiast po popiciu jej kwaśnym mlekiem zwinę się w konwulsjach, a ja byłem wtedy gołodupcem i skorzystałem z tego, że ktoś zafundował mi kielbasę, na którą nie było mnie stać. Dziś postrzegam to przykazanie jako dowód na poczucie estetyzmu, jeśli idzie o zasady moralne, wśród dawnych plemion izraelskich. Boże, o czym ja bredzę. A nie mam dziś w ogóle czasu. Nawiasem: pamiętniki Tadeusza Makowskiego, którego wysoko cenię, przeczytałem przed laty w całości. Pięknie pozdrawiam. Pięknie pozdrawiam

Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: Boski Gwałt
Date: 12/30/2004

Sylwestra spędzę, jak zawsze, w towarzystwie własnym i w domu, wetknąwszy w uszy korki, aby strzelanina nie przerywała mi snu. Dostałem oczywiście rozmaite zaproszenia, ale najdziwniejsze dopiero na 15 stycznia na jakiś Bał Przymierza Rodzin – wyobraża mnie sobie Pani, jak sprzymierzam się z Rodzinami??? Okropność! To wszystko dlatego, że wspomagam grafikami rozmaite aukcje na dobroczynność, bo chciałbym na miarę posiadanych środków dorównać Ałowi Capone i dr. Goebbelsowi. Zaraz, zaraz: jacyś Kawalerowie Maltańscy też mi coś wysłali, ale chyba nie zaproszenie na bal. Kawalerowie? Czy seksowne Panny Maltańskie nie mogłyby się mną zająć. Pewnie Panny Maltańskie są dla lepszych graczy. Taoiści w tym kontekście brzmią nadzwyczaj nobliwie. Przed chwilą, odpowiadając Dmochowskiemu, musiałem sięgnąć do chińskiej filozofii przedtaoistycznej, ale i Tao jest dostatecznie stare i nobliwe, by stanowić gwarant uroczystości podniosłej. Koniec roku wiąże się zawsze z nadmiarem niepotrzebnej korespondencji. Życzenia, zaproszenia, obyśmy i tak dalej. Z zaproszeń nie korzystam, a życzenia się nie sprawdzają – rośnie tylko waga makulatury,

którą odniosą do punktu skupu dzieci pana Krzysztofa w ramach obowiązków szkolnych. Od wczorajszego przedpołudnia wyłączono nam ciepłą wodę i kaloryfery i nie mam pojęcia, jak znoszą to inni mieszkańcy tego bloku, którzy nie są do tego stopnia zabezpieczeni jak ja, bo u mnie w nowej sypialni, czyli dawnej kawalerce, grzeje klimatyzacja, a w innych pokojach z pracownią włącznie olejowe kaloryfery i jak na razie nie odczułem różnicy. Gdy jednak wszyscy włączą słoneczka przytargane w tym celu z daczki i działek oraz wypożyczone od krewnych, to na skutek przeciążenia padnie instalacja i nawet u mnie zrobi się zimno. Nie przewidziałem awaryjnego grzania na ropę oraz baterii akumulatorów kumulacyjnych pod podłogą lub w podwójnym stropie – podwójne ściany byłyby jednak lepsze, bo i bez tego jest raczej nisko. Muszę nad tym pomyśleć. W tej chwili córka pani Kupcowej, która pomaga swej mamie w ostatnim tegorocznym sprzątaniu, zeszła na dół i powiedziała, że wg ogłoszenia dziś około godziny 18 zostanie włączone grzanie i ciepła woda. Dobrze i to. Jestem niewyspany, bo spałem przy zamkniętych oknach, jako iż bałem się mrozu w nocy i zamarznięcia kaloryfera pod oknem. Boli głowa. Koniec roku jest wręcz fatalny. Pięknie pozdrawiam

Beksiński

From: Liliana Śnieg-Czaplewska
To: Zdzisław Beksiński
Sent: Saturday, January 01, 2005 2:42 AM
Subject: STTC

Miał Pan świętą rację, sylwester z członkami Taoistycznego Tai-Chi był nad wyraz nobliwy. Najpierw była minuta ciszy za ofiary w Azji Południowo-Wschodniej. Trochę po 23.00 spora grupa zaczęła ćwiczyć tai-chi, ale w dziwnych strojach, bo balowych, a skończyli parę minut przed północą. Akurat tyle, by otworzyć szampana. Pokaz różnił się o tyle od tego, który widziałam przed laty w Szanghaju, że tam cała grupa ćwiczyła porażająco rytmicznie, jakby jeden duch w wielu ciałach. A u nas? Jak to u nas, każdy sobie. Wszak jesteśmy narodem indywidualistów, co widać nawet, gdy trzy girlsy tańczą kankana. U Pana wszystko w sylwestrowej normie?

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: Azja Południowo-Wschodnia
Date: 01/03/2005

Teraz pacyfizm. Wszyscy jesteśmy pacyfistami i wojny obecne to wojny pacyfistów z pacyfistami. Przypominam sobie tytuły dzienników z okresu wojny. Już Adolf Hitler walczył o trwały pokój w Europie i na świecie. Zapewne także cele Pol Pota były zgola ewangeliczne. Co ma jednak robić nieszczęsny miłośnik pokoju, jeśli inni miłośnicy pokoju chcą mu spuścić łomot? Oto pytanie za 100 000. Chrystus powiedział, żeby na rzucanie kamieniem odpowiadać rzutem chlebem,

i z punktu widzenia eschatologii jest to rozwiązanie jedyne, ale nie wytrzymuje krytyki, jeśli życie doczesne jest dla nas ważniejsze od życia pozagrobowego – no, a Pani mieni się być materialistką, czyli stawia Pani na doczesność, a nie na Pozagrobowe Życie Wieczne. Jak więc pogodzić to z pacyfizmem? Ma Pani problem. Cały mój list na NIE. Przepraszam, więcej nie będę, a na razie pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: bex@acn.waw.pl
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: 2 plus 1
Date: 01/10/2005

To bardzo smutne, co Pani pisze o tej gwiazdzie piosenki sprzed lat. Akurat ją jakoś pamiętam, choć nie interesowałem się w ogóle krajową muzyką pop. Owa liderka grupy 2+1, podobnie jak jej piosenki, była ulubienicą mojej mamy – ja ją (zapewne na złość mamie) nazywałem „śkroflowata”, co było ludowym określeniem z rzeszowszczyzny, związanym ze skrofulami. Oczywiście, była to złośliwość, i to raczej w stosunku do mojej mamy niż owej pani. Twarz jej pamiętam jak przez mgłę. Piosenek nie pamiętam chyba w ogóle, być może ich nie znałem, chociaż oglądaliśmy wtedy wspólnie festiwale piosenek, bo nie było w zasadzie nic innego do oglądania. „Windą do nieba” z czymś mi się chyba kojarzy...



Te aparaty (ten większy – najcenniejszy nabytek Bexy, kupno tego mniejszego doradzał) znaleziono w domu jednego z zabójców

Ciekaw jestem, jaki koniec mnie czeka. Na dworcu? Taki upadek zawsze jest cholernie smutny. To, co piszą o niej brukowce i że w ogóle coś piszą, nie dotarło do mnie, bo jakoś niewiele do mnie dociera. Coś musiało być pierwszą przyczyną takiej degrengolady. Narkotyki? Choroba psychiczna? Facet, o którym przed jakimś czasem Pani coś pisała, a tylko nie pomnę co (fotograf Tomasz Guźdzowaty), przysłał mi przedwczoraj wspaniałe wydany album zdjęć i kalendarz OF EAGLE AND MAN. Będę musiał paroma słowami podziękować na adres internetowy, który go firmuje – tyle że ja kalendarza nie mam gdzie użyć, a albumu nie mam nawet gdzie położyć. Do pewnych aspektów rzeczywistości i human behaviour, nie jestem ani przygotowany, ani zaadaptowany. Dostałem zaproszenie na bal. Stroje wieczorowe obowiązkowe. Ze strojów wieczorowych mam tylko piżamę. Inna rzecz, że na bal i tak bym nie poszedł, bo tego rodzaju imprezy maksymalnie mnie odpychają. Podobnie z albumami, a nawet odzieżowymi prezentami od znajomej pani stomatolog z Zabrze. Co ja mam z tym zrobić? Dziwny jest ten świat. Dobrze, że przynajmniej Niemen umarł jak człowiek, a nie pod płótnem. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: bal
Date: 01/11/2005

Co do niedgysiejszej gwiazdy, to sprawy takie poruszają mnie (nie wiem dlaczego) silniej od całego Tsunami. Myślałem o tym przez cały dzień, mimo iż tej grupy nie cierpiełem, a zapewne tej pani też. Przypomniałem sobie też, że szlagier „Winda do nieba” jest mi jednak z niewyjaśnionych przyczyn znany, bo czasem czepia się mnie w trakcie bezsennej nocy lub w trakcie pracy, na zasadzie upierdliwej melodii, z której nie można się wypłatać. Zdaje się, że Tetmajer też tak skończył. No, a utalentowany śmierzdział, który przed pół rokiem usiłował wydusić ode mnie kasę? A Dostojewski, który umarł jako Kapitanow w przytułku dla alkoholików? Zawsze czuję się tak, jakbym był temu winien. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: Liliana Śnieg-Czaplewska
To: Zdzisław Beksiński
Sent: Wednesday, January 12, 2005 12:38 AM
Subject: leksykon

Tak samo jak Dostojewski (czyli źle, bo anonimowo, we francuskim przytułku) skończył wielki poeta Norwid. Właśnie w zasięgu ręki, na półce mam „Leksykon śmierci wielkich ludzi” Isabelle Bricard. Myślałam, że znajdę tam Norwida, ale nie było. Był za to Nowotko i... Eichmann. Rzeczywiście, wielki człowiek.

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: leksykon
Date: 01/12/2005

Mea culpa, mea culpa! To nie Dostojewski umarł jako Kapitanow, lecz Musorgski. Pamięć płata mi, jak widać, figle. Może to wstęp do alzheimera? Co do wielkich ludzi, to nie wiadomo, jakie przyjąć kryterium wielkości. Eichmann miał proces w Izraelu, a co do Nowotki, to do dziś, mimo zmiany ustroju, nie wiadomo do końca, jak to było. Pamiętam z lat real socjalizmu powolny striptease całej tej sprawy zainicjowany przez rewelacje Światły w Wolnej Europie. Na początku Nowotkę zabili niemieccy faszysty. Potem Nowotkę znaleziono martwego na ulicy. Potem Nowotkę zastrzelił agent amerykański Mołojec. Potem tenże Mołojec zrobił to za namową swego brata i tak dalej... Przedwojenny mąż zmarłej niedawno Marysi Turlejskiej był w pierwszej grupie inicjatywnej późniejszego PPR, którą chyba rozwalono na lotnisku Wnukowo (oficjalną wersją była katastrofa samolotu zaraz po starcie). Marysia nosiła potem na ręce ogromny przedpotopowy zegarek po mężu, który z Moskwy przywiózł jej właśnie Nowotko, ale tak naprawdę to nie wiadomo, czy to nie dlatego pierwsza grupa została zlikwidowana, by w drugiej mógł się znaleźć właśnie Nowotko? Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: Nowotko
Date: 01/13/2005

Ponura sprawa z tą piosenkarką. Nie umiem takich rzeczy słuchać, i to nawet gdy dotyczą ludzi na szczycie, którzy mieli opiekę i nigdy nie groziło im tułanie się po śmietnikach, np. Ronald Reagan. Rozmawiałem na ten temat wczoraj z młodszym o 20 lat kolegą. On miał zaraz po stanie wojennym jakąś dziewczynę, jak twierdzi: największą miłość jego życia, ale ona miała wbudowany jakiś układ autodestrukcyjny w sobie. Wydał na nią do grosza wszystko, co zarobił w Niemczech w trakcie stanu wojennego, kupił jej samochód, zapewnił mieszkanie etc., a ona i tak poszła sobie w siną dal i teraz podobno żeruje w łachmanach na jakichś śmietnikach, śpi pod mostem i tak dalej. Ja miałem ten problem z Tomkiem, tyle że on się nie staczał fizycznie i był do końca dobrze ustawionym i dobrze zarabiającym, umyłym i zadbanym facetem, nawet zleczone prace zakończył przed samobójstwem i zostawił uporządkowane, ale od środka działało się to samo. Autodestrukcja na tle psychicznym. Podobnie jak ten Ziarniniak Wegenera u pani Lidii jest autodestrukcją na płaszczyźnie somatycznej, tak jakby organizm sam chciał się zniszczyć. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: Lonnie Waters
Date: 01/22/2005

Lonnie Waters? Od czego, na Boga, jest internet. Gdy nie znam jakiegoś nazwiska, to je wystukuję. To taka modelka od softcore o urodzie głupiej blondynki, ale ma wszystko na swoim miejscu, a do głupich blondynek od zawsze miałem słabość. Skąd akurat ona przysłała mi do głowy? To skomplikowany i raczej melancholijny proces myślowy: Mój starszy kolega, o którym pisałem, przyniósł mi plastikowe opakowanie pod tytułem „Ciasteczka babci Jasi” i pogryzam je już trzeci dzień. U nas w domu ciasteczka te nosiły nazwę „Ciasteczka przez maszynkę”, nawet sam je robiłem pod okiem mamy i były bardziej słodkie i bardziej kruche, ale ani jedno, ani drugie nie znalazłyby uznania w oczach dr. Kwaśniewskiego. Ale nie o tym miałem, a tylko o tym, że zrobiło mi się bardzo smutno, gdy przeczytałem tę nazwę, bo Jasia gdyby miała dzieci, byłaby już babcią, a ja jeszcze pamiętam ją z czasów, gdy wyglądała jak Lonnie Waters. Piękni dwudziestoletni. Gdy będąc na jakiejś delegacji w Warszawie, siedziałem z kuzynką na jakiejś ławeczce przy obecnym rondzie z Palmą, Nowy Świat przekraczał jakiś chłopak, który wydawał mi się sporo młodszy ode mnie. „Hhhlłasssko”, wydyszała mi w ucho z zachwytem. Była wtedy studentką AWF, a zmarła na raka jako babunia przed kilku laty, będąc psychologiem i pracownikiem Akademii Nauk – nad grobem truł coś Reykowski. Gdy umierała, zostały z niej już tylko oczy. A gdzie jest Hłasko? No, a ja, starszy od nich wszystkich, ciągle jestem i oglądam sprośne obrazki w internecie. Wyobraziłem sobie Lonnie Waters jako babcię Jasię za jakieś głupie 50 lat z przepraszającym wzrokiem i artretyzmem dłoni i zrobiło mi się smutno w stylu „Sag wo die Soldaten sind, wo sind sie geblieben”. W młodości, gdy jeszcze marzyłem o karierze reżysera, opracowywałem scenariusz krótkiego filmu, a właściwie tylko jednej rozbudowanej na cały film sceny: stara kobieta idzie przez miasto, które się rozpada. Wypadają szyby, futryny, osypuje się tynk ze ścian, wychodzi powietrze z opon samochodów, odpadają z nich klamki, drzwi, wszystko sukcesywnie rozsypuje się i na koniec wśród falującego oceanu gruzu (dzisiaj dałoby się to zrobić na komputerach – wtedy planowałem ukryte spychacze gruzu) zostaje tylko owa stara kobieta, którą wtedy postrzegałem w czarnej chustce i takiej samej mantylce, a dziś widzę ją raczej jako jakąś Lonnie Waters. Zaraz znajdę ją w internecie i załączę do listu, a tymczasem pięknie pozdrawiam Beksiński

PS: Na hasło „Lonnie Waters” wyskoczyło 112 000 stron!

From: Liliana Śnieg-Czaplewska
To: Zdzisław Beksiński
Sent: Monday, January 24, 2005 12:14 AM
Subject: spójny świat

Dlaczego świętuch? Na litość Boga! Przecież nie z powodu tego, co Pan napisał, tylko z powodu tego, co Pan przesłał. Moje obie Małgośki obejrzały Lonnie

Waters i stwierdziły, że lalunia ma implanty piersiowe, sztuczne rzęsy, krzywe wargi sromowe, a z buźki wieje prymitywizmem. I po co mam wystukiwać w internecie Lonnie Waters? Żeby dostać 112 tysięcy stron? To wolę spytać Bexy i dostać dwa seksowne obrazki (które zresztą „pchnęłam” natychmiast Małgoście-chirurgowi. A co mi tam! Niech wie, z kim ja się zadaję).

W piątek od wydawcy Wiesia Uchańskiego (Iskry) dostałam masę książek, w tym świetne „Aforyzmy i rysunki” Andrzeja Mleczki. Czytałam jego złote myśli i od razu mi się poprawił humor. „Nie mów, że masz czas, to czas ma ciebie”. Albo: „jeżeli twój pies cię nie lubi, to nikt cię nie lubi”. Jest też przasne „kto pieprzy, ten lepszy”.

From: <bex@acn.waw.pl>

To: <lilianasc@neostrada.pl>

Subject: Re: spójny świat

Date: 01/24/2005

Nie domyśliłem się, że idzie o zdjęcia, bo zdjęcia były wręcz niewinne jak z gazetki szkolnej (Jezu – żeby Pani widziała, jakie zdjęcia oglądałam z największą satysfakcją oraz wypiekami, to dopiero usłyszałbym). Opinie obu pań urocze! Kobiety, widać, tak już muszą. Od kiedy sięgnę pamięcią, to zawsze gdy powiedziałem, że podoba mi się jakaś dziewczyna, dowiadywałem się, że wygląda jak kurwa i wieje od niej prymitywizmem i wulgarnością. Co do prymitywizmu, to ona przecież nie staje do konkursu na wykładowcę MIT, a zresztą teorie fizjonomiczne, takie jak słynna teoria Lombrosa, należą już do przeszłości – nie znam naprawdę biografii tej panienki, bo nawet jeśli bym ją w internecie znalazł, to na pewno jest fałszywa, ale pozory czasami mylą i mogłoby się okazać coś wręcz przeciwnego, np. że ma doktorat z historii sztuki lub egiptologii – w końcu pozowanie to dżob, i to cholernie dobrze płatny – już te 112 000 stron pośrednio o tym świadczą. Co do implantów, to ja naprawdę umiem rozpoznać implanty, nawet jeśli by je robił bardzo dobry chirurg, a znam osobiście kilku. Lonnie Waters nie ma implantów.

Aforyzmy Mleczki przysłała mi razem z bajeranckim swetrem pani stomatolog przysyłająca mi różne prezenty. Rzeczywiście, rzadko się zdarza by w jednej książce było aż tyle fajnych dowcipów i zabawnych myśli. Np. strony 14 i 15. W tym temacie (jak wmawiał mąż opatrzościowcy) w pełni się z Panią zgadzam. Wczoraj przez 3,5 godziny maltretowała mnie wysoka i anorektyczna studentka dziennikarstwa poopinana nabijanymi ćwiekami paskami i łańcuchem sięgającym do kolan. Podobno jej profesor jest moim fanem, więc dostała za temat wywiad ze mną. Miła panienka, ale po 3,5 godzinach byłem jak wyżęty. Najgorsze, że podobno ma to być w jakiejś gazetce studenckiej, więc będę musiał jeszcze autoryzować. Uwaga, uwaga: powyższy tekst nie zawiera podtekstów damsko-męskich – czytać to, co zostało napisane, a nie stosować interpretacji Chrystusowej. Ilekroć teraz w moim tekście wystąpi osobnik płci przeciwnej – zawsze dodawać będę taką uwagę. Howgh! Pięknie pozdrawiam

Beksiński

From: Liliana Śnieg-Czaplewska
To: Zdzisław Beksiński
Sent: Tuesday, January 25, 2005 1:15 AM
Subject: Mleczko 6, 30, 126

W kwestii implantów: może i zna Pan dobrych chirurgów plastycznych, ale dawno Pan z nimi nie rozmawiał. A ja dopiero co! I oglądałam najnowocześniejsze wkładki. Niech Pan popatrzy na tę pierś Lonnie, którą sfotografowano en face (cycek „gębą do przodu” – to mi konstrukcja wyszła). Naturalny biust wznosi się i opada łagodnie, naturalnie, jak stok, po którym zjeżdża narciarz, a nie gwałtownie, aby się aż pagórek ze zmarszczką zrobił. Nie ma cienia wątpliwości, Lonnie ma sztuczny cyc! Wielu lekarzy innych specjalności, ale też chirurgów, przy jakości dzisiejszych wkładek (no i wtedy gdy się nie wszczepia balonów, a umiarkowaną wielkość), nie jest się w stanie zorientować w temacie „sztuczne czy prawdziwe”. Od Sankowskiego i nie tylko usłyszałam na ten temat mnóstwo anegdot wprost z życia wziętych. Niestety, Lonnie W. wałnęła sobie niezłe buforę, a gigantomania jest zdradliwa. Mleczko mówi: „Nie mów o sprawach sercowych, gdy masz kłopoty z żołądkiem”. Cudo, czyż nie?

Liliana

Całuję mlecznie

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: Mleczko 6, 30, 126
Date: 01/25/2005

Kurczę. Muszę odpowiedzieć raz jeszcze w kwestii LW, bo to już nie o nią chodzi, lecz o moją umiejętność widzenia tego, na co patrzę. W sumie bowiem, czy ktoś ma wkłady, czy ich nie ma, jest bez znaczenia dla oceny czyjejś urody lub jej braku, ale JA miałbym nie rozpoznać wkładów? Jedno, co nasza dzielna Lonnie mogła sobie zafundować, to niewielki lift pod pachami, ale przypuszczam, że wątpię. W końcu w ponurym okresie hegemonii klasy robotniczej, gdy nikt jeszcze nie słyszał o wkładach, zdarzało mi się zobaczyć między mszą poranną, szkoleniem obywatelskim i nieszporem, kilka cyków. W końcu to, czym dysponuje LW nie jest czymś aż tak nadzwyczajnym, żeby musiało być wynikiem protezowania. Przez chirurgów plastycznych zarówno z Polanicy, jak i z Nowego Jorku, jestem traktowany jako facet od planowego oszpecania i stale dostaję albumy z dedykacjami, bo chyba lekarze inaczej postrzegają moje obrazy niż ja sam, ale zauważam oczywiście, że obraz, który uważam za idylliczny jest, zewnętrznie rzecz biorąc, bardzo podobny do fotografii dziecka, któremu pies odgryzł pół policzka tak, że zęby i szczęką są widoczne od zewnątrz. Ja naprawdę nie patrzę na obrazy od tej strony, ale tak jak ja patrzą tylko moi kumple, którzy na dodatek sami malują i widzą OBRAZ. Dla innych, a w tym dla lekarzy, obraz jest odzwierciedleniem rzeczywistości. No, ale zjechałem z tematu. Aby go więc zakończyć: Pani lubi oglądać głupowate blondynki, ale ja, mimo swych lat, pa-

trzę na nie w zrozumieniu Chrystusowym (ewangelia św. Mateusza 5, 28), a więc inaczej niż Pani. Aby jednak zakończyć polubownie i zadowolić obie strony, dodajmy to, że Lonnie ma nie tylko implanty, ale też protezy szczękowe w systemie Branemarka, pogrubione wargi, sztuczne pasma włosów, bo własne jej wypadają, jak większości blondynek, i jest już prawie łysa, a nierówne wargi sromowe i kształt kości obojczyków świadczą o zaawansowanym postępie krzywicy, który spowodował na pewno, że ma jedną nogę cieńszą, drugą grubsza, o płaskostopiu i szpotawości nawet nie wspominając. Na pewno – co widać z wyrazu twarzy, ma hemoroidy, jak i problemy ze zwieraczem zarówno odbytu, jak i pęcherza oraz (zapomniałem, jak to się nazywa) zaworem żołądkowym, co powoduje u niej nieustanny nieświeży oddech, od którego padają muchy, a jej pocałunek zabija niczym gaz musztardowy Saddama. Jedno oko, co wyraźnie widać (a co potwierdziłaby prof. Gierek), na pewno jest sztuczne, bo wybił go jej pijany ojciec, gdy opierała się przed molestowaniem w dzieciństwie, w wyniku czego jąka się i ślini oraz nie bardzo kojarzy, co do niej mówią, a dermatografia na jej skórze wykazuje na nieudolnie wyretuszowane efekty łuszczycy, nie wspominając o czyrakach i egzemie. Niewątpliwie też, co widać po jedynym zdrowym oku, przeszła w dzieciństwie przez leukotomię, bo ukazywała się jej Matka Boska i namawiała do zastrzelenia szeryfa z dubeltówki ojca, na skutek czego cierpi obecnie na syndrom Phineasa Gage, kradnie, kłamie i się puszcza. Jest jeszcze u niej wiele innych mankamentów, które powodują, że właściwie mamy do czynienia z wyretuszowanym potworem, ale moja dysleksja nie pozwala mi na ich wymienianie, bo potem korekta tekstu mnie wykończy. Większość ludzi kompletnie nie umie patrzeć i zarazem widzieć, a te nierówne wargi sromowe są tego najlepszym dowodem – moja znajoma każdą postać sfotografowaną z żabiej perspektywy postrzega jako garbatą, a nie dalej jak przed dwoma dniami prawie obraził się na mnie znany i wychowany na podręcznikach Cypriana i Romera fotografik, gdy w trakcie dyskusji o roli szkła ED ośmieliłem się powiedzieć, że dystorsja beczkowa (barrel distortion) jest naturalnym efektem widzenia i wynika z samej istoty perspektywy i budowy oka. „Ja mam dobre oczy, proszę pana” – fuknął z wyraźną złością – o kurczę: w ferworze kompletnie odbiegłem od tematu – proszę wybaczyć, ale czasem złość mnie poniesie, a zatem wracając do naszych baranów: Trochę inne rzeczy nas bawią u Mleczki. Pamiętam jego dowcip sprzed stu lat, gdy za czasów rosnących cen POLITYKA umieściła reprodukcję Wernyhory Matejki z dymkiem Mleczki „Widzę jajka po 25 złotych!”. Do dziś mnie to śmieszy. Trafiają mu się także myśli zaskakująco celne i mądre, jak np. na stronie 96. Nie znam osobiście Mleczki, ale ktoś mi mówił, że pochodzi też z Sannoka. To by oznaczało, że mamy wspólne galicyjskie poczucie humoru. Pięknie pozdrawiam

Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: ewangeliczne pożądanie bliźniej mej

Na mojej wątrobie też uczyli się studenci. „Co państwo tu widzą?”, a państwo chowali się jedni za drugich – to nawet była zabawna scena. Ja w każdym razie takie kontakty wspominam mile i oczywiście wolę, gdy rzecz nie ma się ukazać w druku, lecz tylko w pracy, bo wtedy nie muszę jej autoryzować. Gdy ma się ukazać nawet tylko w piśmie akademickim, to i tak trzeba autoryzować, bo lichowie, czy to się gdzie w jakiejś bibliotece nie zachowa i potem nie będzie przez kogoś cytowane, a ja wyjdę na idiotę. Udzielałem wywiadów nawet do gazetek klasowych przyklejanych do ściany w szkołach na głębokiej prowincji. Jak widać, jesteśmy inni. Nie przepadam za dziećmi, ale traktuję je z szacunkiem i na serio. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: Nauka i Wiedza
Date: 01/28/2005

Moja dentystka musi kupić jakieś specjalistyczne narzędzie, by nie poszerzać mechanicznie kanału. Przyjechałem do niej o godzinie 11, a wyszedłem od niej o godzinie 14. Podjechałem potem jeszcze po zakupy typu jajka, serki, chleb miodowy i na pocieszenie zafundowałem sobie 10 tubek i dwie puszki słodzonego mleka z Gostynina (ojciec: zapomniałem o nim, a teraz MUSZĘ wsunąć ze dwie tubki, bo na myśl o słodczy, aż skręca mnie z pożądania)... Consumatum est. Potrzebne mi były na to niecałe 3 minuty!!! Nawet Lonnie Waters nie byłaby zdolna wywołać u mnie takiej fali pożądania jak widok przepięknej krowy na tubce z Gostynina. Mówiąc inaczej: jeśli nawet ten wizerunek krowy nie był zdolny obrzydzić mi słodzonego mleka, to już nic nie jest w stanie tego sprawić. A więc wracając do tematu – gdy wczoraj, skręcając się z głodu, wróciłem w końcu do domu i zamówiłem TelePizzę, to razem z nią wparował do mnie jakiś galerzysta z Sopotu, który potem pił ze mnie krew aż do godziny 18, kiedy wreszcie kompletnie wyżęty, nie byłem już zdolny do niczego z wyjątkiem zabawy z nowo nabytym dyktafonem (kupiłem w końcu, ale aż w Poznaniu via internet i Masterlink). Ciekaw jestem, czy kiedykolwiek wyjdę poza „raz dwa trzy cztery próba mikrofonu”.

Ilość zabaw erotycznych ludu bożego i nazw z tym związanych jest olbrzymia i samemu wytryskowi towarzyszy co najmniej 5 podkategorii, z których najdziwniejsze dla mnie są towarzyskie spotkania, polegające najpierw na konwencjonalnym pieprzeniu, ale clou stanowi obryzgiwanie spermą twarzy jakiejś umówionej w tym celu panienki przez 10–20 facetów tak, że po tym zabiegu wygląda jak obrzucona galaretką na filmie slapstickowym i krzywo się uśmiechając, szczególnie gdy ma spermę w oczach, demonstruje profesjonalne rozanielenie. W niektórych odmianach ma założony rozwieracz szczęk z prosektorium, bo panowie wa-

lą spermą do ust. A ileż w tym beztroskiej zabawy, gdy nie trafią i polecą na włosy! W niektórych seansach występują trzy facetki, które magazynują spermę w ustach i potem wypływają do kieliszków i wymieniwszy się wypijają z wyrazem niebiańskiej szczęśliwości, co jednak nie zawsze fajnie im wychodzi. Rodzaj komunii. Jest oczywiście też odmiana wygniatań spermy z pochwy lub odbytu do kieliszka i potem wypijania. Na zdrowie! Bardzo fajne jest obejrzenie tego rodzaju dokumentacji fotograficznej przed lub w trakcie śniadania. To jeszcze nie wpadło do głowy nikomu od diety odchudzającej. Ponieważ panowie są bardziej wstydliwi od pań, to połowa z panów jest w maskach lub z zasłoniętym obliczem: grubasy, półstarcy, młodzieńcy, murzyni etc. Niby klasyczny gangbang, ale z określoną stylizacją i scenariuszem – jak teatr Kabuki. No, to tyle i pięknie pozdrawiam

Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: Rozdzielczość Pani Parówkowej
Date: 02/01/2005

Co do podłogi z drewna doussie, to nie powinienem się w złości wypowiadać, jako iż opinia o tym, że na plastiku słoje są zawsze piękne, dziabnęła w najbardziej obolały obszar mej estetycznej świadomości. „Piękne” słoje na plastikowych panelach w moim mieszkaniu dają w stosunku do niżej podpisanego podobny efekt jak głaskanie kota pod włos. Nie znoszę słoików, a drewna głównie dlatego, że posiada słoje. Plastik, czyli coś, co w mojej opinii zbliżone jest nieomal do ideału, naśladowający coś tak przeze mnie nie lubianego jak drewno jest (nadal: dla mnie) czymś absolutnie horrendalnym, ale niestety nie ma innych paneli plastikowych o neutralnym zabarwieniu i desenie. Wszystkie naśladowają drewno, bo prosty lud boży chce mieć u siebie (choćby tylko optycznie) deficytowe drewno, a vox Populi to w handlu vox Dei. Nie robią przecież dla jednego Beksińskiego neutralnej podłogi, nie naśladowującej niczego. Tak więc Pani zgryźliwość ugryzła nie tam, gdzie Pani chciała, lecz w samo serce. Pięknie pozdrawiam

Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: drewno, słoje, parówki
Date: 02/02/2005

Damska argumentacja. Gdy mówiłem żonie: tu nie wolno parkować, ona na to: popatrz: ten palant przed nami tu właśnie zaparkował. No to z faktu, że on złamał przepis, nie wynika uogólnione prawo na łamanie przepisu przez innych. Bóg z panią Parówkową. Ja się więcej ze swoimi myślami nie będę wtrącać. I mówię, że gdyby kobiety rządziły, nie byłoby wojen. Ależ dopiero wtedy byłoby

wojny totalne: powyrzynająby się do nogi. Gratuluję wyróżnienia – ja przestałem czytać nie tylko POLITYKĘ, ale wszystko. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: człowiek czyni różnicę
Date: 02/05/2005

Z weselszych spraw, to w moim rodzinnym Sanoku postrzegany jestem jako milioner gdzieś między Kulczykiem a Billem Gatesem. Ostatnio Stowarzyszenie Przyjaciół Heleny Kosiny (koleżanka mojej mamy, którą nazywałem ciocią, potem pani profesor liceum w Sanoku) wysłała mi grube portfolio kolorowych ksero z lokalnej prasy i obszerny list sławiący moją rzekomą chęć niesienia pomocy, no i numer konta w banku. Powinienem dopomóc w budowie czegoś, czego nie mam nawet cierpliwości zgłębiać, ale tu na razie jest ściernisko, ale będzie San Francisco, każda pomoc się liczy i jasne jest, że oczekują na jakiś drobny gest z mojej strony, więc nawet głupie 50–100 000 zł od biedy by wystarczyło, bo ktoś musi to San Francisco sfinansować. Zawsze czuję się zobowiązany, ale (na Boga!) mogę pomóc chorej kuzynce w sfinansowaniu jej pomocy domowej, kiedzie, kuzynowi czy dobrej znajomej, bo los ich osobiście znam, i to pomóc w zakresie takim, na jaki mnie stać, ale do finansowania jakichś instytucji mogę przyczynić się tylko ofiarowaniem jednej czy dwóch grafik na aukcję. Tu jednak nikt nie ma zamiaru męczyć się aukcjami. Po prostu, wyciągaj rękę do sponsora. Dzwonię w tej sprawie do zaprzyjaźnionego dyrektora Muzeum w Sanoku, a on mi mówi, że to tylko wierzchołek góry lodowej, bo nawet szpital zwracał się do niego o mój adres, abym zakupił im tomograf czy coś w tym stylu. On – o ile może – stopuje takie zapędy, tak więc do aureoli milionera dochodzi korona cierniowa milionera-świni, która nie chce się podzielić swymi milionami z głodującym narodem. No, to tyle opowieści rozweselających, chociaż mnie to nie rozweseliło, a wręcz przeciwnie. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: Liliana Czaplewska <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: zawalony dzień
Date: 02/06/2005

Wisłocka. Nie mogłem skojarzyć, skąd znam nazwisko, ale od czego internet. Wiem już, o kogo biegnie, ale nie czytałem dzieła, na którym wychowały się trzy pokolenia, jak informuje internet. Jestem poważnie niedokształcony w sztuce kochania i nawet pornokasety wprawiają mnie w kompleksy. Dlaczego ta cholerna gra wstępna musi trwać tak długo? Ja mam podejście jednego z bohaterów Hemingwaya, który marzył, żeby z kobietami dało się to robić „bez tego całego gadania”. Powiedziałem to przedwczoraj memu młodszemu koledze, a kumplowi

mego syna, który ma poniżej 50 i uprawia życie playboya. Przygruchał ostatnio przez internet jakąś dziewczętkę z Siedlec, która przyjeżdża do niego co tydzień do Warszawy. On, jak playboy starej daty, robi jakąś wytworną kolację i zapala świece, a ona chce od razu do łóżka. „Akurat jak dla pana!”, powiedział mi z przekąsem. Rzeczywiście – gdybym nie był już stary, to taki układ by mi odpowiadał, czyli bez świec i kolacji. Szczególnie, że on robi łososia, a ja ryb nie cierpię. Miałbym się aż tak męczyć dla seksu? Pozwoliłem sobie zakpić z nowocześnieści i internetu, że przecież raz na tydzień to nawet proboszczowi nie wystarcza, więc ta biedna dziewczyna nie tylko musiała wydać kasę na komputer i połączenie z internetem, ale musi jechać z piątku na sobotę do Warszawy, a z niedzieli na poniedziałek do Lublina, we wtorek do Białegostoku, tylko środę i czwartek ma wolne od podróży, bo wtedy mąż nie ma dyżuru i jest w domu i tak dalej. Majątek wydaje na koleje państwowe, wędzić się musi przy świecach i kolacjach, a może podobnie jak ja nie cierpi ryb, zaś wystarczyłoby kupić w sekszopie poślaczany wibrator i zamknąć się codziennie wieczorem na 15 minut w łazience i po sprawie. Zaoszczędzony czas mogłaby poświęcić na samodoskonalenie się, a zaoszczędzone pieniądze na nowe kiecki. Nie wiem, czy moje rady są zgodne ze sztuką kochania, ale na pewno oszczędzają czas, zdrowie i pieniądze. Pięknie pozdrawiam
Beksiński (ta świnia)

From: Liliana Śnieg-Czaplewska
To: Zdzisław Beksiński
Sent: Monday, February 07, 2005 12:14 AM
Subject: poślaczany wibrator

Poślaczany wibrator nie rozwiązuje problemów. Nie prawii komplementów, nie mówi „jakie aksamitne masz ciało”, „nigdy w życiu nie...”, „jesteś jak...” Może czasami da stówę na powrót (co pomniejsza wydatki, przecież kumpel Tomka, a więc w pełni sił młody mężczyzna, w życiu się Panu nie przyzna, że zwraca dziewczynie koszty własne, albo i daje premię, bo nie będzie chciał nadwątlić poczucia własnej wartości). Cudowny Kałużyński mawiał: „wie pani, jaki jest ideał kochanki? Taka, co to nakarmi, napoi, ukocha i jeszcze da 5 rubli na drogę”. Nie cudne? Ruble zmieniły się w euro. Reszta też aktualna.

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: poślaczany wibrator
Date: 02/07/2005

Mam krótką peredyszkę, bo coś tam musi wyschnąć, bym mógł pracować dalej, a więc odpisuję już teraz, mimo iż świeci słońce. Kałużyński w swoim powiedzeniu zapomniał o jednym. Ideał kochanki powinien też wyglądać tak jak Lonnie Waters, bo takich, co to napoją, nakarmią i dadzą 5 rubli jest setki, jeśli nie setki tysięcy. Jestem niestety wzrokowcem. No i oto stajemy przed problemem te-

go, co uważamy za rzeczywistość, bo tak naprawdę żadnej rzeczywistości nie ma, a są tylko nasze wyobrażenia na temat. Nawet sobie Pani nie zdaje sprawy, jak blisko jesteśmy chwili, w której wibrator będzie mówił inteligentne komplekty, wyglądał jak Tom Cruise, ale o wzroście 190, siłę Gołoty, błyskotliwości Kałużyńskiego, dzwonił najpierw, by się umówić, posiadał sześć fakultetów, osiem doktoratów, tytuł profesora zwyczajnego w kilku najważniejszych uczelniach świata, był na ty z prezydentami USA i Rosji, miał 25 lub 30 lat i wszystko, co sobie Pani zamarzy, a na dodatek nie lenił się w łóżku. Rzeczywistość wirtualna typu Matrix, stoi już za drzwiami, a, jak się wydaje, na wielu obszarach (technika wojskowa) już przez te drzwi powoli wchodzi. Potem już tylko od nas będzie zależało, czy ją zaakceptujemy, ale skoro zaakceptowaliśmy tę fikcję (maya, sangsara, uluda i tak dalej), w której żyjemy i traktujemy to za coś oczywistego, to jak mi się wydaje, z przesiadką nie będzie trudności.

Zauważyłem ciekawy fenomen: Liczni ludzie na stanowiskach zarówno w bankach, jak nawet w polityce, twierdzą, że mój syn Tomek ustawił ich muzyczny światopogląd, i faktycznie tak jest, chociaż ja się z Tomkiem prawie nigdy nie zgadzałem i uważałem, że plecie w radio banialuki. Oni jednak wtedy mieli po 16–18 lat i on był dla nich muzyczną wyrocznią, i potem zostało im to już na całe dorosłe życie. Mało kto analizuje siebie i swoje upodobania powtórnie. Co do „pompki”, to umrę zapewne na wylew do mózgu, gdyż serce mam raczej OK. Pięknie pozdrawiam i wracam do pracy.

Beksiński

From: Liliana Śnieg-Czaplewska

To: Zdzisław Beksiński

Sent: Tuesday, February 08, 2005 2:10 AM

Subject: męski Lonnie Waters

Jak powinien wyglądać facet, któremu spragniona seksu, dobra i czuła kucharka dałaby z chęcią 5 rubli na drogę? Jak Pierce Brosnan, Mikulski, Wilczak czy młody Stuhr? Bo ja „poniżej” bym nie zeszła. Usługa płatna powinna trzymać poziom.

From: <bex@acn.waw.pl>

To: <lilianasc@neostrada.pl>

Subject: Re: męski Lonnie Waters

Date: 02/08/2005

Najpierw to, co proste: nie umiem tańczyć. Wczoraj także zgodziłem się pozo-
wać do reportażu fotograficznego innemu, mniej młodemu człowiekowi z Krakowa, synowi mego kolegi ze studiów Wojtka Plewińskiego (przez lata fotografa „Przekroju” i nie tylko) – też fotograf, jak się okazało. Tak więc serial „Usługi dla ludności” trwa nadal i ma Pani nadal okazję do kpin i pouczeń. Podobnych udzielała mi żona: powinieneś się bardziej cenić. Nie cenię się. Nie lubię tego, podobnie jak nie lubię tańczenia. Taki już jestem. Pięknie pozdrawiam

Beksiński

Całuję tanecznie

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: kawałek podłogi
Date: 02/11/2005

Ja się nie śmieję. Ja jestem pełen podziwu, ale i przerażenia. Ułożenie ca 20 metrów kwadratowych terakoty nigdy by mi (jako zamiar możliwy do indywidualnej własnej realizacji) nie przyszło do głowy, i to nawet wtedy, gdy miałem tyle lat co Pani. A przecież z wykształcenia jestem budowlańcem. Jeśli wezwany do rogów i zakrętów fachowiec, nie skrytykuje tego, co Pani zrobiła, to ma Pani fach w ręku! Expresowe układanie terrakoty – dzwonić wieczorem – Czaplewska. Po co szmacić się dziennikarstwem w babskich magazynach. Przed Panią nowe ciekawe życie! Żartuję, ale po to, by ukryć podziw. Toż to kurewska robota! Na dodatek z mojej perspektywy wydaje się robotą bardzo trudną. Trzeba utrzymać linię płaszczyzny i jej poziom. Dobry Boże! Gdybym miał przykleić gdzieś choćby tylko jedną płytkę, czekałbym nawet tydzień na pana Krzysztofa. Czy tnąc tarczą, włożyła Pani przynajmniej okulary ochronne? Taka tarcza lubi pęknąć lub rozsypać się na kawałki! Nie dziwię się, że jest Pani obolała, ale dopiero dziś Pani to odczuje. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: Liliana Śnieg-Czaplewska
To: Zdzisław Beksiński
Sent: Saturday, February 12, 2005 1:30 AM
Subject: Święta racja

Miał Pan świętą rację: następnego dnia zawsze bardziej boli. Specjaliści przychodzą jutro rano. Wzięłam ich z dzisiejszej „Gazety Wyborczej”, bodaj jedyne ogłoszenie glazurnika-remontowca, przy którym było „Rachunki VAT”. Przyjadą z Legionowa. Piszę o tym tak na wszelki wypadek, bo gdyby mnie zamordowali, Pan byłby jedynym, który naprowadziłby policję na właściwy ślad.

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: święta racja
Date: 02/12/2005

Dobra kobieto: Jeśli mieliby zamordować, to mieliby mieć powód. Np. płacąc im, otwiera Pani sejf, który Pani zareklamowałam, a oni widzą tam sztabę złota i dwie 20-centymetrowe kupki plików pięćsetek euro, „Kazik stukniem babe, nikt sie nie dowie. Nie bedziem kurwa wiecej ty pierdolony glazury kładli. Założym tera biznes”. No, ale przeleci klucz żurawi jak u Schillera i potem w przytomności Beksińskiego zbrodnia się wyda w stylu „Sieh da! Sieh da, Timotheus, die Kraniche des Ibykus!”. O kurka wodna! Nakręcą o tym film. Morał: zbrodnia nie popłaca. Wobec braku zstępnych, kasę przejmie skarb państwa, odliczając dołą firmie pogrzebowej. Ostatnie ujęcie: płyta nagrobna i wieniec składa Balcero-wicz. Lista płac optymistycznie od dołu do góry. Muzyka Preisnera: wariacje na

temat marsza żałobnego z „Eroiki” i „Ody do radości” z ósmej Beethovena. Co Schiller, to Schiller. Za chwilę jadę z panem Krzysztofem po zakupy, by wypełnić lodówkę na nadchodzący miesiąc. Jutro może trochę uda mi się popracować, ale w poniedziałek kolejno: młodzieniec, po nim panienka, potem o godzinie 15 Rosikon na zdjęcia. Brakuje tylko księdza po kołędzie. Niedopatrzenie Opatrzności. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: Liliana Śnieg-Czaplewska
To: Zdzisław Beksiński
Sent: Sunday, February 13, 2005 12:51 AM
Subject: sny

Zapomniałam Panu napisać o wielkich nadziejach, jakie Pan wzbudził we mnie opisem wibratora prawiącego komplementy. Jaka szkoda, że nie doczekam. A poza tym mnie rajuje branie spraw w swoje ręce, a nie bierny odbiór, choćby najprzyjemniejszy (na marginesie, pan W. słowa dobrego, np. kocham cię, w łóżku powiedzieć nie umie; twierdzi, że nienauczony, bo nigdy tego od niego nie wyimagano). Przypomniało mi się, jak z rok temu, podczas wywiadu z Niną Andrycz o kobietach i miłości, spytałam „lepiej kochać, czy być kochanym?”, usłyszałam kategoryczne i bez sekundy wahania „kochać”. Ona wie, co mówi. Jestem identycznego zdania. Czym Pan wypełnił lodówkę? Ma Pan potrawy ulubione w dzieciństwie, które nie przypominałyby kotleta grubo mielonego, hamburgera? Ojej, chyba jestem głodna
Liliana

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: sny
Date: 02/13/2005

Zajrzałem na to, co ja tam Pani wczoraj nawypisywałem i widzę, że „Ode do radości” przypisałem 8. symfonii Beethovena. Mea maxima culpa! Chyba popierdzieliła mi się we wspomnieniach z moją ukochaną 8. symfonią Mahlera. To w 9. symfonii Beethovena (której nie cierpię) jest ten finał, którego użyto chyba jako hymnu Unii Europejskiej? Może znowu coś popierdzieliłem? O Unii mam takie wyobrażenie, że gdzieś tam jest, ale nie bardzo wiem, o co tam chodzi. Panowie nie cierpią używać określenia „kocham cię”, co bynajmniej nie świadczy o tym, że nie doznają uczuć. Mówiąc coś takiego, czują się zażenowani czymś w rodzaju nadmiernej dosłowności – to tak jak tekst piosenki psuje melodię, bo wydaje się zbyt prosty i dosłowny. Należy im to odpuścić, podobnie jak oni odpuszczają niektórym paniom, które w momencie szczytowego zaangażowania seksualnego wykrzykują nagle „Jezuniu słodziutki”.

Co nawiozłem do lodówki? Serki Hochland typu „Krem śniadaniowy” z papryką, bo u nas są tylko łagodne lub z ogórkiem, szynki KRAKUS 12 sztuk w małych

opakowaniach, bo ważne są do października, piwo Carlsberg i Urquell dla znajomych, bo ja nie piję, no i inne takie. Wąchaliśmy wszystkie płyny zmiękczające i wybrałem do prób trzy, a potem pan Krzysztof, o ile któryś będzie śmierzdział w sposób dający się zaakceptować kupi mi zapas. Kupiłem futerały na dwa aparaty. Kupiłem w Media Markt kilka rozmaitych pamięci, poza tym, mimo iż nigdy nie kupuję wg reklam „Zerosknero”, bo opycha się tam buble, w ostatniej reklamie znalazłem, że SATURN w Jankach sprzedaje to, co Pani ma w breloczku, ale z 512-megową pamięcią i z łączem USB 2 po 190 zł za sztukę, więc kupiłem takie trzy i już dziś żałuję, że nie wziąłem 6. Są mi konkretnie potrzebne, a są wyjątkowo tanie. Czasem i w „Zerosknero” coś się znajdzie. Pewnie im nie „schodziły”. Nawieźliśmy tego stertę i dziś bolą mnie krzyże, mimo iż niczego nie nosiłem, bo robił to pan Krzysztof. Przede wszystkim jednak chcieliśmy kupić tapczan IDENTYCZNY z „marchewkowym”, by wstawić go w miejsce truskawkowego tak, abym mógł się bez różnicy w kręgosłupie przenosić płynnie z sypialni do sypialni, ale takiego już chyba nie robią. Kupowałem w Walther Meble, a teraz jest tam Agata, tym niemniej szukaliśmy w kilku magazynach. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: Walentynki
Date: 02/15/2005

Wszystkiego najlepszego z okazji wczorajszych imienin. Nie wiedziałem, bo ja też imienin ani urodzin nie obchodzę, ale są tacy, którzy nie przepuszczą. No cóż. Gdy sprowadzałem się do Warszawy w 1977, cały mój majątek wynosił około 10 000 USD. Mieszkanie, w którym teraz mieszkam, kosztowało 13 500 USD, zaś mniejsze mieszkanie 3-pokojowe na Inflanckiej tylko 9500 USD. Rozważałem zostawienie mamy w Sanoku i wynajęcie tam dla niej mieszkania z opieką, bo nie było alternatywy, aliści mój bliski znajomy Marian, redaktor POLITYKI, gdy się o tym dowiedział, że nie mam forsy na większe mieszkanie (to za 13 500, które w końcu kupiłem, było największe w ofercie LOCUM), powiedział, że mi to załatwi (nie miałem pojęcia, że miał takie możliwości), i po dwóch dniach miałem promesę na meldunek warszawski, zameldowałem się u Turlejskiej, a promesa umożliwiała mi kupno w LOCUM mieszkania tego za 13 500 USD, za sumę tylko 4000 USD, plus reszta w złotych po kursie oficjalnym. Nie wiem przez kogo Marian to załatwił, bo takie prawo nabycia w LOCUM mieszkania w części za dolary, a w części za złoty przysługiwało tylko ludziom zameldowanym w Warszawie. Może przez Rakowskiego, który był wtedy redaktorem naczelnym. Usiłowałem bezskutecznie załatwić poprzednio sprawę tego meldunku przez dwa miesiące codziennych starań, i to z poparciem ZPAP, a nawet Ministerstwa KiS, i nie dałem rady. W efekcie wyładowałem na Służewiu i matkę udało się zabrać ze sobą.

Lonnie Waters ma tysiąc twarzy, bo przecież w tym biznesie stała zmiana twarzy jest czymś podstawowym. W sumie stała się jakimś symbolem w naszej korespondencji, ale niech Pani zajrzy na jeden z setek katalogów gwiazd i gwiazdek pornobiznesu w internecie, to listy idą w setki nazwisk. Bez najmniejszego wysiłku wyszukałem Pani jeden ze spisów stron <http://www.pinkpornstars.com/top100.html> i kliknąłem w pierwszy link, czyli <http://www.pornstars.com>. Takich linków, stron, odsyłaczy etc. pełen jest cały internet. One są reklamami stron płatnych i każda zawiera w formie zachęty pomniejszone, ale czytelne zdjęcia, które mają zachęcić do zapłacenia za dostęp do strony, gdzie atrakcje będą w większym formacie, a zamiast 15 czy 20 zdjęć dostanie się ich kilka tysięcy plus filmy. To olbrzymi biznes i przelotnie poznałem przed dwoma laty faceta z Piaseczna, który kupował ode mnie obraz, a który utrzymuje się z dziewczyną z prowadzenia takiej strony, i twierdził, że ma z tego na czysto około 24 000 zł miesięcznie, i to prawie bez wysiłku. Nie musi nawet samemu fotografować i organizować modeli. Prawa do zdjęć kupuje się za kilka tysięcy dolarów od agenta, stronę robi się po angielsku, otwiera konto eurodebit w jakimś niemieckim banku, edytować można z dowolnego miejsca na świecie. Oczywiście fachowcy bez trudu znajdą źródło, ale polski fiskus to nie fachowcy, a sam proceder jest legalny, zaś CyberPatrol nie jest zainteresowany polskimi podatkami, lecz nieprzekraczaniem pewnych barier, jak np. seks z nieletnimi. Może to byłby sposób, by przesiąść się z trabanta na bmw? Pięknie pozdrawiam

Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: koincydalność akazualna
Date: 02/16/2005

No, tak: 10 lat później (to prawie jak z Dumasa) to już były inne czasy i inne ceny. Za Gierka kupienie mieszkania za dolary w firmie LOCUM było jedyną szansą na zameldowanie się w Warszawie, która była miastem zamkniętym. Promesa na zameldowanie – rzecz wtedy wręcz nieosiągalna, otwierała drzwi do innych cen za mieszkania. Można było się zameldować w drodze pewnej manipulacji, i kosztowało to tanio, bo tylko 100 000 zł, a nie była to wtedy dla mnie wielka suma. Chodziło o małżeństwo z warszawianką. Rozważaliśmy ten wariant, czyli rozwód w Sanoku, ślub w Warszawie z opłaconą w tym celu warszawianką, powtórny rozwód w Warszawie i powtórny ślub z poprzednią żoną, ale Sanok to Sanok i byłby to temat do plotek, a tego chcieliśmy po galicyjsku uniknąć. Praca glazurnika jest pracą odpowiedzialną. Wymaga rozważań, a rozważa wymaga pałenia. Wielkie rzeczy rodzą się w bólach. Pana Marka to ja chyba znam, bo tyle papierosów dziennie palił facet, który kładł u mnie pewexową glazurę w 1988 roku (zaczęła odpadać przed rokiem i dlatego robiłem od nowa łożenie). Też był to Marek. Koincydencja akauzalna. Dmochowski zawsze reaguje tak jak Pa-

ni, oskarżając mnie o pochopne wyciąganie wniosków. Ja nie wyciągam wniosków. Ja miewam olśnienia, a czasem nawet objawienie. Nie czytała Pani o takich fenomenach? Proszę popatrzeć czasem nieuprzedzonym okiem na to, co uważa Pani za rzeczywistość, a nie jest wykluczone, że pojawi się w Pani umyśle coś całkiem innego niż to, do czego przyzwyczailo nas wychowanie. Być może mam cechy schizofreniczne (ale co to jest schizofrenia – to tylko nazwa na coś, czego nie potrafimy zaakceptować), ale niesłuchanie często mam poczucie, że obcując z tzw. oczywistością, obcuję z palimpsestem. Takie sny z dzieciństwa, że wszyscy są przebrani. Jestem w domu pod opieką mamy, ale nagle pojawia się lęk, czy mama to mama, czy tylko ktoś za nią przebrany – no nie: to tematy nie do naszej korespondencji. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: schizofrenia
Date: 02/17/2005

No nic. W związku z tym, co powyżej przerabiam, dziś temat z Gombrowicza, który gdzieś kiedyś i innymi słowami napisał, że ból zęba potrafi nam przesłonić wszystkie doznania metafizyczne. Na godzinę 11:30 idę do dentystki. Chodzę tam już od trzech tygodni w każdy czwartek i chyba zbliżamy się do finału, ale nie bez komplikacji, bo w trakcie dewitalizacji ułamał się drucik służący do usuwania miazgi i utknął w jakiejś odnodze kanału, której tam być nie powinno i nawet rentgen jej istnienia nie wykazuje, bo to dolna prawa jedynka i kanał powinien być jeden. Nie sposób teraz tego ułamanego kawałka usunąć. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: między metafizyką a rzeczywistością
Date: 02/18/2005

Kurczę: Ząb po wczorajszym dowierceniu się wreszcie do końca i prowizorycznym wypełnieniu gutaperką ćmi mnie od wczoraj wieczór i jest cholernie wrażliwy na dotyk. Z tego, co wiem (bo zęby to moja stała dolegliwość i to od dzieciństwa), to stan ten jest normalny, ale jak ja będę jeść śniadanie? Poprzestanę chyba na soku grejpfrutowym i coli. Na razie jeszcze nie próbowałem jeść, tylko zażyłem Panadol (zamiast tego, co podkreśliłem, napisałem: z Łerw m pl; abnado, i – po czym zgadywałem, o co mi, u licha, chodziło, cały tekst zresztą przed korektą wygląda podobnie – nie jestem stworzony do pisania), więc może mi nieco pomoże, to wtedy będzie łatwiej. Kotleta jednak nie dam rady zjeść nawet po Panadolu. Czego Pani chce od kotleta? To piękne i bardzo romantyczne porównanie. Cieszę się, że nareszcie doceniła Pani walory kuchni i przestała marzyć o zmywaniu garnków. Wszystko jest złudzeniem i wszystko przemija – należy

więc korzystać z chwili, co radzi Pani czcigodny, aczkolwiek zboczony starzec (za kilka dni skończę 76). Pięknie pozdrawiam i biorę się do pracy
Beksiński

From: Liliana Śnieg-Czaplewska
To: Zdzisław Beksiński
Sent: Saturday, February 19, 2005 2:20 AM
Subject: huśtawka nastrojów

Zgadza się, doceniłam zalety dobrej kuchni. Jest Pan na liście Wildsteina?

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: huśtawka nastrojów
Date: 02/19/2005

Lista Wildsteina. Jakoś nie umiem żyć tym, czym żyje społeczeństwo. Nie wpadło mi to do głowy, by sprawdzać, ale po Pani mailu niepokój zagościł w moim sercu. A nuż mnie nie ma i okażę się Gorszy? Nie lubi czosnku, nie umie tańczyć, nie zdradzał żony, ma nietypowe marzenia seksualne, lubi McDonalda, nie ma go na liście Wildsteina... Dno upadku. Swoją drogą, jak ci, którzy lubią czosnek, są w stanie zdradzać żonę? Przedwczoraj jadąc do dentystki, siadłem obok takiego miłośnika czosnku w metrze, ale po chwili musiałem wstać i przejść na drugą stronę wagonu. On pewnie był na liście Wildsteina. Mnie – wstyd przyznać – niestety tam nie ma. Zaraz po Pani mailu wystukałem „Lista Wildsteina” i poszukałem pod BE. Jest dwóch Beksińskich: Józef i Edward. Żadnego, niestety, nie znam. To niedopatrzienie, że mnie tam nie ma. Ja nawet w początku lat 50. dostałem wysoką nagrodę z Resortu. To było tak, że budowałem w Rzeszowie blok mieszkalny dla ubecji. Są dwa warianty egzegezy, dlaczego właśnie ja. Jeden, pochlebny to taki, że jako jedyny w Zjednoczeniu miałem tytuł inżyniera-magistra, a inni tylko tytuły zawodowe i bezpieka wybrała mnie jako „najlepszego”. Drugi, mniej pochlebny to taki, że nie cierpiał mnie dyrektor Zjednoczenia i może to on podsunął mnie ubekom w nadziei, że załatwią mi gwóźdź do trumny, bo na pewno się na tym poślizgnę jak na skórcie od banana. Zostałem zaproszony do dyrektora, gdzie siedział pułkownik i major z kwatermistrzostwa ubecji. Po wstępnej rozmowie pułkownik podał mi wizytówkę ze słowami: „a to wicie mój numer telefonu, na wypadek gdyby wam ktoś przeszkadzał”. Wiadomo było, że w tym okresie i w tak szczytnym zadaniu, przeszkadzać mógł tylko „wróg”. Jeśli to dyrektor podsunął ubecji ten pomysł, że to mnie mają namaścić jako kierownika, to musiał mu dreszcz przejść po krzyżach, bo oto ten gówniarz Beksiński, obdarzony został Zaufaniem i miał w ręku Numer Magicznego Telefonu, czarodziejską różdżkę życia i śmierci, której machnięcie mogło mu pomóc przejść w stan spoczynku lub nawet zakosztować pracy w kopalni. W trakcie budowy (to była właśnie ta budowa, na której pełniłem także obowiązki burdelmamy, o czym chyba już pisałem) major z kwatermistrzostwa o twarzyczce zbója przychodził

kilkakrotnie sprawdzać, jak posuwa się praca, oraz pogadać, i z rozmowy dowiedziałem się, że jego marzeniem jest kupno używanego polskiego fiata sprzed 1939 roku (było takie gównio, przypominające chyba garbusa), bo ubeki w tym okresie nie były lepsze od Pani, jeśli idzie o motoryzację. Kupno to przybliżyć mu miał motocykl jawa 350, na który dostał przydział. Na przydział ten motor kosztował około 12 000 zł, a na czarnym rynku miał wartość około 25 000. Ten motor, który w tych siermiężnych czasach uchodził za najszybszy, był moim marzeniem, ale nie miałem takiej kasy, by nabyć go na czarnym rynku, tak więc osiągnęliśmy „porozumienie ponad podziałami”. „Ja załatwię, że resort da wam nagrodę za wzorowe wykonanie budynku, a wy kupicie ode mnie motocykl”, co się stało ku większej chwale bożej, gdyż było to porozumienie dokonane w duchu ekumenicznym. Prawo jazdy odkupiłem od niejakiego Pokrywki z rzeszowskiego Prezydium za jedne 600 zł. Stałem się budzącym zazdrość posiadaczem czerwonej jawy z dowodem rejestracyjnym, w którym widniała pieczęć, że w ciągu 2 lat nie wolno motoru sprzedawać, a ów major zapewne kupił owego polskiego fiata. Tutti contentati. No, więc odebrałem nagrodę z Resortu, a nie ma mnie na liście. Nie-dopatrzenie.

Co do „raz górka, raz dołek”, to oczywiście każdy ma takie lub inne wahania nastroju, ale do cyklofrenii mi jednak daleko. Nie unoszę się cyklicznie, ani nie opadam. Pewien wpływ na wahanie moich nastrojów ma pogoda i słońce, ale nie jest to wpływ przemożny. Uwielbiam, gdy świeci słońce i czuję się wtedy lepiej, nienawidzę dni, gdy jest ciemno, a niebo ma kolor brudnej sierki.

Urodzin nie obchodzę, prezentów dostawać NIE CIERPIĘ, ale niestety od czasu do czasu dostaję. W dniu urodzin, ubrany jak zwykle w wyciapane farbami szorty i takąż koszulę, zabiorę się do normalnej pracy. Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: zdradliwy czosnek
Date: 02/20/2005

Wczoraj odwiedził mnie kumpel, który zresztą dawniej o mnie pisał. Aktualnie pracuje w „Przekroju”. Długa rozmowa, z której pozostało w mojej głowie zasadnicze, jak mi się wydaje, jego pytanie, na które nie umiałem odpowiedzieć. Pytanie brzmiało, czy umiałbym mu wyjaśnić, po co ja jeszcze maluję. Wiłem się, uciekałem w dygresje i tak dalej, ale nie wiem, po co maluję. Oczywiście jest to, że nierobienie niczego jest jeszcze trudniejsze do wytrzymania niż robienie czegoś z wmawianiem sobie, iż to ma jakikolwiek sens. Ponowne ćwiczenie z Koheleta... Nasza egzystencja jest wypełniona bezsensownymi, stereotypowymi, na pół automatycznymi działaniami i całkowicie beznadziejna. Myślę o tym pytaniu do dziś i nadal nie umiem na nie odpowiedzieć. Namalowanie dobrego (we własnym mniemaniu) obrazu i powieszenie go sobie na ścianie to wielka przyjemność. Czy po to się męczę i mam wyrzuty, gdy w danym dniu nie malo-

wałem? Poza mną nikt tego nie widzi. Pytają mnie choćby, czemu nie zawiesiłem sobie jakiegoś innego obrazu, który uważam za swoją klęskę i staram się go pozbyć. Chyba słusznie postrzegam malarstwo i uprawianie sztuki jako pogoń psa za własnym ogonem. Ukaże się w najbliższym czasie nowy model IXUS-a z 7-milionową matrycą, ale pewnie woli Pani sto czterdziestą pierwszą parę butów. Nawiasem: Ubieranie ciągle innej pary butów musi być chyba potwornie męczące i stresujące. Gdy raz na 5 czy 10 lat kupuję nowe buty, to najpierw muszę się do nich przyzwyczaić. W końcu ja i buty stanowimy jedność, więc jak to jest w sytuacji, gdy się ma ich aż tyle? Pięknie pozdrawiam
Beksiński

From: Liliana Śnieg-Czaplewska
To: Zdzisław Beksiński
Sent: Monday, February 21, 2005 12:12 AM
Subject: skleroza

Ten współpracownik „Przekroju” to przypadkiem nie pan Nyczek?? Na to trudne, łatwotrudne pytanie „po co maluję”, mógłby Pan odpowiedzieć w stylu znajomej z Krakowa: „bo zakupy w Media Markt są kosztowne”. Albo: „bo nie byłoby powodu, aby się podnieść z łóżka”. Marchewkowego, wygodnego, w wywie-trzonej sypialni. Wyszłam z psem na długi spacer po 21.00. Gdy wracałam już do domu przez plac Trzech Krzyży, z białego luksusowego busa wysiadła grupa eleganckich osób, a pies idący przed prześliczną Patricią Kaas zaczął się zada-wać w marszu z moim. Duduś zawarł znajomość na wysokim szczeblu! Widział Pan może ostatni film Leloucha „Piano bar” z jej udziałem i Jeremy Ironsa? Strasznie mi się podobał, a jej śpiew jeszcze bardziej (gra tam piosenkarkę). Ubrana na białe, z rozwianym włosiem, a tu mróz minus trzy. No tak, dała w War-szawie raptem jeden koncert i tyle się „naspacerowała” po mieście, co z Kongre-sowej do agencji artystycznej przy pl. Trzech Krzyży i pewnie do hotelu. To spo-tkanie zmusiło mnie do powzięcia postanowienia, żeby znów się zacząć odchu-dzać. O Boże, jak ja Panu bredzę.

From: <bex@acn.waw.pl>
To: <lilianasc@neostrada.pl>
Subject: Re: skleroza
Date: 02/21/2005

Jeśli idzie o owego kumpla, to nie jest on w „Przekroju” P.O. krytyka sztuki, a jest raczej recenzentem literackim. Nazywa się Tadeusz Nyczek i nie wiem, czy figu-ruje w stopce redakcyjnej, ale w każdym numerze jest jakaś jego recenzja. Pierwszy mój album wydany w Polsce przez ARKADY jest firmowany jego na-zwiskiem i pisał o mnie wielokrotnie, znamy się od lat i jesteśmy przyjaciółmi. To już chyba wszystko. Moja odpowiedź na jego pytanie zawierała oczywiście wą-tek merkantylny, bo muszę za coś żyć, zawierała też wątek marchewkowego tap-czanu, chociaż ja bynajmniej nie kocham spać i leżeć, ale nie kocham też sprze-

dawać swoich obrazów, i nawet dopiero co skończyłem pisać i wysłałem mail z wykrętami w odpowiedzi na propozycję kupna. Jednym słowem, moja odpowiedź udzielona Nyczkowi zawierała szereg wątków dodatkowych, ale one wszystkie nie trafiały w sedno, gdyż jego pytanie miało charakter fundamentalnie egzystencjalny i domagało się takiej takiejże odpowiedzi. Cała reszta to uniki. Ja sam w sobie jestem unikiem, jeśli idzie o życie. Jak tu przeżyć życie w wyobraźni, bo realne kotlety, jakie mi ono podsuwa, są albo tykowate, albo spleśniałe, albo niedopieczone, albo przypalone, albo nie mam na kotlety w ogóle ochoty, lecz mam ochotę na lody bakaliowe.

Co do nazwisk, to nie mam bladego pojęcia, kto to jest Patricia Kaas, ale domyślałem się, że jakaś znana aktorka. Nazwisko Jeremy Irons brzmi znajomo, ale nic poza tym. Nawet twarzy nie widzę. W życiu nie oglądałem żadnego filmu Leloucha, bo węch wskazywał mi, że nie będzie mi się to podobalo. Nie wykluczam, że wiele straciłem. Rozumiem, oczywiście, że pani Kaas jest osobą anorektyczną i tak się Pani spodobała (pisze Pani o niej „prześliczna”), iż postanowiła się Pani odchudzić. Trochę sobie nie wyobrażam, że obejrzawszy Jeremy'ego Ironsa (zakładam, że nie jest wojownikiem sumo), powziąłbym postanowienie odchudzenia się, ale w końcu jestem nietypowy i nie żyję na tym świecie, a tylko to udaję sam przed sobą i przed Panem Bogiem, żeby staruszkowi nie sprawiać przykrości. Pięknie pozdrawiam

Beksiński